ODKRYWCA®

S WOJNA • HISTORIA

NAKŁAD 12 400 CENA 14,70 ZŁ (w tym VAT 5
NR 6 (197) CZERWIEC 20

Jeniecka epopeja życia i śmierci.

Przywrócona pamięć Stalagu VIIIA

INDEKS 37010X ISSN 1505-6104
06
9 771505 610056

www.odkrywca.pl

Viking
NAJWIĘKSZY WYBÓR W POLSCE!
GARRETT METAL DETECTORS
www.garrett.com
GTI 1500
GTI 2500
ACE 150
ACE 250
EuroAce
ATX
Infinium LS
Sea Hunter Mark II
AT Pro
AT Gold
white's
Spectra V3i
Spectra VX3
MXT Pro
MXT Tracker
Matrix M6
MX5
Coinmaster
Coinmaster Pro
Coinmaster GT
TM 808
MINELAB
CTX 3030
E-Trac
Safari
Excalibur II
X-Terra 305
X-Terra 505
X-Terra 705
Nokta ENGINEERING
FORS CoRe
NOWOŚĆ
VELOX One
SDC 2300
NOWOŚĆ
FISHER RESEARCH LABS
Detecting & Underground Locating Equipment
F70
F2
F4
F5
F19
NOWOŚĆ
Pro-Tech
NOWOŚĆ
F75
CZ 21
1280-X Aquanaut
Pro-Arc
NOWOŚĆ
XP
Deus
GMaxx II
Adventis 2
NOWOŚĆ
Gold Maxx
ADX150
NOWOŚĆ
podwodny ● wodoszczelny do 3m
ul.Radna 6, 00-341 Warszawa tel./fax: 22 829 84 80 viking@viking.waw.pl
www.viking.waw.pl
sprzedaż wysyłkowa i ratalna

CZERWIEC 2015

3 Wrocław – miasto nieodkrytych tajemnic
X Konferencja popularnonaukowa „Odkrywcy”
Piotr Maszkowski

POSZUKIWANIA

8 Jeńcy za drutami
Z historii Stalagu VIIIA (cz. 2)
Janusz Skowroński

13 Mieszkańcy Piły spacerowali po grobach swoich przodków…
Odkrycie szczątków ofiar krzyżackiej rejzy?
Jerzy Utkin

17 Co się stało na plebani?
Maksymilian Frąckowiak

20 Tajemnica „starej leśniczówki” rozwikłana
Janusz Skowroński

24 Zagadka walimskiej sztolni
Na zboczu Przygodnej Kopy usytuowane jest, nierzucające się w oczy, wejście do podziemi. Historia tego miejsca wydaje się być zadziwiająca. Wiązano je nie tylko z cennym kruszcem, ale, w czasach nam współczesnych, także z sekretnym ładunkiem ukrytym pod koniec II wojny światowej przez Niemców…
Tomasz Rzeczycki

30 Więźniowie z obozów pracy w Bunzlau
Podobozy KL Gross-Rosen, a przemysł zbrojeniowy III Rzeszy (cz. 4)
Szymon Wrzesiński

KULISY HISTORII

36 Kwadrat nad Kaczawą
To była „mała Moskwa”, dla wielu Polaków symbol niesuwerenności państwa rządzonego nie z Warszawy, lecz z Moskwy. W ostatnią niedzielę stycznia 1992 r. byłem świadkiem wydarzeń niezwykłych. Gdy w końcu Rosjanie opuścili Legnicę, okazało się, że – w co trudno uwierzyć – ocalili oni perełki architektury tego starego miasta śląskiego. My natomiast zabytkowe kamieniczki rozebraliśmy…
Leszek Adamczewski

42 Kilka słów o tym, jak bezpieka polowała na „toaletowych graficiarzy”
Wróg się czai w toalecie… cz.2
„Podejrzewam go o pisanie wrogich chaseł, dlatego że ma pewne wybryki, ołówek też ma, lecz jaki to niewiem. To chasło było napisane na brygadzistę, że on jest ch…j. A on narzekał na brygadzistę, że jest nie dobry i gania w robocie. Zadanie: ustalić, kto nosi ołówki i to dobrze zatęperowane…”.
Bartosz Bijak

AKTUALNOŚCI/ WYDARZENIA

48 Święto Wallensteina przy styku trzech granic
Janusz Skowroński

WĘDRÓWKI ODKRYWCÓW

50 Moszna – górnośląska bajka z disneyowskim akcentem
Dariusz Pietrucha

KOLEKCJONERSTWO

56 Ozdoby munsztuka
Piotr Adamczyk

60 Niezbędniki Wehrmachtu 1939-1945 (cz. 2)
Wojna od kuchni (cz. 4)
Tomasz Bienek

BATALIE I POTYCZKI

63 Maczków nad Ems 1945-1948, czyli enklawa wolnej Polski w okupowanych Niemczech
Piotr Galik

FORTYFIKACJE

67 Tradytor „Dąbrówka Wielka”
Jerzy Sadowski

KSIĘGARNIA ODKRYWCY

71 Czerwcowe nowości w Księgarni Odkrywcy

Okładka: Zdjęcie lotnicze po wyzwoleniu (11.05.1945 r.) wówczas Görlitz Ost (Moys) – dziś polski Zgorzelec. Zdjęcie: Europejskie Centrum Edukacji Kulturalnej Zgorzelec.

Wydawca
Instytut Badań Historycznych
i Krajoznawczych Sp. z o.o.
Prezes Zarządu: Magdalena Haber

Redakcja miesięcznika „Odkrywca"
ul. Kaszubska 4
50-214 Wrocław
Tel.: 71 329 71 85, 71 329 71 86
fax: 71 328 83 71
e-mail: redakcja@odkrywca.pl
www.odkrywca.pl
http://www.facebook.com/Odkrywca

Zespół redagujący

Redaktor Naczelna
Izabela Kwiecińska
e-mail: kwiecinska@odkrywca-online.pl
kwiecinska@odkrywca.pl
Piotr Maszkowski
e-mail: redakcja@odkrywca.pl

Dział Fortyfikacje
Jerzy Sadowski

Stali współpracownicy
Proteus, Leszek Adamczewski. Marek Dudziak, Piotr Galik, Dariusz Pietrucha, Janusz Skowroński, Tomasz Rzeczycki, Szymon Wrzesiński, Lech Zwirełło

Konsultanci
Andrzej Bossowski – Geologia.
Maksymilian Frąckowiak – Archeologia.
Piotr Galik – Historia wojskowości.
Maciej Kęszycki – Militaria i technika wojskowa.
Krzysztof Krzyżanowski i Dariusz Wójcik – Górnictwo Dolnego Śląska.
Aleksander Rostocki – Nieśmiertelniki.
Marek Sokołowski – Numizmatyka.

Dział Reklamy
Tel.: 71 329 71 71
e-mail: reklama@odkrywca.pl

Dział Graficzny i DTP
Cezary „Essperto" Chmielewski

Twórca i administrator strony
www.odkrywca.pl
Kazimierz Ruszel „Bocian"

Grupa Eksploracyjna Miesięcznika „Odkrywca" (GEMO)
Łukasz Orlicki
e-mail: gemo@odkrywca.pl

Druk
Zakład Poligraficzny TECHGRAF
ul. Podzwierzyniec 25
37-100 Łańcut

Redakcja zastrzega sobie prawo adiustacji, skracania i opracowania redakcyjnego tekstów. Zastrzega także prawo przedruku nadesłanych tekstów i materiałów graficznych w czasopismach współpracujących z „Odkrywcą". Tekstów niezamówionych redakcja nie zwraca. Za treść ogłoszeń i reklam redakcja nie ponosi odpowiedzialności. Wszelkie przedruki artykułów i kopiowanie materiałów graficznych – wyłącznie za zgodą redaktora naczelnego.

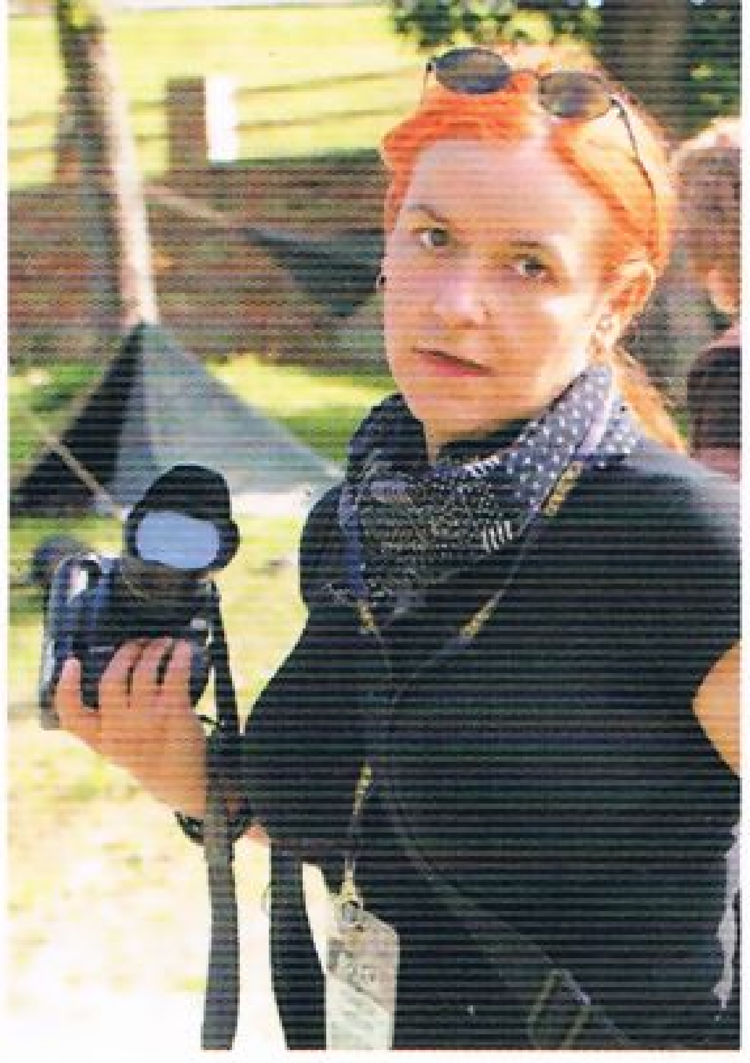

Drodzy Czytelnicy

Urzekająca spokojem sobotnio-niedzielna „cisza wyborcza" jest już dla Was jedynie wspomnieniem. Znowu, chcąc nie chcąc, zanurzyliście się w polityczno-medialnym potopie informacji, wypowiedzi, stanowczych twierdzeń, żądań, oczekiwań, pretensji, planów i cudownych recept mających rozwiązać rzeczywiste bądź wymyślone problemy. Nie tyle zresztą zanurzyliście się, co Was zanurzono – bo przed tym potopem właściwie nie ma ucieczki, a zachłysnąć się strumieniem lanej wody, jest wyjątkowo łatwo. W tym wszystkim na ogół gubią się tematy naprawdę ważne lub ich politycznie ukierunkowane zdefiniowanie, uniemożliwia sensowną dyskusję.

Kontrast jakiego doświadczam, w chwili gdy piszę te słowa, między wyborczą ciszą a codzienną wrzawą polityczną (w której stosunek do historii odgrywa niepoślednią rolę), jest tak dojmujący, że wprost prowokuje do rozważań o naturze i kondycji demokracji, jako systemu sprawowania władzy. Odnotowując dobrodziejstwo ciszy, skwapliwie jednak odtrącam wszelkie pokusy interpretacji zagadnień ustrojowych. To temat co najmniej akademickiej rozprawy lub książki takiej jak „Rozważania o wieku XX" Tony'ego Judta i Timothy Snydera, którą zainteresowanym szczerze polecam. By jednak spuentować tych kilka myśli, a zwłaszcza osadzić je w „historycznej" perspektywie, posłużę się cytatem ze wspomnianej publikacji: *„Wziąwszy pod uwagę, że jesteśmy skazani na wykorzystywanie przeszłości do uzasadniania dzisiejszej polityki, nie sposób przecenić wiedzy historycznej. Lepiej poinformowanych obywateli trudniej będzie oszukać, manipulując przeszłością, żeby uprawomocnić dzisiejsze błędy (…) wszystkie społeczeństwa, zamknięte w dwudziestym wieku manipulowały historią. To najstarsza forma sprawowania kontroli nad wiedzą – jeśli masz władzę na interpretacjami tego, co się kiedyś wydarzyło (lub po prostu możesz o tym skutecznie kłamać), teraźniejszość i przyszłość są do twojej dyspozycji. A zatem demokratyczny rozsądek nakazuje upewnić się, że obywatele należycie znają historię"*. Ba! – ale kto będzie jej nauczycielem, i jak określić ową „należytość" ? Pytania bynajmniej nie retoryczne, przeciwnie – całkowicie zasadnicze.

Od dwóch tygodni mówi się o narastającym buncie młodych. Rzeczywiście, zjawisko to obecne w społeczeństwach zachodnich od kilku już lat, ujawniło się w wyraźny sposób również w Polsce. Wielu z nich po raz pierwszy wzięło udział w prezydenckich wyborach. Szukając odpowiedzi na wcześniejsze pytania, przyjrzałam się zagadnieniom tegorocznego egzaminu maturalnego z historii. Czy dyplom dojrzałości jest gwarantem dojrzałości obywatelskiej, częścią której w bezsporny sposób jest stosowna (właśnie „należyta") wiedza historyczna? Pewnie nie – tym bardziej, że liczba zdających maturalną historię nie wydaje się być imponująca. Konieczność jej dobrego zaliczenia jest jednak przepustką do wstępu na liczne kierunki studiów humanistycznych, co „wymusza" poważne jej potraktowanie. Z jakim więc zadaniem przyszło się zmierzyć tej części młodzieży, która aspiruje do statusu wykształconej, młodej inteligencji w dziedzinach szeroko pojmowanej humanistyki.

Zadanie wydaje się być naprawdę trudne i nakłada, nie tylko na abiturientów, ale wcześniej również na nauczycieli, poważne wymagania, by mu sprostać na odpowiednim poziomie. Zagadnienia maturalne są bardzo przekrojowe i obejmują praktycznie cały zakres dydaktyczny przedmiotu. Jest Rzym, Grecja, wczesne średniowiecze, Jagiellonowie, cechy ustroju XVI-wiecznej Rzeczpospolitej, ideologia sarmacka, znaczenie czasów Jana III Sobieskiego, rozbiory, Napoleon Bonaparte, Insurekcja Kościuszkowska, zjednoczenie Włoch, sytuacja Polski w zaborze rosyjskim u progu I wojny światowej, Niepodległość 1918 roku, Wielki Kryzys gospodarczy 1929-33, Katyń, chiński Długi Marsz, gospodarka PRL, podzielone Niemcy, lokacje miejskie, Rzeź galicyjska i feudalizm. Tematyka imponująca. Konieczne umiejętności związane z interpretacją tekstów źródłowych, map, rycin, inskrypcji, wierszy, a nawet plakatów, towarzysząc samej wiedzy muszą być wcześniej wykształcone. I co sądzicie Drodzy Czytelnicy – zdalibyśmy? Ci młodzi obywatele, którzy zaliczą maturę z historii, z pewnością, o którą apeluje Tony Judt, należycie znają historię, mogą stanowić wg jego przekonania zasób społeczeństwa „otwartego" – demokratycznego. Ale jeśli się kiedyś pogubią w trakcie „święta demokracji", jak określa się kolejne wybory, to może pamiętać będą o cytacie z tekstu, który przyszło im interpretować: Kwintus Tulliusz Cyceron, Mały poradnik wyborczy, 64 r. p.n.e. [fragment]: *„Trzy są drogi szczególnie prowadzące do pozyskania ludzkiej przychylności i głosu w wyborach: świadczenie przysług, budzenie nadziei oraz samorzutne szczere przywiązanie. (…) Staraj się, by cała kampania wyborcza była pełna blasku, okazała, świetna, miła ludowi, by odznaczała się wspaniałością i godnością. (…) Hojność ma szerokie pole (…). Staraj się, by dostęp do ciebie był łatwy we dnie i w nocy, by nie tylko bramy domu stały otworem, lecz także przystępne było spojrzenie i wyraz twarzy, które są niejako bramą duszy. Gdy cię o coś proszą, zgadzaj się (jeżeli czegoś nie możesz spełnić, odmów w sposób uprzejmy albo w ogóle nie odmawiaj). Obietnica jest czymś niepewnym, odnosi się do przyszłości i do niewielu stosunkowo ludzi; natomiast odmowa zraża na pewno zaraz, i to większą liczbę osób"*.

Wszystko już było Drodzy Czytelnicy – Kwintus Tulliusz Cyceron żył w latach 102 p.n.e–43 p.n.e. – stracił na aktualności?

Chyba mi się kończy cisza wyborcza. Następna jesienią. Czekam!

Izabela Kwiecińska

Znajdź nas na:
http://www.facebook.com/Odkrywca

Wrocław – miasto nieodkrytych tajemnic

PIOTR MASZKOWSKI

Minęło 10 lat od naszej pierwszej Konferencji na zamku Książ. Wówczas zapoczątkowaliśmy trwającą już dekadę tradycję corocznych spotkań z Czytelnikami. Wypracowana formuła wspólnego majowego weekendu, obejmująca piątkowy blok prelekcyjny oraz sobotnio-niedzielne wyprawy w teren, przetrwały próbę czasu, sprawdzając się podczas każdej kolejnej edycji naszej imprezy. Podobnie zresztą jak tradycyjny podział na cztery kolorowe grupy: Czerwoną, Żółtą, Niebieską i Zieloną. Nie inaczej było i tym razem…

Opactwo Cystersów w Lubiążu.

Na wstępie chcieliśmy gorąco podziękować wszystkim Uczestnikom zarówno nowym, którzy po raz pierwszy nam zaufali dołączając do naszej „odkrywcowej" rodziny, jak i wiernemu, bardzo licznemu gronu weteranów, którzy są z nami od samego początku. To dzięki Państwa obecności nasze konferencje posiadają niezwykły klimat i atmosferę. To również dzięki Wam, napięty i intensywny program zwiedzania, udaje się każdorazowo zrealizować. Należy przy tym zaznaczyć, że odbiega on od turystycznych standardów, bowiem tylko w soboty spędzamy w trasie blisko 12 godzin, zwiedzając wiele miejsc oddalonych od siebie często nawet o kilkadziesiąt kilometrów, pokonywanych autobusem oraz pieszo. Również niedziele, choć połowę krótsze, stanowią nie lada wyzwanie.

Każdego roku staramy się przyjąć maksymalną liczbę chętnych, co sprawia, że liczba uczestników przekracza 200 osób. Stanowi to ogromne wyzwanie organizacyjne i logistyczne, niezależnie czy jesteśmy w dużym mieście, czy w mniejszych miejscowościach. Chętnych zresztą jest dużo więcej, a internetowe zapisy wyczerpują przewidzianą pulę w ciągu zaledwie kilku dni. To dla nas olbrzymia satysfakcja, lecz jednocześnie, z roku na rok, coraz większy wysiłek, by utrzymać dotychczasowy poziom i spełnić Państwa oczekiwania. Również, co do wyboru lokalizacji kolej-

nych konferencji – miejsc pełnych tajemnic, historii i szczególnych atrakcji.

Tym razem był to Wrocław i jego okolice. Jest tu masa arcyciekawej historii, którą wspólnie mieliśmy okazję odkrywać. Odkrywać w sposób, jaki jest możliwy wyłącznie z nami. Docierać tam, gdzie większość bywa niezbyt często.

Takim miejscem z pewnością jest Zespół Rozminowania Centrum Szkolenia Wojsk Inżynieryjnych i Chemicznych, gdzie mieliśmy okazję zapoznać się ze współczesnymi środkami bojowymi, używanymi przez tego typu oddziały. Złożoność ich działania oraz sposoby wykorzystania na polu walki, przybliżał kpt. Paweł Medyński. Na terenie jednostki odwiedziliśmy także wrocławski oddział Muzeum Wojsk Lądowych w Bydgoszczy oraz Salę Tradycji – jedyne w Polsce Muzeum Wojsk Chemicznych i Inżynieryjnych, wypełnione wyjątkowymi eksponatami i parkiem maszyn, stanowiącymi niegdyś wyposażenie Wojska Polskiego. Naszymi przewodnikami byli: mjr rez. Wojciech Leszczyński, Jerzy Maziarz oraz Daniel Kaźmierski, którzy kompleksowo zaprezentowali zbiory oraz liczne ciekawostki na ich temat. Z pewnością warto tu jeszcze wrócić, tym bardziej, że placówka w przyszłości ma zostać udostępniona do zwiedzania szerszej publiczności.

Kolejnym punktem na naszej trasie był unikatowy w swej budowie i niepowtarzalny klimatem zamek w Urazie. Zarówno za sprawą pełnego pasji właściciela, jak i licznych tajemnic, które przybliżył specjalnie dla nas – jak dotąd bowiem byliśmy jedyną zorganizowaną grupą, która mogła zawitać do tego, na co dzień zamkniętego dla turystów, miejsca.

Podczas zwiedzania ogromnego, jednego z największych w Europie, pocysterskiego kompleksu klasztornego w Lubiążu trafiła nam się nie lada gratka. Udostępniono nam strychy oraz piwnice tego monumentalnego obiektu. Stanowiło to bez wątpienia niezwykle wartościowe uzupełnienie standardowej, oferowanej na co dzień, trasy zwiedzania. Z pewnością penetracja tych zakamarków w towarzystwie wszystko wiedzących na ich temat przewodników, jak i obiad w przyklasztornej karczmie, na długo pozostaną w pamięci.

Podobnie jak wspólna sobotnia kolacja, przygotowana dla nas na terenie podwrocławskiego Muzeum Motoryzacji Topacz, sąsiadującego z zamkiem w Topaczu z największą w Polsce kolekcją aut marki Bentley i Rolce Royce. Nie była to jednak wyłącznie

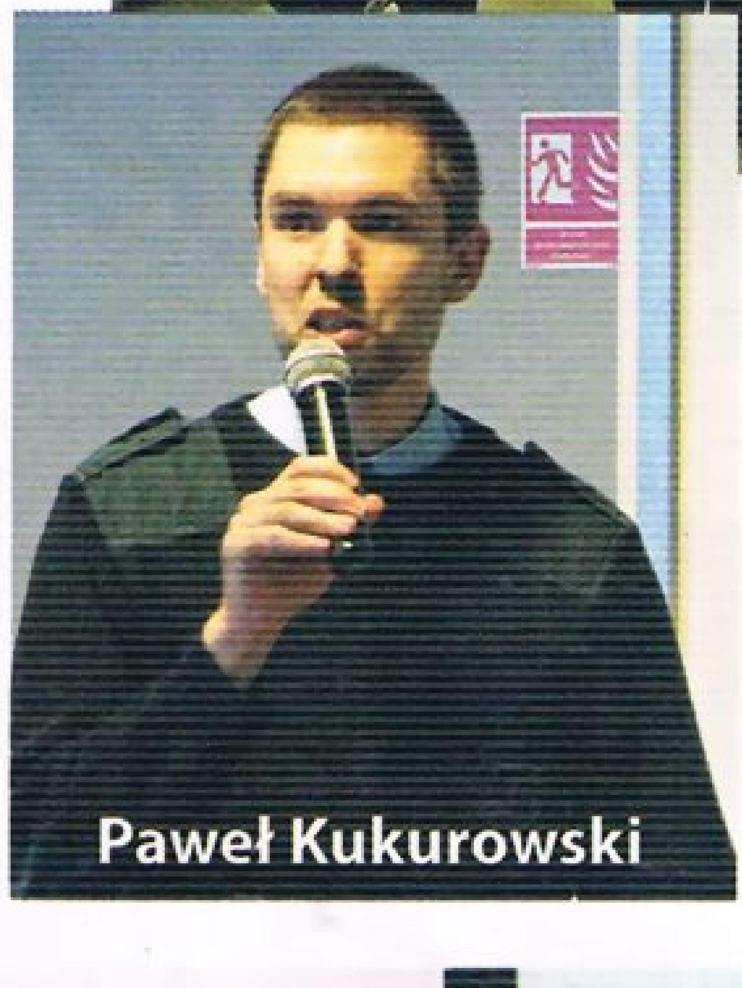

Paweł Kukurowski

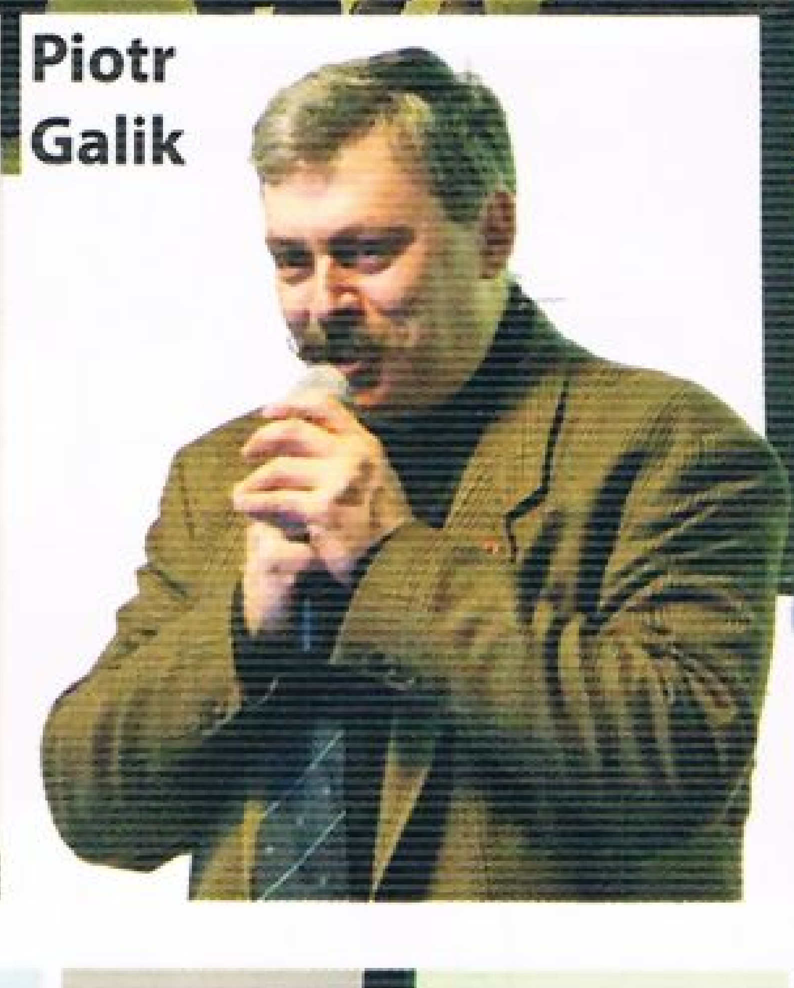

Piotr Galik

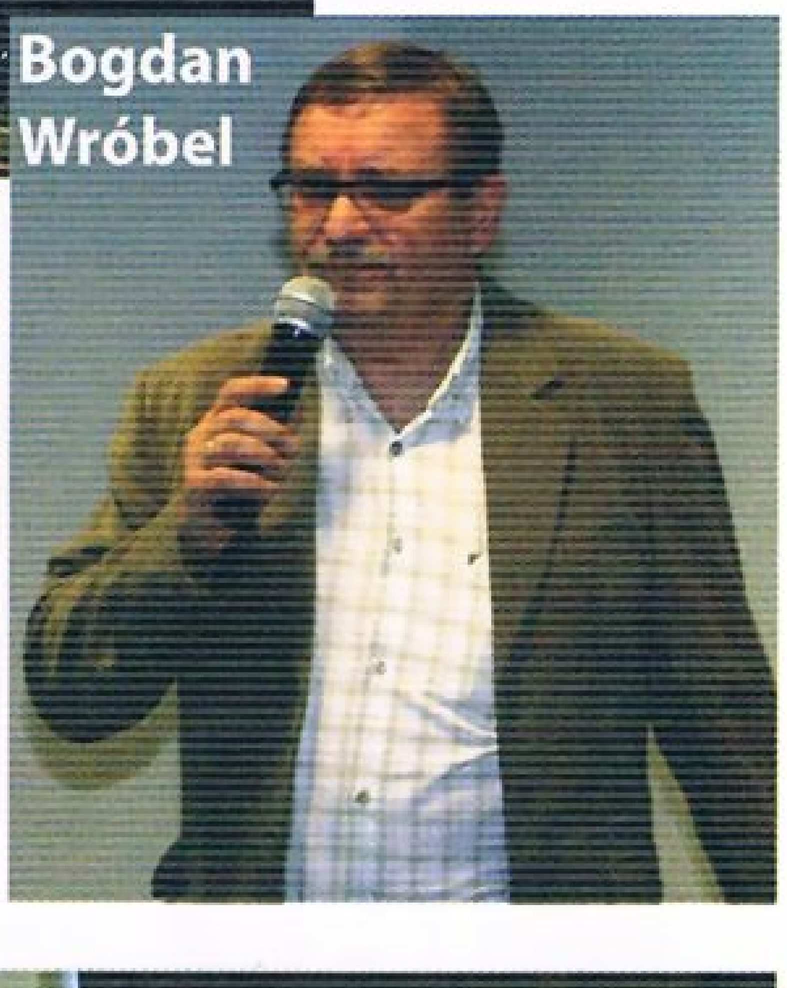

Bogdan Wróbel

Rainer Sachs

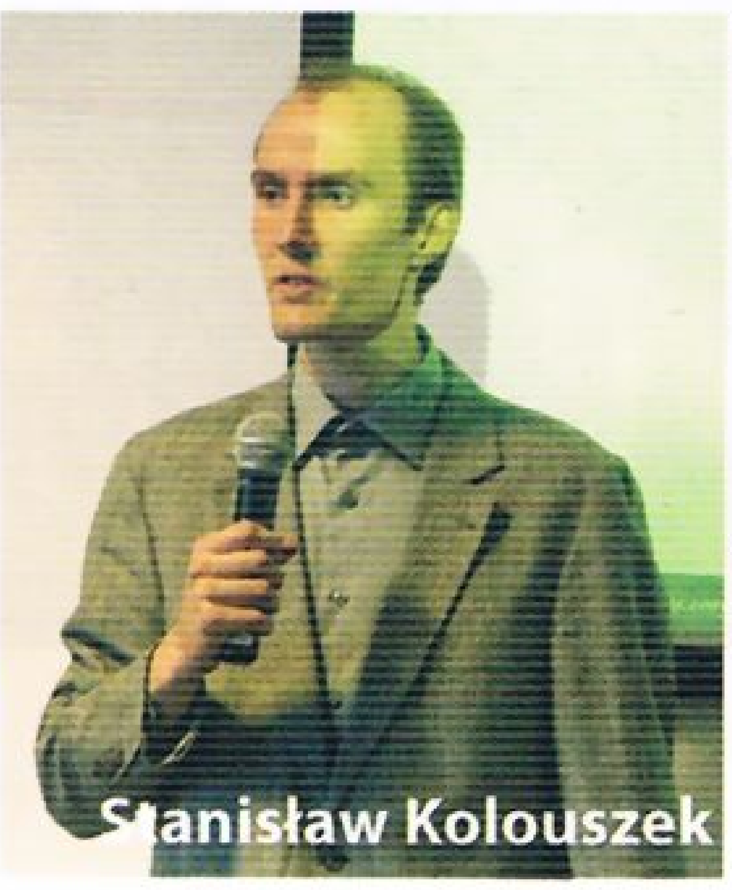

Stanisław Kolouszek

Piotr Maszkowski

Łukasz Orlicki

atrakcja dla miłośników czterech kółek, gdyż całość malowniczo położona jest na terenie pięknie odrestaurowanego założenia parkowego ze średniowieczną wieżą mieszkalną i luksusowym hotelem.

Równie emocjonującym i pełnym wrażeń dniem była niedziela, w całości poświęcona na zwiedzanie Wrocławia. Autobusami objechaliśmy cztery z pięciu charakterystycznych dużych schronów naziemnych, zawitaliśmy do starego portu rzecznego z pocz. XX w. przy ul. Kleczkowskiej oraz do Hali Stulecia i znajdującego się w niej Centrum Poznawczego. Tam, dzięki zaawansowanym rozwiązaniom multimedialnym mogliśmy odbyć wirtualną podróż przez historię tej niewątpliwie ikony architektonicznej Wrocławia.

Następnie ruszyliśmy na pieszą wędrówkę. Na trasie znalazła się m.in. najstarsza część miasta, jaką jest Ostrów Tumski, pozostałości fortyfikacji miejskich na Wzgórzu Polskim, w okolicach pl. Dominikańskiego oraz Wzgórze Partyzantów. Dotarliśmy też do słynnego ze swych tajemnic Dworca Głównego. Dla wielu, nawet rodowitych Wrocławian, była to wyprawa niezwykle poznawcza i pełna wiedzy, którą w perfekcyjny sposób przybliżali towarzyszący nam każdego dnia przewodnicy: Renata Kokosza, Krzysztof Rostek, Artur Urban i Maciej Latosik.

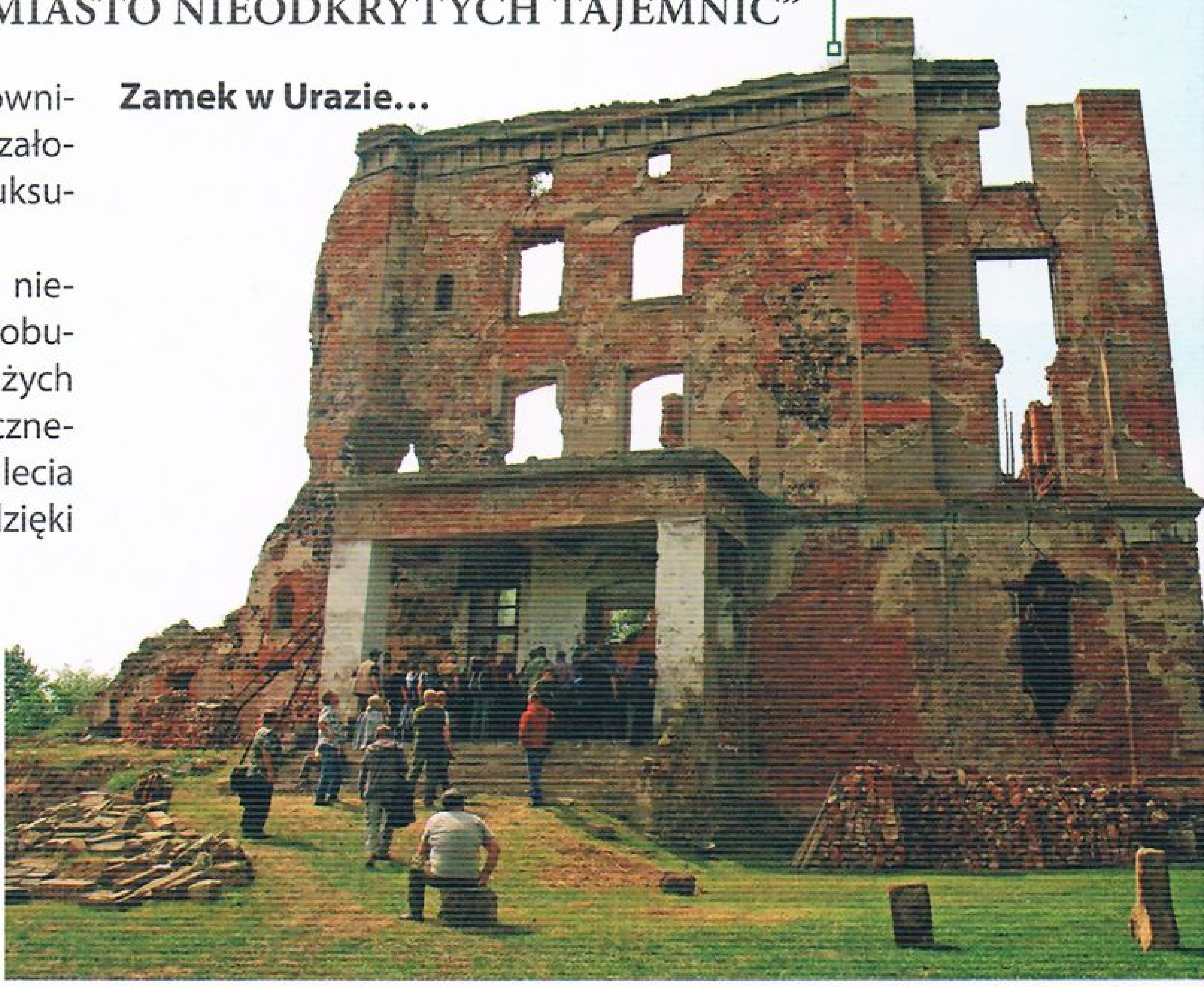
Zamek w Urazie...

... i jego podziemia.

Prelekcje

Tradycyjnie odbywają się w pierwszy dzień konferencji, zawsze w piątek. I również tradycyjnie mają za zadanie wprowadzić naszych Uczestników w szczegóły zawiłej historii, zwiedzanych w ciągu kolejnych dni miejsc i obiektów.

Przemiłym akcentem było przekazanie naszej redakcji wspaniałej statuetki przygotowanej przez Uczestników, z okazji wspólnego jubileuszu. Była to dla nas wspaniała niespodzianka, za którą pragniemy gorąco podziękować.

Prelekcje rozpoczął Paweł Kukurowski omawiając źródła dotyczące obrony Festung Breslau – zagadnienia, które mimo upływu 70 lat wciąż wymaga uzupełnień. Fanatyczna obrona oblężonego przez Armię Czerwoną niemieckiego miasta w 1945 r, do dziś wywołuje liczne dyskusje wśród historyków. Okazuje się jednak, że wbrew pozorom owych źródeł zachowało się całkiem sporo, choć wciąż niewiele z nich ukazało się drukiem, czy też zostało przełożonych na język polski.

Piotr Galik, omówił z kolei historię militarną miasta, prezentując jego burzliwe dzieje oraz wpływ, jakie toczące się na przestrzeni ostatniego millenium wojny odcisnęły na rozwoju urbanistycznym. Wrocławski fortyfikator Stanisław Kolouszek przybliżył z kolei genezę i ewolucję umocnień miejskich, które do dzisiaj zachowały się w niewielkim stopniu. Podobnie zresztą jak systematycznie znikające pozostałości fortyfikacji XIX i XX wiecznych, w których ochronę prelegent jest od lat osobiście zaangażowany.

Bogusław Wróbel, dolnośląski badacz II wojennych tajemnic regionu, przedstawił kulisy procesu utajniania produkcji zbrojeniowej w III Rzeszy. Warto poświęcić jego wystąpieniu nieco więcej miejsca, gdyż podzielił się z nami swoimi ustaleniami, które dotychczas nie doczekały się jeszcze szerszego omówienia.

Niemcy po I wojnie światowej, lekceważąc ograniczenia narzucone im po Kongresie Wersalskim, bez większych przeszkód omijali restrykcje dotyczące rozwoju technologii wojskowych i produkcji zbrojeniowej. Po prze-

Muzeum Motoryzacji.

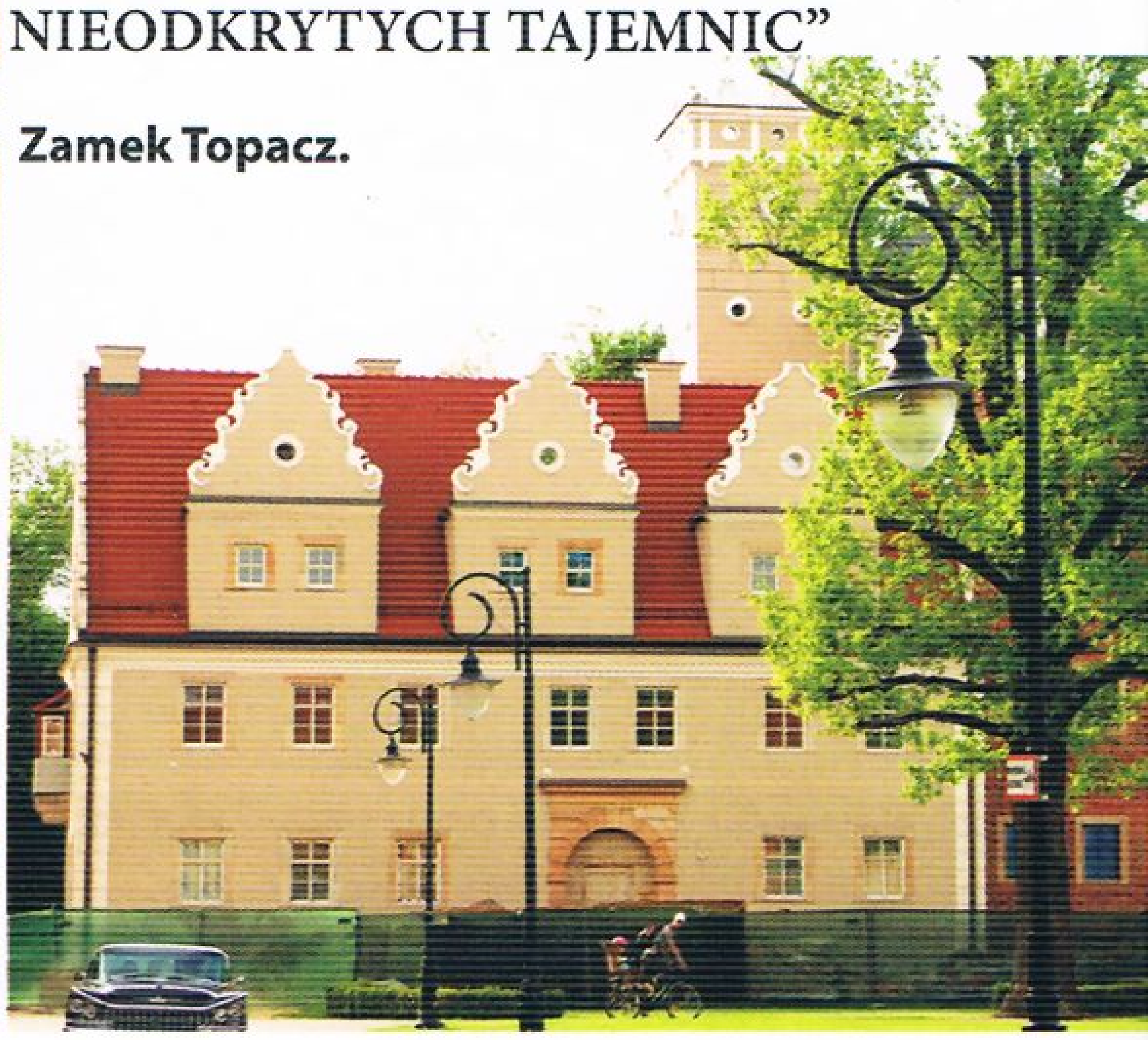
Zamek Topacz.

jęciu władzy przez nazistów i rozpoczęciu przez III Rzeszę otwartego wyścigu zbrojeń, pojawiła się konieczność skutecznego zabezpieczenia rozpędzonej już machiny wojennej. Polegała ona na dalszym utajnieniu procesu produkcji, dyslokacji i rozproszenia jego ośrodków, a także planach przeniesienia jej w dalszej kolejności pod ziemię. Co ciekawe, Bogdan Wróbel dotarł do nieznanego wcześniej wykazu, sugerującego, iż jeszcze przed wybuchem II wojny planowano utajnić produkcję zbrojeniową, wykorzystując do tego celu m.in. groty i jaskinie. Okazuje się, że jeszcze pod koniec lat 30. rząd niemiecki zlecił kilku uniwersyteckim wydziałom geologii opracowanie listy tego typu miejsc – również z terenu Dolnego Śląska. We Wrocławiu zajmował się tym dr Gerhard Dittrich, który opracował spis 42 jaskiń i grot na terenie Sudetów i Dolnego Śląska. – *Państwo jako jedno z nielicznych do tej pory gremiów macie okazję ten wykaz zobaczyć* – przekonywał B. Wróbel, zwracając jednocześnie uwagę na punkt 20: – *mówi on m.in. o wąwozach lessowych w pobliżu Trzebnicy, znajdującej się ok 20 km na północ od Wrocławia. Pragnę zwrócić uwagę, że aby zabezpieczyć ewentualną produkcję w takim miejscu wystarczy ją od góry zadaszyć. Ten pomysł zresztą wykorzystano w kilku miejscach na terenie twierdz, np. w poznańskim Forcie 7. Taki sam projekt był planowany w Srebrnej Górze, ale nie został zrealizowany.* To rzeczywiście niezwykła ciekawostka, zresztą jakich wiele pojawiło się podczas tego wykładu.

Natomiast w związku z tym, że w okolicach Wrocławia, został odkryty najcenniejszy, jak dotąd, skarb średniowieczny, poprosiliśmy o omówienie tego tematu naszego gościa specjalnego. Był nim Rainer Sachs, obecnie attaché kulturalny Konsulatu Generalnego Republiki Federalnej Niemiec we Wrocławiu, który, jako specjalista od insygniów królewskich, pod koniec lat 80. zajmował się identyfikacją sensacyjnego znaleziska dokonanego w Środzie Śląskiej w 1988 roku.

Skarb średzki w momencie przypadkowego ujawnienia, podczas prac ziemnych przy jednej z kamienic, został częściowo rozkradziony. Ówczesne władze nie radząc sobie z tym zjawiskiem, wprowadziły szereg rozwiązań prawnych, mających na celu jego ponowne scalenie. Była to m.in. decyzja Ministra Kultury i Sztuki o abolicji, która umożliwiała uniknięcie odpowiedzialności karnej osobom dobrowolnie oddającym zagrabione wcześniej elementy skarbu, czy też odkupienie ich za trzykrotność wartości kruszcu, z którego były wykonane. Dzięki tym inicjatywom udało się odzyskać pewną część zabytków, jednak jeszcze przez wiele lat organy ścigania prowadziły w tej sprawie śledztwo. Do dziś z pewnością wszystkiego nie odzyskano…

Skarb ten został odkryty w dwóch etapach: w 1985 roku odnaleziono monety srebrne, a w 1988 roku obok niemal 4000 monet srebrnych i złotych również unikatową na skalę światową średniowieczną biżuterię z XIII i XIV wieku. Niezależnie od wspomnianych kontrowersji o charakterze kryminalnym, sprawa ta ma również wymiar śledztwa historycznego, którego celem była identyfikacja odnalezionych zabytków, a także ustalenie okoliczności ich ukrycia. Jako młody, lecz już utytułowany pracownik Instytutu Historii Architektury, Sztuki i Techniki Politechniki Wrocławskiej i jednocześnie stypendysta Humboldta poprowadził je nasz prelegent, Rainer Sachs.

Jak opowiadał pierwszą, znaczącą informację pozwalającą ustalić kontekst ukrycia skarbu dostarczyli numizmatycy. Po ekspertyzie monet okazało się, że najmłodsze z nich pochodzą z 1347 r., co sugerowało, że mogło mieć to związek z szalejącą wówczas epidemią dżumy. Jednym z jej skutków były m.in. prześladowania Żydów, których oskarżono o zatrucie wody w studniach, co miało być bezpośrednią przyczyną plagi. Tym samym na kontynencie doszło do największych pogromów Żydów w okresie średniowiecza. A więc ukrycie w obliczu tak tragicznych wydarzeń majątku, wydawało się wielce prawdopodobne. Trop ten potwierdzało również miejsce, gdzie skarb został odnaleziony, czyli ul. Daszyńskiego w Środzie Śląskiej, która do 1945 r. nazywała się Konstattstrasse. Początkowo kojarzono nazwę ulicy z miejscowością Konstadt (dziś Wołczyn na Opolszczyźnie), ta jednak powstała dopiero w XVI wieku. Po czasie udało się ustalić, że podobnie brzmiące nazwy ulic znajdowały się również w innych średniowiecznych miastach i przeważnie usytuowane były w dzielnicach żydowskich. Źródłosłowem zatem było w tym przypadku hebrajskie „kohen" – kapłan. To z kolei sugerowało, że w Środzie Śl. znajdować się mogła synagoga i zgromadzona wokół niej diaspora. – *Potwierdzenia tego tropu szukałem w źródłach pisanych* – opowiadał Rainer Sachs. – *Nie liczyłem na wiele, bowiem rzadko się zdarza, aby tak odległe i epizodyczne zdarzenie znalazło swoje odzwierciedlenie w dokumentach.* W tym przypadku było inaczej. Odnalazł bowiem pismo z września 1348 r., w którym król czeski Karol IV Luksemburski upoważnił niejakiego Jana, proboszcza z Hradczan, *nota bene* pochodzącego ze Środy Śląskiej, oraz dwóch innych dostojników do negocjacji w sprawie pew-

Dworzec Główny.

Wzgórze Polskie.

Brama Oławska.

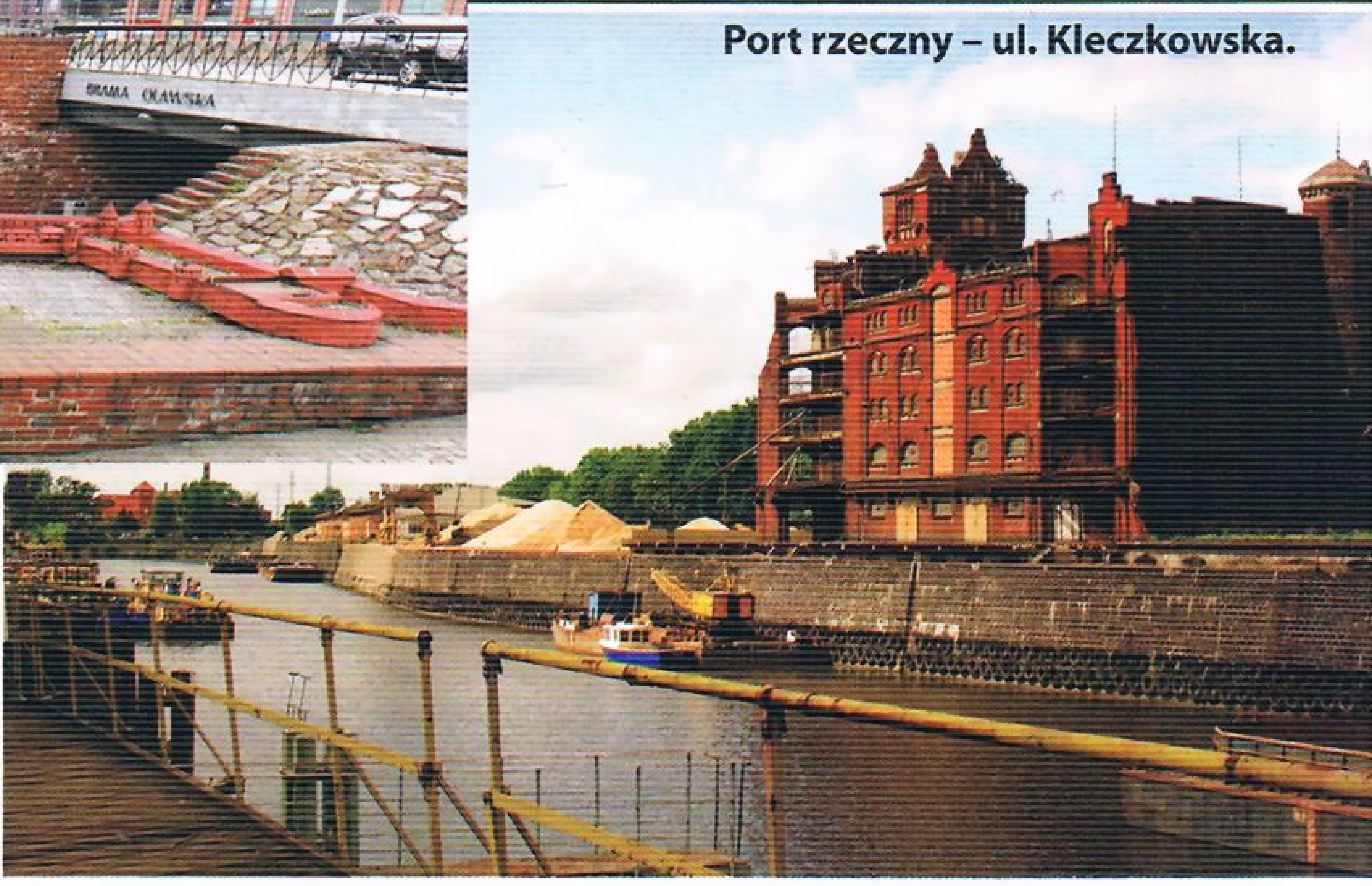

Port rzeczny – ul. Kleczkowska.

Most Zakochanych na Ostrowie Tumskim.

nej transakcji. Musiały one zakończyć się powodzeniem, gdyż miesiąc później zostało wystawione we Wrocławiu królewskie poświadczenie dla Żyda Muscho ze Środy Śląskiej, zapewniające mu pewne przywileje, w zamian za udzieloną przysługę finansową. To wszystko sugeruje, iż żydowski kupiec ze Środy Śląskiej pożyczył czeskiemu władcy znaczną sumę, pod zastaw klejnotów królewskich. Złożył je w znanej tylko sobie skrytce i nigdy już ich stamtąd nie wydobył…

Najcenniejszym elementem skarbu średzkiego jest bogato zdobiona, 12-elementowa korona, której pochodzenie stanowiło kolejną zagadkę. Rainer Sachs ustalił, że wykonano ją… w dalekiej Sycylii. Skąd znalazła się na Dolnym Śląsku? Okazuje się, że Karol IV Luksemburski zastawił u średzkiego kupca klejnoty swej pierwszej żony Blanki de Valois – potomkini jednego z tamtejszych władców, po którym owe klejnoty mogła odziedziczyć w ramach wiana. Zaledwie miesiąc po jej śmierci (1 VIII 1348 r.) jej owdowiały mąż, gromadząc środki na przejęcie tronu niemieckiego, zlecił pozyskanie ich pod zastaw kosztowności swej zmarłej małżonki. Poza nimi dorzucił misternie wykonaną zaponę pochodzenia francuskiego (fibulę – element spinający poły szat paradnych) oraz kilka innych drogocennych „drobiazgów". W ten sposób trafiły w ręce żydowskiego „bankiera" ze Środy Śląskiej, który ukrył je na kolejnych kilka wieków.

To fascynująca opowieść, na koniec naszej nietypowej tym razem relacji.

Tak czy inaczej, przed nami kolejny rok. Już niedługo wznawiamy przygotowania, intensywnie analizując wszystkie propozycje miejsc kolejnej konferencji, jakie padły od Państwa we Wrocławiu. Jednak szczegóły przedstawimy tradycyjnie dopiero na początku 2016 roku. Zatem do zobaczenia.

ZDJĘCIA: IRENEUSZ KASPRZYK MACIEJ KULESZA, ANDRZEJ MALIŃSKI, ANDRZEJ SALAMOŃSKI, ARCH. REDAKCJI

Za zaproszenie, gościnę, wsparcie i poświęcony nam czas pragniemy podziękować:

– Komendantowi Centrum Szkolenia Wojsk Inżynieryjnych i Chemicznych, płk. Andrzejowi Dutce.
– Kpt. Pawłowi Medyńskiemu.
– Dyrektorowi Muzeum Wojsk Lądowych w Bydgoszczy, Oddział Zamiejscowy we Wrocławiu, Mirosławowi Giętkowskiemu.
– Panom: Danielowi Kaźmierskiemu, mjr. rez. Wojciechowi Leszczyńskiemu, Jerzemu Maziarzowi.
– Właścicielowi zamku „Auras" w Urazie.
– Zarządowi Portu we Wrocławiu przy ulicy Kleczkowskiej.
– Pracownikom Hoteli: Campanile i Premiere przy ul. Ślężnej we Wrocławiu.
– Firmie Postindustrial Design House Anna Badzińska.

Państwa pomoc i ogromne zaangażowanie było nieocenionym wsparciem przy realizacji naszego przedsięwzięcia.

Władysław Słowikowski przebywał w Stalagu VIIIA w maju 1941 roku. Zb. Sławomira Nemsa.

Zachowały się dwa inne zdjęcia Władysława Słowikowskiego z obozu Zb. Sławomira Nemsa.

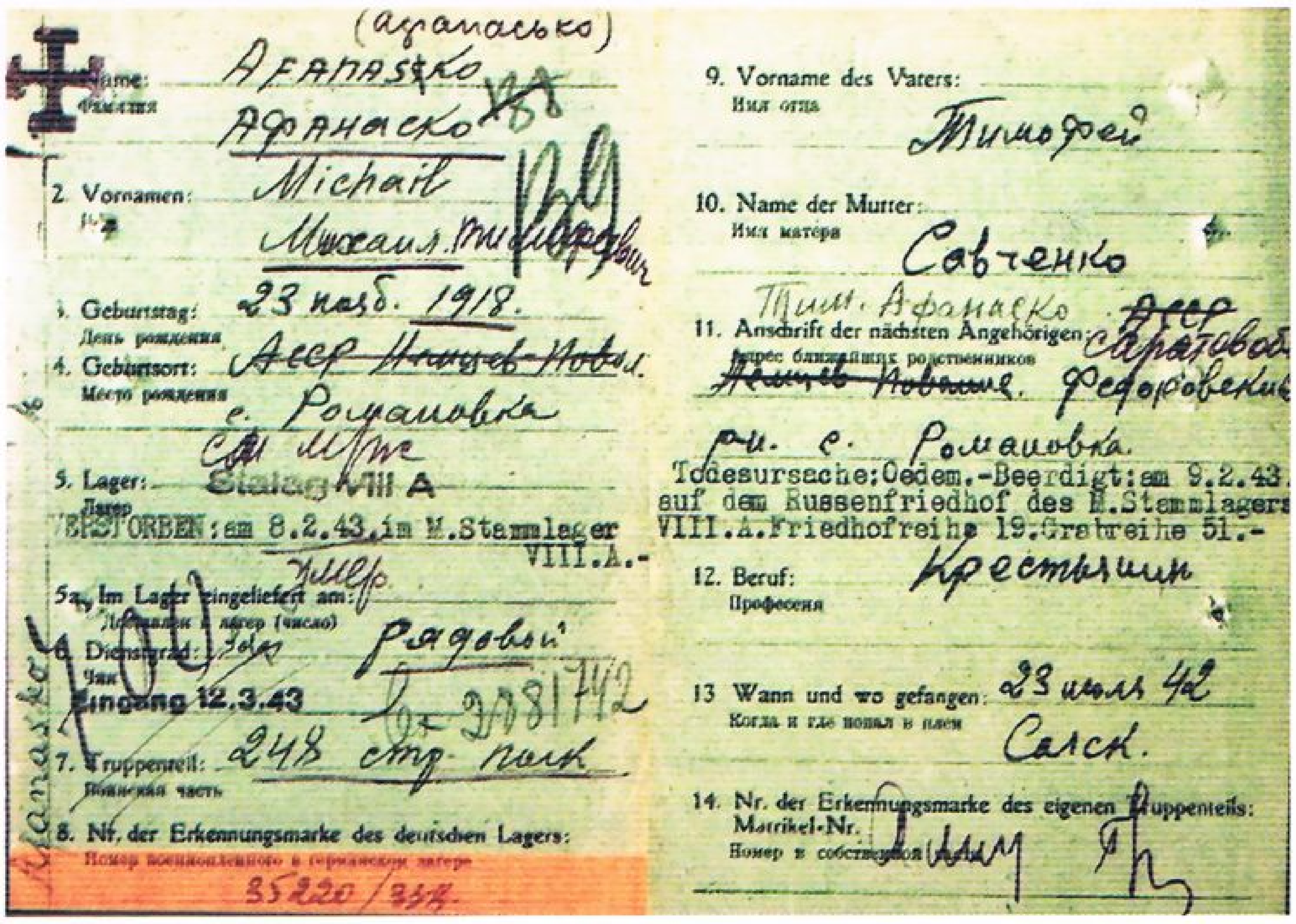

(афанасько)
Name: AFANASKO
Фамилия: Афанаско
2. Vornamen: Michail
Имя: Михаил Тимофеевич
3. Geburtstag: 23 нояб. 1918.
День рождения
4. Geburtsort: ~~Асср Немцев Повол.~~
Место рождения: с. Романовка
5. Lager: Stalag VIII A
Лагерь
VERSTORBEN: am 8.2.43. im M.Stammlager VIII.A.-
5a. Im Lager eingeliefert am:
Доставлен в лагерь (число)
6. Dienstgrad: Рядовой
Чин
Eingang 12.3.43
7. Truppenteil: 248 стр. полк
Воинская часть
8. Nr. der Erkennungsmarke des deutschen Lagers:
Номер военнопленного в германском лагере
35220/334

9. Vorname des Vaters: Тимофей
Имя отца
10. Name der Mutter: Савченко
Имя матери
Тим. Афанаско
11. Anschrift der nächsten Angehörigen: Саратовской
Адрес ближайших родственников
~~Немцев Повол.~~ Федоровского
р-н. с. Романовка.
Todesursache: Oedem.-Beerdigt: am 9.2.43. auf dem Russenfriedhof des M.Stammlagers VIII.A. Friedhofreihe 19. Grabreihe 51.-
12. Beruf: Крестьянин
Профессия
13. Wann und wo gefangen: 23 июля 42 Сальск.
Когда и где попал в плен
14. Nr. der Erkennungsmarke des eigenen Truppenteils:
Matrikel-Nr.
Номер в собственной

Informacja o śmierci radzieckiego więźnia Michaiła Afanasko jest prezentowana na stałej wystawie. Pomogła jego rodzinie ustalić miejsce pochówku.

Z historii Stalagu VIIIA (cz. 2)

Jeńcy za drutami

JANUSZ SKOWROŃSKI

Po poprzednim artykule z tego cyklu, pt. „Muzyka za drutami", zgłosił się Czytelnik „Odkrywcy", Pan Sławomir Nems z Radomska, z informacją, że jego krewny także przebywał w Stalagu VIIIA. I – co ciekawe – muzyka w obozie także nie była mu obca. Szwagier babci naszego Czytelnika, Władysław Słowikowski (ur. 1914), trafił do obozu w Görlitz jako jeden z pierwszych, bo we wrześniu 1939 roku. Przypomnę, że pierwsi Polacy wzięci do niewoli, pojawili się w obozie już 6 września 1939 roku. W rodzinnych zbiorach Pana Sławomira zachowały się trzy zdjęcia Władysława Słowikowskiego, pochodzące z okresu obozowego w Stalagu VIIIA.

Pierwsze z nich przedstawia mężczyznę siedzącego na krześle, z podpartą pod głową prawą rękę. Jest jedynym zdjęciem podpisanym na odwrocie, na którym można przeczytać: *„Na pamiątkę kochanemu szwagrowi podaruję Władek, stalag / 8A 8 maja 41".* Zapis uzupełnia numer 12340, prawdopodobnie jest to numer jeniecki Słowikowskiego. Drugie ze zdjęć przedstawia grającego na akordeonie jeńca, zaś trzecie Słowikowskiego w towarzystwie siedmiu współwięźniów różnych narodowości. Charakterystyczne jest tło zdjęcia – to barak murowany. Jak podaje w swej pracy Roman Zgłobicki, od samego początku istnienia obozu (wrzesień 1939), w obozie macierzystym Stalagu VIIIA, jeszcze w namiotach przebywali jeńcy polscy, którzy pod nadzorem majstrów niemieckich budowali baraki. Codziennie przychodzili im z pomocą Polacy z obozu przejściowego. Po północnej stronie obozu stawiano początkowo baraki drewniane, w późniejszym okresie baraki murowane. Baraki budowano o wymiarach 65×12 metrów. Pośrodku baraku znajdowały się umywalnie. Na początku i końcu każdego baraku mieściły się toalety.

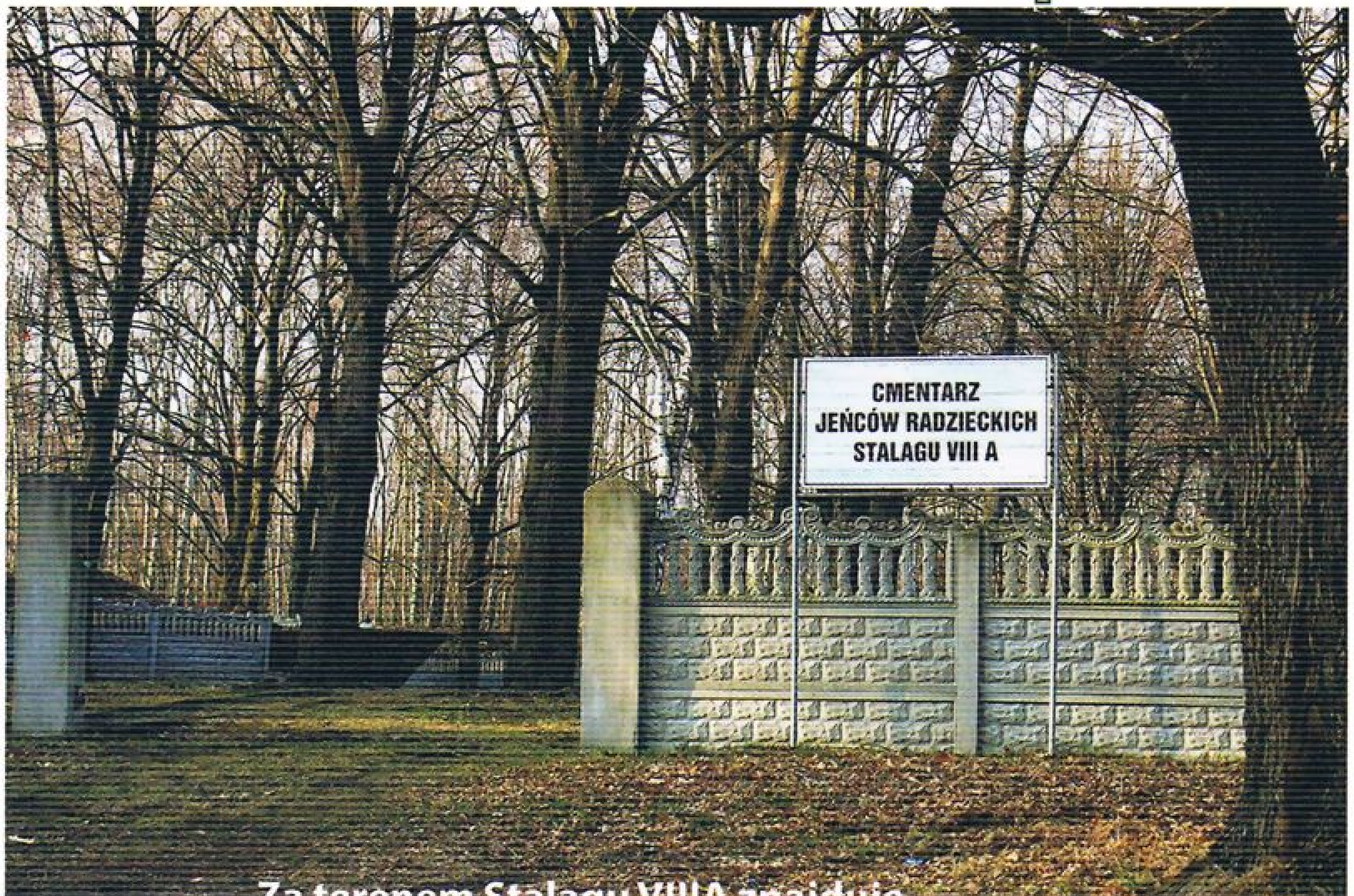

Za terenem Stalagu VIIIA znajduje się cmentarz jeńców radzieckich.

Według stanu na dzień 28 lutego 1941 roku w Stalagu VIIIA znajdowało się ogółem 23 582 zarejestrowanych jeńców, w tym 17 395 Francuzów, 6107 Belgów oraz 80 Polaków. W lipcu 1941 r. przybył tu transport 2364 jeńców jugosłowiańskich. A od połowy 1942 r. do obozu zaczęły nadchodzić transporty jeńców radzieckich. Mieli oni w obozie szczególnie ciężko, z powodu niepodpisania przez Związek Radziecki Konwencji Genewskiej. W niemieckim tajnym zarządzeniu (z 8 IX 1941) o traktowaniu jeńców radzieckich czytamy między innymi:

„Stan prawny jest następujący: postanowienia Konwencji Genewskiej dotyczące jeńców wojennych nie mają zastosowania pomiędzy Niemcami a ZSRR (...). Do zbiegłych jeńców należy strzelać natychmiast, bez uprzedniego wezwania do zatrzymania się. Nie wolno strzelać nigdy na postrach. Użycie broni wobec jeńców radzieckich jest z reguły zgodne z prawem".

W Stalagu VIIIA baraki dla obywateli radzieckich (a później i Włochów) oddzielono od reszty więźniów podwójnym drutem kolczastym. Nie przysługiwała im żadna opieka medyczna ani prawo do oferty kulturalnej. Nie dopuszczano do nich przedstawicieli Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Zabronione były kontakty z jeńcami innych narodowości. Warunki higieniczne były tu wyjątkowo trudne. W roku 1942 wybuchła w radzieckiej części obozu epidemia czerwonki, do opieki nad nimi zostali zmuszeni sanitariusze francuscy, których z czasem wywieziono z obozu. Masowe pochówki jeńców radzieckich dokonywano we wspólnym grobie w odległości ok. 370 metrów od obozu. Dzisiaj na tym miejscu znajduje się cmentarz jeńców radzieckich. Ilu ich tu pochowano, dokładnie nie wiadomo. Jednakże dzięki pomocy rosyjskiej fundacji „Memoriał" coraz częściej rodziny dowiadują się o miejscu pochówku najbliższych i docierają na miejsce dawnego obozu. Tak stało się choćby z rodziną jeńca Michaiła Afanasko. Dane jeńca – szeregowca, widnieją na tablicy okolicznościowej stałej wystawy, otwartej 15. stycznia br. wraz z całym Centrum i dokumentującej istnienie Stalagu VIIIA. Podczas prac nad przygotowaniem wystawy oraz dzięki rosyjskiemu „Memoriałowi" i niemieckiemu Stowarzyszeniu Meetingpoint Music Messiaen, brat Michaiła mógł odnaleźć miejsce pochówku i poznać datę jego śmierci (8.2.43). Do tej pory sama nazwa Stammlager VIII A nic mu nie mówiła.

Jowita Jeleńska, kierująca Europejskim Centrum Edukacyjno-Kulturalnym w Zgorzelcu, mieszczącym się na terenie Stalagu, odnotowała przed kilkunastoma dniami kolejny taki przypadek. Z Moskwy przybył na teren obozu wnuk Michaiła Antonowicza Dołobańko i stanął przed zbiorową mogiłą, gdzie spoczął jego dziadek. Młody marynarz Floty Czarnomorskiej dostał się do niewoli niemieckiej podczas walk w Sewastopolu 2.6.1942 roku. Ledwie dwa lata wcześniej ożenił się. Trafił od razu do Stalagu VIIIA. Tu zachorował. Rozpoznanie: *En-*

Michaił Antonowicz Dołobańko – marynarz z Sewastopola. W ostatnich tygodniach jego rodzina odnalazła miejsce, gdzie spoczywa.

Zachowane ruiny budynku przy kuchni, pełniącego funkcję zbiornika na wodę.

W 2014 roku pod kierunkiem Piotra Zubrzyckiego przeprowadzono na terenie obozu warsztaty archeologiczno-poszukiwawcze dla młodzieży. Odkryto m.in. zachowany fragment podłogi w baraku kuchennym. W br. prace mają być kontynuowane.

terocolitis – ostra biegunka jelitowa, potwierdzająca fatalne warunki zdrowotne w obozie, stała się przyczyną jego śmierci (18.2.1943). Dzień później został pochowany na masowym cmentarzu jeńców radzieckich. Rząd „O", grób 24 – porządek w odnalezionej niemieckiej dokumentacji nawet po latach robi wrażenie.

Pierwsi jeńcy radzieccy przybyli do obozu już 5 stycznia 1942 r. (153 osoby). Na koniec tegoż roku liczba jeńców radzieckich osiągnęła 13 tysięcy i stale rosła (1943 –13 742, 1944 – 13 183, 1945 – 16 668). Jeńcy radzieccy, którzy opuszczali obóz, byli zatrudniani przy najcięższych pracach – m.in. w fabryce wagonów WUMAG w Görlitz przy produkcji broni, przy budowie autostrady w Jędrzychowicach, czy pobliskiej żwirowni piasku. W tym ostatnim miejscu zdarzały się przypadki rozstrzeliwań.

„Dur i tyfus plamisty królowały praktycznie stale w obozie rosyjskim – wspominał jeniec, Pierre Angelroth z Belgii. – *Jeńcy są pozbawieni wszystkiego i wzbudzają litość. Ciała zmarłych jeńców są nagie, ładowano je po dwa do jednej trumny na mały wózek ciągniony i popychany przez kolegów. Pod strażą jednego lub dwóch strażników wzdłuż alei głównej międzynarodowego obozu przekraczają bramę, aby dostać się do wspólnej mogiły".* Jedna i ta sama trumna była narzędziem wielokrotnym. Polski jeniec, Bogusław Ceraniewicz, zeznawał: *„Dziś rano obserwowałem pogrzeb radzieckiego jeńca. Umiera ich co dzień kilku. Na cmentarz są przewożeni w trumnach, które na miejscu się opróżnia, trupa zawija się w papier i wrzuca do wspólnego dołu, a trumna wraca do szpitala po nowy ładunek. Trumna jest zmechanizowana: wieko z jednej strony przytwierdzone jest zawiasami. Za pokręceniem korby trumna się przechyla, wieko podnosi i delikwent spada do dołu".* Wszechobecny głód wśród jeńców radzieckich spowodował, że zjadali wszystko – trawę, korzenie roślin czy kwiaty. *„Zgłodniali Rosjanie rzucali się na furmankę zjadając na surowo buraki, ziemniaki, kapustę. Strażnicy bili ich za to batami, kolbami, szczuli psami"* – relacjonował polski robotnik przymusowy Antoni Stępień, dostarczający do obozu płody rolne. Zdarzały się przypadki kanibalizmu – potwierdzał Stępień. Ci z jeńców, którzy doczekali wyzwolenia obozu, umierali rzucając się na żywność. Wycieńczenie organizmu powodowało, że nie był on w stanie podjąć czynności trawiennych i stawał się powodem wielu zgonów.

Stalag VIIIA zapisał się także niechlubną kartą wobec jeńców włoskich. Kiedy w lipcu 1943 roku obalono Benito Mussoliniego, a po utworzeniu rządu Pietro Badoglio Włochy przeszły na stronę aliantów, już 13 października 1943 roku wypowiedziały Niemcom wojnę. W odwecie Niemcy hitlerowskie wszystkich żołnierzy i oficerów włoskich, przeciwstawiających się Niemcom i odmawiających współpracy przeciwko państwom koalicji antyhitlerowskiej, zaczęli umieszczać w obozach jenieckich.[1] Także w Stalagu VIIIA. Pierwsi Włosi pojawili się już w grudniu 1943 roku – przybyło tu ich 6135. Umieszczono ich – jako zdrajców – w tej samej części obozu, co jeńców radzieckich, z takim samym brakiem przywilejów wojennych. Najwyższą liczbę jeńców włoskich odnotowano w Stalagu VIIIA w czerwcu 1944 roku. Więziono wówczas 9 415 osób. Włosi ciężko pracowali we wszystkich dziedzinach gospodarki, przy najtrudniejszych pracach. Kiedy pieszo ewakuowano obóz (co miało miejsce 16 lutego 1945 r.), wśród

Europejskie Centrum Edukacji Kulturalnej otwarto na terenie byłego Stalagu VIIIA w Zgorzelcu 15.01.2015 r.

ewakuowanych znaleźli się również Włosi. W obozie pozostali jedynie nieliczni, niezdolni do pracy. Wśród jeńców włoskich także panowała duża śmiertelność spowodowana chorobami. Chowano ich na trzech różnych cmentarzach: na ewangelickim przy ul. Cmentarnej, na ul. Łużyckiej oraz na dnie wyrobiska po byłej kopalni piasku. Ilu Włochów straciło życie podczas pobytu w Stalagu VIIIA? Tego dokładnie nie wiadomo. Z prac ekshumacyjnych, przeprowadzonych w latach 1957-59 (łącznie było ich 6) na terenie różnych miejsc Zgorzelca, a dotyczących jeńców włoskich Stalagu VIIIA, wiadomo, że wykopano 535 zwłok, wśród których rozpoznano z nazwiska 471 osób. Z protokołów ekshumacyjnych PCK wynika, że identyfikacji zwłok dokonywano na podstawie planów naszkicowanych przez byłych jeńców, zapisów na tabliczkach nagrobkowych, imiennych list, dokumentów odnalezionych przy zwłokach, a także numerów rozpoznawczych. Wszystko przekazywano ambasadzie włoskiej. Ekshumowane szczątki wkładano do odpowiednio zabezpieczonych worków i wywożono na cmentarz włoski do Warszawy–Bielan.[2] W pojedynczych przypadkach, na życzenie rodzin, szczątki trafiały do Włoch.

Polskich jeńców wojennych przybyłych do Stalagu VIIIA, w liczbie 37 osób, odnotowuje się ponownie dopiero 29 listopada 1944 roku. Liczba ta nie zmienia się przez dwa kolejne miesiące. Później ewidencja nie jest prowadzona, z prostej przyczyny – 10 lutego 1945 roku rozpoczęto ewakuację obozu. Rozkaz ewakuacji wydał kreisleiter NSDAP z Görlitz, Bruno Malitz. Odbywała się w trzech etapach, do 18 lutego, i przebiegała w bardzo ciężkich warunkach. Jeńcy szli pieszo, pod eskortą esesmanów. Śmiertelność wśród nich była bardzo duża. *„Kto nie mógł iść o własnych siłach, był na miejscu rozstrzeliwany, z czasem zwłoki układano na wozy i grzebano w mogiłach leśnych. Więźniowie, którzy nie byli w stanie iść o własnych siłach, ładowani byli na wóz razem ze zmarłymi"* – wspominał jeniec Jakub Miński, przydzielony do 50-osobowego komanda, grzebiącego rozstrzelanych i zmarłych po drodze współtowarzyszy. Odtworzona w Centrum mapa z przebytą trasą pokazuje, że decydenci często zmieniali kierunek ewakuacji. Bruno Malitz nakazał m.in. zawrócić więźniów pod Görlitz w celu kopania zapór przeciwczołgowych i okopów fortyfikacyjnych. Podobnie kluczono w okolicach Bad Sulza, Erfurtu czy Silberhausen. Przeszło 370-kilometrowy marsz śmierci ostatecznie zakończył się w obozie Altengrabow pod Magdeburgiem.

W Stalagu VIIIA pozostali jedynie chorzy jeńcy radzieccy, Słowacy z powstania słowackiego, Francuzi i Jugosłowianie z karnej kompanii. 8 kwietnia 1945 roku do obozu trafiają ciężko ranni i chorzy jeńcy polscy z Międzynarodowego Szpitala Jenieckiego z Tagerhütte. Na 241 przebywających tam Polaków, do wyjazdu wyznaczono 217. Jeńcom, w większości chorym na gruźlicę, oznajmiano oficjalnie, że jadą do sanatorium

REKLAMA

WYKRYWACZA JUŻ NIE SZUKAJ... WŁAŚNIE GO ZNALAZŁEŚ!

RUTUS *Argo*

Argo i Optima
z sondami 29 cm
w specjalnej cenie

- Automatyczne strojenie do gruntu
- Regulacja częstotliwości od 6329 Hz do 6944 Hz
- Możliwość regulacji reakcji na kamienie magnetyczne
- Identyfikacja cyfrowa w zakresie -90 + 90
- Dyskryminacja klasyczna i wybiórcza (20 pozycji)
- Czułość regulowana (48 poziomów)
- Pinpoint z podawaniem głębokości dla monet - pomiar niezależny od czułości
- Możliwość ułożenia własnego programu dźwięków
- Regulacja szybkości reakcji
- Praca dynamiczna, statyczna i jednoczesna

RUTUS
DETEKTORY METALI

Gdynia
tel.: 058 - 679 33 14, 0601 284 371
e-mail: rutus@rutus.com.pl, www.rutus.com.pl

„Kwartet na koniec Czasu" Messiaena rozbrzmiewa zawsze w styczniu, w rocznicę premierowego wykonania w Stalagu (15 I 1941)

w Szwajcarii. Dopiero w Dreźnie chorzy po napisach w wagonach zorientowali się, że jadą w kierunku dokładnie przeciwnym – w stronę frontu niemiecko-radzieckiego. Było wśród nich 101 oficerów i 116 szeregowych. Poza pięcioma osobami, które dostały się do niewoli w Rumunii i trzema we Francji, wszyscy pozostali byli jeńcami wojennymi z różnych miejscowości w Polsce.

Wśród polskich jeńców ostatniego okresu wojny, na uwagę zasługują losy Władysława Sawickiego (1913-1975), jeńca wojny obronnej 1939 roku spod Garwolina, a od października 1939 jeńca Stalagu IA. Później był on robotnikiem przymusowym w Królewcu, Hamburgu i Sandposten. Tak sam wspominał:

„W marcu 1942 wywieziono mnie wraz z grupą 400 ludzi do Norwegii, do miejscowości Kristesand i Stavanger. W Norwegii pracowałem przy fortyfikacji nabrzeży – robienie stanowisk tzw. gniazd karabinowych w skałach, w których to musiałem wiercić otwory (8 otworów o długości 1,5 m w ciągu 12 godzin). Po rozsadzeniu skały musiałem wraz z innymi usuwać gruz. W tych warunkach pracowałem do września 1943, kiedy to w moim organizmie nastąpiła choroba. Ze szpitala w Oslo zostałem w miesiącu wrześniu 1943 r. przewieziony do Niemiec, do obozu Sandposten. Stamtąd zostałem przewieziony do Tangerhütte koło Magdeburga do szpitala, gdzie znajdowali się tylko sami chorzy. Był to obóz dla chorych żołnierzy i oficerów. W styczniu 1945 roku zostałem z kolei przewieziony do Zgorzelca [wówczas Görlitz-Moys – przyp. L. S.], *gdzie przebywałem aż do wyzwolenia. W tutejszym obozie w Stalagu VIIIA nie pracowałem, ponieważ byłem ciężko chory. Do dnia dzisiejszego żyją w jednym mieście byli jeńcy tego obozu – F. Tymicki,* [Franciszek] *Dominik".*[3] Dominik, który w obozie przebywał zaledwie miesiąc (8.04.-08.05.1945) obliczył, że w tym czasie umierało 6-9 jeńców radzieckich dziennie.

Sawickiego, Tymickiego i Dominika zastał w Stalagu VIIIA koniec wojny. Miasto, przedzielone Nysą Łużycką, stawało się polskim Zgorzelcem, w którym byli jeńcy znaleźli nowe domy i swoje miejsce na ziemi.

Badacz dziejów Stalagu VIIIA p. Roman Zgłobicki szacował, że przez obóz przewinęło się ok. 100-120 tysięcy ludzi różnych narodowości: obywateli Związku Radzieckiego, Francji, Włoch, Belgii, Wielkiej Brytanii, Jugosławii, Polski, Czechosłowacji i Stanów Zjednoczonych. On sam przez wiele lat dokumentował dzieje obozu, gromadził materiały, docierał do świadków i ich rodzin, organizował konferencje, zjazdy byłych jeńców, dużo pisał. W zgorzeleckim Technikum Górniczym stworzył – wraz z grupą uczniów – Izbę Pamięci o Stalagu VIIIA. Był człowiekiem, o którego dokonaniach mówi się dziś z szacunkiem i uznaniem. (CDN)

ZDJĘCIA: EUROPEJSKIE CENTRUM EDUKACJI KULTURALNEJ ZGORZELEC, MEETINGPOINT MUSIC MESSIAEN E.V. GÖRLITZ, AUTOR.

Przypisy:
[1] Szacuje się, że liczba rozbrojonych i wziętych do niewoli niemieckiej Włochów dochodziła do 600 tysięcy.
[2] Cmentarz Żołnierzy Włoskich w Warszawie (wł. Cimitero militare italiano a Varsavia) znajduje się na Bielanach przy ul. Marymonckiej 40.
[3] Relacja pisemna w posiadaniu syna Bernarda Sawickiego (kopia w zb. Autora).

Literatura:

1. R. Zgłobicki, „Obozy i cmentarze wojenne w Zgorzelcu", 1995
2. J. Wilczur, „Śmiertelny sojusz Hitler-Mussolini", 2001

Janusz Skowroński
Wieloletni współpracownik Odkrywcy, autor książek o tajemnicach II wojny światowej na Dolnym Śląsku i polsko-niemieckich relacjach w następstwie wojny. Jest prezesem Stowarzyszenia „Zamek Czocha". Kontakt: loginfo@go2.pl

zdarzyło się...

30 VI 1908 r.

107 lat temu doszło do katastrofy tunguskiej, jednego z najbardziej tajemniczych zdarzeń w historii, którego do obecnych czasów nie udało się ostatecznie wyjaśnić. Faktem jest, że tego dnia w odludnych rejonach środkowej Syberii, na północ od jez. Bajkał, nad rzeką Podkamienna Tunguzka, miała miejsce potężna eksplozja. Jej skutki odczuwalne były na obszarze tysięcy kilometrów, lecz jedynym jej efektem były powalone w promieniu 40 kilometrów od epicentrum drzewa. Sprawa zapewne nie budziłaby zbyt wielu emocji, gdyby nie brak krateru, świadczącego o uderzeniu w powierzchnię jakiegokolwiek obiektu kosmicznego, meteorytu, czy fragment asteroidy itp. Do dziś powstało więc wiele hipotez tłumaczących ten fenomen, lecz żadna nie zyskała opinii jako ostateczna i dostatecznie wiarygodna.

Czy w grodzie Stanisława Staszica odkryto szczątki ofiar krzyżackiej rejzy z 1413 r.?

Mieszkańcy Piły
spacerowali po grobach swoich przodków...

JERZY UTKIN

25 sierpnia 2012 r. podczas końcowych prac prowadzonych w ramach inwestycji „Sieć wodociągowa i kanalizacja deszczowa w obszarze pl. Konstytucji 3 Maja w Pile", a dokładniej na skrzyżowaniu ul. 11. Listopada i 14. Lutego, pod łopatami robotników zaczęły pojawiać się ludzkie szczątki. W związku z tym, zgodnie z obowiązującymi procedurami mającymi zastosowanie w przypadku tego typu odkryć, wstrzymano prace i wezwano policję, gdyż zawsze przy takich zdarzeniach zachodzi podejrzenie o popełnieniu przestępstwa.

Widok na wyspę i rzekę Gwdę, która ośmiokilometrową wstęgą oplata różne części miasta.

Piła, miasto wojewódzkie w latach 1975-1998, dziś jest uważana za stolicę północnej Wielkopolski. *„Jeśli ktoś trafi tu z daleka/ (a będzie czas wielkiego kłębowiska zieleni i błyszczenia wody)/ poniesie w oczach miasto–bukiet"* – tak w poetyckiej impresji scharakteryzowała Piłę współczesna, polska poetka, Krystyna Miłobędzka. I nie myliła się. Miasto rzeczywiście – zwłaszcza wiosną i latem – przypomina wielki bukiet. To miasto–park, w którym współczesna architektura wtapia się w zieleń.

W 2013 r. Piła obchodziła 500-lecie potwierdzenia nadania jej praw miejskich przez króla Zygmunta I Starego – dokładnie 4 marca 1513 roku. Jak na ironię, w roku poprzedzającym ten jubileusz, dokonano odkrycia, które bezsprzecznie świadczy o tym, iż historia tego miasta jest znacznie starsza niż przypuszczano.

Z pewnością był to pochówek chrześcijański

O odkryciu na skrzyżowaniu ulic: 11. Listopada i 14. Lutego policja natychmiast powiadomiła miejscową prokuraturę. Takie procedury powinny być stosowane zawsze, często jednak bywa i tak, że szczątki szybko są zakopywane, aby nie wstrzymywać inwestycji. W tym przypadku postąpiono prawidłowo. Co prawda inwestorowi nie wyszło to na dobre, gdyż prace zostały przerwane, ale dzięki sprawnemu działaniu miejscowych archeologów, dość szybko wznowione – po niespełna dwóch tygodniach.

Po oględzinach dokonanych przez lekarza sądowego, wydobyte kości zostały przekazane do Muzeum Okręgowego w Pile, a te, które pozostały w ziemi, stały się obiektem badań i prac archeologicznych. Szkielety znajdowały się na głębokości ok. 1,5 metra od powierzchni gruntu. W trakcie prac naruszono, w większym lub mniejszym stopniu, osiem jam grobowych. Wkrótce okazało się, że jest ich tam znacznie więcej. Ile? To dokładnie wykazały badania archeologiczne. Początkowo sądzono, że to pozostałości ofiar II wojny światowej, bardzo szybko jednak wykluczono tę hipotezę. Dlaczego? Wyjaśnia dr Jarosław Rola, kierownik Działu Archeologicznego Muzeum Okręgowego w Pile:

– Jest to miejsce o tyle szczególne, że znajduje się w samym centrum Piły, przez

Pilska Wielka Wyspa w centrum miasta.

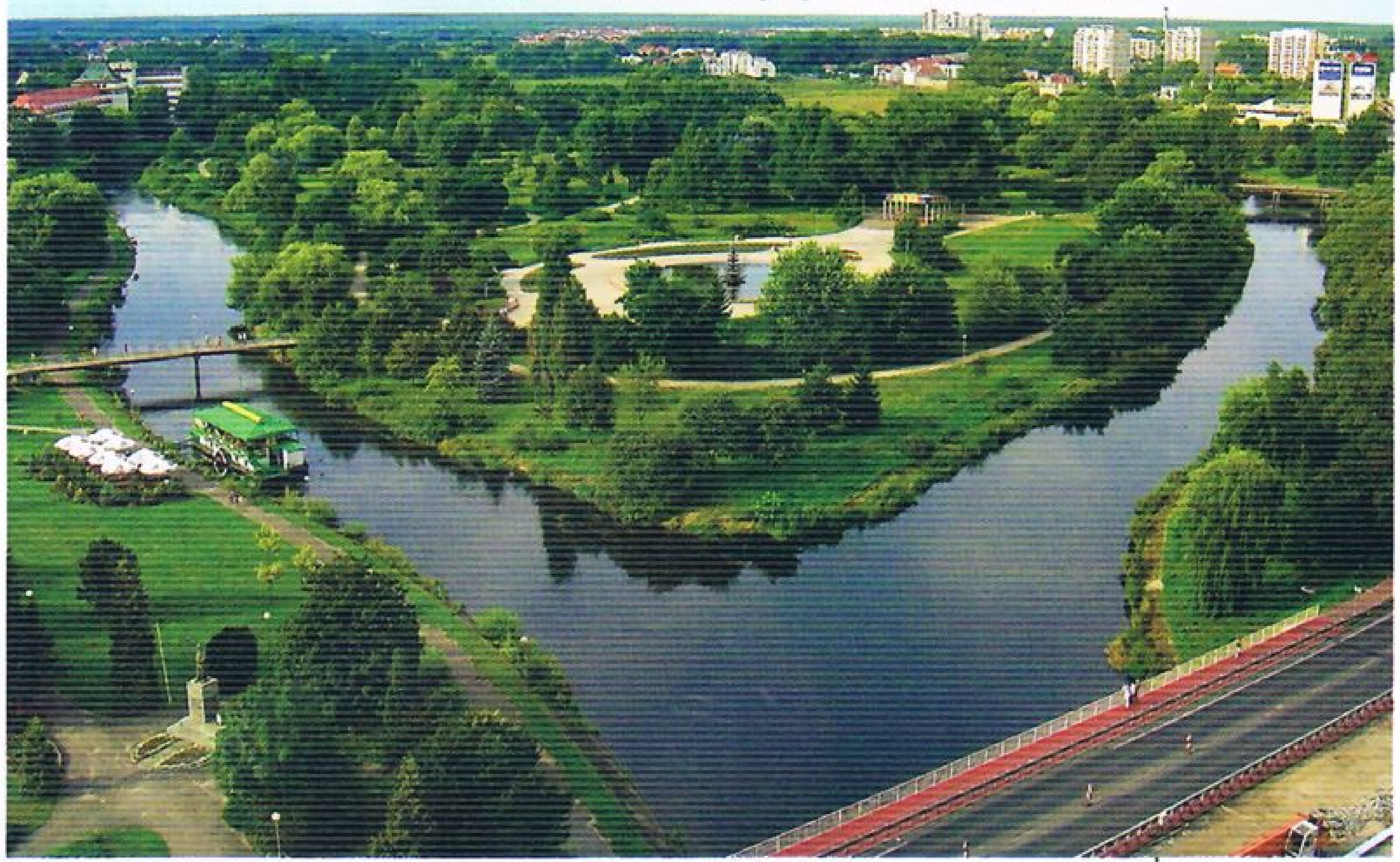

Odkrycia dokonano 25 sierpnia 2012 r. Podczas końcowych prac pod łopatami robotników zaczęły pojawiać się ludzkie szczątki.

Grób nr 13 – uszkodzony szkielet dorosłego mężczyzny. Czaszka została wyeksplorowana w ułożeniu bocznym, na skroni prawej, co spowodowało jej przypłaszczenie i zdeformowanie. Kości czaszki były połamane. Czaszka uszkodzona.

które przebiegają drogi. Zmarłych pod drogami nie chowano, nawet podczas działań wojennych było na to dość miejsca, nie trzeba było zatem zrywać bruku i niszczyć drogi. Wiadomo już, że są to groby będące częścią cmentarzyska znacznie starszego, nieistniejącego już od dłuższego czasu, które funkcjonowało tu przed wytyczeniem w tym miejscu szlaków komunikacyjnych. W tym miejscu wyznaczono ulicę, najprawdopodobniej w XVII wieku. A zatem już w tym czasie zatracona została pamięć o tym cmentarzysku. Aby w ludzkiej pamięci zatarła się świadomość o istniejącym cmentarzu, musiało upłynąć kilka pokoleń od ostatniego pochówku. Jeśli jest populacja zasiedziała, to ileś pokoleń wstecz pamięta, gdzie byli pochowani przodkowie. Jednak w pewnym momencie ta pamięć się urywa. Z tego wynika, że musiało minąć co najmniej sto kilkadziesiąt lat.

To jednak nie wszystko. Z całą pewnością są to szczątki grzebane wg pochówku chrześcijańskiego. Chrześcijaństwo na tych terenach pojawiło się na początku XII wieku. Układ odsłoniętych grobów jest charakterystyczny dla średniowiecza, i to z pewnością nie tego wczesnego. A wczesne średniowiecze kończy się ok. 1250 roku. A zatem groby te nie mogły pochodzić z okresu wcześniejszego niż XIII w. i nie mogły powstać później niż do końca wieku XV.

Przeszłość Piły tonęła w mrokach

Prace archeologiczne miały rozpocząć się 31 sierpnia. Uniemożliwiły to jednak obfite opady deszczu. Ostatecznie pilscy archeolodzy swoje poszukiwania rozpoczęli 2 września. W sprawozdaniu z prac ratowniczych, archeologicznych badań wykopaliskowych opracowanym przez dr. Jarosława Rolę, czytamy m.in.:

„Do ostatnich dni sierpnia 2012 r. Piła była miastem, którego najdawniejsze dzieje mogły być tylko tematem spekulacji. Wiedza historyczna, oparta na źródłach pisanych, pozwalała za pewnik traktować rok 1513, jako datę potwierdzenia praw miejskich, natomiast wcześniejszy okres coraz bardziej zatracał się we mgle niedookreśleń. Również badania archeologiczne nie były tu pomocne. Z uwagi na przeróżne uwarunkowania, w rejonie centrum miasta nigdy dotąd nie prowadzono badań wykopaliskowych, zaś przypadkowe odkrycia przynosiły tylko wiedzę cząstkową. Niemniej, w oparciu o nie można było przyjąć hipotezę o funkcjonowaniu najstarszej Piły, jako ośrodka przedmiejskiego w charakterze ulicówki rozciągającej się wzdłuż dzisiejszej Al. Piastów.

W trakcie realizacji inwestycji doszło do odkrycia pozostałości szkieletów ludzkich. W rezultacie podjęcia badań archeologicznych doszło do zidentyfikowania fragmentu średniowiecznego, rzędowego cmentarzyska.

Zarejestrowano łącznie 14 fragmentów jam grobowych. Trzy z nich (groby nr 9, 11 i 14) wyłączono z eksploracji, ponieważ nie istniała bezwzględna konieczność ich przebadania. Jedna jama grobowa (grób nr 8) została w całości wybrana przez pracowników realizujących inwestycję, jeszcze przed podjęciem badań archeologicznych. Pozostałe dziesięć fragmentów jam grobowych (nr 1-7, 10, 12, 13) zostały przebadane archeologicznie zgodnie z metodyką ratowniczych badań wykopaliskowych. W rezultacie pozyskano łącznie szczątki kostne 19 osobników: groby nr 2, 4, 5, 6, 7, 8, 10, 12 – po jednym osobniku, groby nr 1, 13 – po dwóch osobników, grób nr 3 – trzech osobników. Ponadto na hałdach zebrano jeszcze fragmenty szczątków kolejnych czterech osobników. Wszystkie one zostały przekazane do analiz antropologicznych (...).

Z uwagi na brak wyposażenia grobów, a więc brak jakichkolwiek zabytków umożliwiających pewne datowanie, chronologię grobów określono wstępnie – na podstawie pewnych przesłanek – na średniowiecze, zaś datację tę dookreślono metodą radiowęglową. W jej świetle odsłonięty fragment cmentarzyska skrywał szczątki zmarłych, których pochowano pomiędzy 1390 a 1420 rokiem AD. W rezultacie można więc stwierdzić, że omawiana nekropolia

Muzeum Okręgowe w Pile. To jeden z najstarszych obiektów w mieście. Budynek ma szczególne znaczenie dla historii Piły, ponieważ w latach 1934-39 był siedzibą polskiego konsulatu, będąc jednocześnie jedyną w mieście własnością skarbu państwa polskiego.

pochodzi z okresu przed uzyskaniem praw miejskich przez Piłę, względnie z okresu wczesnolokacyjnego.

Obecny stan rozpoznania cmentarzyska – fragmentaryczny i w związku z tym bardzo powierzchowny – nie pozwala na bardziej szczegółowe interpretacje. Niemniej jednak świadomość istnienia tej nekropolii pozwala na planowanie i podjęcie w przyszłości dalszych badań archeologicznych, ale także i przyrodniczych, które w efekcie pozwolą precyzyjniej opisać średniowieczne dzieje Piły".

Szczątki nie mniej niż 19 osób

Już 18 września 2012 r. mgr Anna Wrzesińska z Pracowni Antropologicznej Muzeum Pierwszych Piastów na Lednicy dysponowała gotową analizą i opracowaniem szczątków kostnych i grobów szkieletowych, odkrytych w Pile. Czytamy w niej między innymi: „(...) Analizie poddano pochówki szkieletowe z obiektów grobowych, numerowanych od 1 do 13 i luźne kości z hałdy. Ekspertyza antropologiczna i opracowanie naukowe szczątków ludzkich wykonano zgodnie z zaleceniami wypracowanymi w poznańskim ośrodku antropologicznym przez J. Strzałkę, J. Piontka i M. Henneberga. Materiał kostny opracowano wg metod powszechnie stosowanych w antropologii (J. Piontek 1999). Płeć szkieletów, a także wiek w chwili śmierci, określono na podstawie cech diagnostycznych obserwowanych na czaszkach, miednicy i zębach (J. Strzałko, M. Henneberg 1975). Kości mierzono wg techniki martinowskiej (R. Martin, K. Saller 1957). Wysokość ciała osobników wyliczono z pomiarów kości długich metodą K. Pearsona (J. Strzałko 1971).

Analiza antropologiczna dotyczyła przede wszystkim określenia płci osobników dorosłych, struktury zgonów i rekonstrukcji przyżyciowej wysokości ciała. Wiek zmarłych określono w odniesieniu do stanu zaawansowania rozwoju lub inwolucji szkieletu, abrazji zębów lub stopnia uformowania zawiązków i wyrzynania się kolejnych zębów. Zastosowano 6-stopniową skalę oceny wieku: *Infans I* (dzieciństwo młodsze od 0 do około 6-7 lat), *Infans II* (dzieciństwo starsze od 6 do 12-14 lat), *Juvenis* (wiek młodzieńczy od 14 do 20-22 lat), *Adultus* (wiek dorosły od 22 do 30-35 lat), *Maturus* (wiek dojrzały od 35 do 50-55 lat), *Senilis* (wiek starczy powyżej 55 lat). Kategorie te są wydzielane ze względu na relacje, jakie zachodzą pomiędzy nasilaniem się zmian rozwojowych w organizmie człowieka, a wiekiem biologicznym osobnika. Wiek w chwili śmierci osobników młodocianych oznaczono w przybliżeniu do dwu lat (A. Florkowski, T. Kozłowski 1994). Pomiary i opisy wykonano i obliczono wg R. Martina i K. Sallera (1957). Średnią przyżyciową wysokość ciała obliczono metodą L. Manouvriera oraz M. Trotter, M. Gleser (J. Strzałko 1971).

Stan zachowania szkieletów był różny, kościec był silny i masywny, lecz uszkodzony mechanicznie. Część materiału została dostarczona wraz z sedymentem, który w trakcie ekspertyzy oczyszczano, obserwując wiele istotnych cech budowy, i mogąc wykonać pomiary odsłanianych kości. Czaszki z grobów były zdeformowane z powodu ich bocznego ułożenia, lub uszkodzone mechanicznie. Pochówki przekazane do opracowania były niekompletne, z powodu prowadzonych w tym miejscu od lat prac budowlanych. Bardzo liczny był tzw. materiał z »hałdy«, a zachowane fragmenty kości były w mniejszym lub większym stopniu uszkodzone mechanicznie. Ekspertyza antropologiczna materiałów kostnych sprowadzała się do opisu i oceny stanu zachowania pochówków szkieletowych, ustaleniu liczby osobników,

REKLAMA

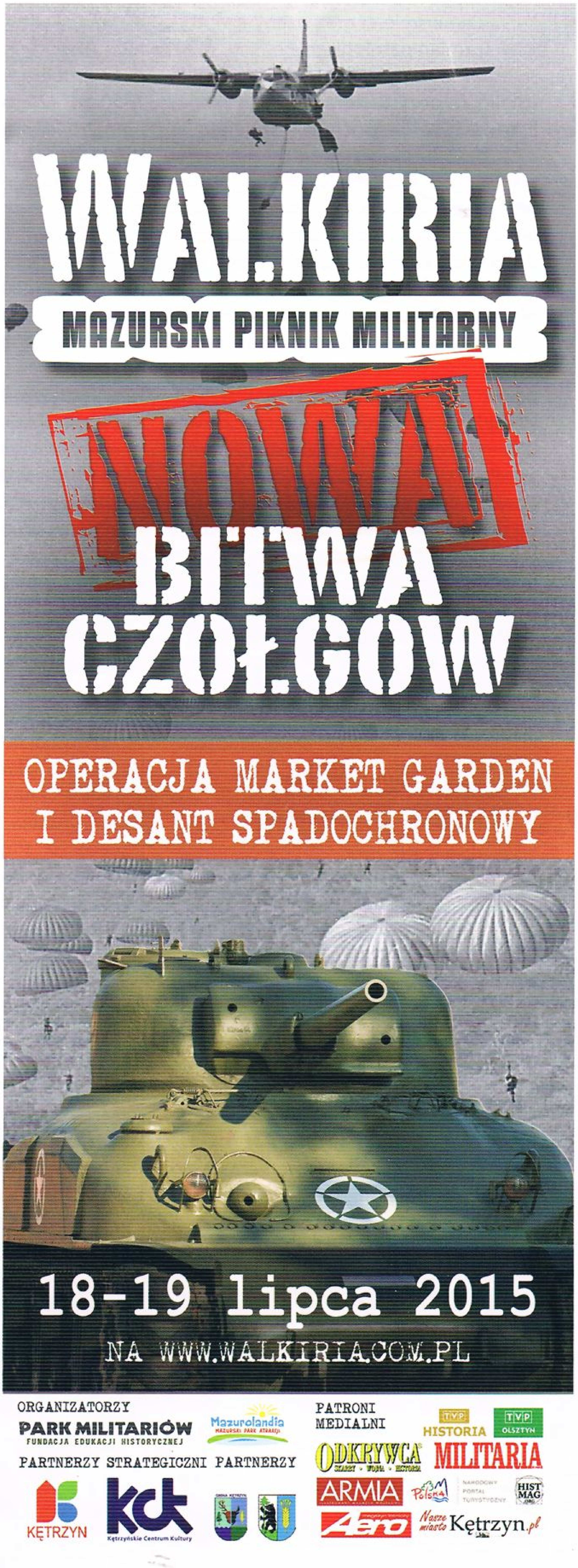

określenia ich płci i przybliżonego wieku w chwili śmierci oraz oceny ewentualnych zmian patologicznych.

Analiza antropologiczna pozwoliła ustalić, iż pozyskane z badań wykopaliskowych w Pile pochówki szkieletowe oraz kości ludzkie, należą do nie mniej niż 19 osób. Rozpoznano tylko 2 szkielety dzieci, zmarłych w wieku *Infans II*. Dwoje osobników zmarło w wieku młodocianym, w wieku *Juvenis*. Wieku dorosłego dożyło 15 osobników. W wieku dorosłym, *Adultus*, zmarło 5 osobników: trzy kobiety i dwóch mężczyzn. W wieku dojrzałym, *Maturus*, zmarło 4 osobników: jedna kobieta i trzech mężczyzn. W wieku *Maturus/Senilis* zmarły 2 osoby, kobieta i mężczyzna. W wieku starczym, *Senilis*, zmarły 4 osoby: dwie kobiety i dwóch mężczyzn. Tak więc płeć ustalono dla 15 osobników dorosłych. Wydzielono: 7 osobników płci żeńskiej i 8 osobników płci męskiej".

Hipoteza krzyżackiej napaści

Podczas prelekcji wygłoszonej w Pile przez dr. Jarosława Rolę w trakcie Nocy Muzeów w 2013 r., podzielił się on ze słuchaczami pewną hipotezą dotyczącą przyczyn śmierci osób, na szczątki których natrafiono podczas prowadzonych prac ziemnych. Swoją wypowiedź dr Rola zakończył słowami: – *Biorąc pod uwagę zaobserwowane „anomalia", wydaje się, że odkryte groby mogły być pochówkami ofiar pomordowanych podczas niespodziewanego napadu. Zmarłych prawdopodobnie pochowano szybko, kiedy ciała były jeszcze w stężeniu pośmiertnym, a więc w ciągu 48 godzin, maksymalnie 72 godzin po śmierci. W świetle datowań radiowęglowych zdarzenie to miało miejsce pomiędzy latami 1390 i 1420. W świetle wyników analizy antropologicznej wydaje się, że ówcześni mieszkańcy Piły żyli we względnym dostatku, w zamożnym ośrodku. Być może był to powód dla którego został on wybrany jako jeden z celów grabieżczej wyprawy. Pomiędzy 1390, a 1420 rokiem, w świetle znanych nam źródeł historycznych, z Człuchowa i Debrzna ruszyło kilka krzyżackich rejz. Były skierowane na Kamień, Sępólno Krajeńskie, Nakło i Bydgoszcz. Poza jedną… W środę, przed świtem 28 września 1413 roku na Krajnę ruszyła z Człuchowa i Debrzna krzyżacka rejza. Być może w jej rezultacie – obok wymienionych w źródłach pisanych Łobżenicy – spalona została ówczesna Piła.* Swoją hipotezę Jarosław Rola oparł na kilku istotnych przesłankach.

Po pierwsze: owe „anomalia" dotyczą przede wszystkim kwestii samego pochówku. Stosunkowo niewielkie rozmiary jam grobowych mogą świadczyć o pośpiechu, z jakim zostały one wykopane, bez należytej staranności o to, by złożone w nich zwłoki, były chociażby należycie ułożone zgodnie z obowiązującymi zasadami. Wszystkie bez wyjątku odnalezione szczątki świadczą o tym, że zwłoki zostały niemalże „poupychane" w grobach. Podkurczone nogi, przekrzywione głowy, ciała leżące nie na wznak, lecz na boku lub na brzuchu, jakby do grobów nie zostały złożone, lecz „byle jak" wrzucone, lub wręcz zepchnięte do jam grobowych w stanie stężenia pośmiertnego bezpośrednio z pobojowiska, bez należytego ceremoniału pogrzebowego.

Po drugie: wszystkie odnalezione szczątki należały do osób w dość specyficznym wieku, a mianowicie – z jednym wyjątkiem – do dzieci, kobiet i starców, a więc osób, które najprawdopodobniej były zbyt słabe i bezbronne, by uciec lub stawić opór napastnikom. Osoby, które były w sile wieku i w pełni sił albo zdołały uciec, albo skutecznie się obronić. Co prawda widoczne uszkodzenia czaszek i kości powstały w wyniku prowadzonych prac ziemnych i nie noszą widocznych śladów „miecza lub topora", ale to jeszcze o niczym nie świadczy. Nietypowa, „powykręcana" pozycja w jakiej został pogrzebany jedyny wspomniany wyjątek, który nie był ani dzieckiem, ani kobietą, ani starcem, a mianowicie bardzo młody mężczyzna, w zasadzie niemal nastolatek, może świadczyć o tym, że skonał on w męczarniach, które mogły być rezultatem np. rozległych obrażeń jamy brzusznej.

Po trzecie: na to, że odnalezione szczątki mogły należeć do osób, które stały się ofiarami łupieżczej, krzyżackiej wyprawy, wskazuje chociażby to, iż nie ma tak naprawdę alternatywy. Nie były to z pewnością ofiary żadnych wewnętrznych zamieszek, gdyż tymi stają się zazwyczaj biorący udział w bójkach młodzi mężczyźni. Łatwo też się domyślić, iż ze względu na położenie geograficzne i uwarunkowania historyczne, napastnikami nie mogli być chociażby Tatarzy, Szwedzi czy Moskale. Do roli „podejrzanych w tym procesie karnym" mogą pretendować jedynie Krzyżacy, którzy faktycznie – o czym donoszą źródła pisane – o świcie 28 września 1413 r. napadli na Łobżenicę, która już wtedy mogła się poszczycić prawami miejskimi, a tym samym zasługiwała na to, by ten fakt odnotowali ówcześni kronikarze. Piła z całą pewnością w tym czasie praw miejskich jeszcze nie posiadała, najprawdopodobniej była więc jedną z anonimowych osad, które padły ofiarą powracających z niezbyt udanej dla nich wyprawy łupieżczej na Łobżenicę, zakonnych rycerzy i knechtów, którzy w drodze powrotnej grabili, palili i mordowali kogo się tylko dało.

ZDJĘCIA: JERZY UTKIN, ARCHIWUM MUZEUM OKRĘGOWEGO W PILE.

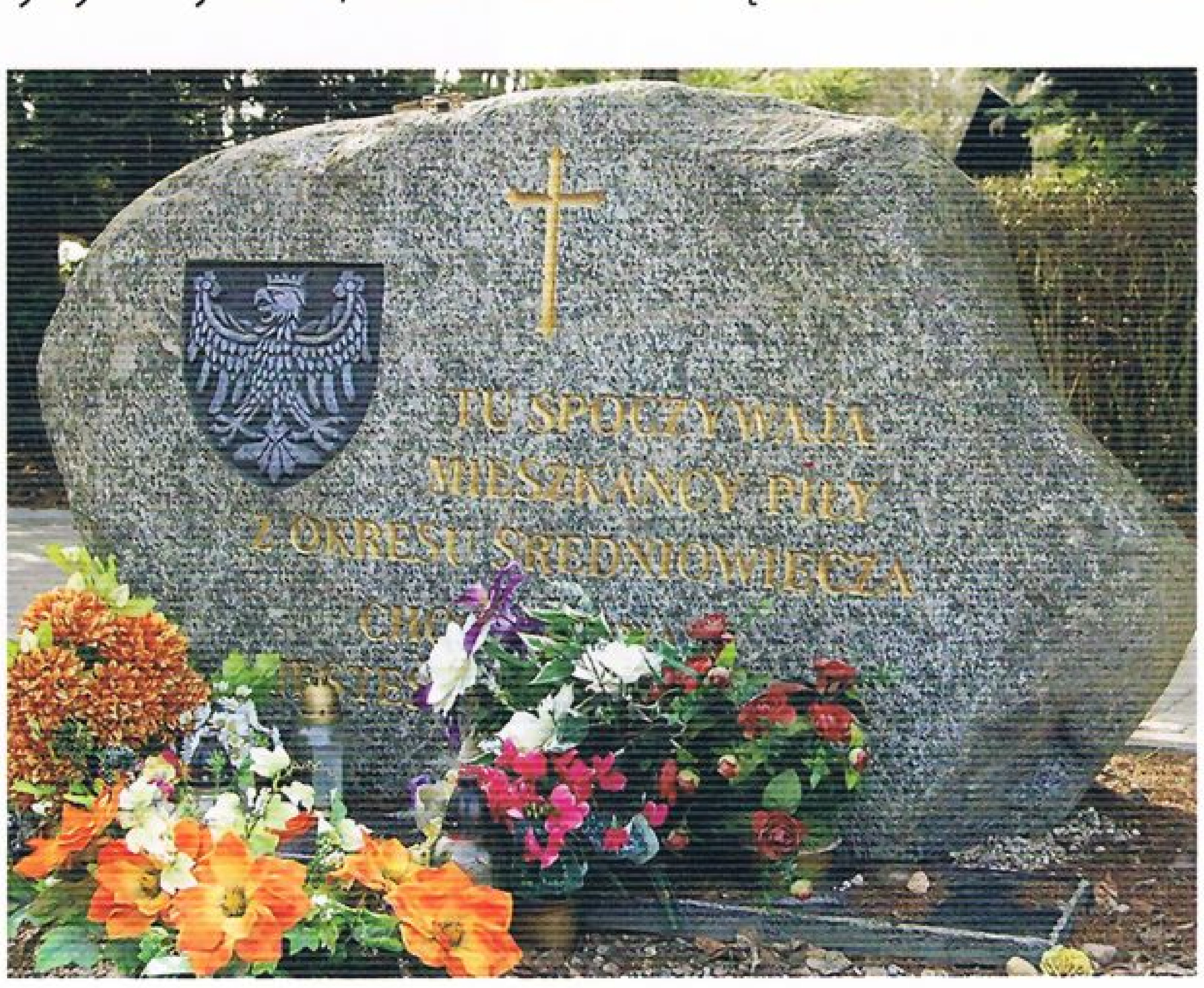

29 października 2012 r. na Cmentarzu Komunalnym w Pile odbyła się ceremonia pochówku „pierwszych pilan". Na okazałym kamieniu nagrobnym, którym po roku zastąpiono początkowo umieszczony na grobie krzyż, wyryto napis: „Tu spoczywają mieszkańcy Piły z okresu średniowiecza. Chociaż nieznani, jesteście nam bliscy".

Jerzy Utkin

Dziennikarz, prozaik (powieści „Czarny Albatros" i „Chwiejnym krokiem przez bagno", zbiór opowiadań „Listy z kraju obłąkanych"), oraz poeta mający w swoim dorobku kilkanaście tomików wierszy, w tym cztery książki z utworami wybranymi („Nigdzie swój", „Pod żadną gwiazdą", „Nikt nie woła" oraz „Samotność liścia"), a także autor tekstów piosenek i wierszy dla dzieci.

Co się stało na plebani?

MAKSYMILIAN FRĄCKOWIAK

Na zachodnich rubieżach Polski, na terenie województwa lubuskiego, leży niewielka wieś – Maszków. Jest ona ulokowana w pobliżu szosy prowadzącej do Kostrzyna nad Odrą, od którego dzieli ją odległość około 30 km. Kostrzyn w 1945 r. został ogłoszony twierdzą i stał się areną jednej z największych bitew schyłkowej fazy II wojny światowej. Trwające blisko dwa miesiące walki zakończyły się 30 marca 1945 r., co otworzyło Armii Czerwonej drogę do stolicy III Rzeszy – Berlina.

Zanim jednak oddziały 1. Frontu Białoruskiego stanęły przed „berlińskimi wrotami" – jak często nazywa się kostrzyńską twierdzę – przełamały fortyfikacje Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego, po czym rozpoczęły błyskawiczny marsz ku Odrze. Jako pierwsze na przedpolach Kostrzyna zameldowały się wydzielone oddziały 1. i 2. Armii Pancernej Gwardii. To właśnie żołnierze tych jednostek 2 lutego 1945 r. dotarli także do Maszkowa, gdzie doszło do wydarzenia, które przez 69 lat było dla jego mieszkańców tajemnicą.

Cała historia ujrzała światło dzienne dzięki Gerhardtowi Poethke, który urodził się w Maszkowie w 1934 r. Jego ojciec był miejscowym pastorem, a cała rodzina zamieszkiwała rozległy budynek plebani, położonej w pobliżu kościoła ewangelickiego. Na początku lutego rodzina Poethke, jak cała rzesza innych Niemców, zdecydowała się na ucieczkę przed nacierającymi oddziałami radzieckimi. Zaśnieżone i zatłoczone przez kolumny uciekinierów w kierunku Kostrzyna drogi spowodowały, iż czerwonoarmiści dogonili mieszkańców Maszkowa, nakazując im powrót do domów. Po przybyciu na miejsce okazało się, iż budynek plebani został całkowicie zdewastowany. Szyby w oknach zostały wybite, a pozostawiony dobytek splądrowany lub zniszczony. Wewnątrz uwagę rodziny zwróciły pokrwawione strzępy opatrunków i mundurów niemieckich, pozostawione w salonie plebani. Wkrótce okazało się, iż bezpośrednio za budynkiem gospodarczym znajdują się ślady świeżo rozkopanego gruntu.

Chcąc dowiedzieć się, co skrywa tajemniczy wykop, mężczyźni postanowili zdjąć wierzchnie pokłady ziemi. Wśród nich był 11-letni wówczas Gerhardt Poethke, który wspomina, iż w wykopie znajdowały się, dopiero co pochowane, ciała niemieckich żołnierzy. Mogiłę z powrotem zakopano.

Wkrótce rodzina na zawsze opuściła Maszków i zamieszkała na terenie dzisiejszych Niemiec, gdzie Gerhardt Poethke poszedł w ślady ojca i został pastorem w jednej z berlińskich parafii ewangelickich. Po przejściu na emeryturę postanowił jednak powrócić do wydarzeń z czasów swojego dzieciństwa. W 2012 r. poinformował on Niemiecki Ludowy Związek Opieki nad Grobami Wojennymi o swoim odkryciu z lutego 1945 roku. Zrobił to w celu przeprowadzenia ekshumacji szczątków żołnierzy i przeniesienia ich na cmentarz wojenny. Sprawą zajęła się Pracownia Badań Historycznych

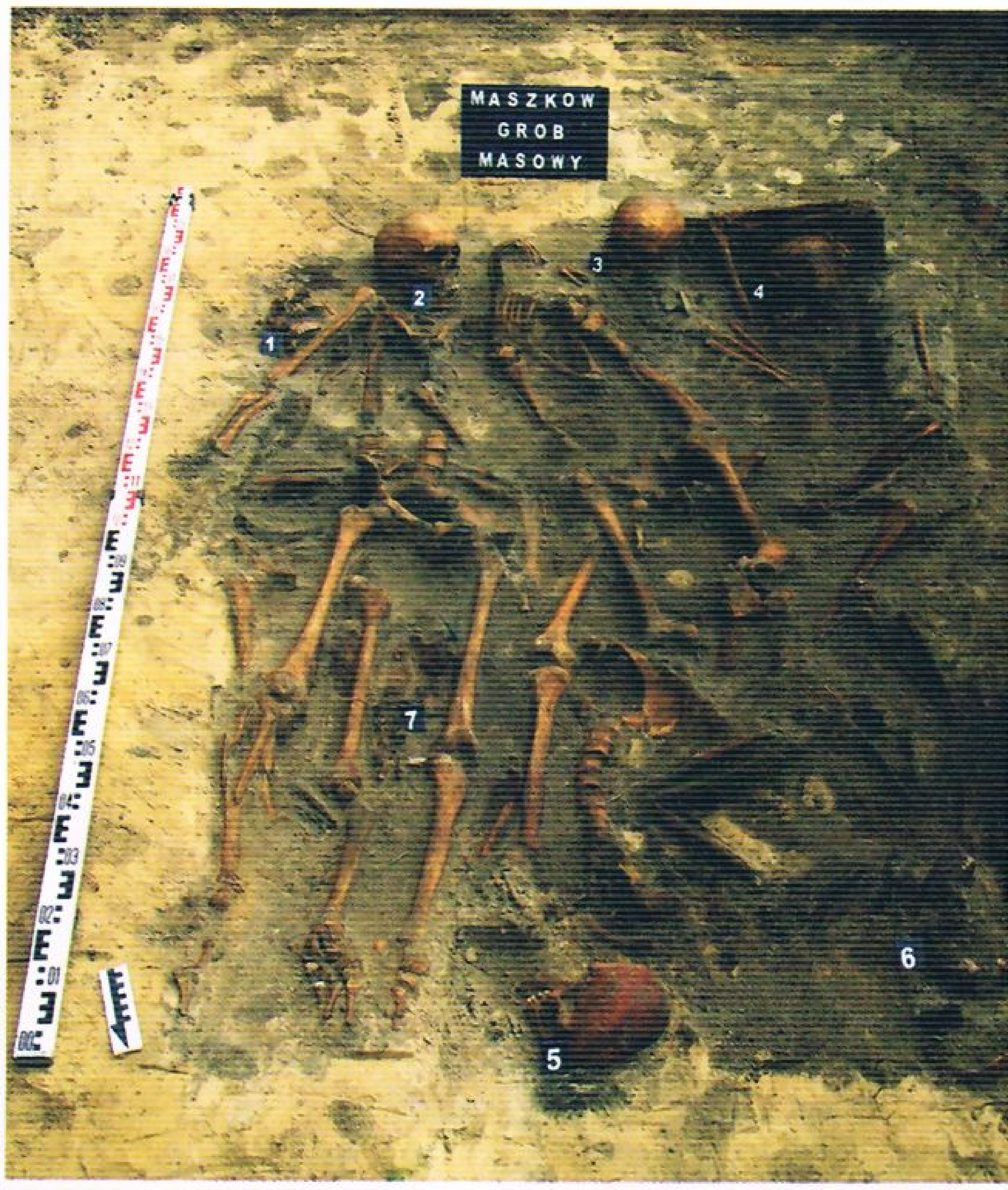

Grób masowy żołnierzy niemieckich w Maszkowie podczas eksploracji i dokumentacji archeologicznej.

Grób został wykopany bezpośrednio za budynkiem gospodarczym. W tle kościół poewangelicki w Maszkowie.

Pastor Gerhardt Poethke z Berlina na tle rodzinnego domu.

Budynek dawnej plebani. Miejsce tragicznych wydarzeń z 2 lutego 1945 r.

i Archeologicznych Pomost z Poznania. Po zgromadzeniu odpowiednich pozwoleń, do prac przystąpiono 22 września 2014 roku. Termin ekshumacji został także uzgodniony z wnioskodawcą, który chciał być obecny przy otwarciu grobu. Właścicielem dawnej plebani okazał się być sołtys Maszkowa, Jarosław Gajda, który ciepło przyjął całą ekipę oraz byłego lokatora swojej posesji.

Według relacji pana Gerhardta w grobie spoczywały szczątki najwyżej 10 osób, o czym świadczył obszar rozkopanej w 1945 r. ziemi. I rzeczywiście, po otworzeniu wykopu we wskazanym przez niego miejscu, ujawniono początkowo szczątki siedmiu żołnierzy niemieckich. Zostali oni pochowani w prostokątnej jamie grobowej o wymiarach 180×130 cm. Ciała zostały pochowane ciasno w dwóch warstwach. Nogi ciał zalegających wyżej, ułożono pomiędzy głowami tych, których pochowano poniżej. Jedna z czaszek nosiła ślady postrzału. Rana wlotowa znajdowała się w kości czołowej przy brzegu ciemieniowym. Natomiast rana wylotowa spowodowała rozerwanie trzonu żuchwy oraz syntetycznej, sztucznej szczęki. Taka sytuacja mogła być spowodowana śmiertelnym postrzałem żołnierza, który wówczas znajdował się w pozycji leżącej. Nogi wszystkich ofiar pozbawione były obuwia. Podczas podejmowania szczątków, ujawniono jeszcze jeden szkielet, który był niewidoczny w trakcie dokumentowania grobu.

W mogile odnaleziono niewiele przedmiotów osobistych. Wśród nich było pięć żołnierskich znaków tożsa-

mości (tzw. nieśmiertelników). Jedynie trzy z nich, ze względu na stan zachowania, pozwolą na całkowitą identyfikację odnalezionych szczątków. Jednakże dzięki kodom na nich zawartym, już teraz można ustalić, iż należały do żołnierzy, których jednostkami macierzystymi były: 366. Zapasowy Batalion Piechoty, 3. Zapasowy Szkoleniowy Batalion Pionierów Budowlanych oraz 1. Zapasowy Szkoleniowy Batalion Pionierów Kolejowych. Ponadto przy szczątkach odnaleziono między innymi: złotą obrączkę, mosiężny sygnet, mosiężny różaniec w formie pierścienia, dwa fragmenty fajek, grzebień, nieliczne guziki mundurowe i monety niemieckie. W okolicach żeber jednego ze szkieletów zarejestrowano silnie skorodowany pocisk, wystrzelony prawdopodobnie z karabinu Mosin. Także jeden z nieśmiertelników nosił ślady postrzału pociskiem lub odłamkiem.

Żołnierskie znaki tożsamości odnalezione w grobie.

Jak mogli zginąć odnalezieni żołnierze?

Niestety nie udało się dotrzeć do żadnych świadków wydarzenia z 2 lutego 1945 roku. Istnieją jednak pewne poszlaki, które pozwalają na podjęcie próby interpretacji tamtego, tragicznego epizodu wojennego. Na pierwszy plan rzuca się związek grobu z odnalezionymi przez rodzinę Poethke pokrwawionymi opatrunkami i mundurami, które leżały w salonie plebani. To właśnie tam, prawdopodobnie, doszło do opisywanej tragedii. Niemieccy żołnierze mogli znaleźć schronienie w opuszczonym budynku, po czym zostali wytropieni przez czerwonoarmistów. Niewykluczone, że tam właśnie doszło do strzelaniny. Śmierć od kul karabinowych potwierdza także sytuacja zadokumentowana w samym grobie – ślad postrzału na jednej z czaszek, odnaleziona kula rosyjskiego karabinu oraz przestrzelony nieśmiertelnik. Bezpośrednio po tym wydarzeniu doszło zapewne do ograbienia ciał. Dowodem na to jest niewielka ilość przedmiotów osobistych odkrytych w mogile oraz całkowity brak obuwia przy szczątkach. Nie wiemy także, kto złożył ciała w masowej mogile. Można jedynie przypuszczać, iż dokonali tego niemieccy mieszkańcy, którzy nie zdążyli się ewakuować z Maszkowa.

Po zakończeniu prac ekshumacyjnych satysfakcji nie krył Gerhardt Poethke, którego przez lata dręczyły wspomnienia z lat dzieciństwa. Jego podróż do Maszkowa pozwoliła nie tylko na odtworzenie nieznanego epizodu wojennego, ale również przyczyniła się do przywrócenia nazwisk szczątkom trzech niemieckich żołnierzy i przeniesienia wszystkich szczątków na Niemiecki Cmentarz Wojenny w Starym Czarnowie. Ponadto gościnność gospodarzy umożliwiła przekroczenie progu rodzinnego domu po 69 latach i opowiedzenie nowym mieszkańcom jego wojennej historii.

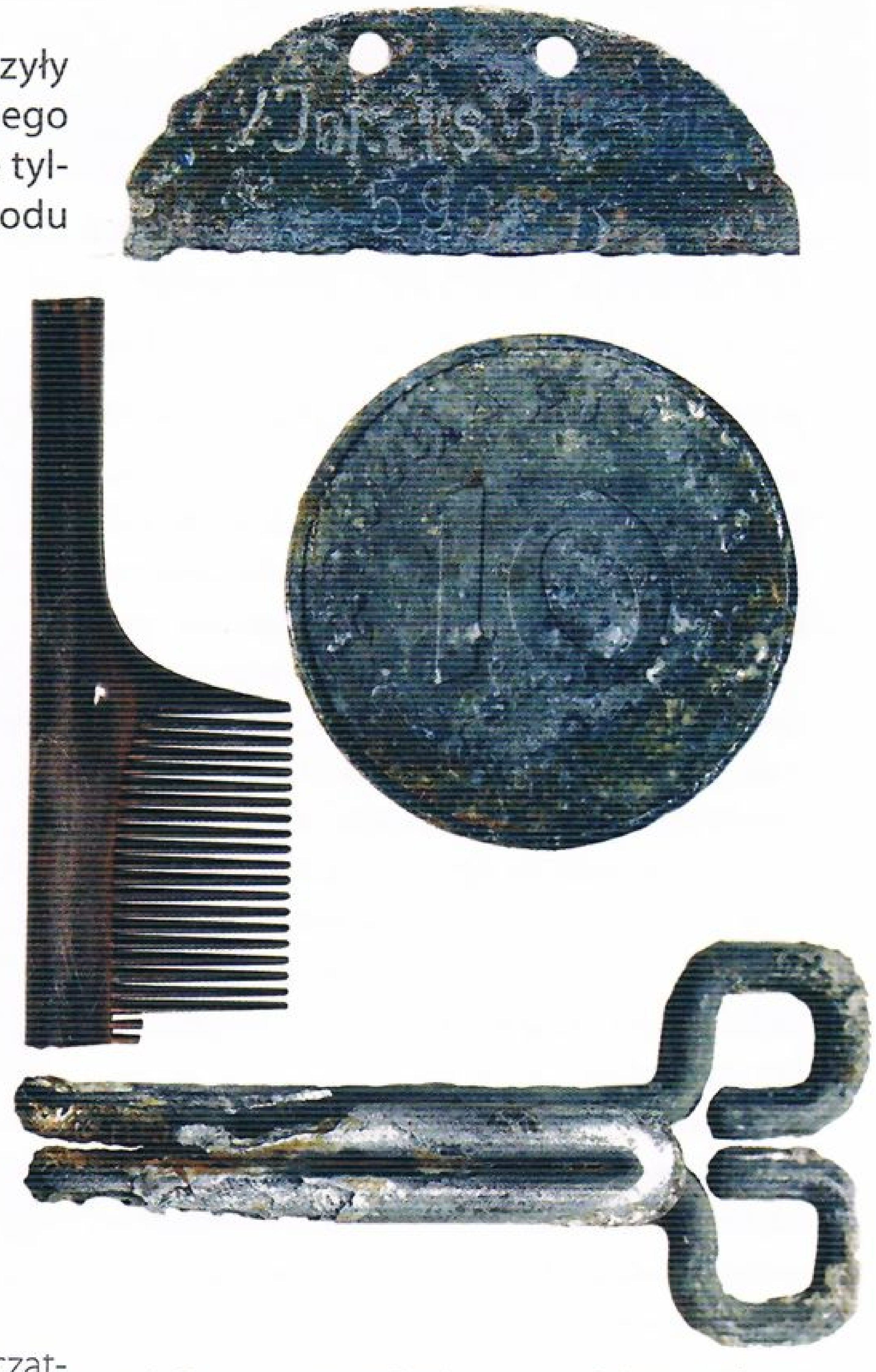

Nieliczne przedmioty osobiste odnalezione w grobie.

ZDJĘCIA: ARCH. PRACOWNI BADAŃ HISTORYCZNYCH I ARCHEOLOGICZNYCH POMOST Z POZNANIA.

Literatura:
1. D. Brożek, „Ślady tragedii sprzed dziesiątków lat", [w:] „Gazeta Lubuska", 27-28 września 2014.
2. M. Frąckowiak, „Ekshumacje szczątków niemieckich żołnierzy i cywilnych ofiar II wojny światowej przeprowadzone w latach 1999-2012 na terenie powiatu międzyrzeckiego", [w:] G. Urbanek (red.), „Międzyrzecki Rejon Umocniony. 80 lat zabytku architektury obronnej", Pniewo 2013, s. 139-150.
3. T. Tissier, „Kostrzyn 1945. Przedpiekle Berlina", Warszawa 2009
4. A. Toczewski, „Bitwa o Odrę w 1945 roku", Zielona Góra 2010

Maksymilian Frąckowiak
Archeolog, numizmatyk, absolwent Instytutu Prahistorii UAM w Poznaniu. Członek Stowarzyszenia Pomost i Pracowni Badań Historycznych i Archeologicznych Pomost.

Pracownia Badań Historycznych i Archeologicznych Pomost przeprowadza ekshumacje szczątków niemieckich ofiar II wojny światowej na terenie zachodniej Polski. Prace odbywają się na zlecenie polsko-niemieckiej Fundacji Pamięć oraz Niemieckiego Ludowego Związku Opieki nad Grobami Wojennymi. Działalność tych instytucji na terenie kraju podlega Radzie Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa. Wszystkie osoby, które posiadają informacje na temat lokalizacji niemieckich grobów wojennych proszone są o kontakt z Pracownią.
Tomasz Czabański (prezes)
tel.: 601 469 494,
e-mail: pomost@plusnet.pl
www.pomost.net.pl

PRACOWNIA BADAŃ HISTORYCZNYCH I ARCHEOLOGICZNYCH POMOST

Tajemnica „starej leśniczówki" rozwikłana

JANUSZ SKOWROŃSKI

Pod taką nazwą funkcjonowało to miejsce wśród leśników i lokalnej społeczności. Stara leśniczówka znajdująca się w lesie na skraju wsi Stankowice koło Leśnej, w rzeczywistości była domkiem myśliwskim Ernesta Gütschowa – ostatniego właściciela zamku Czocha. Nikt z miejscowych nie wiedział, bądź nie miał pewności, że należała właśnie do niego. Brakowało dowodów, zdjęć czy dokumentów. A nawet jeśli były – powiązanie tego wszystkiego wcale nie było łatwe. Opłaciła się cierpliwość i trud gromadzenia przez lata starych zdjęć, skutecznego poszukiwania świadków i przeprowadzonych badań terenowych. Od kilku tygodni wszystko jest już wiadome. No, może prawie wszystko. Zacznijmy jednak od początku.

Najpierw był zimowy rekonesans.

Hermann Müller, powszechnie znany nauczyciel gimnazjalnego Pestallozzischule w Lauban (dzisiejszym Lubaniu) mieszkał przy ówczesnej Lichtenauer Strasse 37. Budynek stoi do dzisiaj, zachował się także jego numer. Tylko ulica zmieniła nazwę na Zawidowską. Müller miał dwie córki Brunhildę i Ruth. Ruth była młodsza, zaraz po wybuchu wojny wyszła za mąż za Ericha Pfeiffera, kolejnego z wielopokoleniowej rodziny znanych w mieście fotografów, którego dziadek Otto zerwał w młodości z zawodem płóciennika, by dać się porwać nowej sztuce, jaką miała stać się fotografia. W trzecim pokoleniu interes szedł już w najlepsze. Starsza Brunhilda, urodzona w 1909 roku, była oczytana i elokwentna. Ojciec, nauczyciel, zadbał o to. Nie miała jeszcze swoich dzieci, kiedy ostatni właściciel Czochy zaproponował, by podjęła pracę u niego, na zamku. Zapewne stało się to dzięki pośrednictwu Fritza Bertrama, znanego regionalisty i historyka, autora poczytnych prac, w tym słynnego „Das Heimatbuch des Kreises Lauban". Bertram w tejże samej Pestallozzischule pracował razem z Hermannem Müllerem. W roku 1933 Brunhilda trafiła do zamku Czocha i została tam guwernantką wnuczki Gütschowa. Na wnuczkę wszyscy wołali „Pennlein", choć w rzeczywistości miała na imię Eileen. Pennlein była pierwszym dzieckiem Kathleen, najmłodszej córki Gütschowa, poślubionej z norweskim studentem studiującym w Dreźnie, Henrikiem Heegardem.[1]

Taki widok zastaliśmy przystępując do prac. No to ruszamy!

Brunhilda zajęła się wychowaniem młodej dziewczynki. A przy okazji prowadziła osobliwy album fotograficzny. Pierwsze jego strony zaczynają się, gdy Pennlein ma około 3-4 lata. Wraz z jej rozwojem, Brunhilda na poszczególnych stronach wkleja zdjęcia swojej podopiecznej – z dziadkiem na spacerze, na osiołku w towarzystwie samego profesora Wilhelma Bölsche, przyrodnika i twórcy ochrony przyrody w Karkonoszach, z psami Peggym i Nickim – terierami na czoszańskim zamku. Wśród zdjęć widzimy sceny myśliwskie z polowań na zające, miejscowe koło myśliwskie na polowaniu i wreszcie te najważniejsze. Sceny sprzed domku myśliwskiego. *„An der Jagdhütte"* („W domku myśliwskim") – tak właśnie Brunhilda podpisała kilka kolejnych kart albumu.

Po wielu latach odnalezienie leśniczówki, pozornie łatwe, wcale nie było takie proste. Na nic się zdała dawna mapa okolic Leśnej – „Marklissa" Meβtischblatt nr 2881 (w skali 1:25 000) z roku 1929, czy jej uaktualniona wersja Meβtischblatt nr 4957 z połowy 1936, wydana rok później. Żadna z nich nie pokazywała poszukiwanego domku myśliwskiego. Pomogły dopiero zdjęcia z albumu Brunhildy Müller w… Berlinie. Zwłaszcza jedno – przedstawiające wnuczkę Eileen w towarzystwie zamko-

Majówka (dawniej) przed domkiem myśliwskim.

Domek myśliwski w całej okazałości. „Eileen, Hertha i Erika Bulle" – tak podpisała to zdjęcie Brunhilda Müller.

wych bibliotekarek – Herthy i Eriki Bulle przed wybudowaną leśniczówką. Widać wyraźnie, że część nadziemna obiektu została zbudowana z drewnianych bali, zaś wystający dach podtrzymywany jest przez co najmniej cztery słupy podporowe. Nad dachem wyraźnie zaznaczony fragment komina. Inne ze zdjęć przedstawia dwie butle gazowe, zainstalowane na zewnątrz murów, w komorze zamykanej drzwiczkami. Prawdopodobnie służyły one do zasilania kuchni bądź nawet wewnętrznego ogrzewania pomieszczenia. Jeszcze kolejne – małżonków Józefinę i Ernesta Gütschowów w otwartych drzwiach domku myśliwskiego. Uwagę przykuwa ozdobna metaloplastyka drzwi, w fantazyjnych motywach zwierzęcych. Życie towarzyskie kwitło w domku myśliwskim niezależnie od pory roku, co potwierdzają zdjęcia pikniku – latem, gdy przyjeżdżano samochodem czy zimą – z widokiem na zamkniętą bramę wjazdową od strony domku myśliwskiego.

Ernest Gütschow wraz z małżonką Józefiną w drzwiach swojego domku myśliwskiego.

Wczesną wiosną br. członkowie Stowarzyszenia „Zamek Czocha" postanowili dokonać rekonesansu terenowego w poszukiwaniu dawnego domku myśliwskiego ostatniego pana na czoszańskim zamku. Rozpytując miejscowych, po kilkukilometrowym marszu, dotarto wreszcie na miejsce, które było przedmiotem poszukiwań. Choć brakowało części nadziemnej obiektu, zachowany trzon kominowy wyraźnie wskazywał, że jesteśmy w miejscu, którego szukaliśmy. Po nawiązaniu współpracy z Nadleśnictwem Świeradów-Zdrój i Leśnictwem Czocha, postanowiono popracować przy resztkach obiektu. Członkowie i sympatycy Stowarzyszenia „Zamek Czocha" spotkali się tu po raz pierwszy 25. kwietnia. Na spotkanie przybyło aż 19 osób… i trzy psy. Mając wszystkie pozwolenia na piśmie, pełni zapału, przy bardzo sprzyjającej pogodzie, zabraliśmy się do prac porządkowych, odsłaniając piwniczną część leśniczówki. W ich trakcie ustalono ponad wszelką wątpliwość, że część nadziemna, drewniana budynku nie została spalona. Rozebrano ją już po wojnie. W pierwszej kolejności należało oczyścić ruiny z trawy, wyciąć zarośla i samosiejki, a następnie wykonać pomiary i odtworzyć plan fundamentów leśniczówki, co skrupulatnie zrobił Darek Szulc. Resztki odnalezionej posadzki oraz białej glazury (kuchennej bądź łazienkowej) potwierdziły nasze przypuszczenia, że zostały one stąd zdemontowane i wywiezione.

Mając do dyspozycji wykrywacze metali, dokonaliśmy przeszukania terenu. Potwierdzono i wytyczono obrys ogrodzenia wokół domku myśliwskiego (zachowane w ziemi resztki po wyciętych metalowych słupkach w odstępach co 1 m), a także zlokalizowano… wodociąg, grawitacyjnie doprowadzający tu wodę z pobliskiego wzgórza. W rozmowie z leśniczym okazało się, że na ślady rur wodociągowych natrafiono już kilka lat temu, przebudowując drogę dojazdową. Niestety, nie zrobiono

REKLAMA

Miejsce na butle (zdjęcie ze zb. B. Müller) i stan dzisiejszy.

Brama wjazdowa na teren leśniczówki. Obok – stan dzisiejszy.

wówczas żadnych zdjęć, a szkoda. Mielibyśmy doskonały materiał porównawczy, bo kilka lat wcześniej w zupełnie innym miejscu, niż album Brunhildy, natrafiliśmy na równie ciekawe zdjęcia. W kolejnym z odnalezionych albumów udokumentowano m.in. doprowadzenie wody do leśniczówki. Tenże album zawiera także kilkadziesiąt zdjęć z rozpoczęcia budowy, wylewania ław fundamentowych pod przyszły domek myśliwski i stawiania części podziemnej z naprawdę solidnych kamieni.

Pierwsze spotkanie w tym miejscu miało już swój ciąg dalszy. Stowarzyszenie „Zamek Czocha" zaprosiło na kolejny dzień prac Oddział PTTK „Pogórze Izerskie" z Lubania. Grupa znakarska PTTK zamierza poprowadzić z zamku Czocha do zamku Świecie nowy, atrakcyjny szlak turystyczny widokowym zboczem Wzgórza Leszczynki, z zaplanowanym punktem odpoczynku przy dawnym domku myśliwskim. Stanie tu także stosowna tablica informacyjna, myślimy również o utworzeniu ścieżki dydaktycznej. Cały, wyznakowany kilkukilometrowy szlak otrzyma kolor niebieski i będzie stanowił jeszcze jedną z atrakcji wokół zamku Czocha. Z Nadleśnictwem Świeradów-Zdrój mamy plany odtworzenia – choćby w części – dawnego domku myśliwskiego. Czy to się uda? Zobaczymy, choć jest wola pozyskania na ten cel funduszy zewnętrznych. Zaś już we

Piotr Kucznir i Krzysztof Benc odsłaniają płytszą część przyziemia. Tu mógł być garaż.

Zbyszek Zieliński przy pracy. Z tyłu Dorota Walczak.

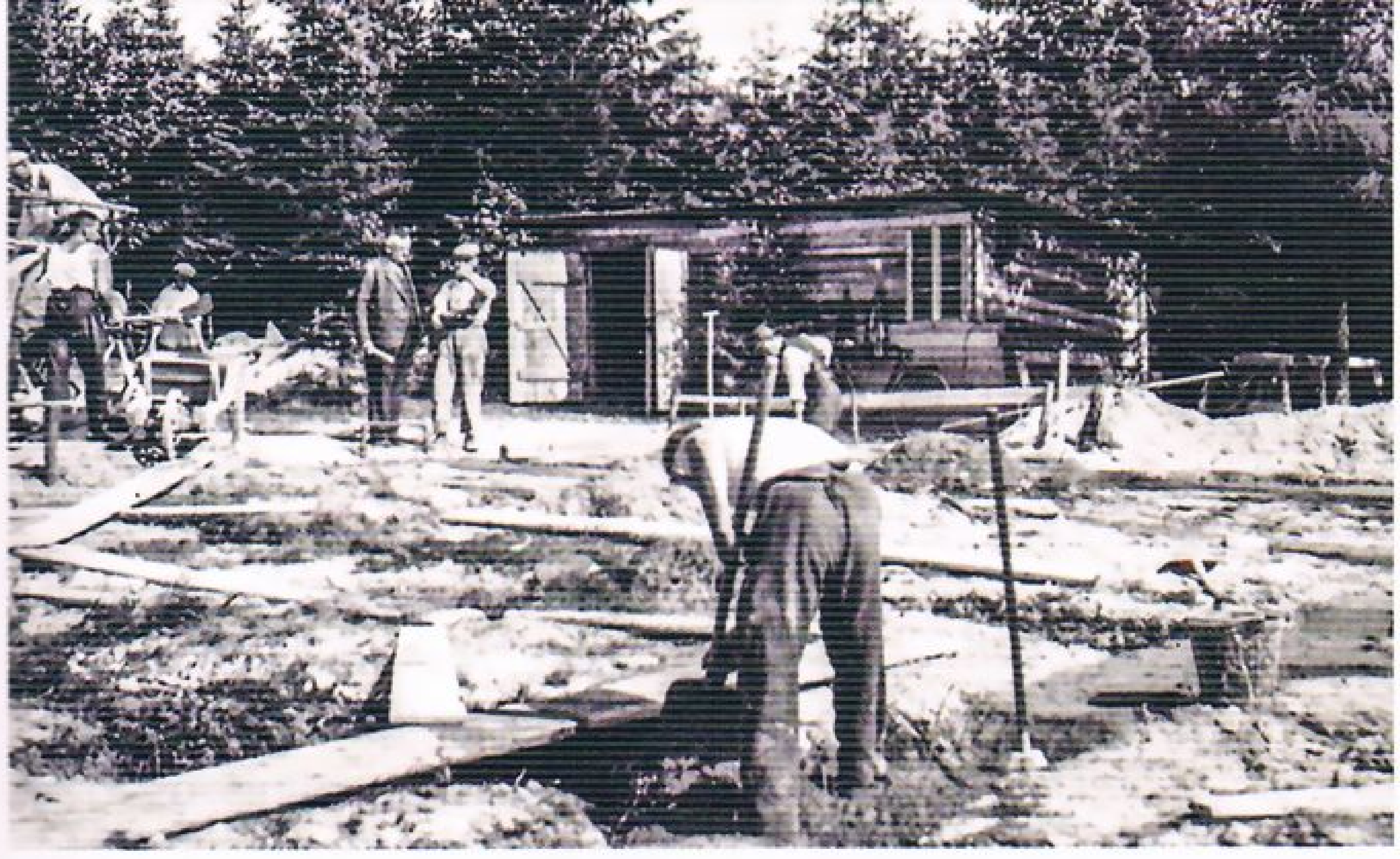

Udało się nam odnaleźć kilkadziesiąt zdjęć z budowy przyszłego domku myśliwskiego oraz wodociągu.

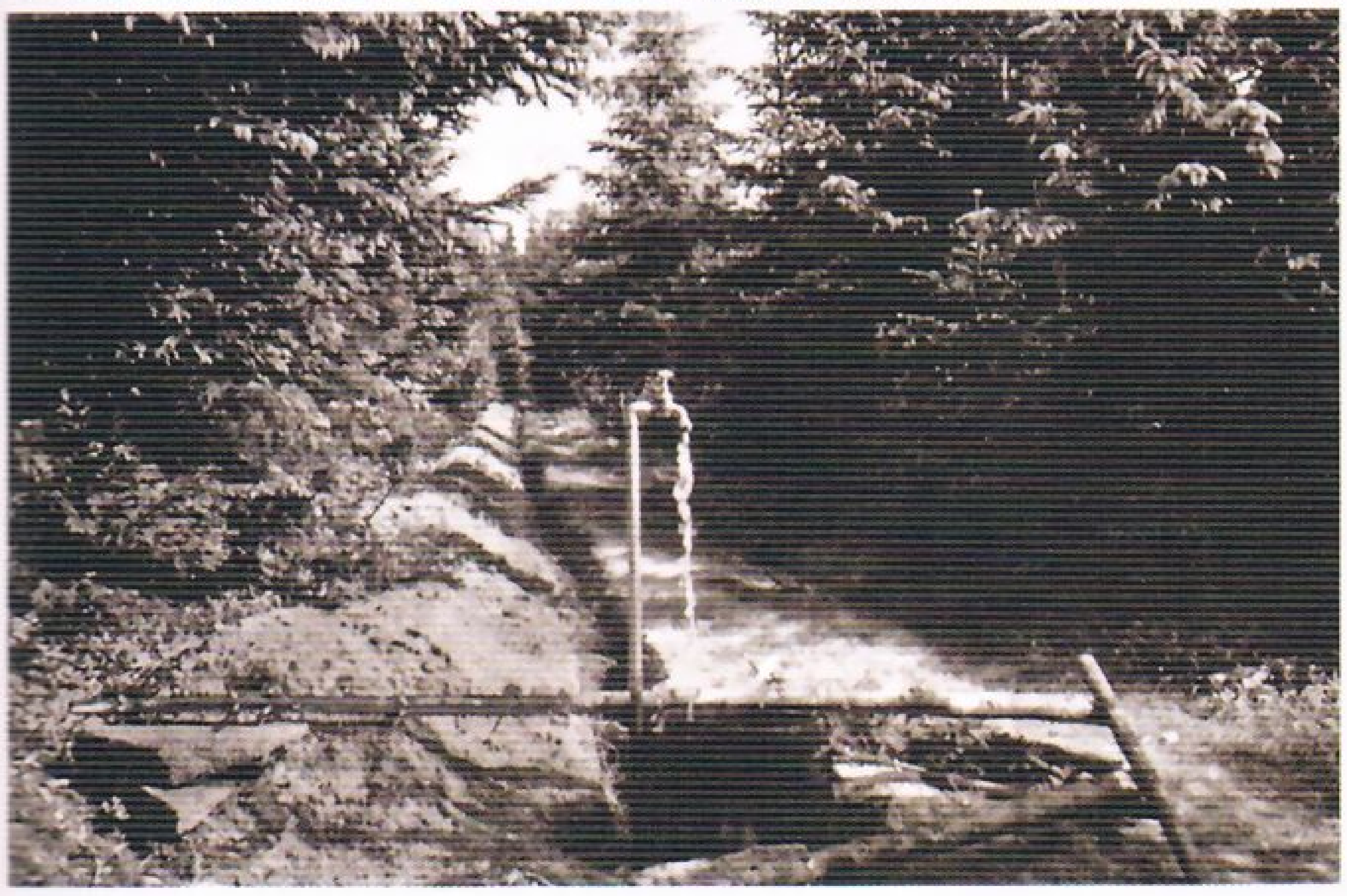

Ernest Gütschow (w środku) był miłośnikiem polowań. W zamku Czocha miał specjalny salonik myśliwski (obecni mieści się tu kawiarenka zamkowa „Grota")

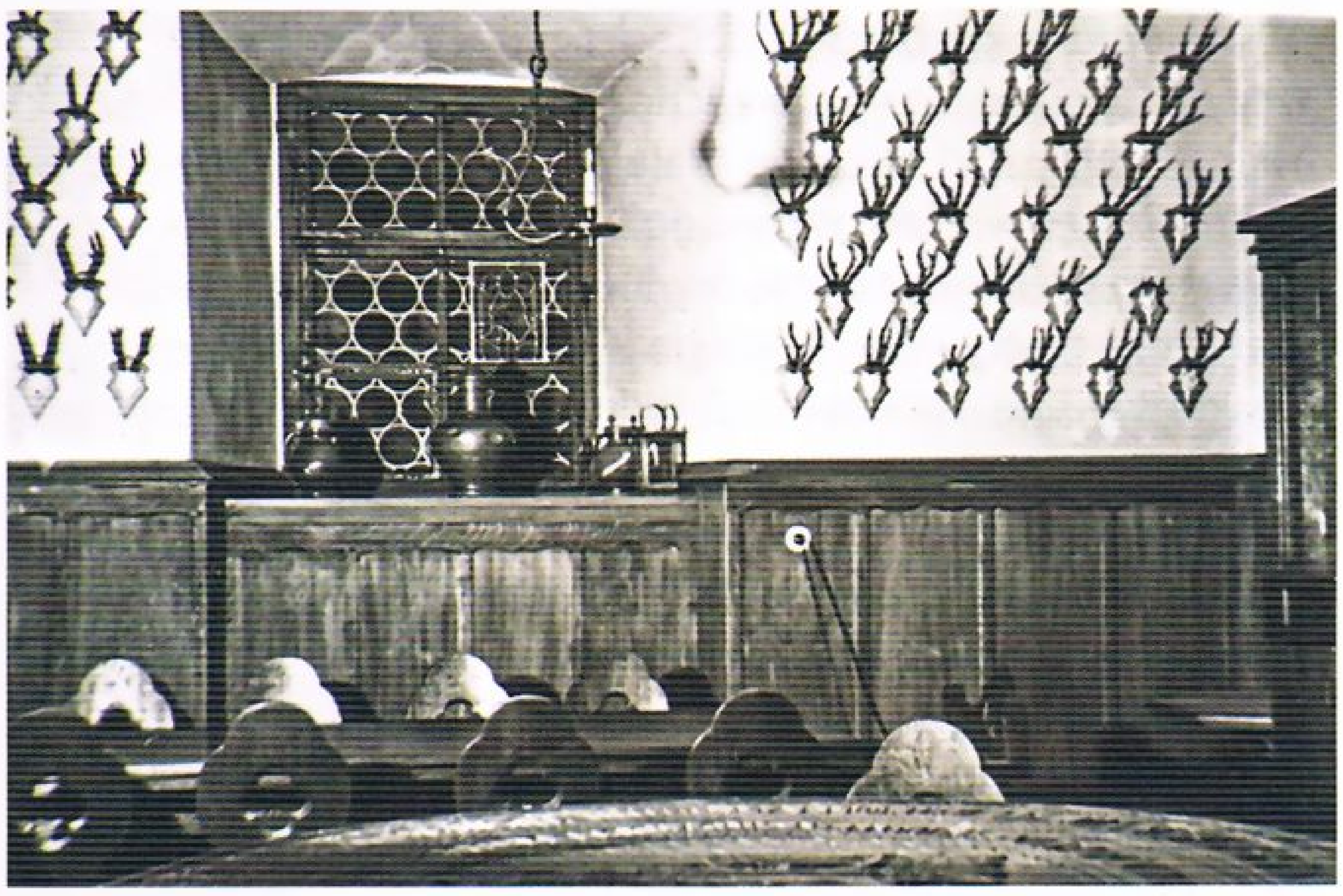

wrześniu podczas turystyczno-rozrywkowej imprezy „Księstwa czoszańskiego" zamierzamy na zamku pokazać małą wystawę tego, co przy „starej leśniczówce" zostało odnalezione. A także poprowadzić do niej wszystkich chętnych nowym szlakiem.

○ ○ ○

Brunhilda Müller żyła w latach 1909-2002. Kiedy Eileen podrosła, Brunhilda do 1939 roku pracowała na zamku Czocha jako bibliotekarka. Swój album prowadziła do końca życia, dokumentując życie rodzinne Gütschowów. Spoczęła na małym wiejskim cmentarzu nad Jeziorem Bodeńskim. Jej podopieczna Eileen Hegaard wyszła za mąż w 1958 roku i zamieszkała w Hiszpanii.

ZDJĘCIA: J. SKOWROŃSKI, K. ZACHAR, ZDJĘCIA ARCH. ZE ZBIORU GISELI GANS ORAZ AUTORA.

Efekt końcowy prac – już po oczyszczeniu terenu.

Przypisy

[1] Tę historię opisałem kilka lat temu na tych łamach, po spotkaniu z Henrikiem Heegardem jr. Por. J. Skowroński: „Ernest Gütschow – ostatni Pan zamku Czocha", [w:] „Odkrywca" 1/2006

Janusz Skowroński

Wieloletni współpracownik Odkrywcy, autor książek o tajemnicach II wojny światowej na Dolnym Śląsku i polsko-niemieckich relacjach w następstwie wojny. Jest prezesem Stowarzyszenia „Zamek Czocha". Kontakt: loginfo@go2.pl

Zagadka walimskiej sztolni

TOMASZ RZECZYCKI

Tuż przy wschodniej granicy powiatu wałbrzyskiego, na zboczu Przygodnej Kopy, usytuowane jest, nierzucające się w oczy, wejście do podziemi. Historia tego miejsca wydaje się być zadziwiająca. Wiązano je nie tylko z cennym kruszcem, ale, w czasach nam współczesnych, także z sekretnym ładunkiem ukrytym pod koniec II wojny światowej przez Niemców. Ale spokojnie, żadnych skrzyń ze srebrnymi monetami w tekście nie znajdziecie.

Przygodna Kopa (761 m n.p.m.) jest niepozornym, obłym wzniesieniem w Górach Sowich. Znajduje się w grzbiecie odchodzącym na północ od szczytu Wielkiej Sowy i przechodzącym dalej w Dział Michałkowski. Od masywu Małej Sowy oddziela Przygodną Kopę wyraźnie wcięta dolina, którą spływa Sowi Spław. Przy jednym z potoków, będących prawym orograficznie dopływem Sowiego Spławu, znajduje się wąskie wejście do sztolni. Z układu poziomic na mapie można odczytać, że leży ono gdzieś tak na wysokości około 650 m n.p.m. Pod względem administracyjnym znajduje się na terenie wsi Walim, znanej od połowy XX w. za sprawą nigdy nieukończonej kwatery głównej wodza III Rzeszy. Ale interesująca nas sztolnia ma tylko tyle wspólnego z podziemiami „Riese", że tak jak one znajduje się pod ziemią i w Górach Sowich. Tak więc nie mylmy tej oto walimskiej sztolni ze Sztolniami Walimskimi. Tyle wiemy na pewno.

Dzieje sztolni naznaczone są wieloma znakami zapytania. Nie wiadomo, kiedy została wydrążona. Nie wiemy też, kiedy po raz ostatni zaniechano tam wydobycia. Sporo nie wiemy. Spróbujmy więc odtworzyć jej losy. Walimska sztolnia, o której mowa, znana jest obecnie pod niemiecką nazwą „Silberloch". Można by to nieco żartobliwie przetłumaczyć jako Srebrną Dziurę. Silberloch znajduje się w strefie, gdzie występują hydrotermalne żyły barytowe, zawierające koncentrację galeny

Zakręt szosy z Dzierżoniowa do Jedliny-Zdroju, powyżej którego znajduje się walimska sztolnia. Luty 2005 r.

Krata wejściowa do sztolni wykonana przez Bogdana Rosickiego. Luty 2005 r.

– czyli siarczku ołowiu (PbS). Galena w swoim składzie, w niewielkich ilościach, ma również inne metale, takie jak: cynk, żelazo czy bizmut. Jedną z domieszek, w ilościach poniżej jednego procenta, bywa srebro.

Nieznany początek, nieznana nazwa...

Kopalnia została wydrążona w stabilnej, litej skale, jaką jest gnejs sowiogórski. Zachowała się w znakomitym stanie i nie ma w niej większych deformacji natury tektonicznej. Główny korytarz prowadzi w kierunku północnym. Wewnątrz znajdują się dwa zalane szybiki, a w odległości 34 m od wejścia – niewielka komora z odchodzącymi, bocznymi wyrobiskami. Wyrobiska zostały wykute w większości ręcznie, ale w końcowych odcinkach chodników zachowały się otwory do załadunku materiałów wybuchowych. Tak oto współczesny wygląd Silberlocha opisywali Krzysztof Krzyżanowski i Dariusz Wójcik w wydanej w 2006 r. monografii sowiogórskiej: „*W jej sztolniach można zaobserwować ślady różnych etapów drążenia skały gnejsowej: od tradycyjnych, najstarszych metod urabiania skały za pomocą młotka i żelazka (rodzaj górniczego kilofa) przy wylocie, do metod strzałowych z użyciem materiałów wybuchowych w jej końcowych fragmentach. Korytarze położone są na jednym poziomie, z którego wychodzi jeden ośmiometrowej głębokości szyb. Wyrobiska mają od 1,5 do 2 metrów wysokości i średnio 1 m sze-*

Kładka nad potokiem, oporęczowane schodki do kopalni, tablica informacyjna... Tak wyglądał teren przed Silberlochem w lutym 2005 r.

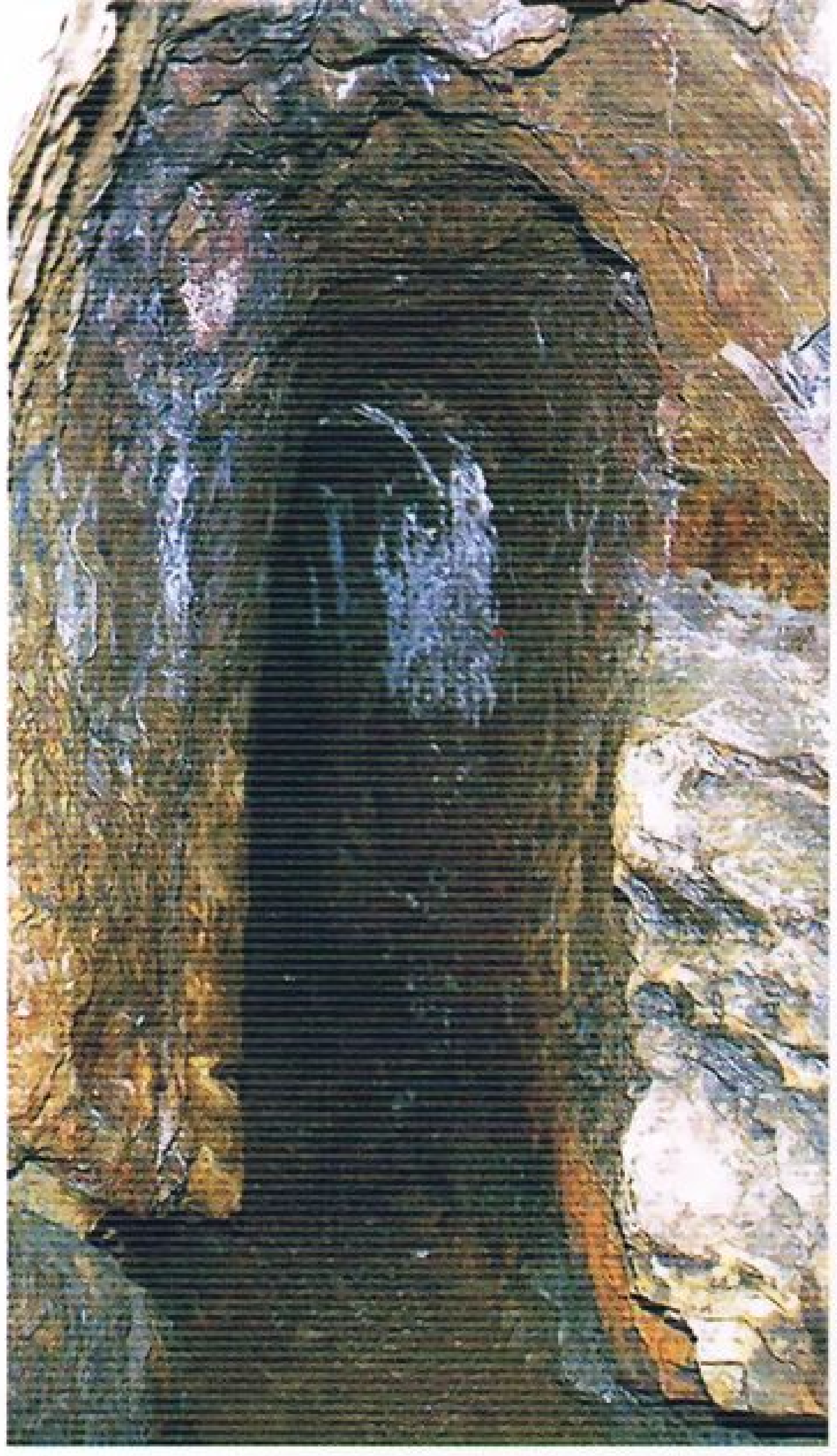

Główny korytarz Silberlocha na wysokości pierwszego zalanego szybu. Maj 2005 r.

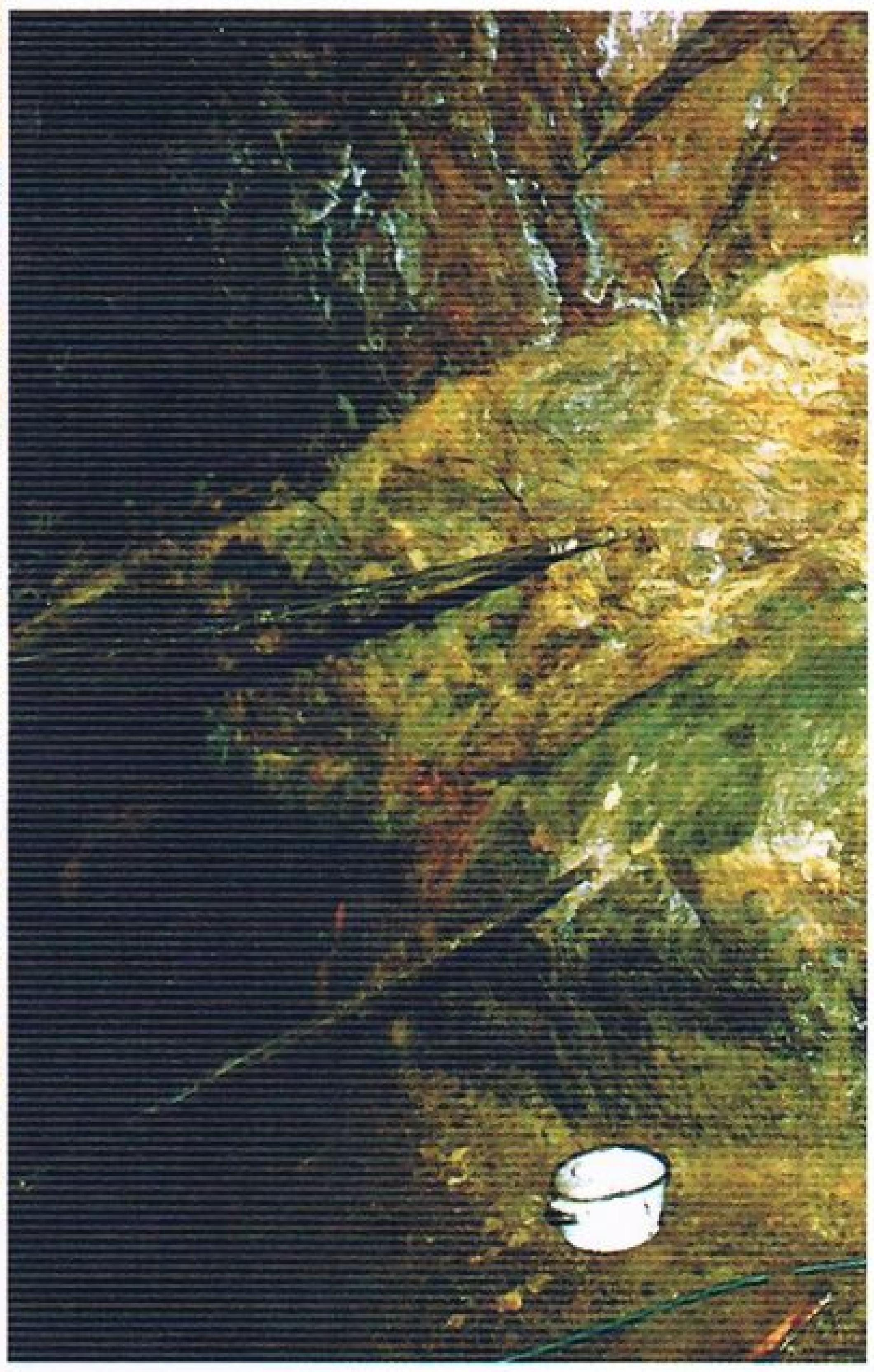

Barierka z rur zabezpieczająca zalany szyb. Maj 2005 r.

rokości. Łączna długość wyrobisk wynosi ponad 70 metrów". Dzisiaj wiemy, że opis ten nie jest precyzyjny.

Sięgnijmy w przeszłość.

Nie wiemy, kiedy interesująca nas sztolnia otrzymała nazwę „Silberloch". Opowieść o jej średniowiecznej genezie i pochodzeniu z XIV w. możemy na razie włożyć między bajki. Pierwsza znana, i jak dotąd udokumentowana, wzmianka o górnictwie w Walimiu pochodzi z września 1548 r., kiedy to cesarska komisja znalazła w rejonie tej wsi stare kopalnie. Jak dotąd historykom nie udało się ustalić nazwy nadania górniczego dla Silberlocha. Nie wiemy więc, czy nazywała się tak od początku. A może pierwotnie określano ją inaczej? To pozostanie chyba zagadką. Wiadomo za to, że w 1768 r. pewną sztolnię, położoną w górach ponad Walimiem, badał członek komisji górniczej, Elster. Stwierdził on, że odwiedzana przez niego sztolnia miała 72 m długości, i że znajduje się tam ciemna skała ze śladami pirytu. W sprawozdaniu z badań Elstera nie wymieniono jednak nazwy sztolni. Można tylko przypuszczać, że chodzi o Silberlocha.

Kilkadziesiąt lat później, jesienią 1804 r., do Silberlocha udał się mierniczy Lange na rozpoznanie tejże kopalni. Dużo nie zdziałał, bo w głównej sztolni był zawał, poza tym była zalana wodą, co pozwalało na spenetrowanie jej tylko na dystansie 16 metrów. Odległość pomiędzy taflą wody a stropem wynosiła około metra. Bez specjalistycznego sprzętu do nurkowania, bez sztucznego oświetlenia, dalsza penetracja byłaby – *nomen omen* – utopią. Wlot sztolni obłożony był kawałkami skał. Lange pojawił się w Silberlochu co najmniej raz jeszcze, w kwietniu 1806 r., kiedy to wraz z nim przybyła komisja z Wyższego Urzędu Górniczego. Niewielkie wejście do walimskiej sztolni dodatkowo zatamowane było obrywem skalnym, czy też może raczej przysypane ziemią. Panowie wzięli się do roboty, spuścili wodę i przystąpili do penetracji. Stwierdzili, że główny korytarz wykuty był młotkiem i żelazkiem, a więc starymi narzędziami górniczymi z okresu, kiedy nie używano materiałów wybuchowych. Późniejsi badacze zwracają uwagę, że w sprawozdaniu z tejże penetracji nie było ani słowa na temat śladów otworów wiertniczych, używanych do zakładania materiałów wybuchowych. Stąd wniosek, że roboty górnicze o takim charakterze wykonano później. Wysoka komisja znalazła także w bocznym wyrobisku Silberlocha pochyły szybik. Sporządzono potem kosztorys przedsięwzięcia i wykonano plan robót górniczych.

Ten ostatni dokument datowany na 20 kwietnia 1806 r. zawiera po raz pierwszy nazwę „Silberloch". Wiadomo jednak, że nazwa ta była znana już ówczesnym walimianom. Jak wynika z planu robót, niezbędne narzędzia górnicze, w tym młotki i wiertła, a także narzędzia pomiarowe, miały zostać przywiezione z kopalni grafitu Długi Ugór koło Olszyńca. Nie wiadomo jednak, czy jakiekolwiek wydobycie zostało podjęte. Wydaje się, że odstąpiono od zaplanowanych prac górniczych.

W 1810 r. elew górniczy Thürnagel napisał pracę dotyczącą górnictwa tamtego rejonu. Wspomniał w niej o tym, iż od starszych ludzi zdobył informację, że w jednej ze sztolni – być może był nią Silberloch – prowadzono eksploatację pirytu, używanego do produkcji kwasu siarkowego. Było to jednak niezbyt dochodowe przedsięwzięcie z powodu ubogiej rudy, więc prace zaniechano. Wzmiankowany jest też, znany nam już, problem z trudnym dostępem do wnętrza sztolni ze względu na występującą w niej wodę. Konkluzja była jasna – nie warto wznawiać w Silberlochu wydobycia.

Kluczowe zdarzenie dla losów walimskiej sztolni nastąpiło w 1849 r., choć nie miało ono nic wspólnego z górnictwem. Wtedy właśnie ukończono budowę szosy łączącej Walim z Pieszycami. W XXI w. jest to fragment drogi wojewódzkiej nr 383 z Dzierżoniowa do Jedliny-Zdroju. Charakterystyczne, częściowo asfaltowe, a częściowo wybrukowane serpentyny tej szosy, znajdują się na zachodnim zboczu Przygodnej Kopy. Jej trasę wytyczono dosłownie kilka metrów poniżej wylotu Silberlocha – przez niewielką kopalnianą hałdę. Nikt pewnie wtedy w najśmielszych planach nie przewidywał, że dzięki temu półtora wieku później, hałda posłuży jako parking sa-

zdarzyło się...

6 VI 1944 r.

71 lat temu alianci zachodni wylądowali w Normandii. Inwazję, która zapoczątkowała utworzenie drugiego frontu, poprzedziło bombardowanie lotnictwa – na stanowiska niemieckiej obrony spadło ok. 9 tys. ton bomb. Potem nastąpił zrzut 24 tys. spadochroniarzy, którzy mieli zdobyć kluczowe punkty oporu i opanować mosty. Desant morski z udziałem 134 tys. żołnierzy rozpoczął się o świcie. Lądowali na pięciu plażach oznaczonych kryptonimami: „Utah", „Omaha", „Gold", „Juno" i „Sword". Największe straty ponieśli Amerykanie lądujący na plaży „Omaha" – zginęło ich blisko 3 tysiące. Na pozostałych plażach wojska aliantów straciły w sumie ok. 2 tys. żołnierzy.

mochodowy turystom odwiedzającym walimską kopalnię.

We współczesnych opracowaniach można znaleźć hipotezę, że ślady robót strzałowych, jakich nie było jeszcze w 1806 r., a znane są nam obecnie, mogły powstać w XIX w. – w ramach poszerzania korytarza dla potrzeb ruchu turystycznego. Spotyka się też informację o odwiedzinach Silberlocha przez kuracjuszy z Jedliny-Zdroju. Zapytany przeze mnie dr hab. Tomasz Przerwa z Uniwersytetu Wrocławskiego, badacz dziejów turystyki na Śląsku przed 1945 r., odpowiedział: – *Silberloch bynajmniej nie był zwiedzany przez typowych turystów. Było to miejsce spacerów z kierunku Walimia, ale to tyle... W pobliżu Silberloch ustawiano ławeczki, schron i fontanny, ale to inna inszość... inny świat.*

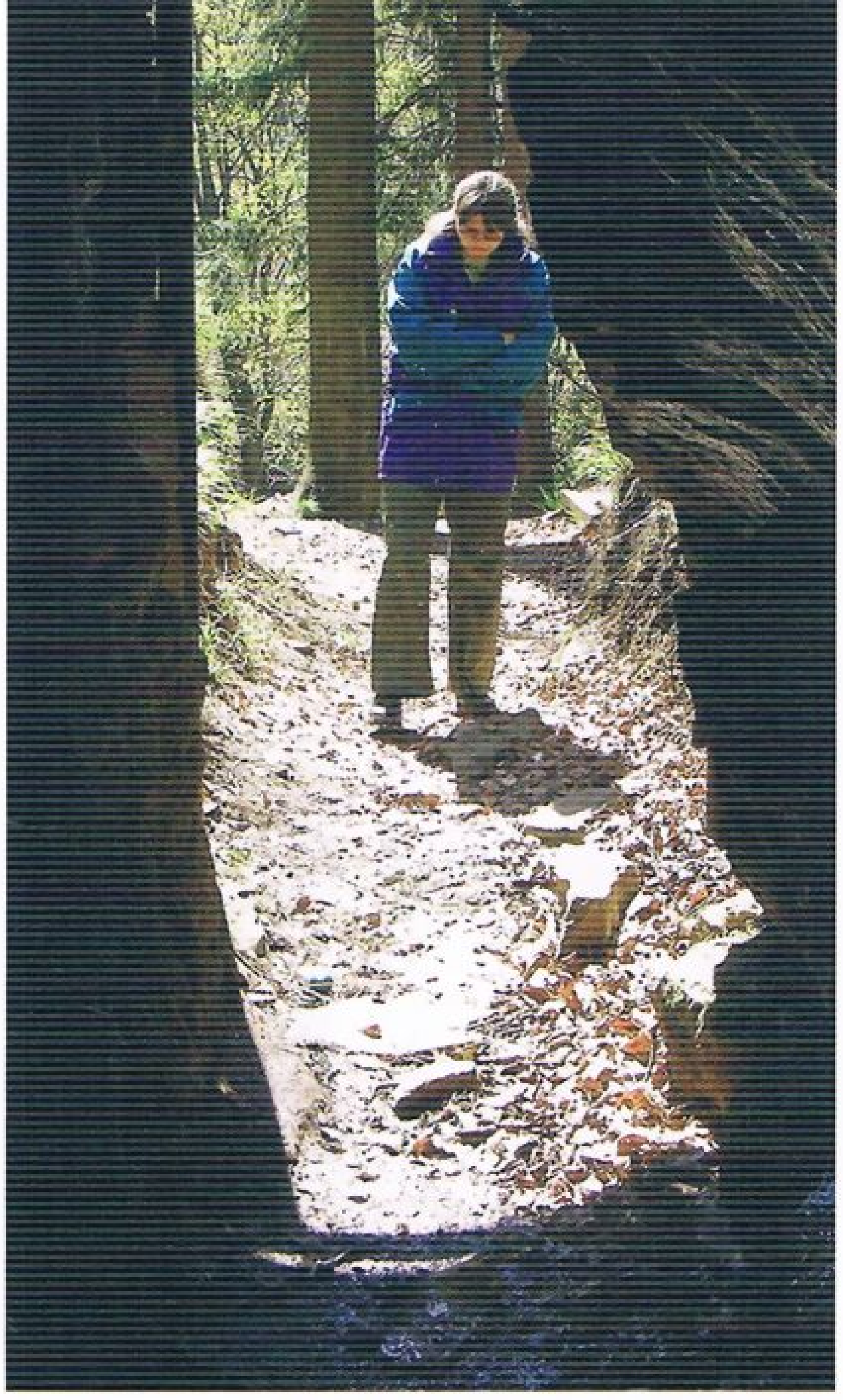

Porzucona sztolnia, już bez kraty wejściowej. Kwiecień 2007 r.

Legenda o ukrytych skrzyniach

Srebrny wątek w dziejach kopalni pod Przygodną Kopą znajdujemy w 1904 r., kiedy to geolog Dathe doszedł do wniosku, iż Silberloch został wydrążony w łuskowatym gnejsie biotytowym. Zauważył też, że nie pozyskiwano w nim żadnej żyły barytowej, tudzież kwarcowej, lecz przedmiotem eksploatacji były okruchy rudne w gnejsie, zawierające siarczki różnych metali. Wydaje się, że w tej liczbie mógł być siarczek miedzi zwany chalkopirytem, który, jako domieszkę, zawiera srebro. Być może jakieś prace w Silberlochu podjęto jeszcze przed wybuchem I wojny światowej, o czym świadczyć miała znaleziona w wyrobisku, na początku XXI w., belka, którą w kwietniu 2005 r. poddano badaniu dendrochronologicznemu. Na jego podstawie przyjęto, że pochodziła ona z drzewa ściętego w roku 1909. Pojawiły się więc przypuszczenia, że drewno to posłużyło jako element obudowy górniczej podczas bliżej nieokreślonych prac.

Nie są szerzej znane jakiekolwiek legendy o ukrywających się w tym miejscu dywersantach z Werwolfu, o radzieckich geologach poszukujących uranu, czy też o bursztynowej komnacie, która miałaby spoczywać w zakamarkach Silberlocha. Także pracownicy Przedsiębiorstwa Poszukiwań Terenowych z Wrocławia nie przeprowadzili tutaj żadnej, spektakularnej akcji penetracyjnej. W internecie znaleźć można za to przekaz o tym, jakoby w Silberlochu pod koniec II wojny światowej miała zostać urządzona skrytka, wypełniona w całości skrzyniami, oplecionymi stalowymi taśmami. Co ciekawe, w 1945 r. ich zawartość niemieccy żołnierze mieli przekazać krasnoarmiejcom. Następnie, dla kamuflażu, wylot został zasypany. Jak by tego było mało, kolejnym posunięciem kamuflującym miała być zmiana nazwy wyrobiska. Odtąd, za sprawą działania bliżej nieokreślonych służb specjalnych, Silberlochem zaczęto nazywać inne wyrobisko, czyli te, które znamy. A „prawdziwy" Silberloch, zapomniany, ma znajdować się gdzieś w bliskim sąsiedztwie. Przytaczam tę legendę jako ciekawostkę dla etnografów, gdyż stanowi ona element powojennego folkloru ludowego polskich Sudetów. Tak jak w Karpatach jaskinie pełne są smoków, Janosików czy śpiących rycerzy, tak w sudeckich sztolniach ukryte są skrzynie, depozyty i obowiązkowo ciężarówki. No, do wąskiego Silberlocha skrzynie trzeba by wwozić motocyklem lub na rowerze...

A propos rowerów. Niewiele brakowało, aby obok Silberlocha przejeżdżali uczestnicy kolarskiego Wyścigu Pokoju. Podczas pierwszej edycji tej imprezy w 1948 r. trzeci z etapów miał prowadzić przez Dzierżoniów i Wałbrzych, jednak ze względu na zły stan dróg zmieniono trasę. Podobna sytuacja miała miejsce w czerwcu 1969 r., gdy szósty etap Wyścigu Pokoju miał początkowo przebiegać trasą przez Walim i Dzierżoniów. Również i tym razem kolarze nie przejechali obok zapomnianej sztolni. Zresztą jej wylot nie był specjalnie widowiskowy. Kierowcy zjeżdżający od strony Przełęczy Walimskiej do Walimia, nie widzieli wylotu sztolni Silberloch ze względu na jej usytuowanie.

Czy to znaczy, że w czasach Polski Ludowej były to kompletnie zapomniane podziemia?

Wystarczy przejrzeć prasę z tamtego okresu, by stwierdzić, że jednak nie. W lipcu 1968 r. w dolnośląskim wydaniu „Gazety Robotniczej" ukazała się krótka, enigmatyczna, ale bardzo intrygująca wzmianka: *„Kolejną imprezę organizuje Komisja Turystyki Pieszej przy oddziale PTTK w Dzierżoniowie. Grupa doświadczonych piechurów wybiera się w dniach 13-14 lipca na zwiedzanie kopalni srebra w pobliżu Przełęczy Walimskiej".* Czy ich celem mogła być inna kopalnia, niż Silberloch? Wydaje się, że raczej nie. Zagadkowe jest natomiast to, że dwudniową wycieczkę opisano, jako przeznaczoną dla zaawansowanych turystów. Cóż takiego mogła kryć wtedy niepozorna kopalnia, że na jej zwiedzanie zarezerwowano aż dwa dni?

Zainteresowanie Silberlochem, jako elementem historycznej spuścizny górnictwa kruszcowego, pojawiło się pod koniec drugiego tysiąclecia. Były to czasy szczytowej popularności pamiątek górnictwa kruszcowego w społeczeństwie polskim. Kopalnia Zabytkowa Rud Srebronośnych w Tarnowskich Górach notowała wówczas rekordy frekwencji. W 1994 r. zwiedziło ją ponad 93 tys. ludzi, a w najlepszym 1997 r. – powyżej 103 tysięcy. Również kilkadziesiąt tysięcy osób odwiedzało corocznie tarnogórską Sztolnię Czarnego Pstrąga. Nikomu nie przeszkadzało, że znajduje się ona w lesie, z dala od przystanków autobusowych, gdzie kawałek drogi trzeba było przedreptać na piechotę.

Walim posiadał wtedy dwie potencjalne, możliwe do udostępnienia atrakcje, jakimi były kopalnia Silberloch oraz sztolnie z okresu II wojny światowej przy drodze do Sokolca. Z perspektywy lat widać, że ekonomiczniej byłoby wówczas zainwestować w Silberlocha, z uwagi na naturalne wśród ludzi zainteresowanie tematyką górniczą i zwiedzaniem kopalń, z Tarnowskimi Górami i Wieliczką na czele. Zaciekawienie tajemnicami II wojny światowej było wtedy niewielkie, czego wymiernym przykładem była znacznie mniejsza liczba osób odwiedzających Podziemne Fabryki Walimia – jak je wówczas nazwano. W roku ich otwarcia, czyli w 1995, zwiedziło je

32 tys. osób. W tym samym 1995 r. przez tarnogórską Sztolnię Czarnego Pstrąga przewinęło się ponad dwa razy więcej, bo aż 65 912 osób. Nie pomogło to, że do Walimia istniał dogodny dojazd autobusem PKS Wałbrzych, a sztolnie leżały przy samej szosie w miejscowości turystycznej, u podnóża najwyższego szczytu Gór Sowich. Tyle że, powtórzę, wiemy to z perspektywy lat. Trudno zarzucać ówczesnym władzom samorządowym Walimia, że podjęły mniej trafną decyzję, bo byłby to zarzut ahistoryczny.

Znaleziska sprzed stuleci

Mniej więcej w tym samym czasie – w 1994 r. – bez większego rozgłosu rozpoznaniem i skartowaniem kopalni Silberloch zajęli się pracownicy Wydziału Górniczego Politechniki Wrocławskiej, Maciej Madziarz i Elżbieta Liber. Ich prace odbywały się w ramach rejestracji zabytkowych wyrobisk górniczych, prowadzonej dla Biura Studiów i Dokumentacji Zabytków Techniki z Wrocławia. Do zalanej części wyrobisk zeszli też członkowie Sekcji Grotołazów z Wrocławia – Wiktor Bolek i Michał Stajszczyk, którzy nurkowali w szybiku podpoziomowym. W późniejszym czasie próby nurkowania w zatopionym szybie podejmowali także inni, np. w 2004 r. Paweł Hage i Mieszko Kastelnik. Natomiast Maciej Madziarz opisał tę kopalnię w Karcie Dokumentacji Zabytków Architektury i Techniki, opracowanej dla Fundacji Otwartego Muzeum Techniki (FOMT). Nie było to działanie jednostkowe, ukierunkowane tylko na Silberlocha, ale obejmujące także inne sudeckie pozostałości górnictwa rud metali. Tak więc za sprawą pasji badawczej Macieja Madziarza dawnymi kopalniami, działającymi w północnej części Gór Sowich, zainteresował się prof. Stanisław Januszewski z Politechniki Wrocławskiej, znany od lat miłośnik zabytków poprzemysłowych i technicznych. W 1999 r. wałbrzyscy badacze dziejów górnictwa, Eufrozyna i Zygfryd Piątkowie, otrzymali z FOMT zlecenie na opracowanie pozycji książkowej poświęconej górnictwu rud metali w Górach Sowich. Pewnej pomocy udzielił im ówczesny kierownik trasy turystycznej w Podziemnych Fabrykach Walimia – Bogdan Rosicki, który dla nich przeprowadził kilka inwentaryzacji terenowych, w tym i w Silberlochu. Książka zatytułowana została „Górnictwo rud metali w Górach Sowich", a ukazała się drukiem w 2000 roku. Była to pierwsza polska publikacja przybliżająca czytelnikom m.in. Silberlocha.

Sam Silberloch miał swoje przysłowiowe 5 minut kilka lat później, a w pewnej mierze przyczynił się do tego Bogdan Rosicki. Wykorzystując znajomość z prezesem FOMT, prof. Januszewskim, postanowił zainwestować w sztolnię pod Przygodną Kopą. Aby sformalizować użytkowanie gruntu, zawarta została przez Fundację umowa dzierżawy terenu od Nadleśnictwa Wałbrzych. Prace przy odgruzowaniu Silberlocha i przygotowaniu go do zwiedzania, trwały dwa miesiące. Przy współpracy z leśnikami teren został uporządkowany. Po odgruzowaniu oczyszczono wyrobiska, zniwelowano teren przed wejściem, uporządkowano potok i parking na hałdzie. Ze względu na wąski i kręty korytarz gruz skalny wynoszony był w kubłach mieszczących od 5 do 10 kg. Wysypywano go po wyjściu na powierzchnię na lewą stronę, czyli w kierunku potoku. Uformowano w ten sposób hałdę, służącą jako coś w rodzaju tarasu. Oprócz skalnego gruzu wyniesiono trochę drewna, takiego jak krótkie zaciosane belki, kliny oraz pyrlik i żelazko, czyli stare narzędzia górnicze. W niewielkiej odległości, przed wejściem do Silberlocha, wykonana została wiata z dwuspadowym dachem, nazwana „Chatą Gwarków". Obok niej na krańcach hałdy stanęło drewniane ogrodzenie, a także drewniane ławki i stoły. Od szosy wykonano ziemno-drewniane schodki oraz drewnianą kładkę nad potokiem. Natomiast stara hałda, po drugiej stronie drogi wojewódzkiej nr 383, zaczęła pełnić funkcję parkingu samochodowego. Przy szosie ustawiono drewnianą tablicę informacyjną. Fundamentalną sprawą było należyte odwodnienie sztolni. Tak to po latach wspominał Bogdan Rosicki: – *Na spągu był wykuty ściek, ale przeszkadzał on w chodzeniu. Na dole chodnika szerokość wynosiła około 50-60*

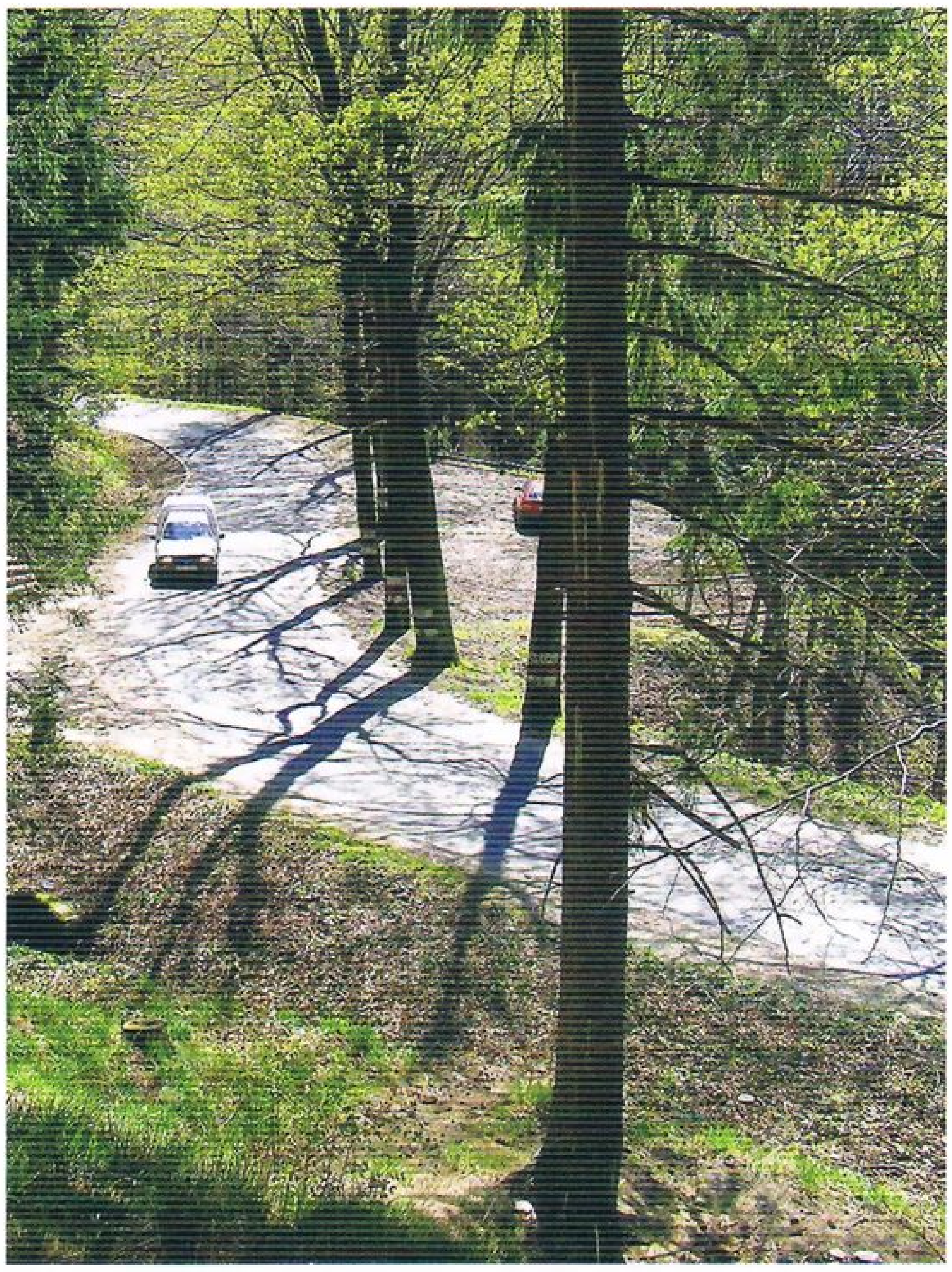

Hałda poniżej drogi wojewódzkiej nr 383, pełniąca rolę parkingu. Kwiecień 2007 r.

Pozostałości po mostku nad potokiem i schodkach do Silberlocha. Kwiecień 2010 r.

Przez cały XX wiek kopalnia była pozostawiona, zapomniana. Dokładnie po stu latach, od ostatniej próby jej uruchomienia, tj roku 1904, kopalnia ponownie odkryta, odwodniona, stała się nową atrakcją turystyczną północno - zachodniej części Gór Sowich.

Zwiedzanie kopalni codziennie w godzinach od 9.00 do 17.00

Ceny biletów:
- normalny 5 zł
- ulgowy - 3 zł

Stała temperatura 12°C.

Dojazd:

Kopalnia położona dogodnie przy drodze Nr 383 Wałbrzych - Walim - Dzierżoniów 1 km od Walimia.

KOPALNIA SREBRA „SILBERLOCH" z XIV w.

W Walimiu

Góry Sowie to dawne ośrodki górnictwa rud ołowiu z domieszką srebra, co wzmiankowane jest w dokumentach z XIII wieku. Kopalnia „SILBERLOCH" jest jedną z wielu kopalni z tamtego okresu. Znajduje się na północno zachodnim zboczu Wielkiej Sowy. Jest typowym przykładem kopalni sztolniowej. W wyrobiskach zachowały się w bardzo dobrym stanie ślady ręcznej eksploatacji złóż, drewnianych obudów szybików, itp.

Silberloch już w drugiej połowie XIX w., był znaną atrakcją turystyczną dla turystów i kuracjuszy z uzdrowisk Szczawna Zdrój. i Jedliny Zdrój wędrujących na Wielką Sowę.

ZOBACZ TO SAM...

Ulotka z 2004 r. propagująca nowo otwartą trasę podziemną.

cm, w tym ściek o szerokości ok. 10-15 cm i głębokości 5-10 cm, więc łatwo było skręcić nogę. Aby zabezpieczyć siebie, i później turystów, została ułożona rura drenarska 5 cm, zasypana drobnym tłuczniem, więc woda miała swobodny odpływ i przechodzono suchą nogą. Tam, gdzie były obniżenia, dosypywano tłucznia. (...) Ponieważ pochylenie było niewielkie, drenaż należało płukać, czyścić, aby zachować jego drożność. A szczególnie jest wrażliwy na zewnątrz, kiedy deszcze nanoszą drobne frakcje, powodujące zamulanie.

We wnętrzu sztolni zabezpieczone zostało jedno z newralgicznych miejsc. Po prawej stronie, patrząc ku wnętrzu wyrobisk, znajdował się szyb głębokości ponad 9,5 m, wypełniony wodą o szerokości ok. 2 m. Wstawiono tam poziomo dwie rury ze stali nierdzewnej, zakotwione w ociosach, pełniące funkcję barierki ochronnej. Wylot sztolni zabezpieczony został od góry drewnianym daszkiem, zapobiegającym zsypywaniu się zwałów ziemi. We wlocie zamontowana została ze stalowych rur ościeżnica, a w niej krata wejściowa wykonana przez Bogdana Rosickiego. Nad kratą umieszczono deskę z napisem „Silberloch". Z myślą o turystach zrobiona została drewniana tabliczka z napisem „KOPALNIA SREBRA" i strzałka wskazująca w prawo. Tabliczkę ustawiono przy szosie, na poboczu. Turystom zapewniono kaski, peleryny i latarki elektryczne, które były codziennie dowożone do Silberlocha samochodem. Bogdan Rosicki nie zdecydował się na założenie stałego oświetlenia elektrycznego, np. z agregatu prądotwórczego, ze względu na spory koszt takiego przedsięwzięcia. Natomiast pieczę nad stanem górotworu i bezpieczeństwem wyrobiska sprawował Jerzy Kosmaty z Wałbrzycha.

Epizod trasy podziemnej

Wydrukowane zostały czarno-białe ulotki, w których podziemna trasa turystyczna przedstawiona została jako: *„Kopalnia srebra »Silberloch« z XIV w. W Walimiu"*. W ulotce napisano m.in., że *„Silberloch już w drugiej połowie XIX w. był znaną atrakcją turystyczną dla turystów i kuracjuszy z uzdrowisk Szczawna Zdrój i Jedliny Zdrój wędrujących na Wielką Sowę. Przez cały XX w. kopalnia była pozostawiona, zapomniana"*.

Oficjalne otwarcie podziemnej trasy turystycznej nastąpiło podczas III Sowiogórskiego Festiwalu Techniki. O otwarciu nowej trasy podziemnej poinformowano przedstawicieli środków społecznego przekazu. *„W Walimiu udostępniono do zwiedzania dawną kopalnię srebra"* – donosił 1 IX 2004 r. w swym wałbrzyskim wydaniu wrocławski dziennik „Słowo Polskie Gazeta Wrocławska". *„Przed wejściem pod ziemię ubieramy sztormiaki, bowiem wykute przez średniowiecznych gwarków w skale korytarze są niskie i wąskie. Ochronne ubranie zabezpiecza przed pobrudzeniem, a kaski głowę przed nabiciem guza"*. Mniej więcej w tym czasie nakręcony został liczący 50 minut film na temat FOMT. Od 39 minuty filmu widzowie mogli obejrzeć i posłuchać nieco na temat Silberlocha. – *Chodniki są o tyle ciekawe, że są wybrane stosunkowo wysoko, wysokość przekracza tutaj dwa metry* – mówi w filmie Bogdan Rosicki. Dalej opowiada o tym, że we wnętrzu pierwszej komory, po prawej stronie, znajduje się szyb o głębokości 16 m z obudową drewnianą, że po 56 m od wlotu wchodzi się w zespół komór wydobywczych z następnym szybem głębinowym, który jest w komorze lewej. Wspomina o ścianie wydobywczej, padają nazwy metali: ołów, miedź cynk i cyna. – *Obecnie kopalnię udostępniamy tylko i wyłącznie przy latarkach ręcznych* – mówi do kamery Rosicki. – *Daje to dużo emocji, możliwość oglądania pracy sprzed dwustu, trzystu lat górników.* Przed wlotem kopalni kamera pokazuje prof. Januszewskiego, który opowiada, że eksploatację w Silberlochu rozpoczęto prawdopodobnie w XIV wieku.

Nikt z nich chyba nie przypuszczał, że zaledwie dwa lata później wygląd terenu wokół Silberlocha, jaki uwieczniła kamera, będzie diametralnie inny...

Tymczasem nic jeszcze nie zapowiadało przyszłych wydarzeń. Nowa trasa podziemna znalazła swoje miejsce w przestrzeni informatycznej. W 2004 r. pod adresem internetowym www.nadbor.pwr.wroc.pl/silberloch zamieszczona została stronka internetowa, opisująca dzieje kopalni. Napisano tam, że Silberlocha zaczęto drążyć w XIV w., w kolejnym stuleciu nastąpił regres, by w jeszcze następnym doprowadzić do wznowienia wydobycia. Nie określono wprost, jakie metale eksploatowano w Silberlochu, zaznaczając jedynie, że w XIV w. w Górach Sowich szczególnie były poszukiwane rudy srebra. Dziś wiemy, że XIV-wieczna geneza Silberlocha jest jak na razie niczym niepotwierdzoną hipotezą.

Otwarcie nowej trasy podziemnej dostrzegła także prasa lokalna. Pod koniec września 2004 r. pisał o niej „Tygodnik Wałbrzyski": *„W latach 80. i 90. prowadziliśmy na terenie Gór Sowich w ramach studiów historycznych specjalne badania obiektów górniczych* – mówił reporterowi Stanisław Januszewski. – *Od samego początku badań założyliśmy, że znajdziemy i udostępnimy turystom niektóre z nich. Okazało się, że na razie najlepiej nadaje się do tego wspominana kopalnia srebra, występująca w dokumentach pod nazwą »Silberloch«"*.

Smutna rzeczywistość

Również czytelnicy po północnej stronie Gór Sowich mogli się dowiedzieć o nowej atrakcji przy szosie z Dzierżoniowa do Jedliny-Zdroju: *„Wyrobisko kopalni Silberloch* – czytamy w „Tygodniku Dzierżoniowskim" z X 2004 r. – *dostępne jest dziś dla wszystkich chętnych. Funkcjonuje ono w ramach nowo Tworzonego Sowiogórskiego Muzeum Techniki z siedzibą w Dzierżoniowie. Kopalnię można zwiedzać codziennie w godz. od 9.00 do 17.00"*. Ale w październiku 2004 r., po mniej więcej dwóch miesiącach od uruchomienia, zwiedzanie Silberlocha skończyło się. Ruch się wyraźnie zmniejszył, co przełożyło się na malejące wpływy z biletów. Sztolnię na zimę trzeba było zamknąć.

Wiosną 2005 r. zmienił się gospodarz trasy podziemnej. Odszedł Bogdan Rosicki, a prowadzeniem Silberlocha zajęła się Renata Madziara. Po zimowej przerwie Silberloch otwarł podwoje dla turystów 15 kwietnia 2005 r. Byłem tam pół miesiąca później, 1 maja. Już wtedy Renata Madziara uskarżała się na plagę wandalizmu. Zniknął napis umieszczony nad wejściem do sztolni, zniknęły ławki, rozmontowana została drewniana chatka... Mimo tego do końca sezonu letnio-jesiennego w 2005 r. kopalnia Silberloch była udostępniana zwiedzającym. Oprowadzaniem zajmowało się zwykle dwóch przewodników – wolontariuszy z Walimia, a także Robert Trawniczek – pasjonat geologii z Dzierżoniowa. Niewystarczający nadzór, zwłaszcza jego brak w porze nocnej, sprawił, że wandale czynili coraz większe spustoszenie w infrastrukturze. Złomiarze z Walimia przymierzali się nawet do „sprywatyzowania" kraty wejściowej. Aby temu zapobiec, Rosicki zdemontował ją, gdzieś tak w październiku 2005 r., i odtąd wlot do Silberlocha był ogólnodostępny wchodzić mógł tam każdy, kto chciał. Można się tylko domyślać, jaki los spotkał wkrótce barierki ze stali nierdzewnej, zabezpieczające przed wpadnięciem do zalanego szybu. W 2006 r. nie było już chętnych do reanimowania podziemnej trasy turystycznej, podobna sytuacja miała miejsce w kolejnym sezonie.

Przypadek Silberlocha nie był pierwszym przykładem dewastacji porzuconej trasy podziemnej w Polsce. Taki los spotkał też odkrytą w 1974 r., podczas eksploatacji wapienia we wsi Draby w woj. łódzkim, Jaskinię Ewy. Po śmierci jej gospodarza zniszczono oświetlenie elektryczne w jaskini, a metalowa krata wejściowa stała otworem dla wszystkich chętnych.

Kilka lat po tym, jak walimska sztolnia przestała mieć gospodarza, przeprowadzone zostały przez miłośników podziemi prace penetracyjne w Silberlochu. Odbyły się one w maju 2010 r., a także w styczniu i w marcu 2011 r. Brali w nich udział m.in. Michał Stysz, Michał Mączka, a także Henryk i Izabela Macanko oraz inni badacze starego górnictwa. W pracach uczestniczyła Sowiogórska Grupa Poszukiwawcza i Wrocławska Grupa Eksploracyjna. Odpompowano wodę z liczącego 9,5 m szybu, znaleziono w nim łom zgubiony w 2004 r. przez robotników przygotowujących wówczas podziemną trasę turystyczną. Oprócz tego odkryto i odkopano trzeci, zasypany szybik nazwany szybikiem centralnym i pobrano próbki drewna do badań dendrochronologicznych. Badania wykazały, że drewno pochodziło z końca XVII i początku XVIII wieku. Odkryto nieznane dotąd fragmenty chodników, dzięki czemu długość sumaryczna zinwentaryzowanych wyrobisk poziomych wzrosła z 70 do 77 metrów. Plonem badań był też artykuł naukowy, w którym autorzy podjęli próbę uporządkowania chronologii Silberlocha.

Na koniec można jeszcze wspomnieć o tym, że Silberloch posłużył jako natchnienie pieszyckiemu poecie Adamowi Lizakowskiemu, mieszkającemu w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. W wierszu zatytułowanym „Silberloche" stwierdził on, że w jego pamięci bardziej niż miasta dumne, bogate i pełne pomników, wyryły się: *„prymitywne lochy kopalni srebra na Walimskiej Przełęczy w Górach Sowich, te kilkadziesiąt ran zadanych zimnej skale ciężkim młotem ręką górnika sprzed 600 lub 800 lat"*. Jestem przekonany, że wielu czytelników „Odkrywcy" podpisało by się pod tym zdaniem.

ZDJĘCIA: TOMASZ RZECZYCKI

Wybrane publikacje:

1. K. Krzyżanowski, D. Wójcik, „Kopalnia »Silberloch«", [w:] „Sudety", nr 3 (36) marzec 2004, s. 20-21
2. E. Piątek, Z. Piątek, „Górnictwo rud metali w Górach Sowich", Wrocław 2000
3. T. Przerwa (red.), „W cieniu Wielkiej Sowy. Monografia Gór Sowich", Dzierżoniów 2006, s. 124-125
4. T. Rzeczycki, „Zagłada Silberlocha", [w:] „Trybuna Górnicza" nr 25 (661), 21.6.2007, s. 13
5. M. Stysz, M. Mączka, „Historia górnictwa Walimia i Rzeczki" [w:] „Sudety", nr 5 (50), maj 2005, s. 28-31
6. M. Stysz, E. Szychowska-Krąpiec, M. Mączka, „Sztolnia Silberloch w Górach Sowich w świetle nowych badań archiwalnych, inwentaryzacyjnych i dendrochronologicznych", [w:] P. Zagożdżon i M. Madziarz (red.) „Dzieje górnictwa – element europejskiego dziedzictwa kultury", Wrocław 2012, s. 351-377
7. T. Śnieżek, „Kopalnia srebra zaprasza", [w:] „Tygodnik Dzierżoniowski" 12.10.2004, s. 30
8. T. Śnieżek, „Góry Sowie. Przewodnik" wyd. 2, Pruszków 2014, s. 29, s. 61.
9. „Kopalnia srebra »Silberloch« z XIV w. w Walimiu"; (ulotka z 2004, bez daty wydania).

Tomasz Rzeczycki

Długoletni współpracownik „Odkrywcy". Wnikliwy badacz dziejów zagospodarowania polskich Sudetów oraz historii podziemnych tras turystycznych istniejących na terenie naszego kraju.

REKLAMA

www.pawlo.sklep.pl

OFERUJEMY WYKRYWACZE:
- GARRETT,
- XP,
- TEKNETICS,
- MINELAB,
- RUTUS

ORAZ INNYCH PRODUCENTÓW.

W NASZEJ STAŁEJ OFERCIE POSIADAMY RÓWNIEŻ MYJKI ULTRADŹWIĘKOWE.

FHU „PAWLO" Paweł Piec
65-124 Zielona Góra, ul. Wołodyjowskiego 8
tel.: +48 603 469 561, fax: +48 68 41 43 222, e-mail: pawel@pawlo.sklep.pl

Podobozy KL Gross-Rosen, a przemysł zbrojeniowy III Rzeszy (cz. 4)

Więźniowie z obozów pracy w Bunzlau

SZYMON WRZESIŃSKI

W kilkudziesięciotysięcznym Bunzlau (Bolesławiec), w pierwszej połowie lat 40. ubiegłego stulecia, powstało wiele obozów pracy przymusowej: obóz dla Żydów, podległy Organizacji Schmelt, oraz dwie filie KL Gross-Rosen – AL Bunzlau I i AL Bunzlau II. Większość przebywających w nich więźniów zmuszano do pracy na rzecz przemysłu zbrojeniowego Trzeciej Rzeszy, ze szczególnym uwzględnieniem niemieckiego lotnictwa…

Drewniane atrapy, czy samoloty?

Około 1942 roku przy ówczesnej Menzelstrasse (ob. ul. Staroszkolna), gdzie znajdował się zakład produkcji wyrobów drzewnych „Bunzlauer Holzindustrie Hubert Land", powstał Zwangsarbeitslager für Juden (ZAL). Na jego bazie został utworzony obóz pracy przymusowej AL Bunzlau I. Spośród więźniów niemal wszyscy byli Żydami. Przeważali Żydzi z terenów Polski i Węgier, a także z Holandii, Francji i Belgii. Obóz, składający się z 6 drewnianych baraków mieszkalnych i jednego gospodarczo-szpitalnego, otoczono drutem kolczastym i doposażono narożnymi wieżami dla strażników. Warunki w obozie, jak i w miejscu pracy, były fatalne. Jeden z dawnych więźniów wspominał, że trudną sytuację bytową pogarszała jeszcze postawa właściciela – Huberta Landa, który *„zatrzymywał chude racje i zastępował je tanim i zgniłym jedzeniem, które można było otrzymać bez kartek spożywczych. Personelowi kuchennemu zabroniono strugać lub myć zgniłe jedzenie przed gotowaniem, skutki wnet się pokazały. Robotnicy poczęli masowo chudnąć, wskutek głodu wpadli w letarg i nie byli w stanie sprostać rygorystycznym żądaniom vorarbeiterów"*.

Nie lepsi byli strażnicy niemieccy: *„co prawda surowi, ale nie mniej brutalni. Później jednak, kiedy dozorcy nie podlegali już żadnej kontroli, zaczęli szaleć; zadawali nam ciężkie rany, które wraz z niedożywianiem i warunkami sanitarnymi spowodowały wzrost śmiertelności. Wystąpiły infekcje, rozpowszechniła się szeroko biegunka, i bez aplikowania najprostszych leków (…) śmiertelność wzrosła z czterech-sześciu do około dwudziestu więźniów w tygodniu"*.[1]

Przez pierwsze lata głównym zadaniem sprowadzonych tutaj Żydów, była budowa elementów do baraków i wyrób mebli obozowych; ponadto wykonywanie dorywczych prac na potrzeby miejscowego zakładu. O jednej z nich więźniowie usłyszeli na placu apelowym jesienią 1943 roku, kiedy wręczono im łopaty, kilofy i wózki, po czym nakazano, jak najszybsze zniwelowanie gruntu naprzeciw obozu. Niespodziewane zlecenie przewidywało bowiem zbudowanie w krótkim czasie specjalnej hali. Dodajmy, że ówczesny właściciel zakładów odmówił wyposażenia więźniów w jakiekolwiek ochraniacze, co wielokrotnie doprowadziło do bolesnych otarć i ran, a nawet złamań.

Najprawdopodobniej wzniesienie owej hali zleciła, mająca stosowne upoważnienia, spółka „Weser-Flugzeugbau AG". O pojawieniu się jej filii w Bunzlau informuje dziennik wojenny Inspekcji Zbrojeniowej Dolnego Śląska z dnia 13 października 1943 roku. Czytamy tam, że zakwalifikowano jeden z bolesławieckich zakładów do kategorii tzw. W-Betriebe, co oznaczało wykonywanie zamówień na potrzeby Wehrmachtu. Ponieważ „Bunzlauer Holzindustrie Hubert Land" posiadał doświadczenie i maszyny do obróbki drzewnej, zapewne dlatego w pierwszym etapie zlecono wykonywanie rzekomych atrap, wybranych modeli samolotów!

Polski więzień, Józef Gortat, wspominał, że pracę tę wykonywano w dużej hali stolarskiej. Natomiast Stefan Słupek twierdził, że poza budową atrap, jako wykwalifikowany stolarz, wykonywał pewne prace w modelarni. Z kolei pracujący tu od września 1944 roku Wolf Szprinc, zeznał po wojnie: *„W Bunzlau było kilka grup roboczych. Przypominam sobie dwie – jedna pracowała przy produkcji drewnianych samolotów, które były przeznaczone jako atrapy celem wprowadzenia w błąd nieprzyjaciela; druga grupa, w której ja pracowałem, była zatrudniona przy budowie [elementów do] samolotów; komando nazywało się Weserflug"*.[2] Jednym z członków tej grupy był Józef Wilczewski, który najpierw budował makiety, po czym przeniesiono go do hali wytwarzającej części lotnicze. Nazwa grupy roboczej oczywiście nie była przypadkowa, ściśle nawiązywała do nazwy spółki lotniczej. Interesującą relację znajdziemy również w powojennej ankiecie Stanisława Gortata. Polski więzień, po budowie „atrap samolotów wojskowych", został skierowany do tzw. prac przygotowawczych, a dokładniej, do produkcji skrzydeł

Głaz upamiętniający funkcjonowanie w okresie II wojny światowej obozu pracy przymusowej Bunzlau I. Fot. Sz. Wrzesiński.

Po zakładach Huberta Landa do dzisiaj zachowały się dawne hale produkcyjne. Fot. Sz. Wrzesiński.

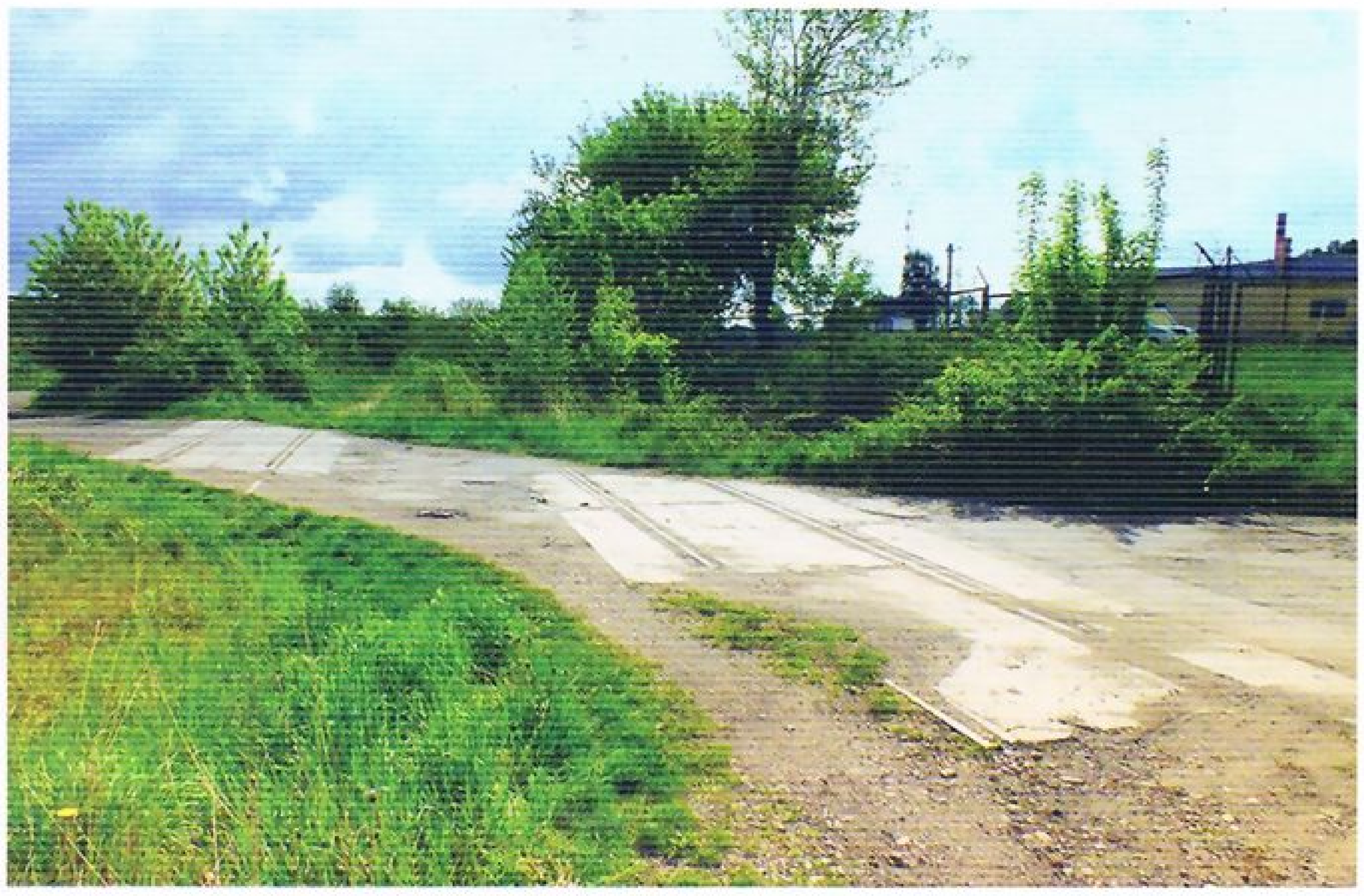

Pozostałości torów kolejowych położonych obok AL Bunzlau I. Fot. Sz. Wrzesiński.

przeznaczonych do dwusilnikowych samolotów. Niewykluczone, że chodziło o Focke-Wulfa Ta 154 Moskito, wyposażonego w dwa silniki Jumo. Świadczą o tym pośrednio ścisłe związki zakładów w Bunzlau z montownią tych samolotów w niedalekim Aslau (ob. Osła, niecałe 20 km od Bolesławca). Jednakże ową konstrukcję, której projekt określano kryptonimem Wespe, uznano za nieudaną, m.in. z racji zbyt słabej mocy silników, ograniczonej widoczności z kabiny pilota i braku sukcesów bojowych. Główną wadą techniczną była niedopracowana, drewniana konstrukcja kryta sklejką. Próbowano w ten sposób zaoszczędzić i usunąć różnice deficytowe duraluminium oraz innych metali.

Rodzi się więc zasadnicze pytanie: czy w Bunzlau rzeczywiście wykonywano atrapy samolotów?

Ogólnikowe zeznania więźniów, którym oprawcy przekazywali tylko lakoniczne dane o przeznaczeniu drewnianych konstrukcji, muszą budzić wątpliwości. Dlaczego? Ponieważ do budowy Ta 154 zużywano aż 57 proc. drewna i materiałów pochodnych (30 proc. samolotu było ze stali, a 13 proc. z duraluminium). Nawet poszycie większości powierzchni skrzydeł i kadłuba stanowiła sklejka, która w wielu modelach sprawiała problemy, gdyż wskutek słabej jakości kleju, po zetknięciu z wodą, potrafiła się rozwarstwiać. I wreszcie trzeba sobie zdać sprawę, iż budowa drewnianych atrap nie miała większego sensu pod koniec wojny.

Przy ówczesnym deficycie siły roboczej i materiałów oraz konieczności budowy jak największej ilości samolotów na rzecz III Rzeszy, dziwi pomysł wykonywania drewnianych atrap. Czemu w istocie miałoby to służyć? Ściągnięciu uwagi aliantów? Przecież starano się ukrywać tajną produkcję, przenosząc zakłady na Dolny Śląsk, a następnie stosując zakamuflowane nazwy albo maskowanie terenu.

Warto nadmienić, że sam Hubert Lande zabiegał o włączenie jego fabryki do programu zbrojeń. Ponadto z 3 stycznia 1944 roku zachował się dokument, mówiący o wytypowaniu poszczególnych zakładów obróbki drewna dla „Fertigungskreis Ta 154 Niederschlesien". Z kolei pojawienie się w Bolesławcu filii zakładów „Fahrzeug- und Motorenwerke", której powierzono wówczas tzw. śląski obwód programu Ta 154, po raz kolejny podpowiadają, o jaki model myśliwca chodziło.

Brama wejściowa do dawnego obozu Bunzlau II i zarazem zakładu „Concordia".

Tank, czołg, czy samolot?

W międzyczasie do Bolesławca zaczęto sprowadzać polskich więźniów, którzy wraz z Żydami mieli wznieść przy zakładach Landego kolejne dwie hale, oraz doprowadzić do nich bocznicę kolejową. Po ukończeniu prac, z myślą o więźniach z Gross-Rosen, uruchomiono tutaj warsztaty, remontujące czołgi, armaty oraz inny sprzęt wojskowy. Podobno prace wykonywane dla Wehrmachtu pod nadzorem niemieckich majstrów, realizowano na zamówienia tajemniczego przedsiębiorstwa Becco. Jednym z jej pracowników był Józef Greda: *„Najpierw pracowałem przy pracach polnych, potem przy urządzeniach wodnych, wreszcie w stolarni, budując fałszywe samoloty. Robiono je z drzewa (...). Potem przeniesiono nas do fabryki, gdzie remontowano czołgi"*.[3] Z kolei Abram Hendler, sprowadzony w lipcu 1944 roku z pobliskiego obozu pracy w Kittlitztreben (ob. Trzebień), dodaje: *„Pracowaliśmy przez 12 godzin w fabryce, która wyrabiała łóżka drewniane, baraki, samoloty z dykty tzw. Atrappenbau (...). Z biegiem czasu fabryka ta powiększała się. Budowaliśmy jeszcze dodatkowe hale, w których przeprowadzało się remont tanków i czołgów pod firmą »Becco«"*.[4]

I tym razem zeznania świadków zaczęły budzić w nas wątpliwości; pojawiły się więc pytania o sens remontowania pojazdów gąsienicowych tuż obok zakładu, wykonującego zamówienia dla

Luftwaffe. Tym bardziej, że czołgi naprawiano przede wszystkim w innych częściach Dolnego Śląska. Wydaje się, że mogło w tym przypadku dojść do mylnego zinterpretowania niemieckiego słowa „tank". Możliwe, iż nie oznaczał on remontu „pojazdu gąsienicowego", lecz części mechaniczne do samolotów oznaczone symbolem „Ta". Litery owe nie były przypadkowe; od połowy wojny nazywano tak konstrukcje zaprojektowane przez Kurta Tanka, m.in. wielozadaniowego myśliwca Focke-Wulfa Ta 154 Moskito! Miał on stanowić odpowiedź na brytyjski samolot „De Havilland Mosquito", o wyśmienitych osiągach i wykonanego w większości z drewnianych elementów. To właśnie Kurt Tank zaprojektował wstępną wersję konstrukcji, wykorzystującej sklejkę. Ponadto zasugerował, by wytwarzać dużą ilość elementów w zakładach dotychczas produkujących meble. Zakłady „Bunzlauer Holzindustrie" nadawały się do tego idealnie.

Budynki na terenie d. zakładu „Concordia" w Bolesławcu, gdzie funkcjonował obóz pracy przymusowej. Stan obecny. Fot. Sz. Wrzesiński.

W maju 1944 roku Organizacja Schmelt zakończyła w Bunzlau swoją działalność, zaś sam obóz (AL Bunzlau I), został przekształcony w podobóz Gross-Rosen. Wpłynęło to zarówno na reorganizację podporządkowania nowej komendanturze, jak i stan narodowy oraz ilościowy więźniów. Pierwszy kontyngent polskich i rosyjskich więźniów przybył do Bunzlau pod koniec tego samego miesiąca, a jego skład stanowiło około 50 murarzy i cieśli, których później przeniesiono do innego obozu na terenie miasta; z kolei do zakładu Landego sprowadzono nowe grupy więźniów żydowskich. Swój przyjazd nad Bóbr oraz życie w obozie i pracę, opisał między innymi Mozes Weiss: „*Lagerführer wygłasza przemówienie: »Powinniście wiedzieć, iż jest to wasze wieczyste miejsce pobytu. Musicie wiernie pracować, gdyż w przeciwnym razie dostaniecie się do krematorium«. (...) Na kolację otrzymaliśmy nieco czarnej, gorzkiej kawy. Bez chleba. W małym łóżku na podkładce z trocin, z cienkim kocem, musimy spać, ale całkiem nadzy. (...) O pół do czwartej rano rozlega się dzwonek, w pięć minut jesteśmy ubrani i już na placu apelowym. Otrzymujemy mały kawałek sztucznego chleba. Nic więcej. Zostajemy podzieleni na kolumny i pod ścisłą strażą prowadzi się nas do pracy w fabryce. Zawsze obok kilku mężczyzn znajduje się straż SS. Nie wolno mówić ani słowa. [Po kilku godzinach] rozlega się dzwonek na obiad. W szeregach po pięciu mężczyzn (...) maszerujemy do obozu. Po przybyciu zostajemy przeliczeni. Potem wszyscy muszą biegiem do baraków, co jednak nie jest możliwe, gdyż mamy na nogach ciężkie drewniaki. Jeden pada przez drugiego. Na obiad dostajemy łyżkę brukwi, które zwykle używa się jako karmę dla zwierząt. W pięć minut musimy być gotowi, by na nowo w szeregach wrócić do fabryki. Tak pracujemy do godziny ósmej wieczorem. Dziennie po 16 godzin. Lagerführer miał dwa duże psy, które szczuł na ludzi. Kogo te bestie dopadły, tego całkiem rozszarpały. (...) Dzień w dzień pracowaliśmy, w niedzielę aż do południa, po południu musieliśmy prać naszą bieliznę i suszyć ją na własnym ciele. Nie mieliśmy ani minuty spokoju. Ludzie z dnia na dzień słabli (...). Trzeba było pracować do ostatniej chwili, aż się padło i umarło. Gdy ktoś zmarł po jedzeniu, inni żałowali, że nie zmarł przed jedzeniem, bo można by chociaż zjeść jego porcję. (...) Jakże często prosiłem SS-mana przy pracy, by mnie zastrzelił, ale ten odpowiadał, że kula dla mnie jest zbyt droga, a ja muszę zdechnąć podczas pracy. Niestety, musiałem patrzeć na śmierć mojego brata Józefa, który (...) umarł z głodu. Jego syn i ja nie mogliśmy mu pomóc. Zwłoki leżały tygodniami, aż zabrał je samochód na spalenie. Wciąż przybywały nowe transporty, Żydzi z całej Europy, holenderscy, francuscy, belgijscy, [niemal] ze wszystkich zakątków...*".[5]

Kurt Tank przy samolocie własnej konstrukcji Focke-Wulf Fw 190. Źródło: NAC

Lotnicze zamówienia nad Bobrem

Spore zmiany nastąpiły także po drugiej stronie miasta w starym zakładzie przędzalno-włókienniczym przy Concordiastrasse (ob. ul. Orla), gdzie od jesieni 1943 roku rozpoczęła działalność spółka „Wesser-Flugzeugbau" z Bremy. Początkowo planowano wytwarzać w mieście podzespoły do montażu dwusilnikowego myśliwca Focke-Wulf Ta 154. 13 października po zakwalifikowaniu bolesławieckiego zakładu „Concordia" przez Inspekcję Zbrojeniową Dolnego Śląska, rozpoczęto wywożenie urządzeń tkackich oraz instalowanie w ich miejscu nowych maszyn.

Warto dodać, iż przed wojną funkcjonowała tutaj fabryka Samuela Samsona Wollera, żydowskiego przemysłowca, który ogromnego majątku dorobił się w Anglii, a dokładniej w Bradford, gdzie miał przędzalnię wełny czesankowej. W 1871 roku Woller dowiedział się, że w Bolesławcu, w miejscu po spalonym młynie wodnym, znajduje się doskonały teren do ulokowania kolejnej inwestycji. W 1888 roku bolesławiecką fabrykę przędzalniczą połączono z zakładem włókienniczym w Marklissie (ob. Leśna, powiat lubański), tworząc tym samym

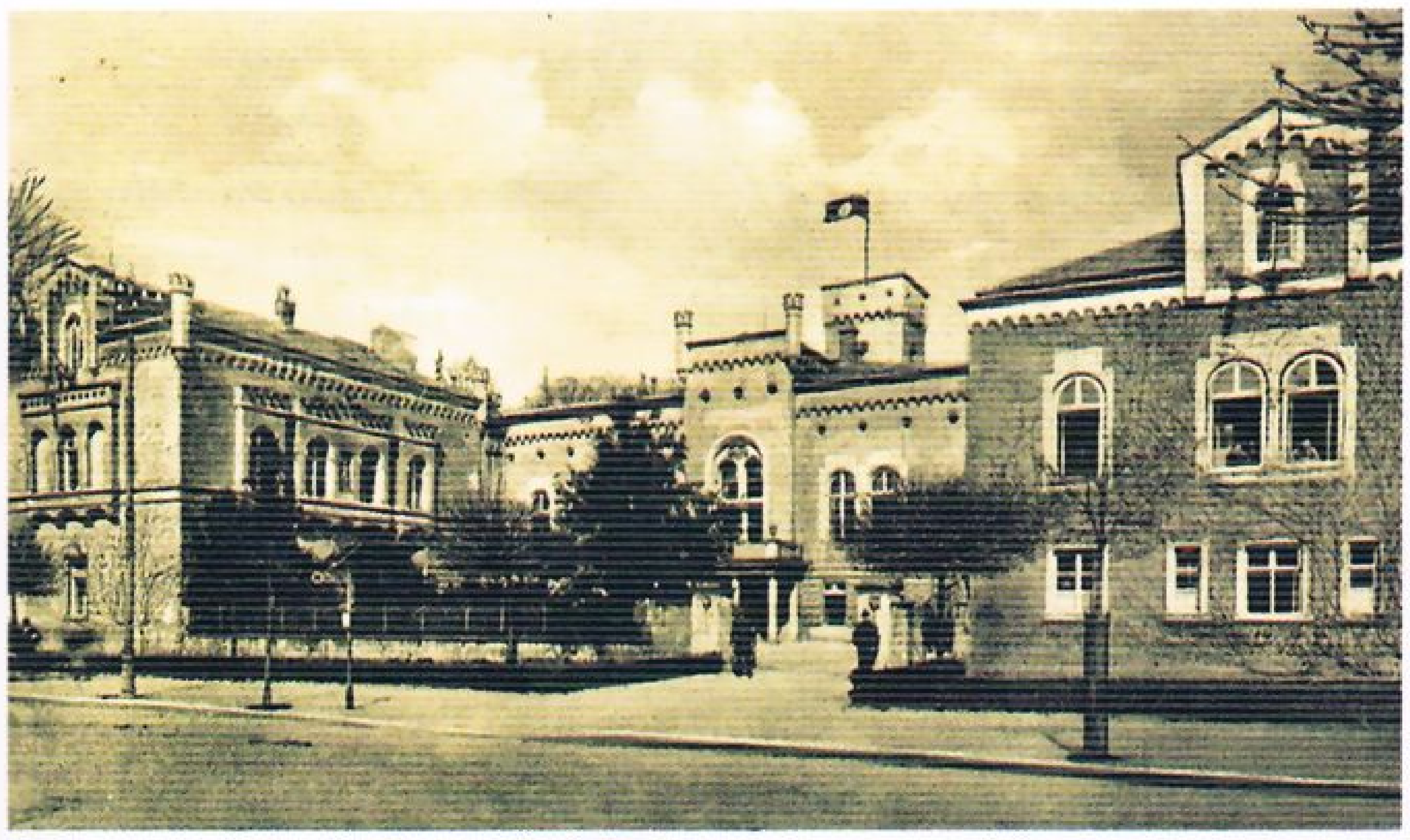

Pałac właściciela „Concordii" przekształcony w Gelände Sportschule. Bolesławiec, lato 1934 rok. Ze zbiorów Sz. Wrzesińskiego.

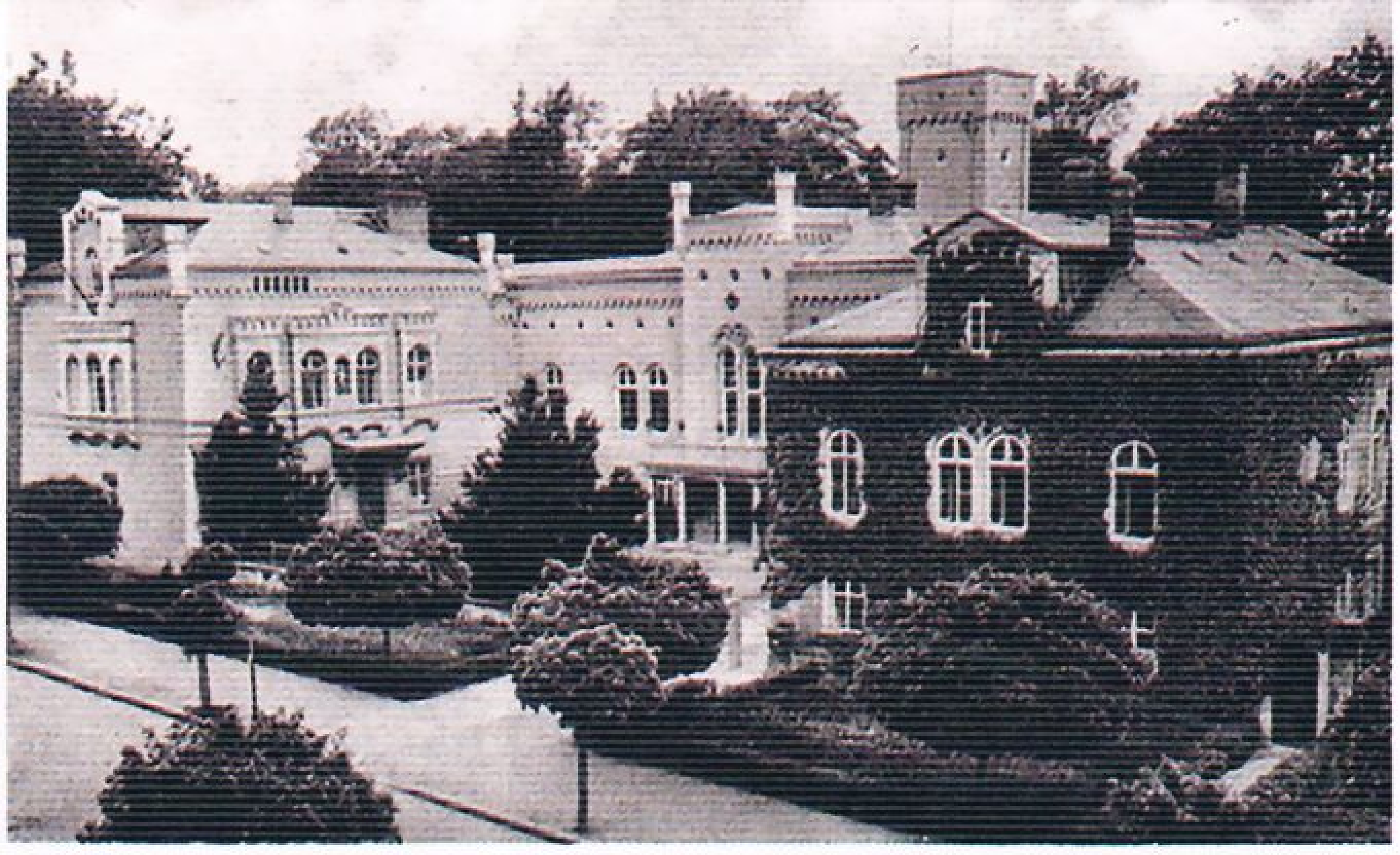

Rezydencja właściciela „Concordii" w 1943 r. funkcjonowała już jako Truppfüherschule 6 des R.A.D. Ze zbiorów Sz. Wrzesińskiego.

spółkę akcyjną. Na pamiątkę tego wydarzenia, na wieży najwyższego budynku w zakładzie nad Bobrem, umieszczono ogromny napis „Concordia" oraz zegar wyznaczający robotnikom czas pracy. Dynamicznie rozwijająca się firma stała się tak wielka, że w latach 20. XX stulecia w tutejszej przędzalni i tkalni zatrudniano aż 1000 pracowników.[6]

Kilkanaście lat później ogromny majątek Samuela Wollera musiał stanowić łakomy kąsek dla rosnących w siłę zwolenników Hitlera. Nie wiadomo dokładnie, w jakich okolicznościach zakład i rezydencja Wollerów przeszła na własność państwa, bądź tajemniczych udziałowców. Pewne jest to, iż w neogotyckim pałacu, co najmniej do połowy 1934 roku, funkcjonowała „Gelände Sportschule", podległa Oddziałom Szturmowym NSDAP (Sturmabteilung). Po „nocy długich noży", kiedy w wyniku walk wewnątrzpartyjnych wymordowano przywódców SA, straciła ona na znaczeniu. W Bunzlau wyrazem tego było przejęcie szkoły przez kolejną nazistowską organizację, zwaną Reichsarbeitsdienst. W efekcie przez kilka ostatnich lat wojny funkcjonowała tutaj „Truppführerschule 6 des R.A.D.".[7]

Inaczej potoczył się los zakładów o zakamuflowanej nazwie „Spinnerei und Weberei Concordia", w których ostatecznie uruchomiono produkcję podzespołów do sprawdzonego i cenionego w walkach powietrznych myśliwca Focke-Wulf Fw 190. Jednym z powodów była decyzja wrocławskiej Inspekcji Zbrojeniowej z 7 sierpnia 1944 roku, która nakazała włączyć podobozy w Bunzlau i niedalekim Aslau do wspólnej produkcji jednego z najlepszych niemieckich myśliwców II wojny światowej. Dwa tygodnie później zakład z Bolesławca stał się regionalnym centrum koordynującym priorytetową produkcję niemieckiego samolotu bojowego Fw 190, czego dowodzi zmiana kierownictwa nadzorującego na Śląsku produkcję ww. myśliwców.

Jedną z palących potrzeb nowo powstałego zakładu, było sprowadzenie taniej siły roboczej z KL Gross-Rosen. Podobóz AL Bunzlau II znacząco różnił się od okolicznych obozów, bowiem więźniów umieszczono nie w barakach, lecz na trzecim i piątym piętrze okazałego budynku bolesławieckiej „Concordii": *„Mieściły się tam tylko łóżka, stoły oraz pomieszczenie dla blokowego. Do bloku przylegały pomieszczenia sanitarne – ubikacje i umywalnie"* – wspominał Tadeusz Liberkowski. Inni więźniowie z AL Bunzlau II dodają, że na poddaszu prycze były dwupiętrowe, ustawione wzdłuż trzech ścian w kształcie podkowy. Z kolei okna, nie dość że były zakratowane, to jeszcze pod nimi przeciągnięto druty kolczaste. Natomiast na trzecim piętrze *„mieściły się, oprócz sprzętu mieszkalnego więźniów, ogrodzone części punktu sanitarnego na kilkadziesiąt osób [oraz] warsztaty – krawiecki i szewski"*.[8] Więcej o rewirze opowiedział 22 lata po zakończeniu wojny, dawny lekarz Jan Wójciński: *„W czasie mego przewiezienia do Bunzlau [w październiku 1944 roku] wydzielono z sali sypialnej pewną powierzchnię, oddzielono ją dyktą i przeznaczono na izbę chorych, w której przebywało przeważnie 12 osób. Chorzy umierali w następstwie chorób i wyczerpania"*.[9] Należy dodać, iż na tej samej kondygnacji ulokowano kancelarię obozową, zaś nadzór nad przeszło pół tysiącem więźniów (2/3 Polaków i 1/3 Rosjan) pełnili zarówno żołnierze Luftwaffe, jak i członkowie 12. Kompanii SS-Totenkopf-Sturmbann Gross-Rosen. W sumie około 25 Niemców.

Praca osadzonych w zakładzie „Concordia", była ściśle podporządkowana dyrektywom wspomnianej już spółki akcyjnej Weser-Flugzeugbau, co doskonale zapamiętał Henryk Boruta: *„Wszyscy pracowali w dwóch halach fabrycznych. Jedna hala służyła do wytwarzania samolotów z drzewa, a druga była przeznaczona do produkcji [metalowych] części samolotowych"*. Na jednym ze stanowisk pracował Edward Bednarek, który wspomina: *„Wierciłem i nitowałem nity do samolotów myśliwskich"*. Z kolei Edmund Kościelny dodaje: *„Początkowo pracowałem w komandzie »Ausschachten«, a potem przy wykonywaniu części, prawdopodobnie samolotowych"*. Pozostając na chwilę przy wydzielonych komandach, należy wspo-

zdarzyło się...

1 VI 1926 r.

89 lat temu Ignacy Mościcki został prezydentem Rzeczypospolitej Polskiej. Tego dnia Zgromadzenie Narodowe po raz drugi głosowało nad kandydatami na prezydenta RP. Tym razem wskazany przez Marszałka Józefa Piłsudskiego kandydat – wybitny chemik, prof. Ignacy Mościcki dostał 281 głosów, czyli potrzebną większość. Wybory były efektem przeprowadzonego przez Piłsudskiego zamachu majowego, w wyniku którego poprzedni prezydent Stanisław Wojciechowski zrezygnował. 31 maja Zgromadzenie Narodowe wybrało na prezydenta Piłsudskiego, ale ten nie przyjął urzędu. Do śmierci Marszałka w 1935 r. Mościcki (wybrany ponownie na prezydenta w 1933 r.) pełnił głównie funkcje reprezentacyjne. Po 1935 r. stał się jednym z głównych rozgrywających na polskiej scenie politycznej.

Schron wartowniczy na terenie zakładu „Concordia". Stan obecny. Fot. Sz. Wrzesiński.

Schron wartowniczy, budynek administracyjny i hale produkcyjne „Concordii" w Bolesławcu. Stan obecny. Fot. Sz. Wrzesiński.

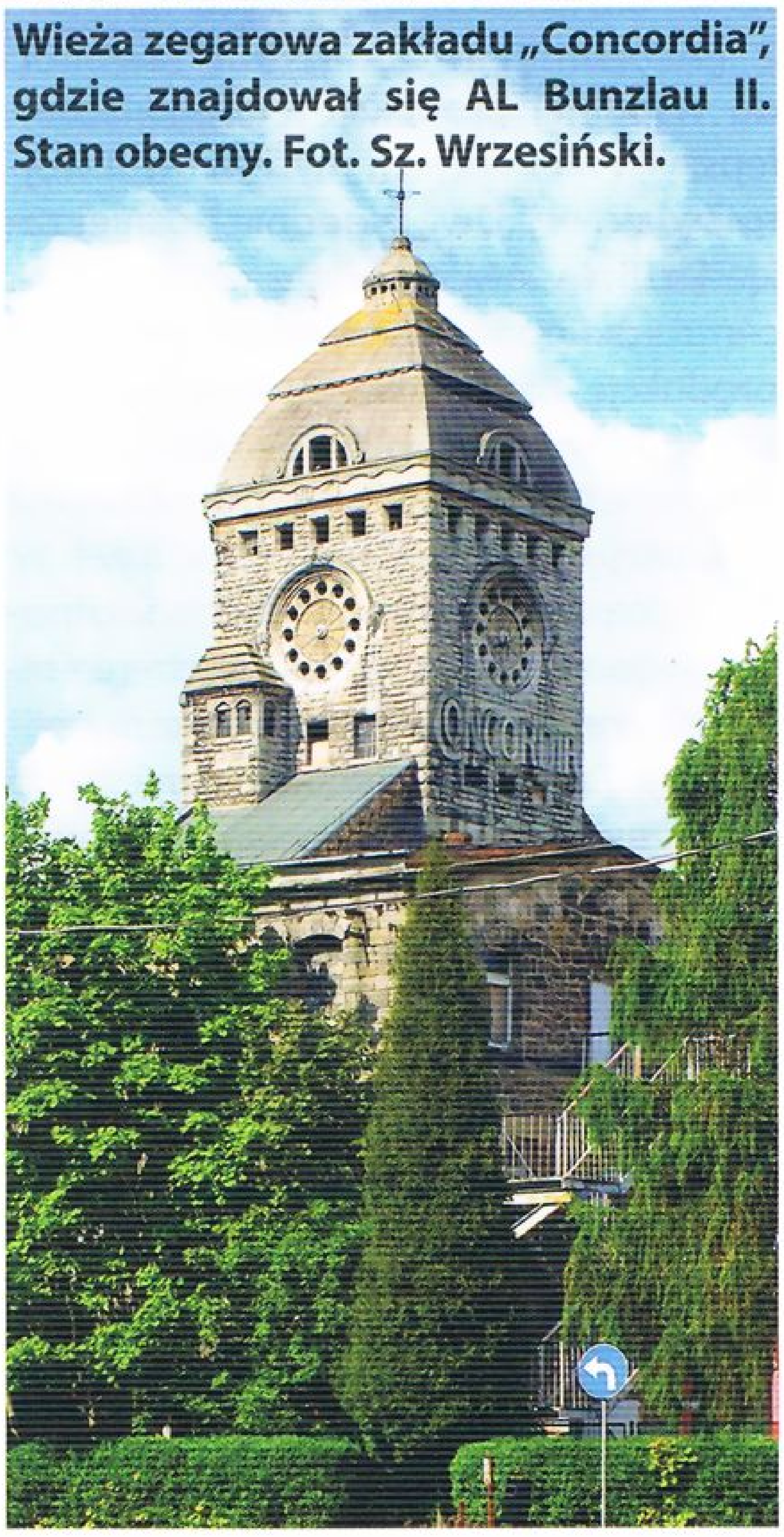

Wieża zegarowa zakładu „Concordia", gdzie znajdował się AL Bunzlau II. Stan obecny. Fot. Sz. Wrzesiński.

mnieć o grupie rozładunkowej, czy więźniach dokonujących przeglądu części blach aluminiowych. Co ciekawe, część więźniów nadmienia, iż prace na rzecz Luftwaffe wykonywano również poza zakładem „Concordia", kilkaset metrów dalej, po drugiej stronie brzegu: *„Pracowaliśmy na dwie zmiany przy produkcji części samolotowych, po 12 godzin z 5-minutową przerwą na picie kawy oraz 30-minutową na obiad, który spożywaliśmy przy warsztacie pracy. Przejście do pracy trwało około 5 minut przez ogrodzony drutem kolczastym most na rzece Bóbr"* – zapamiętał Tadeusz Liberkowski. Razem z nim pracował Henryk Botuta, który wyznał po latach: *„Chodziłem do pracy do drugiego budynku na montaż skrzydeł samolotowych"*. Wykonywano tam również inne fragmenty, czego dowodzą słowa Stanisława Koczwary: *„Fabryka ta była oddalona o jakieś 500 metrów od »Concordii«. Po przyjeździe do »Concordii« naszą grupę zatrudniono przy pracach ziemnych i budowie baraków za budynkiem fabrycznym. Po niedługim czasie z naszej grupy wybrano 8, może 10 młodszych, jeszcze »silniejszych«, między innymi i mnie, do pracy w tej drugiej fabryce przy nitowaniu kadłubów samolotowych"*.[10] Zdaniem miejscowego regionalisty – Zdzisława Abramowicza, mogło chodzić o nieistniejący już most stalowy, który kilkadziesiąt lat temu był przerzucony nad odnogą Bobru w pobliżu ul. Zgorzeleckiej, celem napędzania turbin prądotwórczych w „Concordii" (ob. kanał jest zasypany).

Warunki panujące w halach były różne, co wynikało z przydzielonych zadań oraz nadzoru. Były więzień Adam Dyląg utrwalił w swej pamięci pewien incydent, związany pośrednio z wykonywanym zadaniem: *„Pracując na hali pod nadzorem majstra, miałem zaufanie do niego. [Kiedy] poprosiłem o chleb, dał mi pół swego śniadania i od tej pory przynosił mi co dzień chleb, którym dzieliłem się z kolegami (...). Stefan zaproponował mi, czy nie mógłbym skombinować papier i ołówek, to on napisze list do domu, a wtedy wyślą mu paczkę, z którą podzieli się ze mną. Głód [tak] wielki panował, [że] dodał mi odwagi i powiedziałem to swemu majstrowi, który mocno się zastanowił. Ostrzegł mnie, co z tego może być i zagroził mi, abym więcej o tym nikomu nie mówił. Na drugi dzień majster, obywatel niemiecki, przyniósł mi papier i ołówek. Dałem to Stefanowi, który napisał i dał mi [gotowy list]. Przekazałem [go] majstrowi, żeby puścił. Spełnił moje życzenie, gdyż niedługo obaj kuzynowie Edek i Stefan otrzymali paczki z żywnością, co zaciekawiło SS-manów, dlaczego paczki nie szły przez lagier zbiorczy Gross-Rosen, a bezpośrednio do Bunzlau. Zaczęło się śledztwo. Bicie i tortury wymusiło prawdę. Koledzy wsypali mnie, a SS dobrało się do mojej skóry do tego stopnia, że postawili mnie na filar od parteru (...) na baczność ze związanymi do tyłu rękami (...). Stałem 6 godzin, zesztywniałem. Rano SS-man z trudem ściągnął mnie z tej stójki. Dalsze bicie i wypytywanie mnie nie dało wyników; mówiłem jedno i to samo: »Ja nic nie wiem! Oni kłamią, że dawałem listy i je puszczałem!«. Nieprzyznanie się do winy uratowało mi życie (...), a że nie wsypałem majstra, skorzystałem na tym. Polubił mnie i dalej nosił mi chleb. W dodatku zapoznał mnie z Niemkami, pracownicami narzędziowni. Co dzień, przed konwojem uzbrojonego wartownika, zbierałem z całej hali narzędzia i nosiłem je do wymiany i tam otrzymywałem od pracownic chleb i papierosy"*.[11]

Ewakuacja, nadchodzą Sowieci!

W pierwszej dekadzie lutego 1945 roku, wraz ze zbliżeniem się Armii Czerwonej pod Bolesławiec, zarządzono natychmiastową ewakuację dwóch podobozów. Węgier Józef Greda z Bunzlau I zeznał: *„Żydów podzielono na dwie duże grupy. Z 300 chorych więźniów utworzono jedną grupę. Drugą, liczącą około 700 osób, zabrali dalej. To były ludzkie cienie. Brakowało koni, ale na sanie ładowano odzież, żywność, z fabryki zabierano różne urządzenia, części (...). 14 lutego 1945 roku o świcie cztery [sowieckie] czołgi przełamały druciane ogrodzenia obozu..."*.[12]

Nerwy i pośpiech dały się odczuć także w drugiej filii Gross-Rosen nad Bobrem: *„Ewakuacja podobozu Bunzlau II – fabryki samolotów, rozpoczęła się dnia 12 lutego 1945 roku. Tego dnia przed świtem wyprowadzono więźniów zdolnych do marszu w liczbie około 430 osób* – zapamiętał lekarz obozowy Jan Wójciński. *Mnie włączono do grupy ewakuowanych. Przed wymarszem (...) na drogę nie*

dano nam żywności. Prowadzono nas pieszo, przebywaliśmy dziennie ok. 30 km, strzegli nas SS-mani. (…) [Skromny] posiłek otrzymywaliśmy raz dziennie. Marsz ten trwał 35 dni. (…) Co kilka dni rano (…) osłabłych i nie nadających się do marszu odłączano i odprowadzano do lasu. (…) [Potem] słyszałem strzały. (…) Podczas marszu, gdy więzień wyszedł z kolumny, by podnieść kawałek brukwi lub chleba, strzelano do niego. W drodze zginęło w ten sposób około połowy więźniów. Pod dotarciu do Gór Harcu przewieziono nas koleją do Dory".[13] Tam część więźniów skierowano na pewien czas do pracy w podziemnej fabryce…

○ ○ ○

Nie można wykluczyć wykonywania w Bunzlau również innych tajnych zleceń, niekoniecznie związanych z lotnictwem. Otrzymałem ostatnio interesujący list od Zdzisława Abramowicza, który miał okazję rozmawiać z polskim robotnikiem przymusowym, Polakiem: – *Człowiek ten, jak twierdził, pracował pod koniec wojny w odlewni żeliwa, położonej przy dzisiejszej ulicy Kościuszki, naprzeciwko Ceramiki Artystycznej. Odlewano tam między innymi bloki silników do miniaturowych łodzi podwodnych. Tyle udało mu się usłyszeć od niemieckich majstrów, bo jako dobry fachowiec został dopuszczony nawet do działu kontroli technicznej. Mimo to mieszkał wraz z niemal 300 innymi robotnikami w sali gimnastycznej (ob. w Technikum Mechanicznym przy ul. Prusa). Wstawiono do niej rzędy trzypiętrowych prycz, przez co panowała straszna ciasnota* – dodaje bolesławiecki regionalista.

Dziękuję Zdzisławowi Abramowiczowi za przekazane informacje oraz udostępnienie swych zbiorów ikonograficznych.

Na podstawie: Sz. Wrzesiński i K. Urban „Tajne kompleksy lotnicze III Rzeszy na Dolnym Śląsku i Ziemi Lubuskiej" (w druku, Agencja Wydawnicza CB z Warszawy).

Przypisy:

[1] Cyt. za: S. Schweitzer, M. Charon, „Simons langer Weg", Frankfurt a. M. 2002, s. 62

[2] Cyt. za: A. Konieczny, „AL Bunzlau I i AL Bunzlau II – filie KL Gross-Rosen w Bolesławcu", Wałbrzych 2004, s. 42.

[3] Cyt. za: relacja Józefa Gredy, Yad Vashem The Holocaust Martyrs' and Heroes' Remembrance Authority (dalej: Archiwum YV), sygn. 03/2962, s. 8

[4] Cyt. za: relacja Abrama Hendlera, Archiwum Żydowskiego Instytutu Historycznego w Warszawie (dalej: AŻIH), sygn. 919

[5] Cyt. za: relacja Mozesa Weissa, Archiwum YV, sygn. M-1/E-277/121, s. 5-7

[6] Pod koniec lat 20. XX w. „Concordia" zatrudniała we wszystkich swoich zakładach na Pogórzu Izerskim łącznie 2,5 tys. robotników.

[7] Więcej o szkołach nazistowskich na Dolnym Śląsku: Sz. Wrzesiński, K. Urban, „Hitler-Jugend na Dolnym Śląsku. Indoktrynacja – Siedziby – Poświęcenie", Warszawa 2015

[8] Cyt. za: A. Konieczny, „AL Bunzlau I i AL Bunzlau II…", s. 109

[9] Cyt. za: zeznanie Jana Wójcińskiego z 15 I 1977 r. przed Okręgową Komisją Badania Zbrodni Hitlerowskich w Katowicach.

[10] Cyt. za: A. Konieczny, „AL Bunzlau…", s. 118-119

[11] Cyt. za: A. Konieczny, „AL Bunzlau…", s. 120-121

[12] Cyt. za: relacja Józefa Gredy, Archiwum YV, sygn. 03/2962, s. 8

[13] Cyt. za: zeznanie Jana Wójcińskiego, j.w.

Z publikowanego w „Odkrywcy" cyklu „Podobozy KL Gross-Rosen, a przemysł zbrojeniowy III Rzeszy" ukazały się:

» cz. 1 „Więźniowie z Gebhardsdorf", nr 3/2015,

» cz. 2 „Więźniowie z Hirschberg im Riesengebirge", nr 4/2015.

» cz. 3 „Więźniowie z Bad Warmbrunn im Riesengebirge", nr 5/2015.

Szymon Wrzesiński

Historyk, autor książek: „Hitler-Jugend na Dolnym Śląsku. Indoktrynacja – Siedziby –Poświęcenie"; „Zamek Książ – legenda III Rzeszy"; „Na tropach skarbów i depozytów Trzeciej Rzeszy. Kulisy rewindykacji i poszukiwań terenowych na Dolnym Śląsku"; „Skarby III Rzeszy ukryte na Dolnym Śląsku. Relacje, dokumenty, wspomnienia"; „Podziemne tajemnice III Rzeszy na Dolnym Śląsku"; „Pogórze Izerskie w cieniu swastyki". Kontakt: Sz_Wrzesinski@wp.pl

REKLAMA

Kwadrat nad Kaczawą

LESZEK ADAMCZEWSKI

To była „mała Moskwa", dla wielu Polaków symbol niesuwerenności państwa rządzonego nie z Warszawy, lecz z Legnicy lub z Moskwy via Legnica. W ostatnią niedzielę stycznia 1992 roku w tejże Legnicy byłem świadkiem wydarzeń niezwykłych, gdy Północna Grupa Wojsk, już nie Armii Radzieckiej lecz Federacji Rosyjskiej, po prawie pół wieku pobytu nad Wisłą i Odrą żegnała się z Polską. Gdy w końcu Rosjanie opuścili Legnicę, okazało się, że – w co trudno uwierzyć – ocalili oni perełki architektury tego starego miasta śląskiego. My natomiast zabytkowe kamieniczki rozebraliśmy na cegły dla odbudowywanej Warszawy.

Na okładce 40. numeru wrocławskiego tygodnika „Schlesische Illustrierte Zeitung" z 3 października 1936 r. widać Adolfa Hitlera stojącego w odkrytej limuzynie i oglądającego mapę, podsuniętą mu przez generalnego inspektora budowy niemieckich autostrad, dr. inż. Fritza Todta. Zdjęcie to wykonano 27 września tegoż roku w Klettendorfie (Klecina, obecnie dzielnica Wrocławia), gdzie Führer wziął udział w otwarciu 61-kilometrowego odcinka autostrady od Breslau (Wrocławia) do Kreibau (dzisiaj Krzywa koło Bolesławca). Dzień później dziennik „Liegnitzer Tageblatt" informował, że: *„uroczystość ta to zarazem ukończenie tysięcznego kilometra autostrad, które wypadło w trzecią rocznicę wbicia przez Führera we Frankfurcie nad Menem pierwszej łopaty pod budowę autostrad Rzeszy"*. Po uroczystościach w Klettendorfie mercedes Hitlera przerwał białą wstęgę, zawieszoną na dwóch masztach, symbolicznie otwierając tę nową arterię komunikacyjną. I w towarzystwie wybranych samochodów ciężarowych i osobowych, a także 20 nowych pojazdów niemieckiego przemysłu samochodowego oraz honorowej eskorty Narodowosocjalistycznego Korpusu Motorowego, otwartym odcinkiem pojechał w kierunku Liegnitz (Legnicy). Tam już od kilku godzin, na przystanku autostradowym Liegnitz i wzdłuż legnickiego odcinka autostrady, na Führera czekały rozentuzjazmowane tłumy. Gdy kilka minut po godzinie 15:00 Hitler tam się pojawił, entuzjazm sięgnął zenitu. On zaś – jak pisała legnicka gazeta – *„stojąc w samochodzie nieprzerwanie odpowiadał na powitania"*. Hitlera witali przedstawiciele władz rejencji, powiatu i miasta Liegnitz. Reporter „Liegnitzer Tageblatt" kontynuował swą relację: *„W dalszej części zameldowali się u Führera dowódca brygady SA Wolter oraz dowódca Hitlerjugend Florsch. Kilka minut później przy wiwatach tłumów samochód Führera ruszył na czele kolumny w kierunku Kreibau"*. Do Legnicy tego dnia nie zajrzał.

Stare Miasto w Liegnitz na przełomie lat 30. i 40.

Ze wszystkich miast śląskich właśnie Liegnitz Hitler cenił najbardziej. I ponoć, tak po ludzku, lubił to miasto. Szły za tym niemałe środki finansowe na jego rozwój, chociaż z biegiem lat w pejzażu nazistowskiej Legnicy coraz częściej dominowały inwestycje militarne, jak budowa lotniska, koszar i gmachu sztabu 18. Dywizji Piechoty. Jej organizacją zajął się gen. Hermann Hoth, a jego następcą został jeden z najbardziej znanych dowódców z lat II wojny światowej, wybitny taktyk, generał, a później feldmarszałek, Erich von Manstein. W 1937 r. do Liegnitz przyłączono okoliczne miejscowości, powiększając obszar miasta o ponad 800 hektarów. Jego znaczenie polityczno-administracyjne znacznie wykraczało poza granice miasta, a nawet powiatu. Legnica była bowiem stolicą dużej rejencji, w której granicach znalazły się: Grünberg (Zielona Góra), Hirschberg (Jelenia Góra) i Görlitz (Zgorzelec), a nawet leżąca daleko na zachodzie Hoyerswerda.

Główny dworzec kolejowy w Liegnitz na kolorowej widokówce z lat II wojny światowej.

Dzielny syn Piastów

Dzisiaj nie da się już ustalić, czy Hitler wiedział, że w jego ulubionej Lie-

gnitz znajduje się, wstydliwie ukrywane przed opinią publiczną, mauzoleum. To zachowane w kościele św. Jana mauzoleum rodu Piastów Śląskich, zbudowane z inicjatywy Ludwiki, żony legnickiego księcia Krystiana i matki ostatniego Piasta, Jerzego Wilhelma, który zmarł na ospę 21 listopada 1675 r. w wieku zaledwie 15 lat. Obok wnęk z pięcioma sarkofagami ostatnich Piastów w mauzoleum znajdują się malowidła, przedstawiające dzieje tego rodu m.in. chrzest Mieszka I i koronację Bolesława zwanego Chrobrym. Na skromnej zaś płycie z marmuru widnieje napis: *„Bogobojnym cieniom przodków z Piastowskiego Domu, który wziął początek z Piasta roku Chrystusowej ery 775, dał Sarmacji 24 królów i wielu panujących, Śląskowi 122 książąt, Kościołowi 6 arcybiskupów i biskupów, Północy wiarę, naukę i urządzenia państwa, świątynie, miasta, zamki i grody, staraniem władców pobożnych, chrobrych, świętych, przedsiębiorczych, łagodnych i hojnych Niemcy uchronił przed tatarską nawałą”.* Zaskakiwać może rok 775 jako początek panowania dynastii Piastów, ale biorąc pod uwagę zapiski z kroniki Galla Anonima, który wymienia czterech poprzedników urodzonego ok. 930 r. Mieszka: Piasta, Siemowita, Lestka i Siemomysła, jest to data prawdopodobna.

Prusacy, którzy zajęli Legnicę w 1740 r., nie odważyli się zniszczyć mauzoleum, chociaż przez ponad 200 lat twierdzili, że piastowscy książęta śląscy byli... Niemcami. Gdy w 1741 r. na Śląsk zjechał król Prus Fryderyk II Wilhelm, kazał witać siebie jako *„dzielnego syna Piastów”*. Miał on wprawdzie po kądzieli domieszkę ich krwi, ale ten Hohenzollern wiedział też, że na Śląsku opłaca się podkreślać powinowactwo z Piastami. *„Niemcy wcale nie opiekowali się mauzoleum. Wnętrze było zaniedbane, zakurzone, zapomniane przez konserwatorów. Mauzoleum nie odnotowywano w przewodnikach, przemilczano jego istnienie. Dobrze, że go nie zlikwidowano”* – wiele lat po wojnie mówił jeden z pierwszych polskich osadników, Edward Domiński. Historycy zaś twierdzą, że zdecydowanej większości mieszkańców Legnicy, którzy wiedzieli o istnieniu mauzoleum, nie kojarzyło się im z najstarszymi dziejami Polski.

Hala odjazdów pociągów legnickiego dworca na przełomie zimy i wiosny 1945 r. w obiektywie operatora radzieckiej kroniki filmowej.

Wyrok na miasto nad Kaczawą został wydany. Zasiedlaną przez Polaków Legnicę trzeba było powtórnie zdobyć. I zdobyto. W lipcu 1945 r. Rosjanie bezceremonialnie wyrzucili Polaków z lewobrzeżnej części miasta. Gdy we wrześniu zezwolono Polakom na powrót, trzecia część Legnicy otoczona była murem…

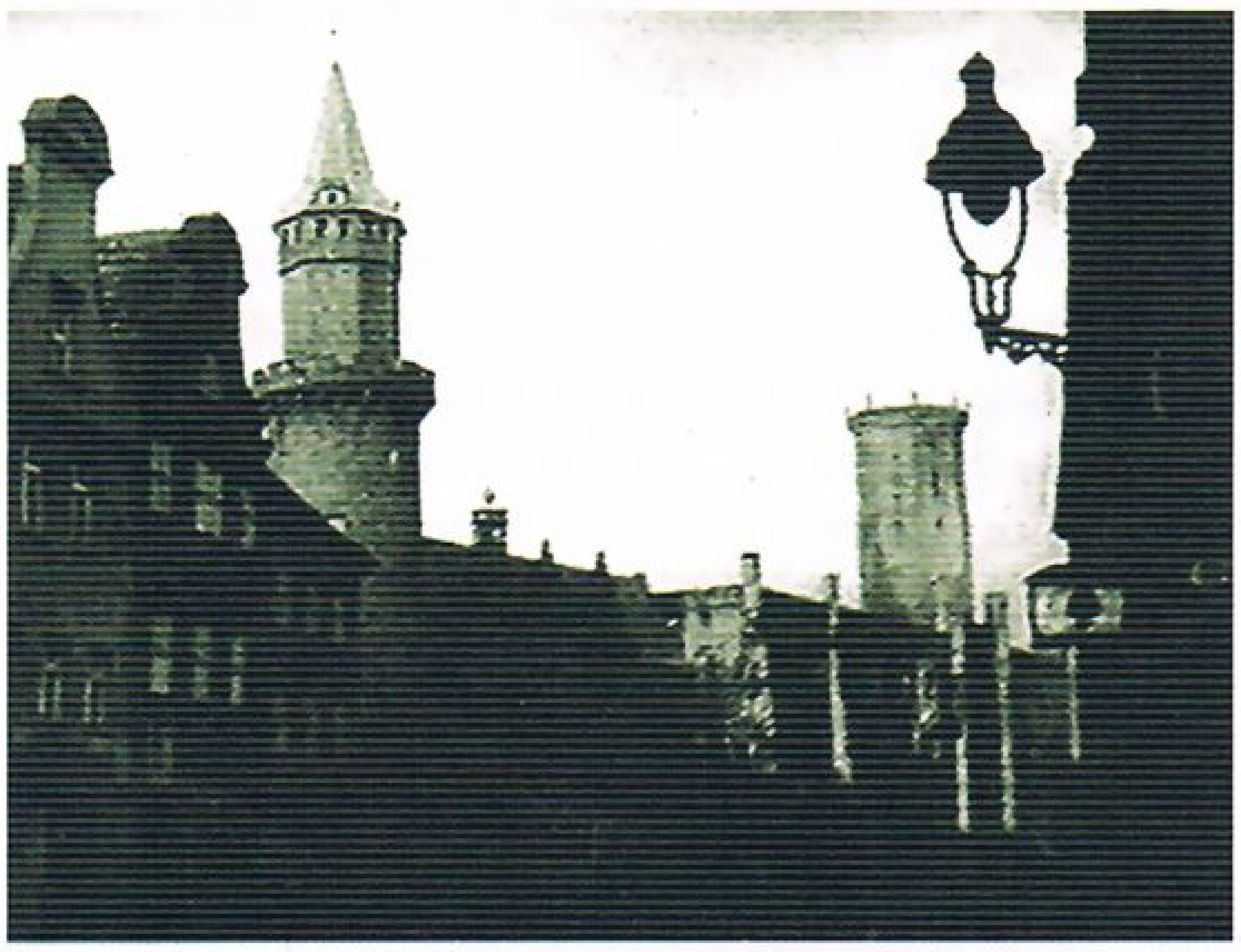

Niezniszczone miasto, czyli Liegnitz tuż po zajęciu przez Armię Czerwoną. Wiele z widocznych na tych kadrach z kroniki filmowej budynków spłonie 9 maja 1945 roku.

„Bitwa” o Liegnitz

Tocząca się z dala od Liegnitz wojna, znana była mieszkańcom z relacji prasowych i radiowych oraz kronik wyświetlanych w kinach. Wojenne ograniczenia dotyczyły jednak wszystkich. Podstawowe artykuły spożywcze sprzedawano na kartki, a artykuły przemysłowe na talony. Z powodu zaciemnienia miasta po zmierzchu niebezpiecznie było poruszać się po ulicach. Zakłady przemysłowe przestawiono na produkcję zbrojeniową. Do 1942 r. z legnickich ulic zniknęli ostatni Żydzi, a za to pojawili się cudzoziemscy robotnicy przymusowi oraz inwalidzi wojenni – Niemcy bez rąk lub nóg. W setkach rodzin opłakiwano poległych. Ta, nieco senna, atmosfera wojennej Legnicy prysła na początku lutego 1945 roku. Leżące dotychczas w bezpiecznej

Mauzoleum Piastów Śląskich w legnickim kościele świętego Jana.

Obecny kościół katedralny pod wezwaniem świętych apostołów Piotra i Pawła na legnickim Starym Mieście.

odległości od frontu miasto, nagle, niemal z dnia na dzień, znalazło się w jego bezpośrednim sąsiedztwie. Z Liegnitz błyskawicznie ewakuowano cywilnych mieszkańców. Gdy kolumny wozów z uciekinierami wyjeżdżały z miasta, z przyczółka ścinawskiego radzieckie oddziały, wchodzące w skład 1. Frontu Ukraińskiego, ruszyły na Kotzenau (Chocianów) i Haynau (Chojnów), a 9. Korpus Zmechanizowany Gwardii, obchodząc Liegnitz od północy, uderzył od strony zachodniej. Był 9 lutego 1945 roku. Wielkich walk o miasto nie było, bo oddziały niemieckie, bojąc się okrążenia, wycofały się na bezpieczniejszą pozycję. Tylko grupa policjantów i volkssturmistów broniła starego zamku, pamiętającego czasy Piastów Śląskich. Do drobnych potyczek doszło też na peryferiach Legnicy.

Wydawany w Krakowie „Dziennik Polski", opierając się na informacjach radzieckich, 12 lutego tak pisał: *„Ciężkie walki toczyły się o wielkie miasto przemysłowe Lignicę* [tak po wojnie w Polsce nazywano Legnicę – przyp. L. A.], *przekształconą przez Niemców w potężny punkt oporu. Idąc przebojem naprzód, czołgi sowieckie wdarły się do miasta od północy. W tym czasie zespoły piechoty zadały cios od południa. Zacięte walki uliczne trwały cały dzień. Wojska radzieckie w niedzielę* [11 lutego] *zupełnie opanowały Lignicę".* W podobnym duchu „bitwę" o Liegnitz w 1960 r. opisał płk Wasilij Bondarenko. Ten radziecki oficer nie wziął pod uwagę jednego. Zachowała się radziecka kronika filmowa, pokazująca Liegnitz tuż po zajęciu przez Armię Czerwoną. W wielkiej hali legnickiego dworca kolejowego nie widać jakichś poważniejszych zniszczeń. Cały jest zamek i pobliskie kamieniczki. Żadnych zniszczeń nie widać również na ulicach i uliczkach Starego Miasta, patrolowanych przez czerwonoarmistów, w tym przez czołgi. Jedynym praktycznie śladem, że w minionych dniach doszło tu do jakichś zdarzeń, są leżące, gdzieniegdzie, na ulicach zwłoki. Bowiem – co widać na ekranie – w prezentowanych miejscach nawet tramwajowa sieć trakcyjna nie została zerwana...

„Podczas walk o Legnicę najbardziej ucierpiał zamek. Spłonęło też kilka okolicznych domów" – na początku XXI w. mówił przed kamerą, podczas realizacji filmu dokumentalnego „Lignica" z cyklu „Prawdziwy koniec wielkiej wojny", przedstawiciel legnickiej mniejszości, Jürgen Gretschel. Skąd zatem bierze się powtarzana przez niektórych history-

Wieża świętej Jadwigi zamku piastowskiego w Legnicy.

Dawny Dom Oficera jest dzisiaj siedzibą Kurii Biskupiej diecezji legnickiej.

ków liczba ok. 120 zniszczonych w lutym budynków i 848 poważnie uszkodzonych? Czyżby wiedzę o „bitwie" o Liegnitz czerpali oni z mocno przesadzonej relacji płk. Bondarenki? We wspomnianym filmie Gretschel dodał, że dopiero 9 maja 1945 r., podczas świętowania kapitulacji III Rzeszy, pijani czerwonoarmiści spalili kilkaset budynków. Już wtedy w Lignicy przebywali przedstawiciele władz reprezentujących opanowany przez komunistów z PPR Rząd Tymczasowy RP, chociaż zachodnia granica Polski nie została jeszcze wytyczona. Ale pierwsze grupy pionierów nie miały wtedy wątpliwości. To miasto, dawna siedziba Piastów Śląskich, musi znaleźć się w Polsce. Również pełnomocnik rządu RP na okręg Dolny Śląsk, Stanisław Piaskowski, wybrał Lignicę na tymczasową stolicę województwa. Wszak Wrocław leżał w gruzach. Ale nad miastem nad Kaczawą już gromadziły się nie tyle czarne, co czerwone chmury...

Powtórne zdobycie miasta

W czerwcu 1945 r. Lignicę odwiedził dotychczasowy dowódca 2. Frontu Białoruskiego, marszałek ZSRR, Konstanty Rokossowski, któremu Naczelne Dowództwo Armii Czerwonej, dyrektywą nr 11.097 z 10 tegoż miesiąca, nakazało przekształcić front w Północną Grupę Wojsk stacjonującą w Polsce. Zapewne miasto nad Kaczawą spodobało się marszałkowi, ponieważ, wbrew sugestiom Moskwy (na Kremlu brano pod uwagę Łódź, Bydgoszcz, a nawet pełen wiekowych zabytków Toruń), właśnie Lignicę wybrał na siedzibę dowództwa i sztabu Północnej Grupy Wojsk. I do tego wyboru Rokossowski, jako jej pierwszy dowódca, przekonał Stalina. Prawdopodobnie brał on pod uwagę bliskość radzieckiej strefy okupacyjnej Niemiec, ale także fakt, że Lignica po wojnie rozpoczynała jakby nowy żywot. Niemców – rozumował – się wypędzi, a Polaków nie przyjmie. W Lignicy odpadało więc to, co czekałoby polskich mieszkańców Łodzi, Bydgoszczy czy Torunia – przesiedlenia dziesiątków tysięcy ludzi i idące za tym dramaty.

Wyrok na miasto nad Kaczawą został zatem wydany, ale stopniowo zasiedlaną przez Polaków Lignicę trzeba było powtórnie zdobyć. I zdobyto. W lipcu 1945 r. Rosjanie bezceremonialnie wyrzucili Polaków z lewobrzeżnej części miasta. Natychmiast musiały ją opuścić wszystkie polskie urzędy, w tym również te rangi wojewódzkiej. Gdy we wrześniu zezwolono Polakom na powrót, trzecia część Lignicy otoczona była murem. Posterunki Armii Czerwonej przepuszczały tylko obywateli ZSRR i pracujących dla nich legnickich Niemców. W ten sposób wysiedlenia do okupowanych Niemiec uniknęła rodzina kilkuletniego wtedy Jürgena Gretschela. On sam obywatelstwo polskie uzyskał dopiero w 1970 roku.

Oprócz tzw. Kwadratu, czyli części Legnicy (ta nazwa miasta obowiązuje od końca lat 40. XX w.) zajmowanej przez Armię Radziecką, do Rosjan należały też inne obiekty w polskiej części miasta, choćby monumentalny Dom Oficera czy zabytkowy gmach Akademii Rycerskiej. Przez wiele lat Legnica była siedzibą dowództwa Północnej Grupy Wojsk Armii Czerwonej, później Radzieckiej, a w końcu Federacji Rosyjskiej. W latach 1984-1990 dowództwo to przeniosło się do Świdnicy, a w Legnicy ulokowano Naczelne Dowództwo Wojsk Kierunku Zachodniego.

Dom Oficera wart mszy

W oficjalnym zaproszeniu, które na początku 1992 r. dotarło do redakcji „Głosu Wielkopolskiego", gdzie wówczas pracowałem, nie wymieniono tego punktu programu, ale w ostatniej chwili znajomi oficerowie z dowództwa Śląskiego Okręgu Wojskowego poradzili mi, bym wcześniej przyjechał do Legnicy i przyszedł do kościoła pw. św. apostołów Piotra i Pawła, a zobaczę coś, co będę pamiętał do końca życia. I rzeczywiście, w świątyni tej w niedzielę, 26 stycznia 1992 r., byłem świadkiem wydarzenia niezwykłego. Oto na mszy świętej celebrowanej

Symbol dawnych czasów, czyli pomnik braterstwa broni polsko-radzieckiej w centrum Legnicy na zdjęciu z 2004 roku.

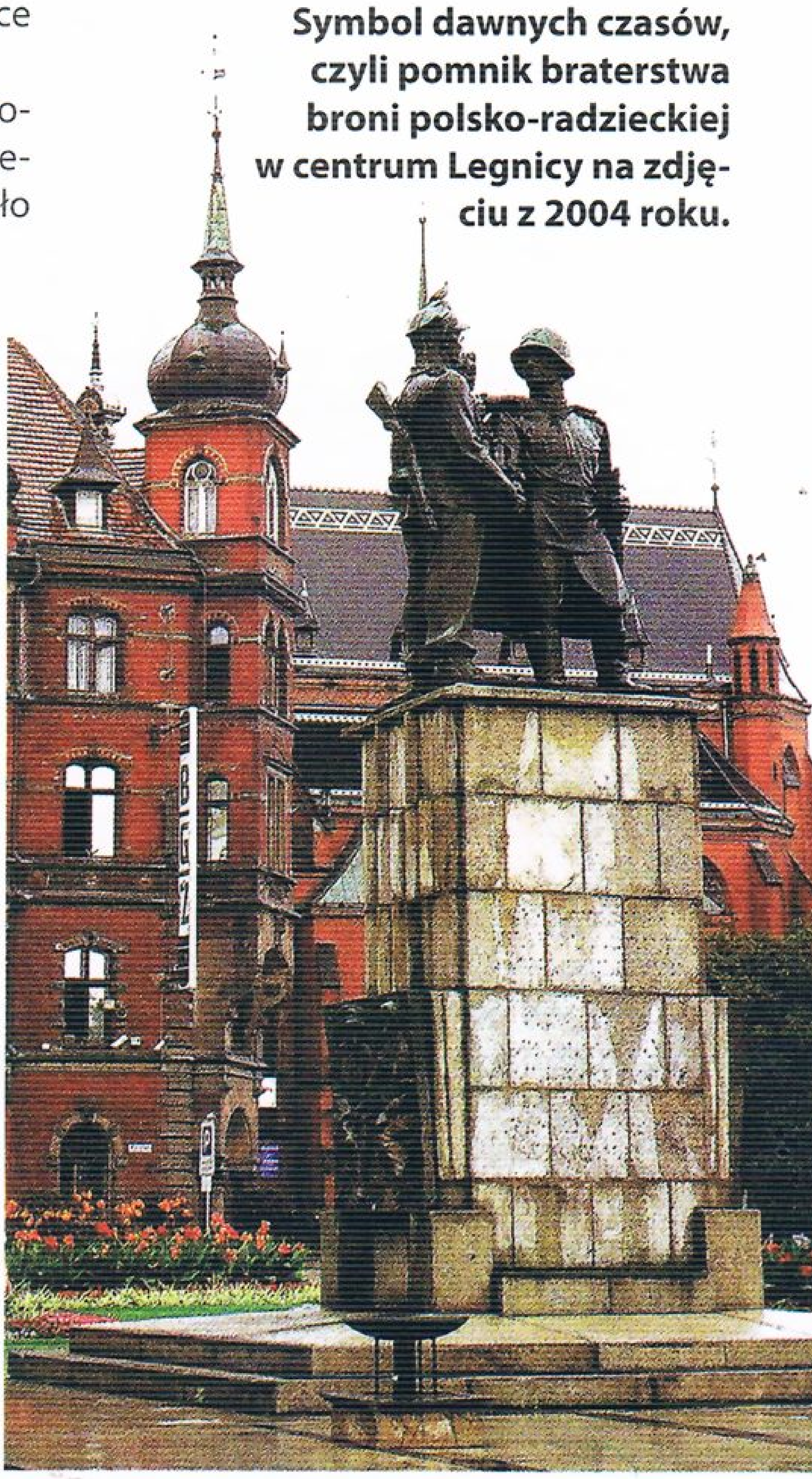

Metropolita wrocławski, kardynał Henryk Gulbinowicz w otoczeniu oficerów rosyjskich. Takiej sceny trudno było sobie wyobrazić w czasach Polski Ludowej. Wycinki z „Głosu Wielkopolskiego" z końca stycznia 1992 roku.

„Głos Wielkopolski" – nr 23 (14933), wtorek 28 stycznia 1992

Rozstanie z armią

Przyzwyczajenie to ponoć druga natura człowieka. Nic zatem dziwnego, że oficerowie stacjonującej w Polsce Północnej Grupy Wojsk byłej Armii Radzieckiej od czasu do czasu się zapominają, używając jeszcze słowa *„tawariszcz"*. Acz kolwiek gwoli ścisłości muszę przyznać, że podczas kilku godzin spędzonych w minioną niedzielę w Legnicy w towarzystwie oficerów rosyjskich, na każdym kroku słyszało się niemal już chyba zapomniane w dawnym Związku Radzieckim słowo *„gospodin"*, lub jego polski odpowiednik „pan", z rosyjskim wprawdzie akcentem...

Zaczęło się bardzo uroczyście. Na celebrowanej przez metropolitę wrocławskiego, księdza kardynała Henryka Gulbinowicza, mszy świętej w legnickim kościele Świętych Apostołów Piotra i Pawła, która to świątynia ma być wkrótce katedrą nowej diecezji, stawiło się całe dowództwo Północnej Grupy Wojsk z generałem pułkownikiem Wiktorem Dubyninem.

Wkrótce potem generał D... gościł kardynała Gulbino... przedstawicieli władz w... twa legnickiego w znajdu... na skwerze... Orląt Lwow... mu Oficera PGW. Tam te... ła ceremonia podpisania... kazania tego obszernego... częściowo spalonym n... listopada minionego ro... Skarbowi Państwa rej... nemu przez wojewodę... który z kolei przekaza... sowy Dom Oficera na... ścioła katolickiego. Z... swe pomieszczenia... (na przykład kuria... mającej wkrótce po... legnickiej.

—Symboliczne je... generał Dubynin — ... *mu Oficera, gdzie... kształtowano pos... i kultury ludzi ra... przekazany Koś... katolickiemu Rz... skiej. My, ofic... Grupy Wojsk w... niem i miłości... cieszy się Koś... cki. Odwieczn... kształtuje wśr... znajdowały z... cie wśród żo...*

Były poda... sama, kurt... cielska atm... kadziesiąt minut później... równie uroczystego otwarcia Szkoły Biznesu — filii wrocławskiej Akademii Ekonomicznej — w budynku przekazanym Skarbowi Państwa przez PGW. W szkole tej, przy pomocy specjalistów polskich, przekwalifikowywać się będą na *menedżerów* ci oficerowie rosyjscy, którzy *przechodzą* do rezerwy w związku z redukcją sił zbrojnych dawnego Związku Radzieckiego.

Ale czar prysł kilkanaście minut później, gdy w budynku szkoły rozpoczęła się konferencja prasowa. Generał Dubynin ostro zaatakował tych polityków i dziennikarzy polskich, którzy — jego zdaniem — wypaczają naszej opinii publicznej obraz PGW i intencje jej dowództwa. Generał zapewnił, że do 15 listopada 1992 roku nie będzie w Polsce ani jednej jednostki bojowej Północnej Grupy Wojsk, a do końca przyszłego roku pozostanie tylko 6000 żołnierzy dla nadzorowania tranzytu przez terytorium Rzeczypospolitej Zachodniej Grupy Wojsk byłej Armii Radzieckiej z Niemiec. Tych 6000 żołnierzy nie będzie stanowiło żadnego zagrożenia dla państwa polskiego.

„...oficjalni przedstawiciele dwóch biednych państw publicznie targowali się o pieniądze"

Dowódca PGW poinformował je... ...nie, że w minionym roku ... 10.250 żoł...

Zdaniem ... dowództwo PGW powinno ... czyć się z obiektów dzierżawionych, obiektów wybudowanych w Polsce ze środków własnych, a także ze strat ekologicznych w szerokim znaczeniu tego sformułowania. Pełnomocnik rządu RP zaproponował powołanie dwustronnych komisji ekspertów, które uczciwie, bez naciągania, oszacowałyby wartość strat ekologicznych spowodowanych przez wojska radzieckie w Polsce oraz koszty przywrócenia do stanu używalności obiektów przez te wojska dzierżawionych.

— Rząd polski chce przyjąć wszystkie obiekty, które wybudowali Rosjanie, nawet jeśli niektóre z nich nie są nam potrzebne. Jeśli okaże się po uczciwym rozliczeniu, że Rosjanie są nam coś winni, gotowi jesteśmy przyjąć opcję zerową. Jeśli natomiast my będziemy Rosjanom coś winni, to jesteśmy gotowi za to zapłacić w ramach rozliczeń handlowych z Rosją.

Gentelmeni nie dyskutują o pieniądzach, oni je po prostu mają. Tymczasem ani Polska, ani Rosja, która formalnie przejęła zwierzchnictwo nad Północną Grupą Wojsk byłej Armii Radzieckiej, pieniędzy nie mają.

— Strona rosyjska winna jest nam — kontynuował generał Ostrowski — *33 miliardy 870 milionów złotych za czynsze w minionym roku, za przewóz wojsk* — ponad 25 milionów franków szwajcarskich, za dostarczone artykuły spożywcze — 3,5 miliona dolarów, ...ię elektryczną — prawie ...

...i w ciągu ...h miesię... ...ą generał ...kazać jed... ...ji i zrozu... *...cały świat ...o za super... ...istnieje. Ro... ...nnymi trud... ...stkim finan...* ...nikt dziś nie *...rugiej wojnie ...adziecki kar... ...ły miliardy...*

...obu generałów ...zaciszu gabine... ...o, lecz na wype... ...rzami sali, przy ...rach, włączonych ...zyjnych i mikro... ...była właśnie in... Dubynina? Jeśli ...świadkami sensa... ...enia, gdy oficjalni ...dwóch biednych ...nie targowali się o ...

...nego zaś oficera ro... ...ony dolarów są sumą ...ą. Wręcz nie do ogar... ...aźnią. Dla niego liczą ...otówki, które może tu ...i dolary. One pozwolą ...ać pierwsze, najtrud... ...siące po powrocie już ...R, lecz do Rosji, gdzie ...bek oscyluje dziś wokół ...arów. I dlatego oficerowie PGW woleliby pozostać tu, w Polsce, gdzie ich nikt nie chce. Zresztą między Bogiem a prawdą, nikt ich też nie chce w Rosji. Trudny to powrót...

LESZEK ADAMCZEWSKI

DLA KOŚCIOŁA Do 15 listopada mają zostać wycofane z Polski wszystkie jednostki bojowe Północnej Grupy Wojsk dawnej Armii Radzieckiej. Rosjanie przekazali już władzom państwowym wiele obiektów, zarówno dzierżawionych, jak i wybudowanych przez nich. Są one na ogół w złym stanie technicznym. W byłym Domu Oficera PGW w Legnicy, gdzie niedawno spłonęła część dachu, znajdą się urzędy kościelne mającej wkrótce powstać diecezji legnickiej. Na zdjęciu — metropolita wrocławski, kardynał Henryk Gulbinowicz, w towarzystwie oficerów rosyjskich, zwiedza nowy nabytek Kościoła. (lad)

Fot. „Głos" — Leszek Adamczewski

przez ówczesnego metropolitę wrocławskiego, kardynała Henryka Gulbinowicza, stawiło się całe dowództwo Północnej Grupy Wojsk – od kilkudziesięciu dni już nie Armii Radzieckiej, ale Federacji Rosyjskiej. Gdy sprzed ołtarza padły słowa: *„Przekażcie sobie znak pokoju"*, kardynał Gulbinowicz podszedł do siedzącego w pierwszym rzędzie kościelnych ławek dowódcy PGW, gen. płk. Wiktora Dubynina, i podał mu rękę.

Godzinę później w Domu Oficera odbyła się ceremonia przekazania przez Dubynina tego monumentalnego gmachu skarbowi państwa, a jego przedstawiciel, ówczesny wojewoda legnicki, Andrzej Glapiński, przekazał go z kolei Kościołowi katolickiemu z przeznaczeniem na siedzibę Kurii Biskupiej nowej diecezji legnickiej. – *Symboliczne jest* – powiedział gen. Dubynin – *że budynek Domu Oficera, gdzie przez lata kształcono postawy moralności i kultury ludzi radzieckich, zostaje przekazany Kościołowi rzymskokatolickiemu Rzeczypospolitej Polskiej. My, oficerowie Północnej Grupy Wojsk, wiemy, jakim zaufaniem i miłością narodu polskiego cieszy się Kościół rzymskokatolicki. Odwieczne wartości, które on kształtuje wśród wiernych, zawsze znajdowały zrozumienie i poparcie wśród żołnierzy radzieckich.* – *Kpi, czy o zdrowie pyta?* – szepnął któryś z kolegów-dziennikarzy, ale inny, pewnie lepiej zorientowany w stosunkach panujących w „małej Moskwie", pochwalił Dubynina. Podczas obiadu powiedział mi, że gdzieś od 1986 lub 1987 r. radzieccy oficerowie z Legnicy byli bardziej liberalni w poglądach społeczno-politycznych niż – jak się wyraził – *niektórzy towarzysze z legnickiego Komitetu Wojewódzkiego*. Obserwując uroczystości odniosłem też wrażenie, że kardynał Gulbinowicz musiał wiedzieć, że Dybynin był wówczas śmiertelnie chory na raka. Od czasu do czasu dyskretnie ściskał rękę dowódcy PGW, który po wyjeździe do Rosji nie dożyje końca 1992 roku.

DLA KOŚCIOŁA
Do 15 listopada mają zostać wycofane z Polski wszystkie jednostki bojowe Północnej Grupy Wojsk dawnej Armii Radzieckiej. Rosjanie przekazali już władzom państwowym wiele obiektów, zarówno dzierżawionych, jak i wybudowanych przez nich.
Są one na ogół w złym stanie technicznym. W byłym Domu Oficera PGW w Legnicy, gdzie niedawno spłonęła część dachu, znajdą się urzędy kościelne mającej wkrótce powstać diecezji legnickiej. Na zdjęciu — metropolita wrocławski, kardynał Henryk Gulbinowicz, w towarzystwie oficerów rosyjskich, zwiedza nowy nabytek Kościoła.
(lad)

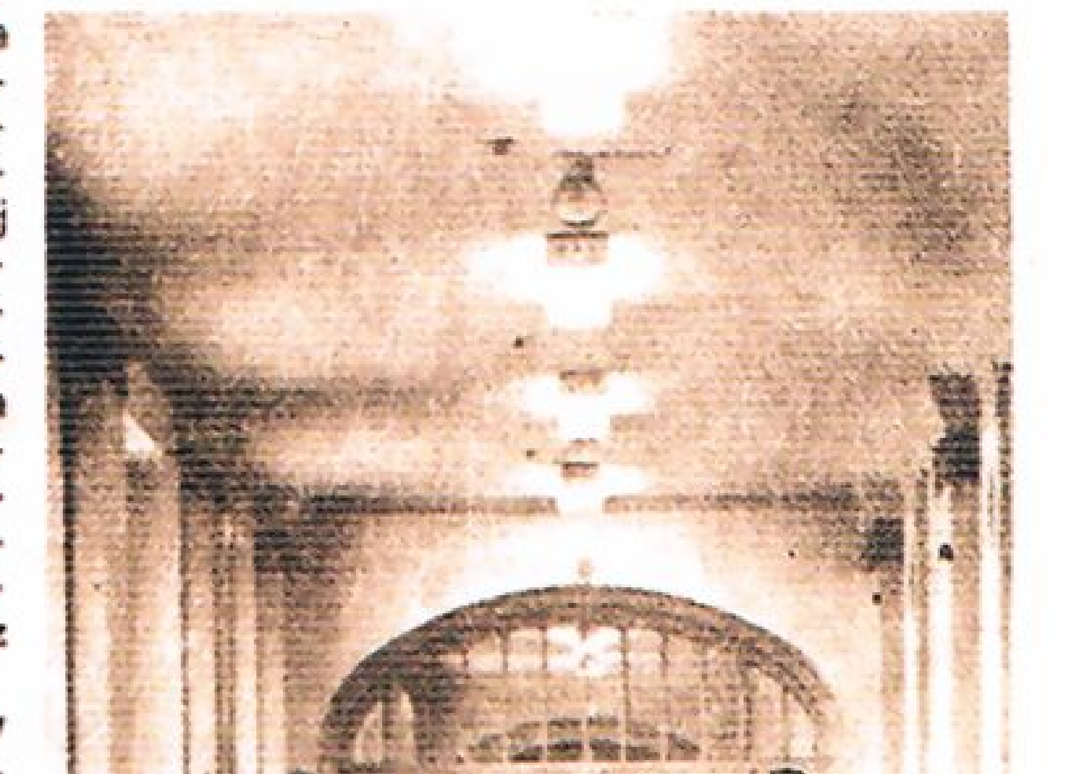

Fot. „Głos" — Leszek Adamczewski

Czar prysł na konferencji prasowej gen. Dubynina i pełnomocnika rządu RP ds. pobytu wojsk rosyjskich w Polsce, generała brygady Zdzisława Ostrowskiego, dotyczącej rozpoczętego już w poprzednim roku wycofywania tychże wojsk. Ostra polemika obu generałów odbywała się nie w zaciszu gabinetu dyplomatycznego, lecz na wypełnionej dziennikarzami sali, przy zapalonych jupiterach oraz włączonych kamerach i mikrofonach. Oficjalni przedstawiciele dwóch biednych (wtedy) państw publicznie targowali się o pieniądze.

Gdy późnym popołudniem 26 stycznia redakcyjny opel pędził z Legnicy do Poznania, gdzieś w połowie powrotnej drogi uświadomiłem sobie, że kilka godzin wcześniej byłem świadkiem prawdziwego końca II wojny światowej w Polsce. Bo tym faktycznie było ich ostateczne stąd wycofanie. Żołnierze radzieccy towarzyszyli nam przez prawie pół wieku. Jako kilkulatek w pierwszej połowie lat 50. obserwowałem ich z okna naszego mieszkania w Szczecinie, z którego rozpościerał się widok na radziecki szpital. Jako dziennikarz zajmujący się wojskiem, oficerów z Północnej Grupy Wojsk widywałem na setkach różnych imprez i uroczystości. Kilka razy nasz samolot z dziennikarzami lądował na radzieckich lotniskach. Ale wśród Polaków byli też tacy, dla których kontakt ze stacjonującymi tu Rosjanami kończył się tragicznie.

Zburzone Stare Miasto

Wśród tysięcy powstałych w Polsce prac licencjackich, lepszych lub gorszych, ta jest chlubnym wyjątkiem. Łukasz Hawryluk, absolwent legnickiej Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej z 2004 r., pod kierunkiem dr. hab. Andrzeja Czajkowskiego napisał interesującą rozprawę „Aspekty społeczne stacjonowania Armii Czerwonej w Legnicy". Jeśli pominiemy błąd w tytule pracy (Armię Czerwoną w 1946 r. przemianowano na Armię Radziecką), to okaże się, że Hawryluk wykonał kawał dobrej roboty, bez uprzedzeń i antyrosyjskich fobii przedstawiając złożony obraz stosunków polsko-radzieckich w Legnicy i okolicach. Na ów obraz składają się i zbrod-

nie, jak choćby ta, gdy w grudniu 1968 r. pijany szer. Kriukow zastrzelił trzy osoby i kolejne trzy ranił, i liczne wypadki drogowe z ofiarami śmiertelnymi, spowodowane przez pijanych najczęściej kierowców w mundurach radzieckich, i autentyczne przyjaźnie zawiązywane przez ludzi z obu stron legnickiego muru. A trzeba pamiętać, że prywatne kontakty Rosjan z Polakami były początkowo zabronione, a nawet karane. Potem rygor ten wprawdzie zelżał, ale nigdy dowództwo Północnej Grupy Wojsk nie patrzyło na to przychylnym okiem.

Gdy we wrześniu 1993 r. z Legnicy wyjechali ostatni żołnierze rosyjscy, na jaw wyszedł również pozytywny aspekt ich tu stacjonowania. Rosjanie ocalili spory fragment starej Legnicy, gdy tymczasem Polacy nie mieli do niej serca. Ludzie, którzy zapamiętali to miasto z lat 1950-1955 i przyjechali nad Kaczawę np. w 1980 r., nie poznawali Legnicy. Nie tylko nie kursowały już tramwaje, ale zniknęło również prawie całe stare centrum, którym dziś moglibyśmy się chlubić. W czasach Władysława Gomułki ówczesny minister kultury i sztuki PRL wyraził zgodę na rozebranie 97 zabytkowych kamienic i kamieniczek legnickiego Starego Miasta. To była zbrodnia, a chcąc później ją ukryć, historycy ogłosili, że padły one ofiarą zaciętych walk o Liegnitz w 1945 roku…

– *Ci idioci* – opowiadał mi latem 2004 r. miejscowy regionalista – *planowali nawet zburzyć gmach Akademii Rycerskiej, ale powstrzymał ich fakt, że zabytek ten był w rękach Rosjan. A gdy w latach 70. Sowieci gmach ten przekazali miastu, ów barbarzyński trend już minął. Ale szkód wcześniej wyrządzonych nikt i nic już nie naprawi.*

W 1945 r. Armia Czerwona zajęła najpiękniejszą część ówczesnej Lignicy. I ją na początku lat 90. zwróciła, ocalając przed polskimi zwolennikami „betonowych pudełek" i cegieł z odzysku cacka architektury: 29 pałacyków, liczne wille i tym podobne obiekty z czasów, gdy Liegnitz zaliczała się do najładniejszych miast śląskich.

ZDJĘCIA: LESZEK ADAMCZEWSKI, ARCHIWUM AUTORA.

zdarzyło się…

5 VI 1894 r.

121 lat temu po raz pierwszy zaprezentowano Panoramę Racławicką. Podczas Powszechnej Wystawy Krajowej w olbrzymiej żelaznej rotundzie w parku Stryjskim we Lwowie udostępniono publicznie wielkie (15 m wys. i 114 m dł.) płótno poświęcone bitwie pod Racławicami. Dzieło, którego głównymi autorami byli Jan Styka i Wojciech Kossak, wzbudziło ogromne zainteresowanie. W 1939 r. po zajęciu Lwowa przez Armię Czerwoną uszkodzone płótno zostało złożone w piwnicach klasztoru Bernardynów i przeleżało tam do 1946 r. Następnie przewieziono je do Wrocławia, ale przez 34 lata Panorama nie była pokazywana. Dopiero od 1985 r. – dzięki staraniom Społecznego Komitetu Budowy Panoramy – jest eksponowana we Wrocławiu w rotundzie zbudowanej dla niej jeszcze w 1967 roku.

Leszek Adamczewski
Poznański dziennikarz i pisarz. Wieloletni współpracownik „Odkrywcy". Autor ponad 20 książek, cieszących się wielkim zainteresowaniem czytelników, poświęconych tajemniczym zdarzeniom z czasów II wojny światowej. Najnowsza pozycja tego Autora to, wydana nakładem Repliki, „Ucieczka pod bombami".

REKLAMA

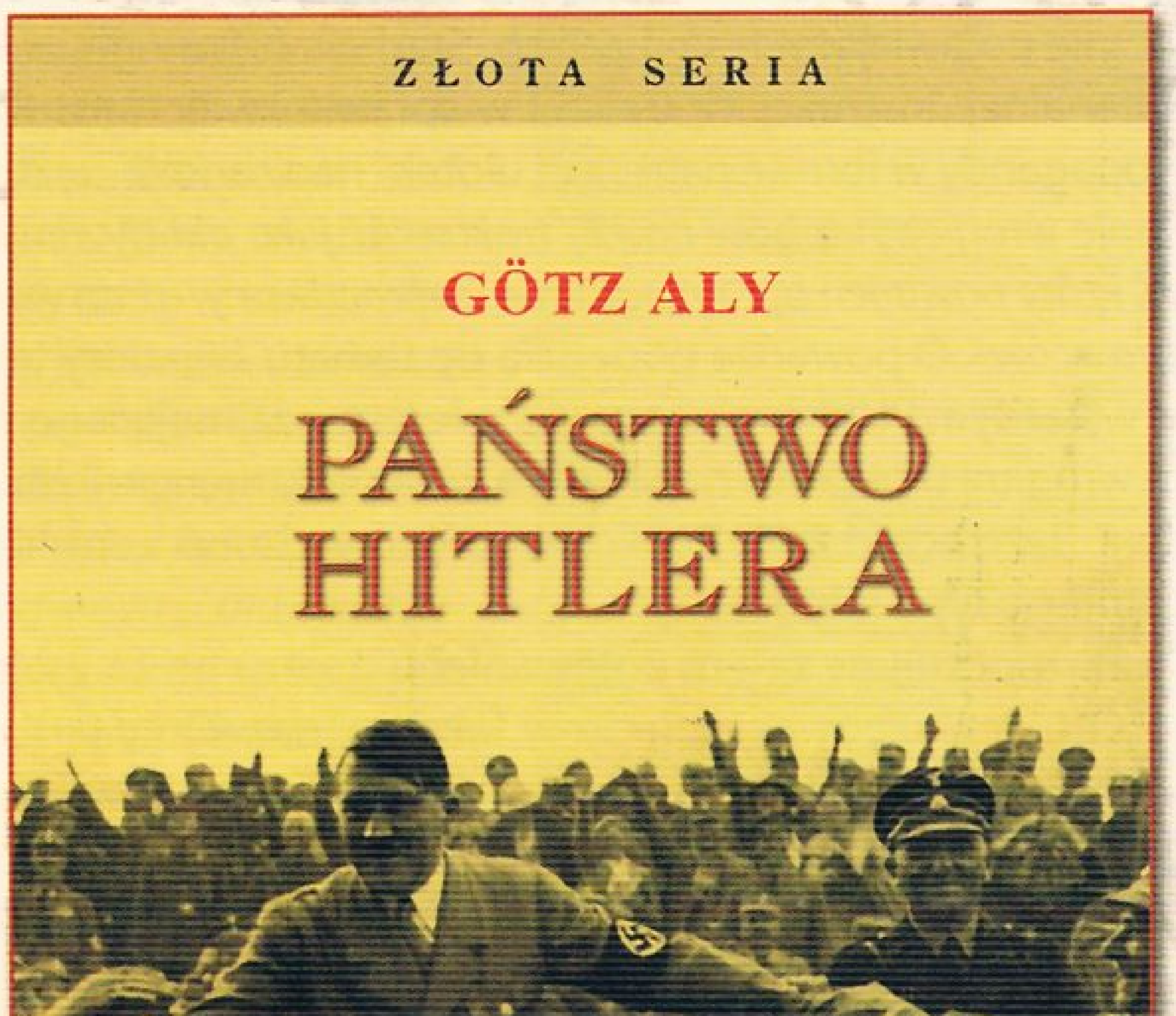

GÖTZ ALY,
PAŃSTWO HITLERA

Jak to się stało, że Niemcy nie zbankrutowały prowadząc wojnę?
Jak to możliwe, że przeciętnemu niemieckiemu „Kowalskiemu" podczas wojny żyło się dostatniej niż przed nią?

NSDAP propagowała jedną z najbardziej rewolucyjnych narodowych i społecznych utopii XX w.
Götz Aly

Ta książka roznieci nową debatę na temat narodowego socjalizmu.
Hans Mommsen, *Süddeutsche Zeitung*

Każdy kto zamierza zabrać głos w debacie na temat historii Trzeciej Rzeszy i II wojny światowej musi przeczytać tę książkę...
Hans Erich Volkman, *Frankfurter Allgemaine Zeitung*

sprzedaż w sieci empik

OFICYNA WYDAWNICZA FINNA
HISTORIA .ORG.PL
MILITARIA
ODKRYWCA SKARBY • WOJNA • HISTORIA

Wróg się czai w toalecie… cz. 2

Kilka słów o tym, jak bezpieka polowała na „toaletowych graficiarzy"

BARTOSZ BIJAK

W pierwszej części tegoż artykułu („Odkrywca" nr 4/2015) starałem się przybliżyć Czytelnikom zjawisko wrogich władzom komunistycznym napisów, pojawiających się w zakładowych toaletach, i pokusić się o analizę ich treści w historyczno-politycznym kontekście. Dziś chciałbym pokrótce pokazać, jak funkcjonariusze UB, rzadziej MO,[1] starali się „namierzyć" i aresztować ich autorów.

> *„(…) UDAŁ SIĘ DO USTĘPU celem skorzystania z takowego, w tym trakcie wychodził jeden osobnik o nieznanym mu nazwisku, który to na ustach posiadał znaki ołówka kopiowego to znaczy, że maczał sobie celem rozpuszczenia jego, a to jest charakterystyczne ponieważ »Pstrąg« po wejściu do klozetu zauważył napisy (…)".*

Zapytać ktoś może, w jakim celu robiono tyle hałasu, zamiast wysłać pracownika z puszką farby lub mokrą szmatą i napis zlikwidować. Otóż musimy pamiętać, że I poł. lat 50. XX w. to okres stalinizmu, najczarniejsze i najbardziej tragiczne lata tzw. Polski Ludowej (nawet śmierć samego Stalina niewiele zmieniła), kiedy władza z maniakalnym zawzięciem tropiła najmniejsze nawet przejawy wrogiej działalności, ze śmiertelną powagą przedstawiając je, w prasie oraz na salach sądowych, jako próby obalenia ustroju, sabotażu prowadzonego na polecenie imperialistów, niemalże zamachu stanu. Nie inaczej było w przypadku rzeczonych haseł i napisów, a szczególnie, gdy pojawiały się przed jakimiś istotnymi politycznymi wydarzeniami, typu obchody 1 Maja, ważne rocznice czy wybory do Rad Narodowych. W takich momentach władze stawały się szczególnie czujne. Przykładem niech będzie „Zarządzenie nr 068/54" wiceministra MBP w związku z obchodami XXXVII rocznicy rewolucji bolszewickiej, w którym nakazywał m.in.: *„(…) natychmiastowe przeciwdziałanie wszelkim próbom wrogiej propagandy (rozpowszechnianie nielegalnych ulotek, umieszczanie wrogich napisów, wykorzystywanie radiowęzłów do wrogich celów itp.".* Kiedy jednak przeciwdziałanie nie wyszło i wrogie napisy pojawiły się np. w zakładowej toalecie, należało za wszelką cenę złapać sprawcę(ów) ponieważ – jak to zgrabnie ujął pewien UB-ek z Kielc: *„Niniejsza forma wrogiej działalności wpływa demoralizująco na załogę Zakładu, co w konsekwencji może ujemnie wpłynąć na wykonanie planów produkcji specjalnej* [dla wojska – przyp. B.B.], *a tym samym godzi w ustrój naszego kraju…".*

To krótkie zdanie świetnie streszcza paranoję władzy: wrogi napis w toalecie = demoralizacja załogi = niewykonanie planu = atak na ustrój państwa.

Nic dziwnego, że autora, czy autorów takiej twórczości, należało ścigać z całą bezwzględnością, zwłaszcza, gdy miało to miejsce w przedsiębiorstwach, które ze względu na charakter lub wielkość produkcji podlegały specjalnej ochronie UB. Szczególnie niepokojące dla władz były sygnały o systematycznie pojawiających się hasłach. Stąd nic dziwnego, że w ministerialnej „Instrukcji nr 011/53 w sprawie zwalczania wrogiej propagandy w formie napisów i ulotek" napisano: *„(…) dokonywanie wrogich napisów należy traktować jako akt dywersji wroga, który powinien być energicznie rozpracowany, aż do wykrycia sprawców".* O powadze podejścia do tematu świadczy też fakt, że w każdym PUBP[2] wyznaczono referenta, zajmującego się tylko wrogimi ulotkami i napisami, a w Departamencie II Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego prowadzono centralny rejestr tego typu faktów.

Rozpocznijmy zatem polowanie…

Oto w służbowej toalecie w fabryce, nazwijmy ją X, pojawiło się na ścianie antypaństwowe hasło. Najpierw informacja o tym fakcie trafiała do władz. Kto ją zgłaszał? Mógł to być szef danego wydziału, oddziału, lub innej komórki organiza-

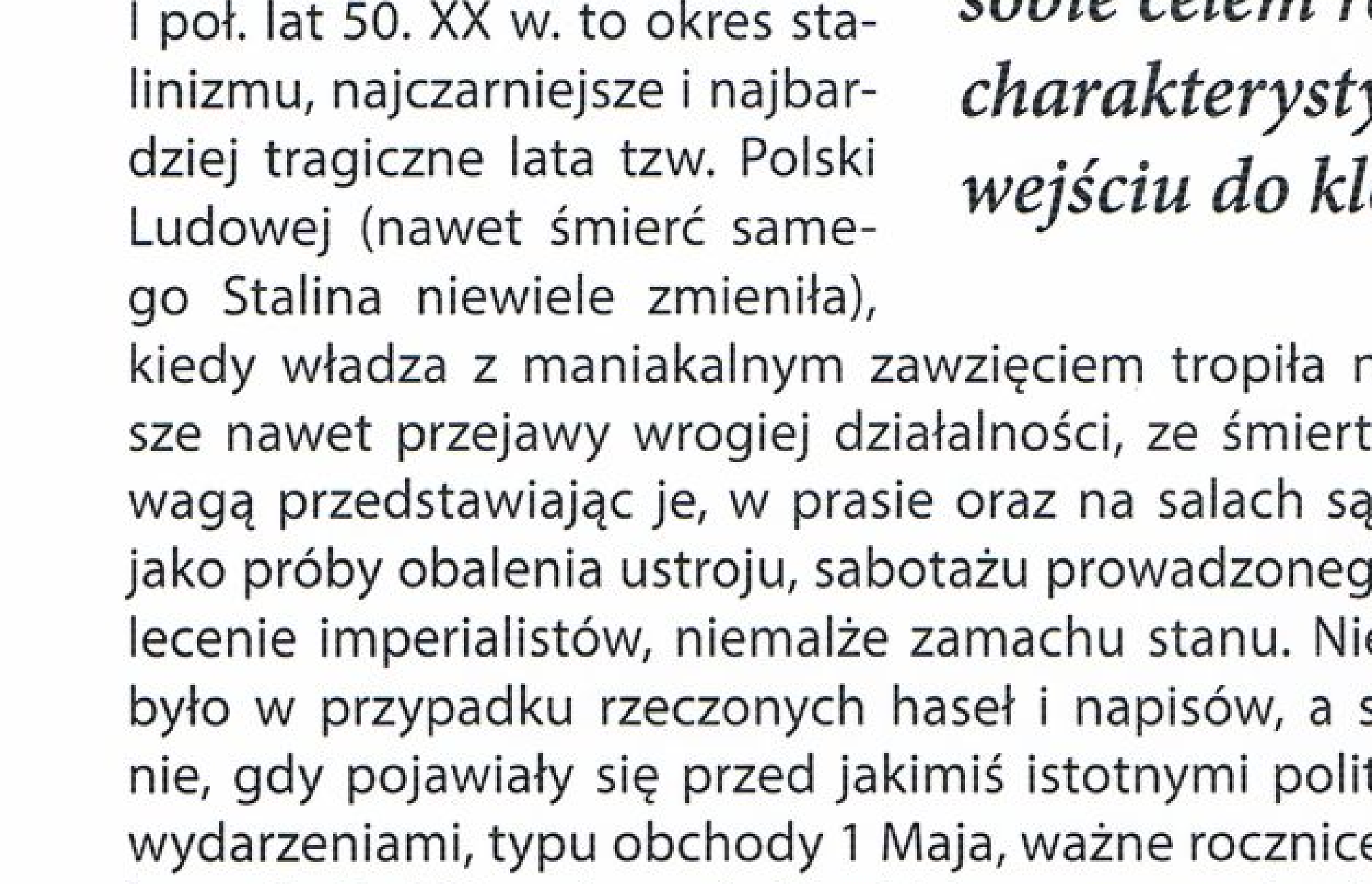
Kielce dnia 28 pazdziernika 1954r.

Scisle tajne

DO
Naczelnika Wydziału IV-go W.U.B.P.
w Miejscu

W dniu 20.X.1954r. w Kieleckich Zakładach Wyrobów Metalowych w Kielcach na scianie ubikacji przy Wydziale Remontu Maszyn zauwazyli wrogi napis szkalujacych dostojników naszego Panstwa i Zwiazku Radzieckiego. Napis ten wykonany był recznie biała kredą.

W zwiazku z tym prosimy o powiadomienie nas, czy dokonano dokumentacji fotograficznej wspomnianego napisu. W wypadku pozytywnym, nalezy podac co dała fotografia i w jaki sposob ją wykorzystano, a wypadku negatywnym należy podac z jakich przyczyn nie dokonano dokumentacji.-

Odbito 2 egz. Opr. GJ/ZH
1 egz. adresat
2 egz. a/a

Naczelnik Wydziału II-go
W.U.B.P.-Kielce
RAGIEL J. mjr.

<u>Do Naczelnika Wydziału IV-go W.U.B.P. Kielce, 28 X 1954 r.</u> (pisownia oryginalna).

„(…) W Kieleckich Zakładach Wyrobów Metalowych na ścianie ubikacji zauwazyli wrogi napis szkalujacy dostojników naszego Panstwa i Zwiazku Radzieckiego. Prosimy o powiadomienie, czy dokonano dokumentacji fotograficznej. W wypadku pozytywnym – podac co dała fotografia i w jaki sposob ją wykorzystano, a wypadku negatywnym – podac, z jakich przyczyn nie dokonano dokumentacji".

Doniesienie Inf. Nr... Źródło inf. „Śnieżka", 25 IV 1955 r. Sprawa agenturalno-śledcza pod kryptonimem „Zryw". **(pisownia oryginalna) „Dotyczy Obywateli (...). Podejrzewam go o pisanie wrogich chaseł, dlatego że ma pewne wybryki, często lubi używać słówka w niepotrzebnych miejscach, ołówek ma, lecz jaki to niewiem (...). Co chodzi o pisanie, to podejrzewam (...) bo znam jego dobrze charakter pisma. To chasło było napisane na brygadzistę, że on jest ch...j. A on narzekał na brygadzistę, że jest nie dobry i gania w robocie. Zadanie: Ustalić, kto z prac. Wydziału Strzelnica i Konserwacja nosi ołówki i to dobrze zatęperowane...".**

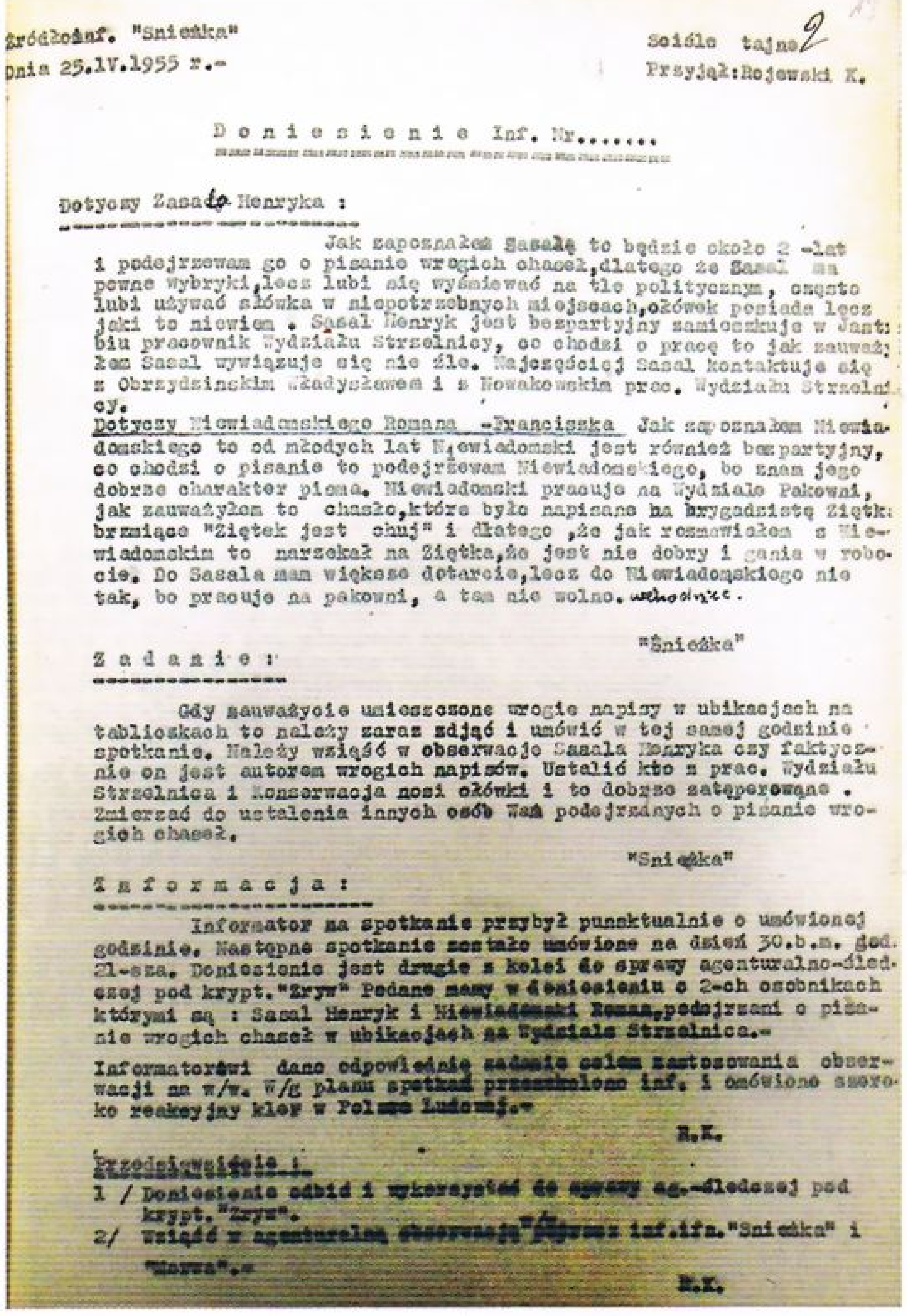
Źródło inf. "Śnieżka"
Dnia 25.IV.1955 r.-
Ściśle tajne 2
Przyjął: Rojewski K.

Doniesienie Inf. Nr......

Dotyczy Sasala Henryka :
Jak zapoznałem Sasalę to będzie około 2 -lat i podejrzewam go o pisanie wrogich chaseł, dlatego że Sasal ma pewne wybryki, lecz lubi się wyśmiewać na tle polityczym, często lubi używać słówka w niepotrzebnych miejscach, ołówek posiada lecz jaki to niewiem . Sasal Henryk jest bezpartyjny zamieszkuje w ... pracownik Wydziału Strzelnicy, co chodzi o pracę to jak zauważ... żem Sasal wywiązuje się nie źle. Najczęściej Sasal kontaktuje się z Obrzydzinskim Władysławem i z Nowakowskim prac. Wydziału Strzelnicy.
Dotyczy Niewiadomskiego Romana -Franciszka Jak zapoznałem Niewiadomskiego to od młodych lat Niewiadomski jest również bezpartyjny, co chodzi o pisanie to podejrzewam Niewiadomskiego, bo znam jego dobrze charakter pisma. Niewiadomski pracuje na Wydziale Pakowni, jak zauważyłem to chasło, które było napisane na brygadzistę Ziętk... brzmiące "Ziętek jest chuj" i dlatego ,że jak rozmawiałem z Niewiadomskim to narzekał na Ziętka,że jest nie dobry i gania w robocie. Do Sasala mam większe dotarcie,lecz do Niewiadomskiego nie tak, bo pracuje na pakowni, a tam nie wolno. wchodzić.
"Śnieżka"

Zadanie :
Gdy zauważycie umieszczone wrogie napisy w ubikacjach na tabliczkach to należy zaraz zdjąć i umówić w tej samej godzinie spotkanie. Należy wziąść w obserwacje Sasala Henryka czy faktycznie on jest autorem wrogich napisów. Ustalić kto z prac. Wydziału Strzelnica i Konserwacja nosi ołówki i to dobrze zatęperowane . Zmierzać do ustalenia innych osób Wam podejrzanych o pisanie wrogich chaseł.
"Śnieżka"

Informacja :
Informator na spotkanie przybył punktualnie o umówionej godzinie. Następne spotkanie zostało umówione na dzień 30.b.m. god. 21-sza. Doniesienie jest drugie z kolei do sprawy agenturalno-śledczej pod krypt."Zryw" Podane mamy w doniesieniu o 2-ch osobnikach którymi są : Sasal Henryk i Niewiadomski Roman,podejrzani o pisanie wrogich chaseł w ubikacjach na Wydziale Strzelnica.
Informatorowi dano odpowiednie zadanie celem zastosowania obserwacji na w/w. W/g planu spotkań przeszkolono inf. i omówiono szeroko reakcyjny klej w Polsce Ludowej.-
R.K.

Przedsięwzięcia :
1 / Doniesienie zdjąć i wykorzystać do sprawy ag.-śledczej pod krypt. "Zryw".
2/ Wziąść w agenturalną obserwację ... inf.ps."Śnieżka" i "Morwa".-
R.K.

cyjnej, do której należała toaleta, zwyczajnie obawiający się konsekwencji służbowych w przypadku niepowiadomienia o takim zdarzeniu albo, co się najczęściej zdarzało, partyjny aktywista, członek Straży Przemysłowej, ORMO czy współpracownik UB/MO. Ci ostatni byli w dużej mierze nastawieni właśnie na demaskowanie „wrogiej propagandy" szerzonej w zakładach pracy.

Kapitalnym przykładem zachowania „rewolucyjnej czujności" przez ubeckiego donosiciela, jest informator[3] „Pstrąg" z Kieleckich Zakładów Wyrobów Metalowych, który w 1953 r. – jak czytamy w meldunku sytuacyjnym: *„(...) udał się do ustępu celem skorzystania z takowego, w tym trakcie wychodził jeden osobnik o nieznanym mu nazwisku, który to na ustach posiadał znaki ołówka kopiowego to znaczy, że maczał sobie celem rozpuszczenia jego, a to jest charakterystyczne ponieważ inf. ps. »Pstrąg« po wejściu do klozetu zauważył właśnie napisy (...)"*.

Kiedy informacja o wykryciu antyustrojowych haseł trafiła do organów bezpieczeństwa, czy to bezpośrednio do Referatu Ochrony Przemysłu lub Referatu Wojskowego[4], czy za pośrednictwem kierownictwa zakładu lub zakładowych struktur partyjnych do lokalnego PUBP/WUBP, należało dowody „zbrodni" tymczasowo zabezpieczyć przed przyjazdem ekipy technicznej, czyli w praktyce urzędowego fotografa i oficera śledczego. Owo zabezpieczenie miało dwa podstawowe cele: niedopuszczenie do przeczytania przez innych pracowników, a zarazem do rozejścia się po zakładzie informacji o takim napisie, oraz uchronienie go przed zniszczeniem, zanim „resort" – jak nieformalnie określano UB – nie obejrzy go i nie obfotografuje. Można to było zrobić w sposób banalny, choć skuteczny, poprzez zamknięcie na klucz toalety, lub wykazać się większą finezją, jak np. zastępca komendanta Straży Przemysłowej we wspomnianych już kieleckich zakładach, który być może, aby nie wzbudzać podejrzeń zamknięciem toalety, ukrył slogan *„Precz z komunizmem"* pod... afiszem teatralnym. Ekipa z UB sprawdzała miejsce zdarzenia, materiał, którym wykonano napisy, mierzyła wielkość liter: *„Techniczne wykonanie: pismo odręczne na drzwiach ubikacji ołówkiem czarnym"; „(...) drugi napis w administracji znajdował się na ścianie w klozecie dość wyrobionym charakterem dużymi literami wielkości około 1 cm więcej pismem technicznym"* – robiono zdjęcia. Czasami z tą ostatnią czynnością bywały spore kłopoty. Średnio widoczne napisy na ścianie, na fotografiach często były niemal niewidoczne, co wykluczało je jako ma-

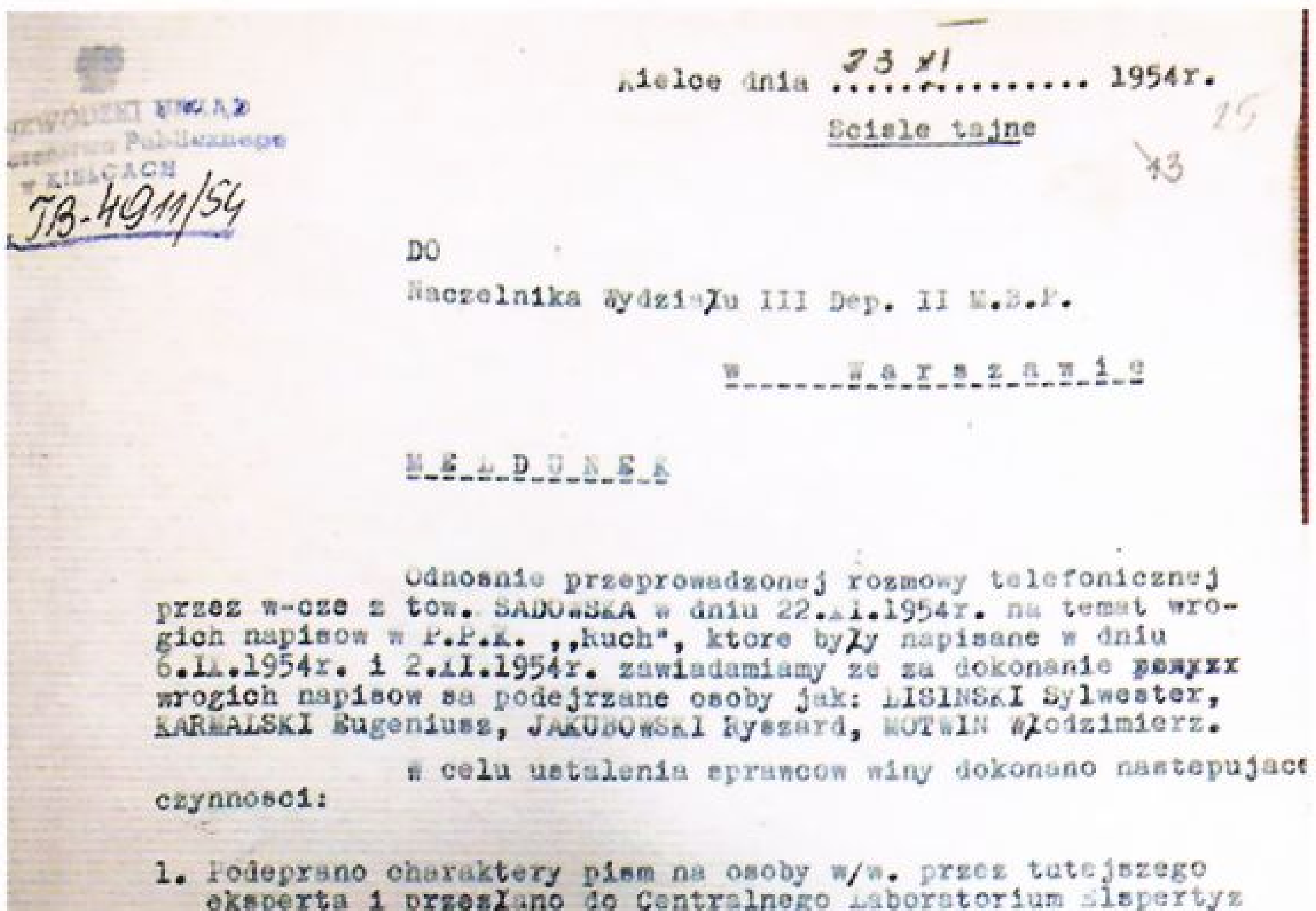
Kielce dnia 23 XI 1954 r.
Ściśle tajne
JB-4911/54
43

DO
Naczelnika Wydziału III Dep. II M.B.P.
w Warszawie

MELDUNEK

Odnośnie przeprowadzonej rozmowy telefonicznej przez w-cze z tow. SADOWSKA w dniu 22.XI.1954r. na temat wrogich napisów w P.P.K. ,,Ruch", które były napisane w dniu 6.IX.1954r. i 2.XI.1954r. zawiadamiamy ze za dokonanie wrogich napisow sa podejrzane osoby jak: LISINSKI Sylwester, KARWALSKI Eugeniusz, JAKUBOWSKI Ryszard, MOTWIN Włodzimierz.
W celu ustalenia sprawcow winy dokonano nastepujace czynnosci:
1. Podeprano charaktery pism na osoby w/w. przez tutejszego eksperta i przesłano do Centralnego Laboratorium Ekspertyz dnia 11.XI.1954r. O wynikach Wydział II-gi do obecnej chwili nie został powiadomiony.
2. W tym kierunku nastawiono siec agencyjno-informacyjna w ilosci trzech informatorow, to jest inf. 13, ,,Bocian" i ,,Śmiały". Wymienieni informatorowie w swych doniesieniach o powyzszym fakcie dotychczas nic nie zapodali.
3. Celem głębszego rozpracowania zapodanych osob i ujawnienia sprawcow wrogich napisow dokonano werbunku kandydata na informatora ps. ,,Wróbel".
W załączeniu przesyłamy dwa fotogramy wrogiego napisu.-

1 egz. adresat
2 egz. a/a
Naczelnik Wydziału II-go
J. mjr.

Kielce, 23 XI 1954 r. Do Naczelnika Wydz. III Dep. II M.B.P. w Warszawie. **Meldunek, (pisownia oryginalna): „(...) na temat wrogich napisów w P.P.K. »Ruch«, które były napisane w dniach (...) zawiadamiamy ze za dokonanie wrogich napisow sa podejrzane osoby jak: (...). W celu ustalenia sprawcow winy dokonano nastepujace czynnosci:**
– Podeprano charaktery pism na osoby w/w. przez tutejszego eksperta (...).
– W tym kierunku nastawiono siec agencyjno-informacyjna w ilosci trzech informatorow, to jest inf. »13«, »Bocian« i »Śmiały«. Wymienieni informatorowie w swych doniesieniach o powyzszym fakcie dotychczas nic nie zapodali. Celem głębszego rozpracowania zapodanych osób i ujawnienia sprawców wrogich napisow zwerbowano nowego inf. ps. »Wróbel«".

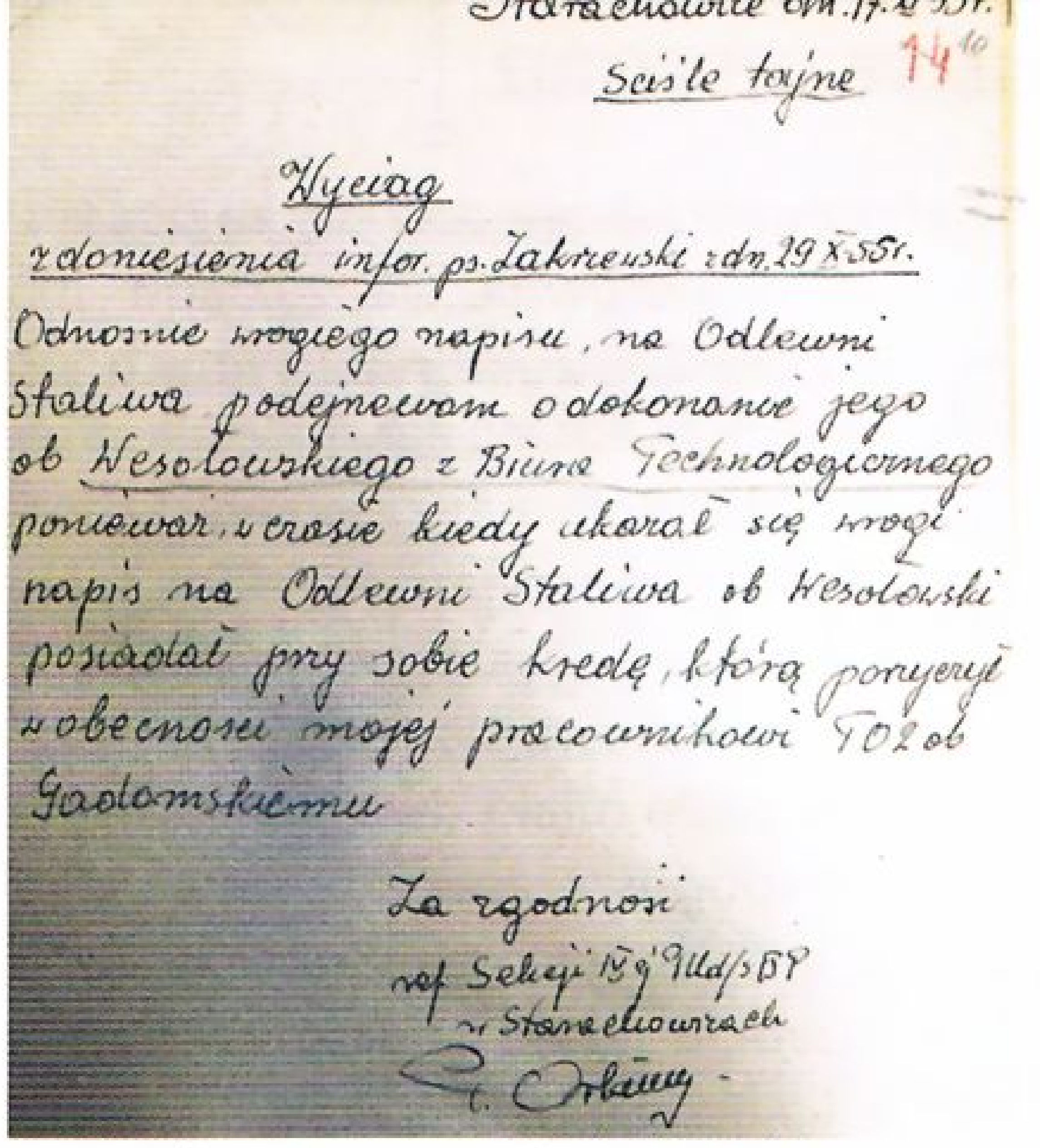
Starachowice dn. 17.XI.55r.

Ściśle tajne

Wyciąg

z doniesienia infor. ps. Zakrzewski z dn. 29 X 55 r.

Odnośnie wrogiego napisu, na Odlewni Staliwa podejrzewam o dokonanie jego ob Wesołowskiego z Biura Technologicznego ponieważ w czasie kiedy ukazał się wrogi napis na Odlewni Staliwa ob Wesołowski posiadał przy sobie kredę, którą porzyczył w obecności mojej pracownikowi TOZ ob Gadomskiemu

Za zgodność
ref Sekcji IV g 9 Ud/s BP
w Starachowicach

Wyciąg z doniesienia inf. Ps. „Zakrzewski". Starachowice, 17 XI 1955 r. (pisownia oryginalna). **„Odnośnie wrogiego napisu na Odlewni Staliwa podejrzewam o dokonanie jego ob.(…) z Biura Technologicznego ponieważ w czasie kiedy ukazał się wrogi napis na Odlewni Staliwa, on posiadał przy sobie kredę, która porzyczył w obecności mojej pracownikowi (…)".**

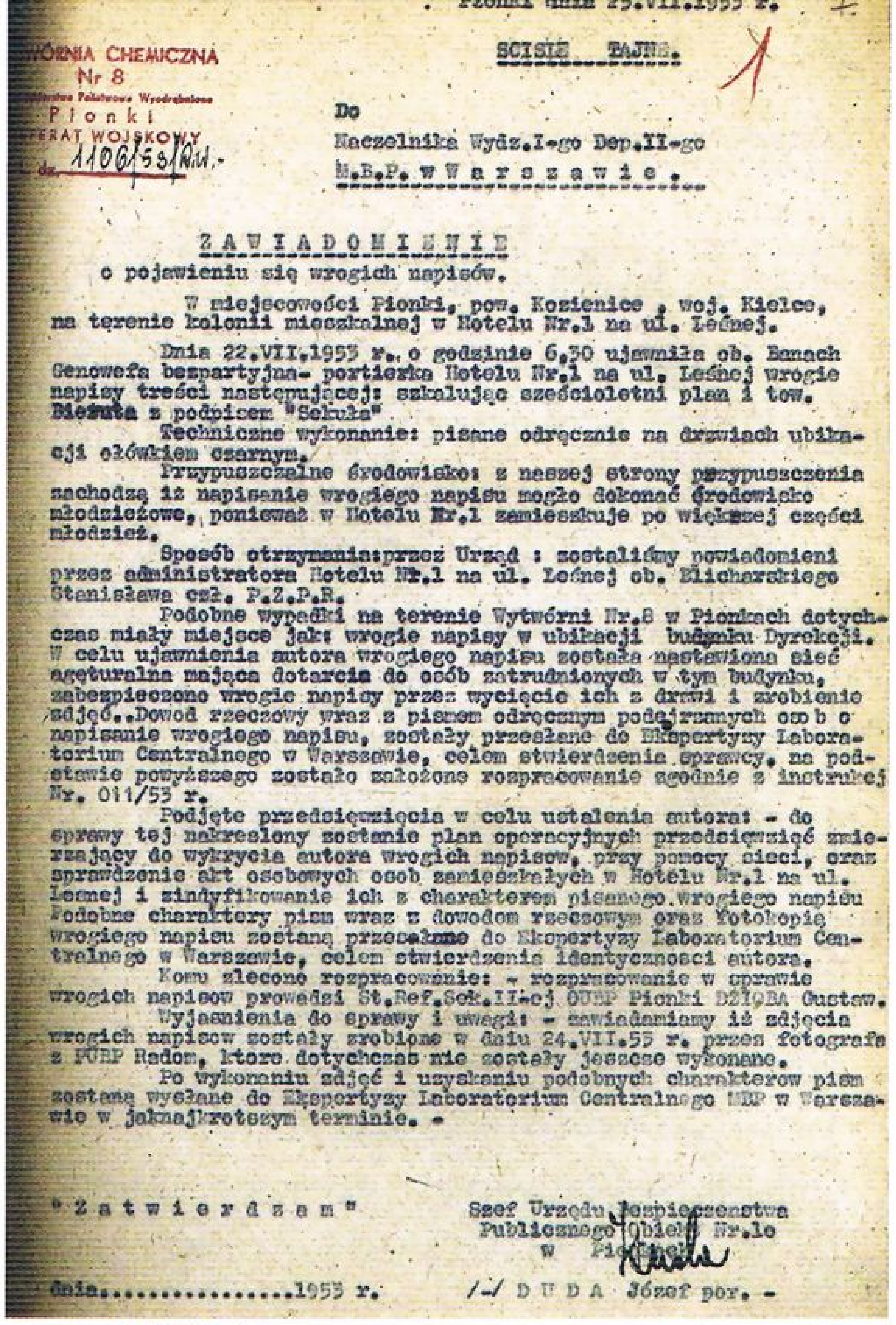
Pionki dnia 25.VII.1953 r.

WYTWÓRNIA CHEMICZNA
Nr 8
Pionki
REFERAT WOJSKOWY
Nr 1106/53/RW.

ŚCIŚLE TAJNE.

Do
Naczelnika Wydz. I-ego Dep. II-go
M.B.P. w Warszawie.

ZAWIADOMIENIE
o pojawieniu się wrogich napisów.

W miejscowości Pionki, pow. Kozienice, woj. Kielce, na terenie kolonii mieszkalnej w Hotelu Nr.1 na ul. Leśnej.

Dnia 22.VII.1953 r. o godzinie 6,30 ujawniła ob. Banach Genowefa bezpartyjna- portierka Hotelu Nr.1 na ul. Leśnej wrogie napisy treści następującej: szkalując sześcioletni plan i tow. Bieruta z podpisem "Sekuła"

Techniczne wykonanie: pisane odręcznie na drzwiach ubikacji ołówkiem czarnym.

Przypuszczalne środowisko: z naszej strony przypuszczenia zachodzą iż napisanie wrogiego napisu mogło dokonać środowisko młodzieżowe, ponieważ w Hotelu Nr.1 zamieszkuje po większej części młodzież.

Sposób otrzymania: przez Urząd : zostaliśmy powiadomieni przez administratora Hotelu Nr.1 na ul. Leśnej ob. Blicharskiego Stanisława czł. P.Z.P.R.

Podobne wypadki na terenie Wytwórni Nr.8 w Pionkach dotychczas miały miejsce jak: wrogie napisy w ubikacji budynku Dyrekcji. W celu ujawnienia autora wrogiego napisu została nastawiona sieć agenturalna mająca dotarcie do osób zatrudnionych w tym budynku, zabezpieczone wrogie napisy przez wycięcie ich z drzwi i zrobienie zdjęć. Dowód rzeczowy wraz z pismem odręcznym podejrzanych osób o napisanie wrogiego napisu, zostały przesłane do Ekspertyzy Laboratorium Centralnego w Warszawie, celem stwierdzenia sprawcy, na podstawie powyższego zostało założone rozpracowanie zgodnie z instrukcj Nr. 011/53 r.

Podjęte przedsięwzięcia w celu ustalenia autora: - do sprawy tej nakreślony zostanie plan operacyjnych przedsięwzięć zmierzający do wykrycia autora wrogich napisow, przy pomocy sieci, oraz sprawdzenie akt osobowych osob zamieszkałych w Hotelu Nr.1 na ul. Leśnej i zindyfikowanie ich z charakterem pisanego wrogiego napisu. Podobne charaktery pism wraz z dowodem rzeczowym oraz fotokopię wrogiego napisu zostaną przesłane do Ekspertyzy Laboratorium Centralnego w Warszawie, celem stwierdzenia identycznosci autora.

Komu zlecono rozpracowanie: - rozpracowanie w sprawie wrogich napisow prowadzi St.Ref.Sek.II-ej OUBP Pionki DZIOBA Gustaw.

Wyjasnienia do sprawy i uwagi: - zawiadamiamy iż zdjęcia wrogich napisow zostały zrobione w dniu 24.VII.53 r. przez fotografa z PUBP Radom, ktore dotychczas nie zostały jeszcze wykonane.

Po wykonaniu zdjęć i uzyskaniu podobnych charakterow pism zostaną wysłane do Ekspertyzy Laboratorium Centralnego MBP w Warszawie w jaknajkrotszym terminie. -

"Zatwierdzam"

Szef Urzędu Bezpieczenstwa Publicznego Obiekt Nr.10 w Pionkach

dnia..................1953 r.

/-/ DUDA Józef por. -

Pionki, 25 VII 1953 r. Do Naczelnika Wydz. I-ego, Dep. II-ego M.B.P. w Warszawie. Zawiadomienie o pojawieniu się wrogich napisów w miejscowości Pionki, pow. Kozienice, woj. Kielce na terenie kolonii mieszkalnej w Hotelu Nr. 1 na ulicy Leśnej. „(…) o godz. 6.30 ob. (…) portierka Hotelu Nr. 1 ujawniła wrogie napisy o treści następującej: szkalując plan sześcioletni i tow. Bieruta z podpisem »Sekuła«".

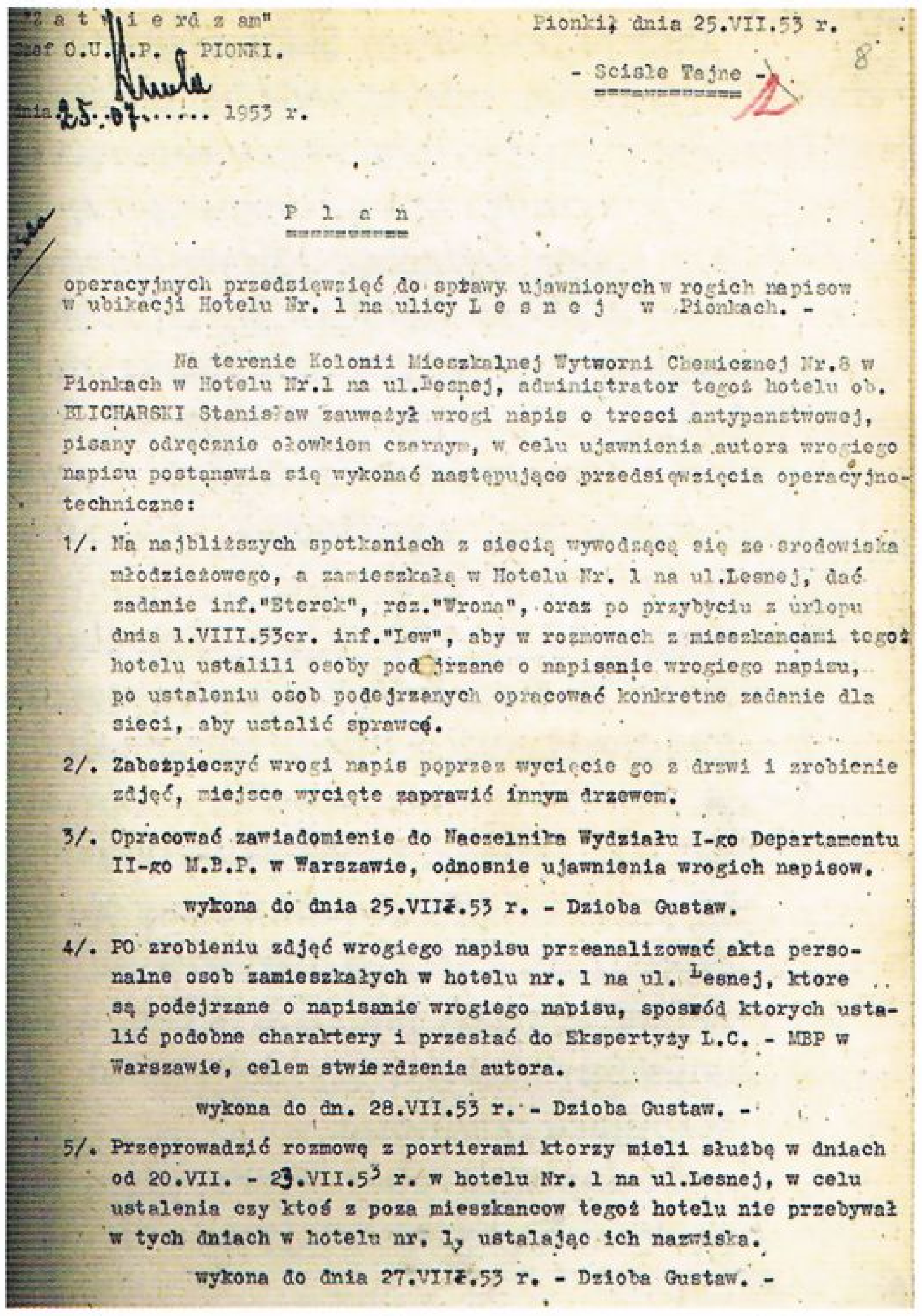
"Zatwierdzam"
Szef O.U.B.P. PIONKI.
dnia 25.07..... 1953 r.

Pionki, dnia 25.VII.53 r.

- Scisłe Tajne -

Plan

operacyjnych przedsięwzięć do sprawy ujawnionych wrogich napisow w ubikacji Hotelu Nr. 1 na ulicy Lesnej w Pionkach. -

Na terenie Kolonii Mieszkalnej Wytworni Chemicznej Nr.8 w Pionkach w Hotelu Nr.1 na ul.Lesnej, administrator tegoż hotelu ob. BLICHARSKI Stanisław zauważył wrogi napis o tresci antypanstwowej, pisany odręcznie ołowkiem czarnym, w celu ujawnienia autora wrogiego napisu postanawia się wykonać następujące przedsięwzięcia operacyjno-techniczne:

1/. Na najbliższych spotkaniach z siecią wywodzącą się ze srodowiska młodzieżowego, a zamieszkałą w Hotelu Nr. 1 na ul.Lesnej, dać zadanie inf."Eterek", rez."Wrona", oraz po przybyciu z urlopu dnia 1.VIII.53r. inf."Lew", aby w rozmowach z mieszkancami tegoż hotelu ustalili osoby podejrzane o napisanie wrogiego napisu, po ustaleniu osob podejrzanych opracować konkretne zadanie dla sieci, aby ustalić sprawcę.

2/. Zabezpieczyć wrogi napis poprzez wycięcie go z drzwi i zrobienie zdjęć, miejsce wycięte zaprawić innym drzewem.

3/. Opracować zawiadomienie do Naczelnika Wydziału I-go Departamentu II-go M.B.P. w Warszawie, odnosnie ujawnienia wrogich napisow.

wykona do dnia 25.VII.53 r. - Dzioba Gustaw.

4/. PO zrobieniu zdjęć wrogiego napisu przeanalizować akta personalne osob zamieszkałych w hotelu nr. 1 na ul. Lesnej, ktore są podejrzane o napisanie wrogiego napisu, sposród ktorych ustalić podobne charaktery i przesłać do Ekspertyzy L.C. - MBP w Warszawie, celem stwierdzenia autora.

wykona do dn. 28.VII.53 r. - Dzioba Gustaw. -

5/. Przeprowadzić rozmowę z portierami ktorzy mieli służbę w dniach od 20.VII. - 23.VII.53 r. w hotelu Nr. 1 na ul.Lesnej, w celu ustalenia czy ktoś z poza mieszkancow tegoż hotelu nie przebywał w tych dniach w hotelu nr. 1, ustalając ich nazwiska.

wykona do dnia 27.VII.53 r. - Dzioba Gustaw. -

Pionki, 25 VII 1953 r. Plan operacyjny przedsięwzięć do sprawy ujawnionych wrogich napisów w ubikacji Hotelu Nr. 1 na ulicy Lesnej w Pionkach, (pisownia oryginalna). **„Postanawia się wykonać następujące przedsięwzięcia: (…) dać zadanie inf. »Eterek«, w rezerwie »Wrona«, oraz po przybyciu z urlopu inf. »Lew« aby ustalili osoby podejrzane (…). Zabezpieczyć wrogi napis poprzez wycięcie z drzwi i zrobienie zdjęć, miejsce wycięte zabezpieczyć innym drzewem".**

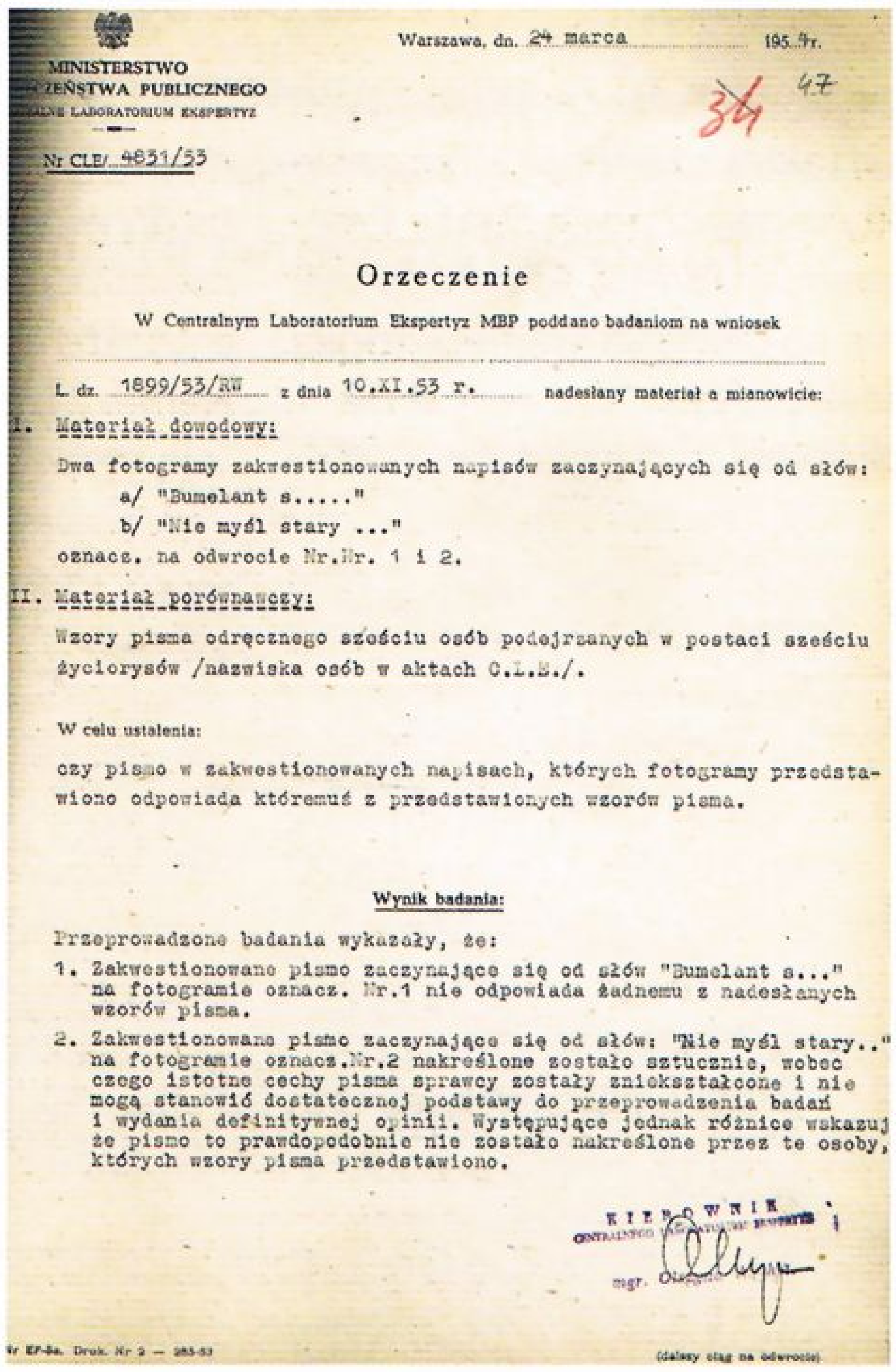
MINISTERSTWO
BEZPIECZEŃSTWA PUBLICZNEGO
CENTRALNE LABORATORIUM EKSPERTYZ

Nr CLE/ 4831/53

Warszawa, dn. 24 marca 1954 r.

Orzeczenie

W Centralnym Laboratorium Ekspertyz MBP poddano badaniom na wniosek

L. dz. 1899/53/RW z dnia 10.XI.53 r. nadesłany materiał a mianowicie:

I. Materiał dowodowy:

Dwa fotogramy zakwestionowanych napisów zaczynających się od słów:
a/ "Bumelant s....."
b/ "Nie myśl stary ..."
oznacz. na odwrocie Nr.Nr. 1 i 2.

II. Materiał porównawczy:

Wzory pisma odręcznego sześciu osób podejrzanych w postaci sześciu życiorysów /nazwiska osób w aktach C.L.E./.

W celu ustalenia:

czy pismo w zakwestionowanych napisach, których fotogramy przedstawiono odpowiada któremuś z przedstawionych wzorów pisma.

Wynik badania:

Przeprowadzone badania wykazały, że:

1. Zakwestionowane pismo zaczynające się od słów "Bumelant s..." na fotogramie oznacz. Nr.1 nie odpowiada żadnemu z nadesłanych wzorów pisma.
2. Zakwestionowane pismo zaczynające się od słów: "Nie myśl stary.." na fotogramie oznacz. Nr.2 nakreślone zostało sztucznie, wobec czego istotne cechy pisma sprawcy zostały zniekształcone i nie mogą stanowić dostatecznej podstawy do przeprowadzenia badań i wydania definitywnej opinii. Występujące jednak różnice wskazuj że pismo to prawdopodobnie nie zostało nakreślone przez te osoby, których wzory pisma przedstawiono.

KIEROWNIK
CENTRALNEGO LABORATORIUM EKSPERTYZ
mgr.

(dalszy ciąg na odwrocie)

MBP, Warszawa, 24 III 1954 r. Orzeczenie. W Centralnym Laboratorium Ekspertyz poddano badaniom na wniosek. „Materiał dowodowy: dwa fotogramy zakwestionowanych napisów zaczynających się od słów: »Bumelant s…« i »Nie myśl stary…«. Materiał porównawczy: wzory pisma odręcznego sześciu osób podejrzanych w postaci sześciu życiorysów/nazwiska osób w aktach C.L.E.".

teriał do analiz grafologicznych i uniemożliwiało złapanie ich autora. Ze względu na niewielką przestrzeń wykonanie zdjęcia mogło być po prostu niemożliwe, by przytoczyć tu przykład wychodka dla tramwajarzy przy ul. Strykowskiej w Łodzi. Jednak i w takiej sytuacji można było znaleźć rozwiązanie:

„Wobec powyższego deskę, na której były napisy o treści antypaństwowej, wyrżnięto i przesłano w dniu 10.3.50 r. do Naczelnika II Wydz. WUBP w Łodzi w celu ponownego dokonania zdjęcia".

Innym problemem, który cechował krótkie napisy, była mała ilość liter do analizy. Po wizycie funkcjonariuszy UB ścianom czym prędzej przywracano pierwotny wygląd. I wówczas przychodził czas na rozpoczęcie właściwego tropienia sprawcy.

Pierwszą czynnością było formalne wszczęcie sprawy agenturalno-śledczej. Ten rodzaj rozpracowania operacyjnego dotyczył wszelkich aktów wrogiej działalności (dywersja, terror, kolportaż antypaństwowych ulotek itp.), której sprawcy nie byli znani.[5] Każda sprawa miała swój kryptonim, który mógł nawiązywać do podejrzanych („Pismacy", „Autor"),

miejsca położenia toalety („Odlew" – Wydział Odlewni), działania klozetu (tak przynajmniej tłumaczę sobie kryptonim „Fala"), lub nie mieć bezpośredniego związku z charakterem przestępstwa („Zryw"). Następnie oficer prowadzący sprawę tworzył, często bardzo szczegółowy, plan działania, w którym określał rodzaj czynności do przeprowadzenia, przypisywał do ich wykonania konkretnych funkcjonariuszy, wyznaczał im daty zakończenia pracy itd. Generalnie rzecz ujmując, poszukiwania sprawcy(ów) koncentrowały się wokół trzech ściśle powiązanych ze sobą zagadnień: typowania autora na podstawie dostępnych materiałów, analizy grafologicznej pisma oraz pracy sieci agenturalnej w danym zakładzie.

Po wstępnym zawężeniu kręgu potencjalnych podejrzanych, na podstawie np. godziny zauważenia napisu: *„(…) ukazywały się w godzinach rannych co wskazuje na to, że dokonywane były przez osobnika pracującego na III-ej zmianie"*, lub określeniu, którzy pracownicy mają dostęp do przyozdobionego politycznym graffiti WC albo do materiału, którym sporządzono hasło (np. kreda), prowadzący sprawę starali się wytypować konkretne osoby. W porozumieniu z kierownictwem zakładu analizowali akta osobowe wybranych pracowników, porównując charakter pisma, jakim sprawca wyrażał swoje uczucia na ścianie, z własnoręcznie pisanymi przez nich dokumentami, typu podanie o pracę, życiorys itp. Gdy uchwycili podobieństwo, musieli pobrać od wskazanych osób próbki tekstu napisanego identycznym jak w ubikacji krojem liter. Najlepiej było to zrobić tak, aby nie spłoszyć potencjalnego sprawcy, czyli posłużyć się jakimś fortelem, jak choćby wywiadowca B. Płużek z XII Komisariatu MO w Łodzi, który w 1950 r. badał napisy w sławojce na krańcówce[6] tramwajowej. W jego notatce służbowej czytamy: *„(…) poleci mu* [kierownikowi personalnemu – przyp. B. B.] *aby wezwał te osoby do siebie, każąc im wypisać jakieś pisma charakterem zbliżonym do wypisanych haseł pod pretekstem, że typuje na stanowiska do Wydziału Planowania, a przy takiej pracy trzeba umieć pisać półdrukiem"*.

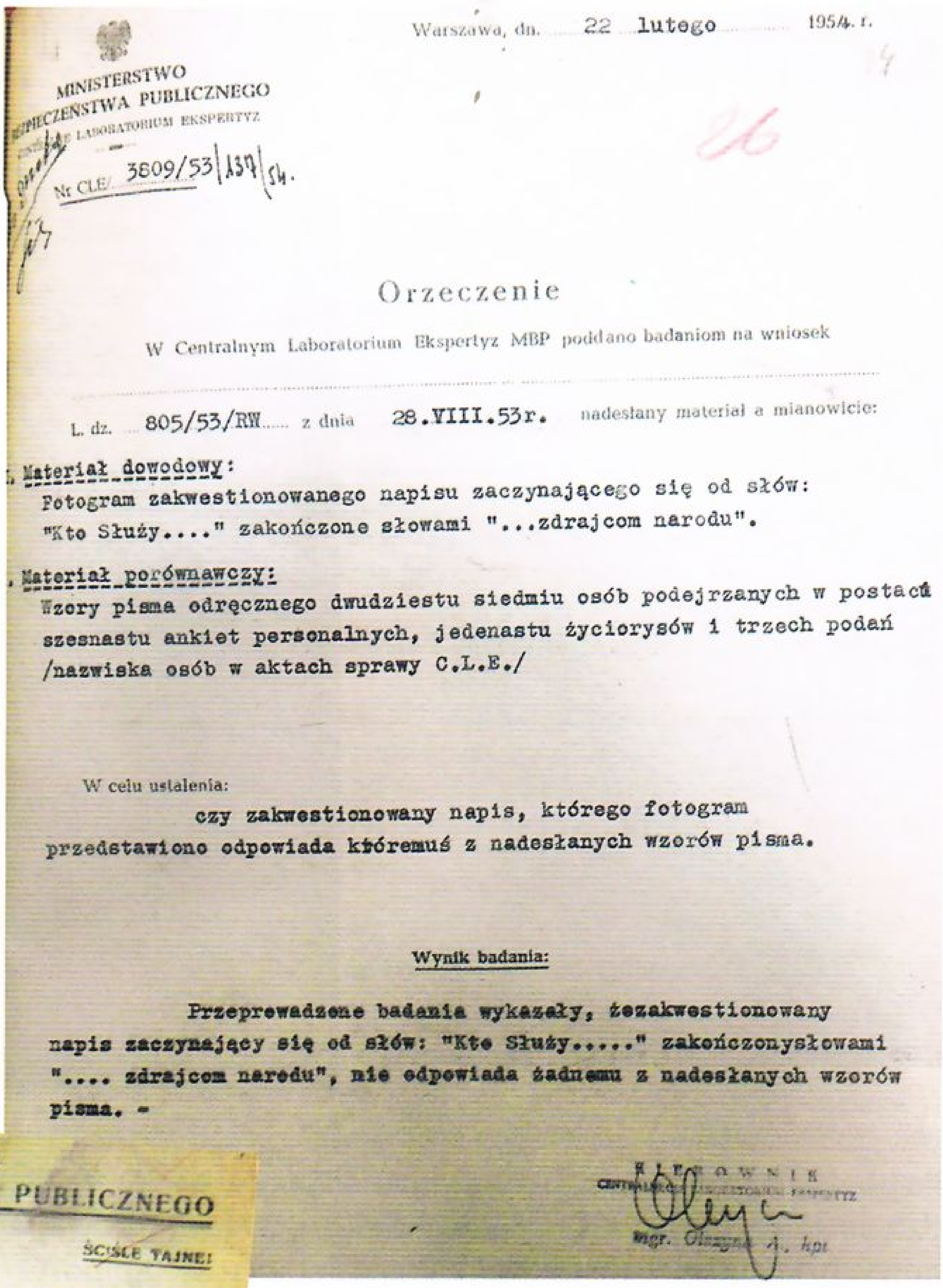

MINISTERSTWO BEZPIECZEŃSTWA PUBLICZNEGO
LABORATORIUM EKSPERTYZ
Nr CLE/ 3809/53/137/54.

Warszawa, dn. 22 lutego 1954 r.

Orzeczenie

W Centralnym Laboratorium Ekspertyz MBP poddano badaniom na wniosek

L. dz. 805/53/RW z dnia 28.VIII.53r. nadesłany materiał a mianowicie:

Materiał dowodowy:
Fotogram zakwestionowanego napisu zaczynającego się od słów: "Kto Służy...." zakończone słowami "...zdrajcom narodu".

Materiał porównawczy:
Wzory pisma odręcznego dwudziestu siedmiu osób podejrzanych w postaci szesnastu ankiet personalnych, jedenastu życiorysów i trzech podań /nazwiska osób w aktach sprawy C.L.E./

W celu ustalenia:
czy zakwestionowany napis, którego fotogram przedstawiono odpowiada któremuś z nadesłanych wzorów pisma.

Wynik badania:

Przeprowadzone badania wykazały, żezakwestionowany napis zaczynający się od słów: "Kto Służy....." zakończonysłowami ".... zdrajcom narodu", nie odpowiada żadnemu z nadesłanych wzorów pisma. -

KIEROWNIK
CENTRALNEGO LABORATORIUM EKSPERTYZ
mgr. Olszyna A. kpt

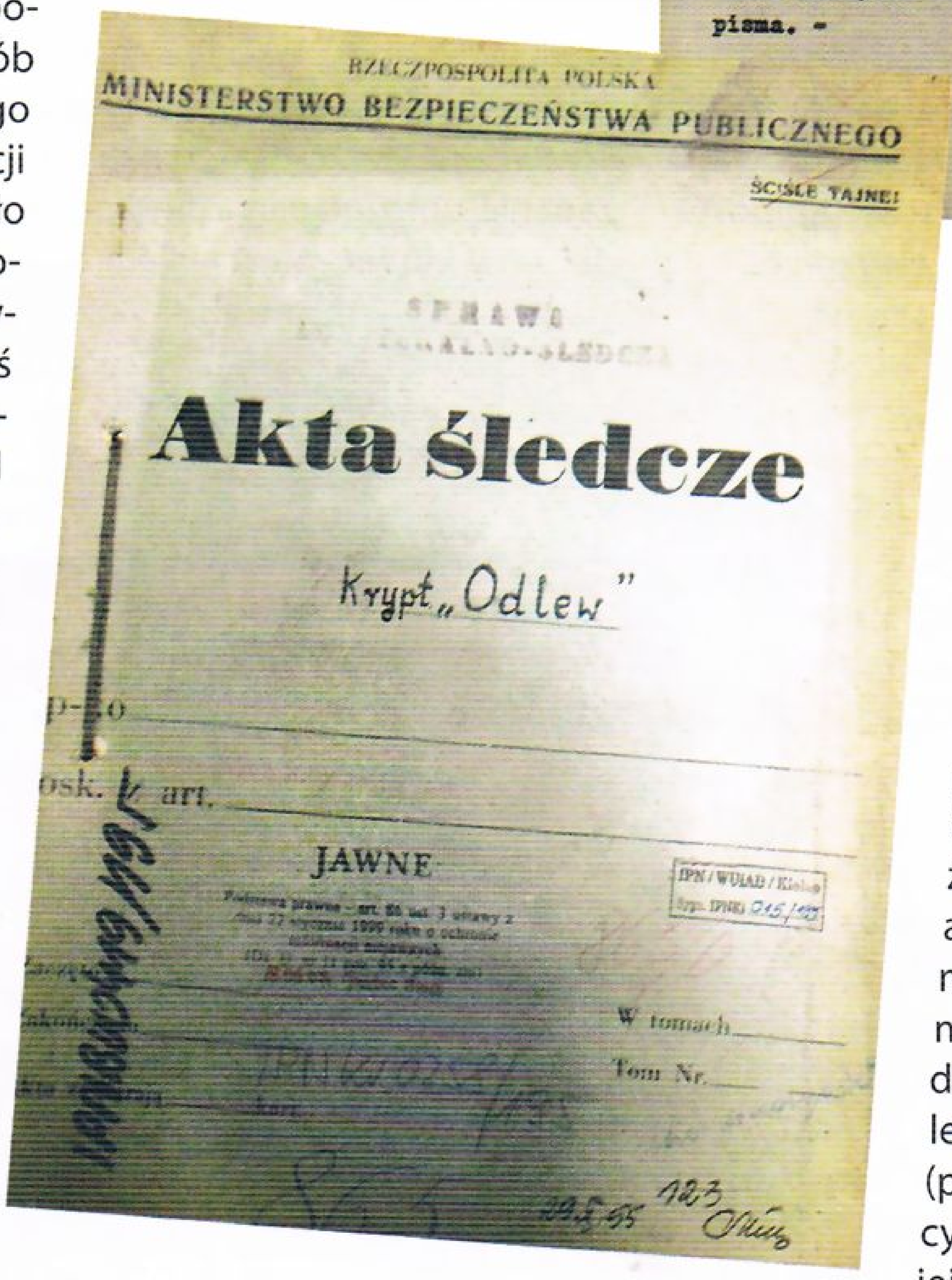

Do grona podejrzanych, niejako „z urzędu", zaliczali się także mniej lub bardziej jawni oponenci panującego ustroju, nawet jeżeli na co dzień nie korzystali z feralnej ubikacji, pracując np. w innej części zakładu. Opowiadających dowcipy polityczne, czy krytykujących władze podczas dyskusji w pracy, łatwo było wychwycić poprzez rozmowy z partyjnymi aktywistami szczególnie wyczulonymi na takich delikwentów i rzecz jasna z informatorami UB spośród załogi. Niezależnie od tego sprawdzano własne kartoteki w poszukiwaniu notowanych wcześniej pracowników z danego przedsiębiorstwa i wszelkich wcześniejszych przejawów działalności opozycyjnej na jego terenie. Jeśli wrogie napisy pojawiały się po raz kolejny, porównywano je z materiałem dowodowym, zgromadzonym podczas wcześniejszych rozpracowań. Osoby, z jakichś względów podejrzewane o sprawstwo sloganów, „prześwietlano" nie tylko poprzez wskazane powyżej akta personalne, kartoteki i informatorów, ale również przez rozmowy ze zwierzchnikami w pracy, sąsiadami, dzielnicowym, kolegami. Gromadzono szeroki zbiór informacji, od danych stricte osobowych poprzez przynależność do partii politycznych i stowarzyszeń (przed i po wojnie), poprzednie miejsca pracy, udział w konspiracji podczas okupacji i po jej zakończeniu, stosunek do władz hitlerowskich i później komunistycznych, zainteresowania, kręgi towarzyskie, przeszłość kryminalną, cechy osobowe itd. Czasem dotyczyło to też rodziny podejrzanego. Materiał porównawczy, czyli próbki pisma oraz fotografie napisów, po przeanalizowaniu ich przez grafologa w miejscowym WUBP, wysyłano do najwyższej wyroczni – Centralnego Laboratorium Ekspertyz MBP/KdsBP.[7]

Obok etatowych funkcjonariuszy UB na „łowy" ruszali ich donosiciele, których, trzymając się myśliwskiej poetyki, moż-

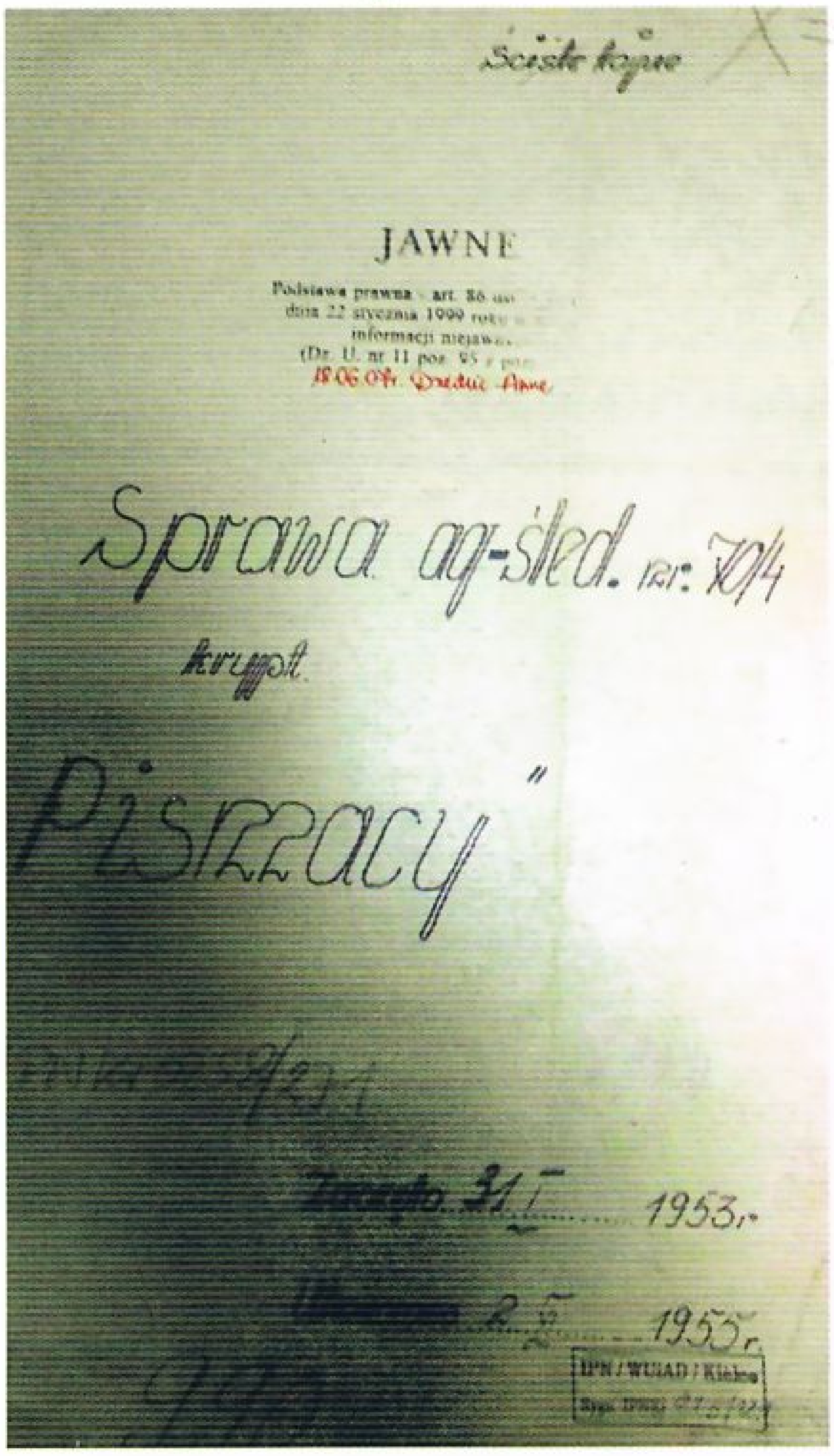
Ściśle tajne

JAWNE

Sprawa ag-śled. nr: 7014

krypt.

„Piszący”

1953 r.

1955 r.

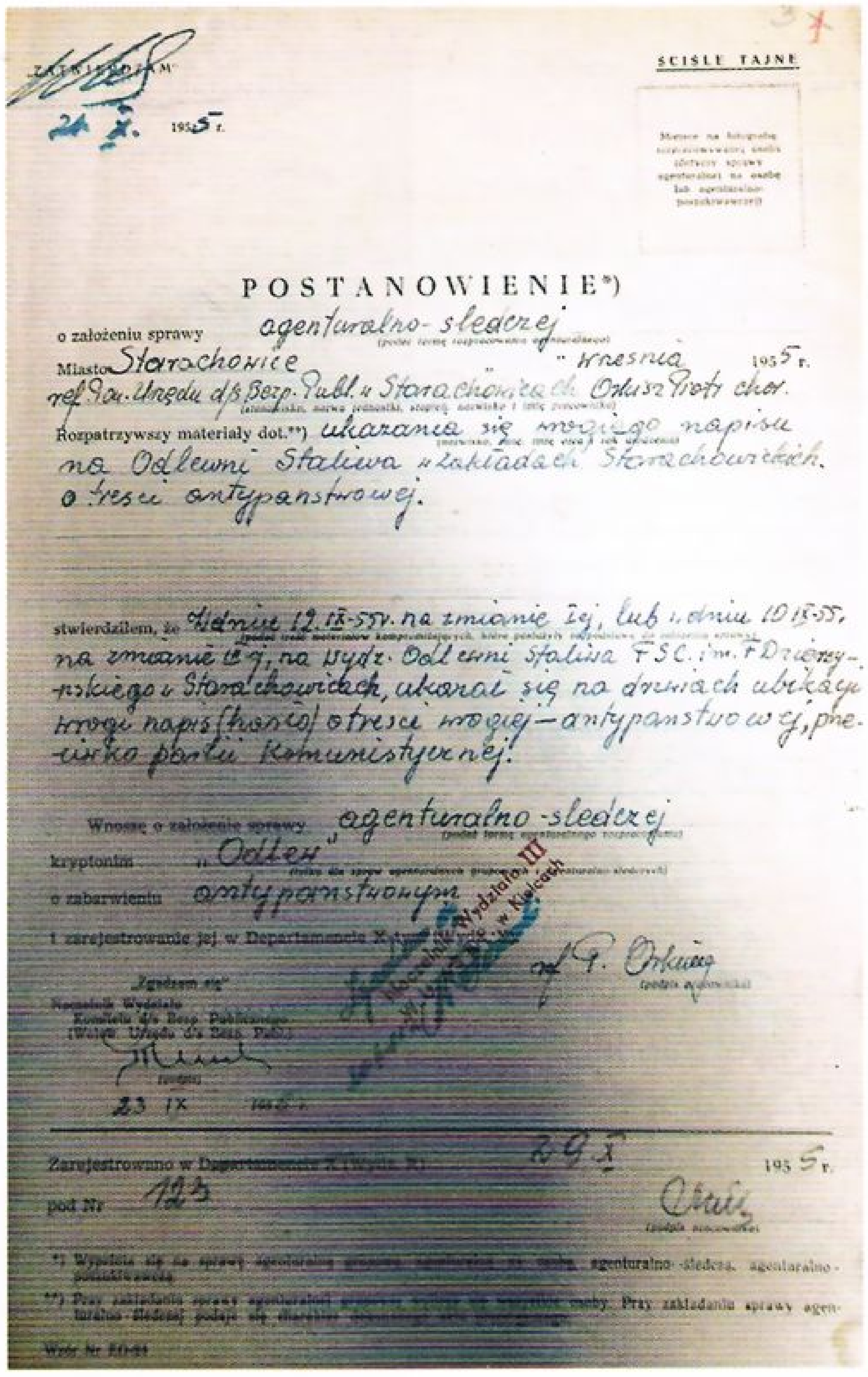
ŚCISLE TAJNE

POSTANOWIENIE

o założeniu sprawy agenturalno-śledczej

Miasto Starachowice ... września 1955 r.

Rozpatrzywszy materiały dot. ukazania się wrogiego napisu na Odlewni Staliwa w zakładach Starachowickich o treści antypaństwowej

Wnoszę o założenie sprawy agenturalno-śledczej

kryptonim „Odlew”

o zabarwieniu antypaństwowym

Postanowienie o założeniu sprawy agenturalno-śledczej. Starachowice, X 1955 r. „Rozpatrzywszy materiał: ukazania się wrogiego napisu na Odlewni Staliwa w zakładach Starachowickich o treści antypaństwowej, stwierdzam, że: (…) ukazał się wrogi napis (hasło) o treści wrogiej – antypaństwowej przeciwko partii komunistycznej; wnoszę o: założenie sprawy agenturalno-śledczej, kryptonim »Odlew« o zabarwieniu antypaństwowym”.

na porównać do naganiaczy. Jeżeli działający w danym zakładzie informatorzy nie wnosili wiele do sprawy, werbowano nowych, jak np. w Państwowym Przedsiębiorstwie Kolportażowym „Ruch” w Kielcach, gdzie w 1954 r.: *„Celem głębszego rozpracowania zapodanych osób i ujawnienia sprawców wrogich napisów dokonano werbunku kandydata na informatora ps. »Wróbel«”*. Od swoich oficerów prowadzących dostawali oni konkretne zadania do wykonania, a później się z nich rozliczali. Rozmowy, jakie mieli odbywać w celu wykrycia sprawców, musiały być prowadzone w taki sposób, by nie wzbudzać podejrzeń o ich współpracę z UB, a jednocześnie nie nagłaśniać całej sprawy. W planie przedsięwzięć operacyjnych, podjętych w celu złapania autorów napisów w Państwowym Przedsiębiorstwie Wyodrębnionym – Wytwórnia Chemiczna nr 8 w Pionkach, czytamy: *„Dając zadanie każdemu inf. należy dobrze przemyśleć, aby tym samym nie rozgłosić wśród ludzi o fakcie zaistniałym w dniu (…)”*. Rozpoczynając rozmowę, donosiciel musiał umiejętnie naprowadzić wytypowane osoby na temat rozważań. Dobrą egzemplifikacją jest tu informator „Model” z Odlewni Staliwa w Fabryce Samochodów Ciężarowych w Starachowicach, który zaczynał od wyrażenia dezaprobaty dla faktu zniszczenia drzwi w toalecie przez nieznanych chuliganów, podczas gdy dziura w nich była wynikiem wycięcia fragmentu z napisem przez UB. Ważne było zdobycie zaufania rozmówcy przed wejściem na „gorące” tematy. Dobrze wiedział o tym UB-ek, który zadaniując informatora ps. „Zielony”, podkreślał: *„W dalszym ciągu przeprowadzać rozmowy ze Skórnickim na tematy pracy i zarobków, z chwilą gdy zauważycie, że Skórnicki nabiera do was zaufania to należy rozmowę skierować na temat polityczny (…)”*. Prowadząc rozmowy z podejrzanymi i ich znajomymi, współpracownicy UB dążyli do stworzenia jak najobszerniejszej charakterystyki tych osób, poczynając od nałogów, upodobań, cech charakterologicznych, stosunku do kolegów z pracy, aż do poglądów politycznych, zapatrywań na władzę, ustrój komunistyczny czy ZSRR.

Współpracownicy bezpieki prowadzili działania nie tylko poprzez rozmowy. Wspomniany już w tekście informator „Pstrąg”, który prawdopodobnie niemal nakrył sprawcę na gorącym uczynku i dobrze mu się przyjrzał, dostał zadanie porozglądania się po zakładzie i dyskretnego ustalenia, przy którym warsztacie pracuje podejrzany. Sposobem na złapanie „wywrotowców” mogła być również jak najdokładniejsza kontrola miejsc, w których pojawiały się, lub mogły się pojawiać, wrogie hasła.

zdarzyło się…

1 VI 1950 r.

65 lat temu „Trybuna Ludu” opublikowała dramatyczny apel o zrzuceniu nad Bałtykiem, przez Amerykanów, potężnych ilości stonki ziemniaczanej, która rozprzestrzeniła się w wkrótce na cały kraj. Źródłem informacji było Ministerstwo Rolnictwa i Reform Rolnych, które w oficjalnym komunikacie ujawniło ową tajną misję lotnictwa USA. Co więcej, jak donosiła ówcześnie prasa, imperialiści podobnie „zbrodniczą” akcję mieli przeprowadzić nieco wcześniej nad terytorium NRD w „dywanowym nalocie” w okolicach Zwickau. Pasiasty dywersant, zwany niegdyś „żukiem z Kolorado”, w ramach zaplanowanego za oceanem sabotażu w ciągu kolejnych lat niszczył uprawy kartofli. Władze państwowe wraz aktywem partyjnym przystąpiły natychmiast do mobilizacji ludności w celu bezwzględnej walki ze szkodnikiem. To oczywiście jeden ze sztandarowych przykładów komunistycznej propagandy, która przypadkowe pojawienie się tego owada, wykorzystała do własnych celów, m.in. by wytłumaczyć przyczyny niedoborów żywności, a także, by zaaktywizować społeczeństwo do jak najintensywniejszej, klasowej niemal, walki ludu z rzeczywistą plagą. Propagandy, z której przekazu rząd PRL do samego końca się nie wycofał…

Kiedy takie „nieszczęście" w 1953 r. dopadło hotel robotniczy przy ul. Leśnej w Pionkach, prowadzący sprawę st. referent Dzioba wykoncypował, że newralgiczne miejsca rano będzie sprawdzał informator „Lew", w południe „Duży", a wieczorem „Eterek": *„(...) co zapewni nam ciągłość kontroli"*.

Informatorzy ustalali także, jakie grupy pracowników korzystają z danej ubikacji, kto nosi przy sobie zatemperowane ołówki lub kredę, czyli potencjalny *corpus delicti*, oraz inne fakty, do których funkcjonariusze UB nie mogli sami dotrzeć. Wszystkie te czynności, podejmowane bezpośrednio przez funkcjonariuszy UB i pracujących dla nich informatorów, zmierzały do wykrycia sprawców i ich przykładnego ukarania. Jaka była ich efektywność, tego powiedzieć nie potrafię. Mogę jedynie odnieść się do przeglądanych przeze mnie spraw, w przypadku których było z tym bardzo mizernie. To jednak nie upoważnia do żadnych wniosków natury całościowej, tutaj bowiem potrzebne byłyby jakieś centralne statystyki sporządzane na poziomie ministerstwa, choć cytowana już Instrukcja nr 011/53 z maja 1953 r. w jakimś sensie potwierdza moje przeczucia, skoro dyrektor Gabinetu Ministra stwierdza w niej:

„Dotychczasowa walka z tą formą wrogiej propagandy [napisy i ulotki – przyp. B.B.] *nie przynosi dostatecznych rezultatów, głównie dlatego, że prowadzone rozpracowania celem wykrycia sprawców ulegają szybko zaniechaniu, jeżeli wstępne posunięcia nie dały pozytywnych rezultatów"*.

Idealnym dopełnieniem i zamknięciem tego krótkiego cyklu o antypaństwowych napisach w toaletach, byłby choć krótki rzut oka na perypetie prokuratorsko-sądowe wykrytych sprawców. Jeśli tylko natknę się na odpowiednie archiwalia, nie omieszkam się podzielić swoimi przemyśleniami z Czytelnikami „Odkrywcy".

W cytatach zachowano oryginalną pisownię.

Przypisy:

[1] Czasami MO zajmowała się sprawami napisów w przypadkach mniej istotnych. Jednak nawet wtedy robiła to w ścisłym porozumieniu i pod kontrolą UB.

[2] Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego.

[3] Najniższa kategoria współpracownika organów bezpieczeństwa w latach 1945-1960.

[4] Zakładowe komórki UB funkcjonujące w szczególnie ważnych przedsiębiorstwach cywilnych (ROP) oraz w fabrykach produkujących na potrzeby armii (RW).

[5] Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego/Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa Publicznego.

[6] Ciekawy i rzeczowy słownik terminologii resortowej znajdziecie Państwo pod adresem: www.inwentarz.ipn.gov.pl (zakładka „Słownik terminów").

[7] Tłumacząc z „łódzkiego" na polski – pętla tramwajowa.

[8] Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego/Komitet ds. Bezpieczeństwa Publicznego.

Źródła:
Materiały archiwalne: IPN L.d. 424/2, IPN Ki 015/271, 015/128, 015/129, 015/195, 015/224, 015/245, 015/251

Bartosz Bijak
Z wykształcenia etnolog i historyk, na co dzień archiwista w łódzkim oddziale IPN, a przede wszystkim ojciec. Miłośnik archeologii krajobrazu i pieszych wędrówek z dala od uczęszczanych szlaków. Optymista (stara się zawsze widzieć szklankę do połowy pełną).

REKLAMA

Święto Wallensteina przy styku trzech granic

JANUSZ SKOWROŃSKI

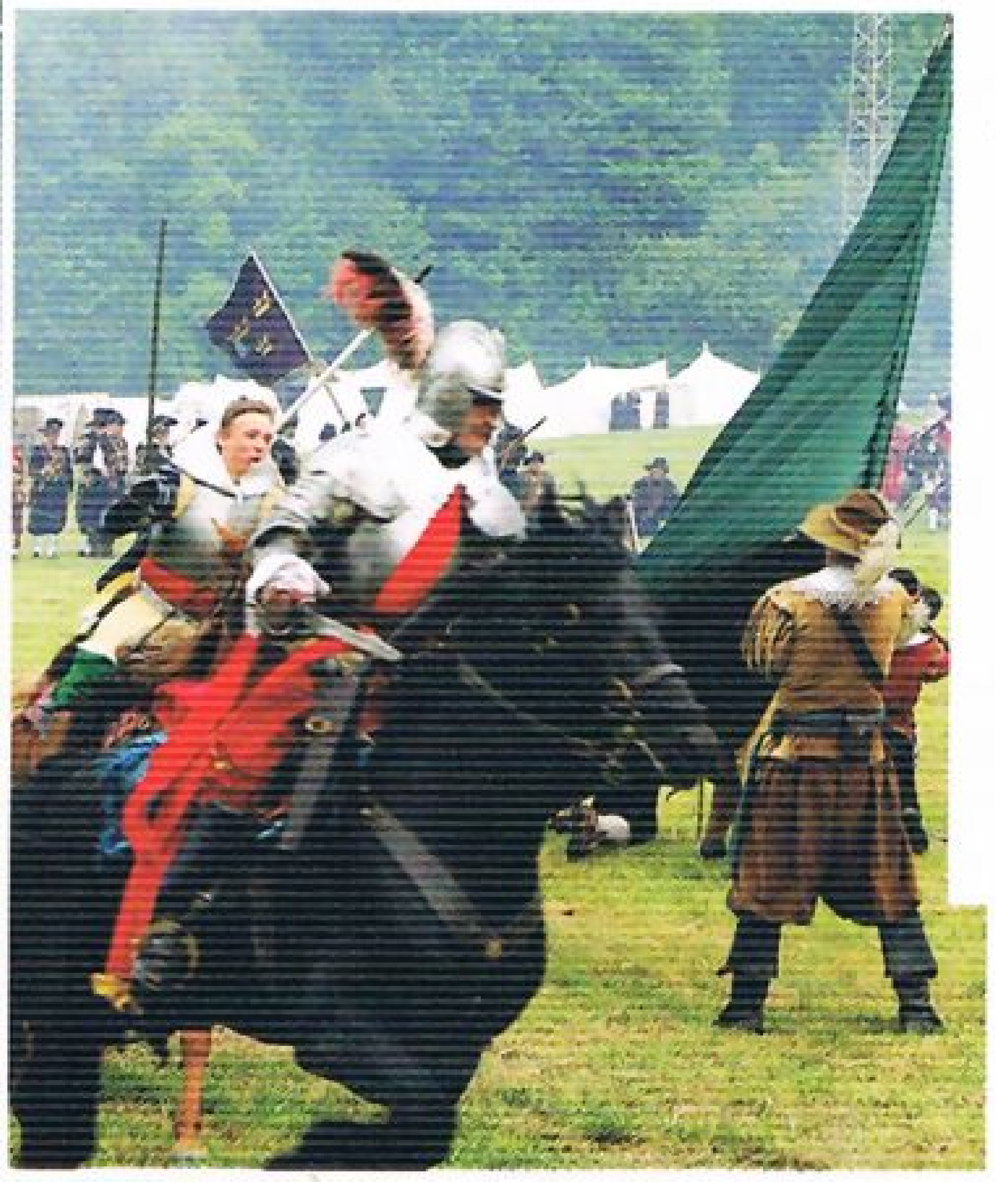

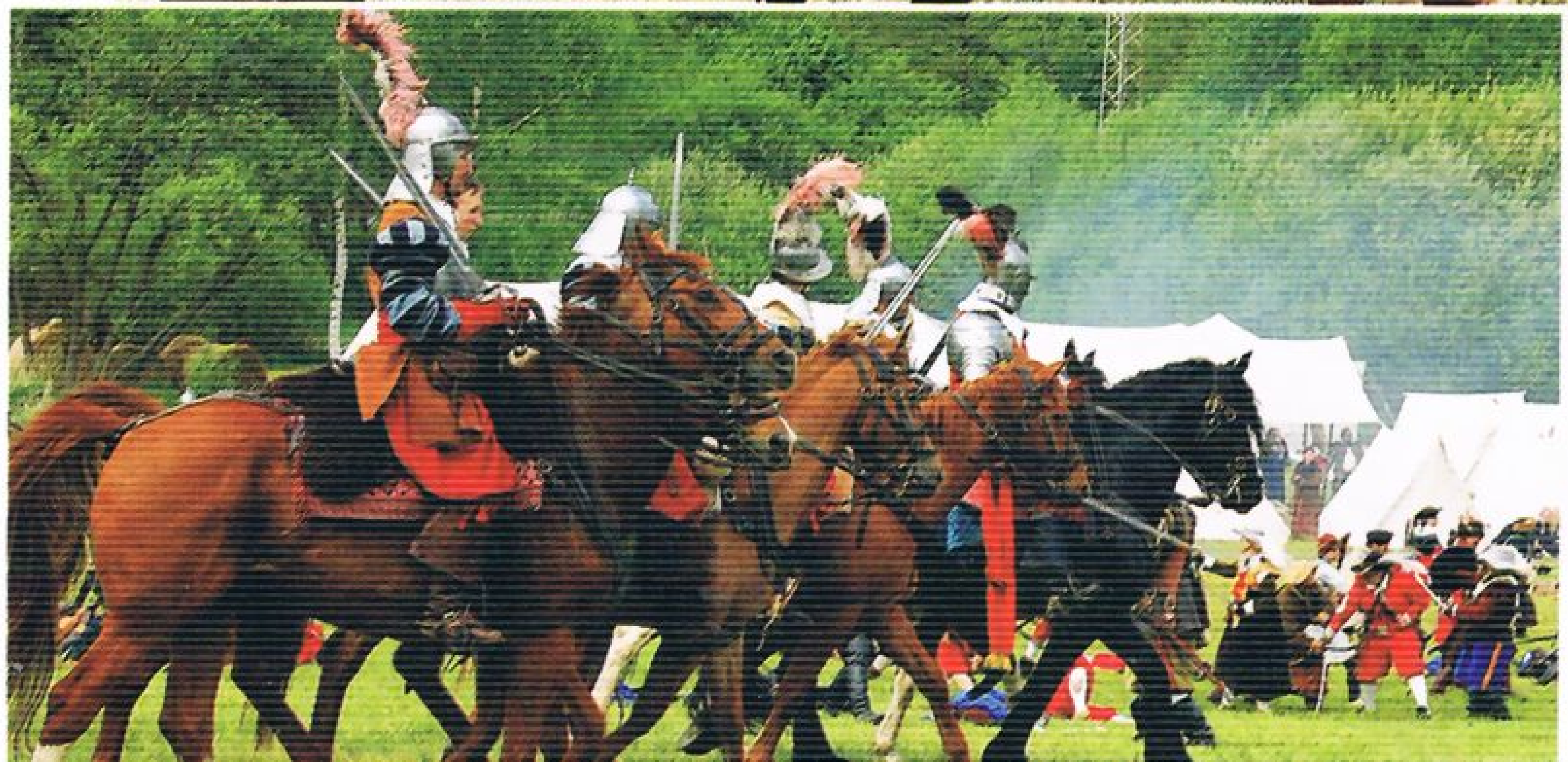

Kiedy nadchodzi trzeci weekend maja nieparzystego roku, do leżącego tuż przy granicy z Polską i Niemcami Frydlantu w Czechach przyjeżdżają tłumy. To Valdštejnske slavnosti – czyli święto Albrechta Wallensteina, postaci historycznej, dowódcy pochodzenia czeskiego, żyjącego w latach 1583-1634. Był wszechstronnie wykształcony; studiował m.in. na uniwersytetach w Padwie i Bolonii. Wcześniej uczył się w gimnazjum łacińskim w Złotoryi.

Imprezę rozgrywaną do 1934 roku, reaktywowano w 1994 roku.

Przez dwa dni miasteczko nad Smedą tętniło życiem rzemieślniczego jarmarku. Nie zabrakło tańców z flagami, śpiewów, kuglarzy czy korowodu z pochodniami, przechodzącego przez miasto. W kościele dekanackim pw. Znalezienia Krzyża św. odbywa się nawet niedzielna msza święta. Wallenstein przeszedł na katolicyzm w 1604 roku.

Kulminacyjny punkt obchodów święta stanowi zawsze bitwa wojsk wojewody Wallensteina, wodza i polityka, pana na frydlanckim zamku z wojskami szwedzkimi. Nawiązuje do wydarzeń wojny 30-letniej, jaka na tych ziemiach przetoczyła się w XVII wieku. Wallenstein po serii sukcesów militarnych w latach 1622-1625 stał się samodzielnym księciem Frydlantu, a pod jego panowaniem znalazło się aż 64 posiadłości w północnych Czechach.

Został nawet księciem w Żaganiu, kiedy to w roku 1627 cesarz Austrii Ferdynand II Habsburg sprzedał księstwo żagańskiego dowódcy swoich wojsk. Za rządów Wallensteina miasto bardzo się rozwinęło. On sam sprowadził do Żagania wielkiego uczonego, astronoma Jana Keplera, który prowadził w Żaganiu obserwacje astro-

nomiczne i meteorologiczne (zachował się nawet horoskop postawiony Wallensteinowi przez Keplera). Dzięki jego zabiegom uruchomiono pierwszą drukarnię w mieście (1629), a także rozpoczęto przebudowę średniowiecznego zamku na barokowy pałac. Wallenstein stał się najbogatszym człowiekiem w kraju, a posiadanie własnego księstwa niezwykle umocniło jego pozycję w cesarstwie. Wpływy Wallensteina sięgały nawet po Meklemburgię. Na stolicę swojego księstwa wyznaczył Jičin, który rozbudował, i do którego sprowadził jezuitów. W 1633 roku pokonał pod dolnośląską Ścinawą wojska szwedzkie. Wallenstein coraz częściej krytykował cesarza i jego decyzje, marzył mu się nawet tron cesarski. Ferdynand II nie mógł tolerować jego pychy i zarozumialstwa, drażniło go też bogactwo Wallensteina. Postanowił więc go wyeliminować, co z resztą było mu na rękę, gdyż był też jego dłużnikiem. Książę Albrecht Wallenstein został oskarżony o zdradę stanu i 25 lutego 1634 r. z rozkazu cesarza został brutalnie zamordowany w Chebie, w domu tamtejszego burmistrza.

Wallenstein stał się bohaterem m.in. dramatu Friedricha Schillera („Trylogia o Wallensteinie i wojnie trzydziestoletniej"), czy poematu symfonicznego Bedřicha Smetany „Obóz Wallensteina".

Na koniec parę słów o biletach i promocji tego typu imprez za naszą południową granicą. Bilety jednodniowe na sobotę kosztowały jedyne 100 CZK, na niedzielę – 80 CZK (dotyczyły obrębu rynku staromiejskiego). Koszt biletów dwudniowych na cały weekend wyniósł zaledwie 120 CZK. Bilety kupowały tylko osoby dorosłe i dzieci… powyżej 130 cm wzrostu. Promocję przygotowano dla tych, którzy przybyli w stroju historycznym (renesans, barok) – te osoby miały wolny wstęp na oba dni. Jeżeli w strój było ubrane tylko dziecko do 130 cm wzrostu, to jego opiekun, pomimo że nie był w stroju historycznym, miał także wstęp gratis. Organizatorzy chcieli w ten sposób wyraźnie wesprzeć postrzeganie tradycji historycznej przez szeroką opinię publiczną, w szczególności przez dzieci. Dodajmy, że bitwę, rozegrano dwukrotnie – w sobotę i niedzielę (ta była bezpłatna).

Święto Wallensteina przyciąga do Frydlantu, co dwa lata, około 25-30 tysięcy widzów, w tym coraz więcej z Polski.

ZDJĘCIA: JANUSZ SKOWROŃSKI

DARIUSZ PIETRUCHA

TO MIEJSCE ODKRYWCA SKARBY • WOJNA • HISTORIA POLECA

MOSZNA – górnośląska bajka z disneyowskim akcentem

Pamiętam z dzieciństwa czołówkę towarzyszącą filmom Walta Disneya. Właściwie nie zmieniła się do dzisiaj. Animowany zamek o przepięknym, bajkowym kształcie pasujący do cudownych opowieści, które w okresie PRL-u łowiłem jak wytrawny rybak. Tak, drodzy, młodsi czytelnicy. W tamtych czasach opowieści Disneya były prawdziwą gratką. A potem, po latach, pojechałem do Mosznej. I stanąłem jak wryty. Zamek, jak z czołówki Disneya, stał dokładnie naprzeciw mnie. I czekał...

Spacerkiem po wiekach

W XIV wieku pojawiła się pierwsza informacja dotycząca nazwy miejscowości. Niemcy pisali ją Moschen. W 1309 lub 1310 r. przybyła tu rodzina nosząca nazwisko Mosce lub Moschin, lokując się w osadzie Łącznik (obecnie część wsi Moszna). Niby nic wielkiego, a jednak ich nazwisko utrwaliło się na wieki.[1] Niewielka miejscowość położona wśród lewobrzeżnych dopływów Odry (Białej i Osobłogi), na starym szlaku prowadzącym z Prudnika (niem. Neustadt in Oberschlesien) do Krapkowic (niem. Krappitz), do dzisiaj określana jest ich nazwiskiem. Próbuję sobie wyobrazić to miejsce w tamtych czasach. Gęste lasy, rozległe bagniska, wijący się trakt handlowy, i mała miejscowość. Tak właśnie w XIV w. wyglądała Moszna i jej otoczenie. W następnych wiekach wieś rozrastała się, korzystając z dogodnego położenia. Przybywało mieszkańców, co nie znaczy, że w tym miejscu powstała średniowieczna metropolia. Moszna do dzisiaj pozostała małą miejscowością. Małą, ale urokliwą. I za to ją lubię. Zmieniali się natomiast właściciele wsi. W 1679 r. Moszna przeszła na własność rodu von Skall. To dość krótki epizod w historii Mosznej. Po śmierci Marii Ursuli von Skall (1723, z d. von Reisewitz) kolejnym właścicielem został jej kuzyn, Georg Wilhelm von Reisewitz[2], nadmarszałek dworu Fryderyka Wielkiego. Reisewitz to ród śląskich baronów (z nadania czeskiego w 1623 r. – cesarz Ferdynand III), a później hrabiów (z nadania saskiego w 1792 r. – elektor saski). Niektórzy sądzą, że jest odmianą herbu Leliwa.[3] Używali również nazwiska Kaderzin lub Reisewitz-Kaderzin. Byli także właścicielami zamku w Tworkowie (niem. Tworkau). W 1771 r. Reisewitzowie stracili Moszną (prawdopodobnie skutkiem wojny 7-letniej), którą na licytacji zakupił Heinrich Leopold von Seherr-Thoss (ok. 1738-1804; właściciel pobliskich dóbr i pałacu w Dobrej).[4] Kolejny potomek rodu – Karl Gotthard Sigismund von Seherr-Thoss sprzedał Moszną Heinrichowi von Erdmannsdorffowi, który w 1866 r. zbył pałac Franzowi Hubertowi von Tiele-Winckler. W czasach Reisewitza powstała najstarsza część pałacu (obecnie środkowa), później rozbudowana za rządów von Seherr-Thossów. Najbujniejszy rozwój Moszna przeżyła jako własność rodziny von Tiele-Winckler (od 1866 do 1945 r.). Właśnie wtedy stała się pałacem z bajki. Ale o tym za chwilę.

Tunel templariuszy

Gdy po II wojnie światowej w miejscowości prowadzono prace budowlane (rozbudowa kotłowni), odkryto ślady drewnianej palisady. Datowano ją na okres średniowiecza. To świadczy o tym, że właściciele Mosznej musieli wybudować w tym miejscu rodzaj grodu obronnego. Nie wiem, jak daleko sięgała owa palisada. Można domniemywać, że cała miejscowość była nią otoczona, co czyniło ją jeszcze ważniejszą na szlaku handlowym, nie zawsze bezpiecznym i spokojnym. Na pocz. XX w. w pałacowym ogrodzie odkryto fragmenty piwnic, a w latach 70. resztki ceglanego muru. Legenda głosi, że w średniowieczu Moszna była własnością zakonu templariuszy, a podziemny tunel łączył Moszną z zamkiem w Chrzelicach (niem. Schelitz), który podobno należał do tego zakonu.

Hubert Gustaw von Tiele-Winckler – wizjoner

To jeden z dwóch najważniejszych ludzi związanych z Moszną. Hubert urodził się 8.06.1823 r. niedaleko Reszla (niem. Rössel) w Prusach Wschodnich. Tak naprawdę nie był kimś wyjątkowym. Nic też nie zapowiadało jego wielkiej kariery. Był jednak „zabójczo" przystojny. I to wystarczyło. Pochodził z niezamożnej, kurlandzkiej rodziny szlacheckiej. Jako

Hubert Gustav von Tiele-Winckler – źródło: www.rathay-biographien.de

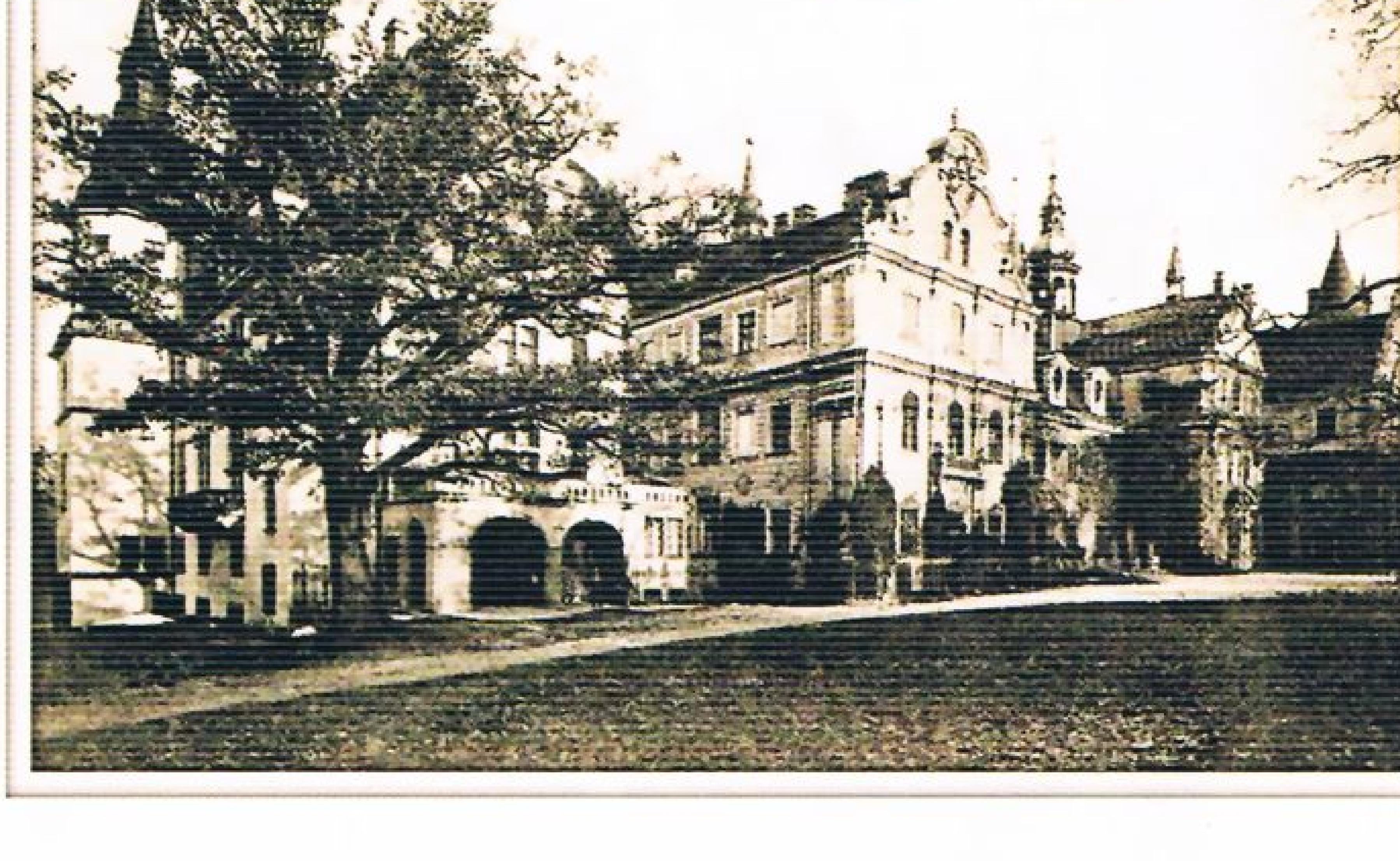

Znany tylko z archiwalnych rycin pierwotny pałac w Mosznej – www.strzeleczki.pl

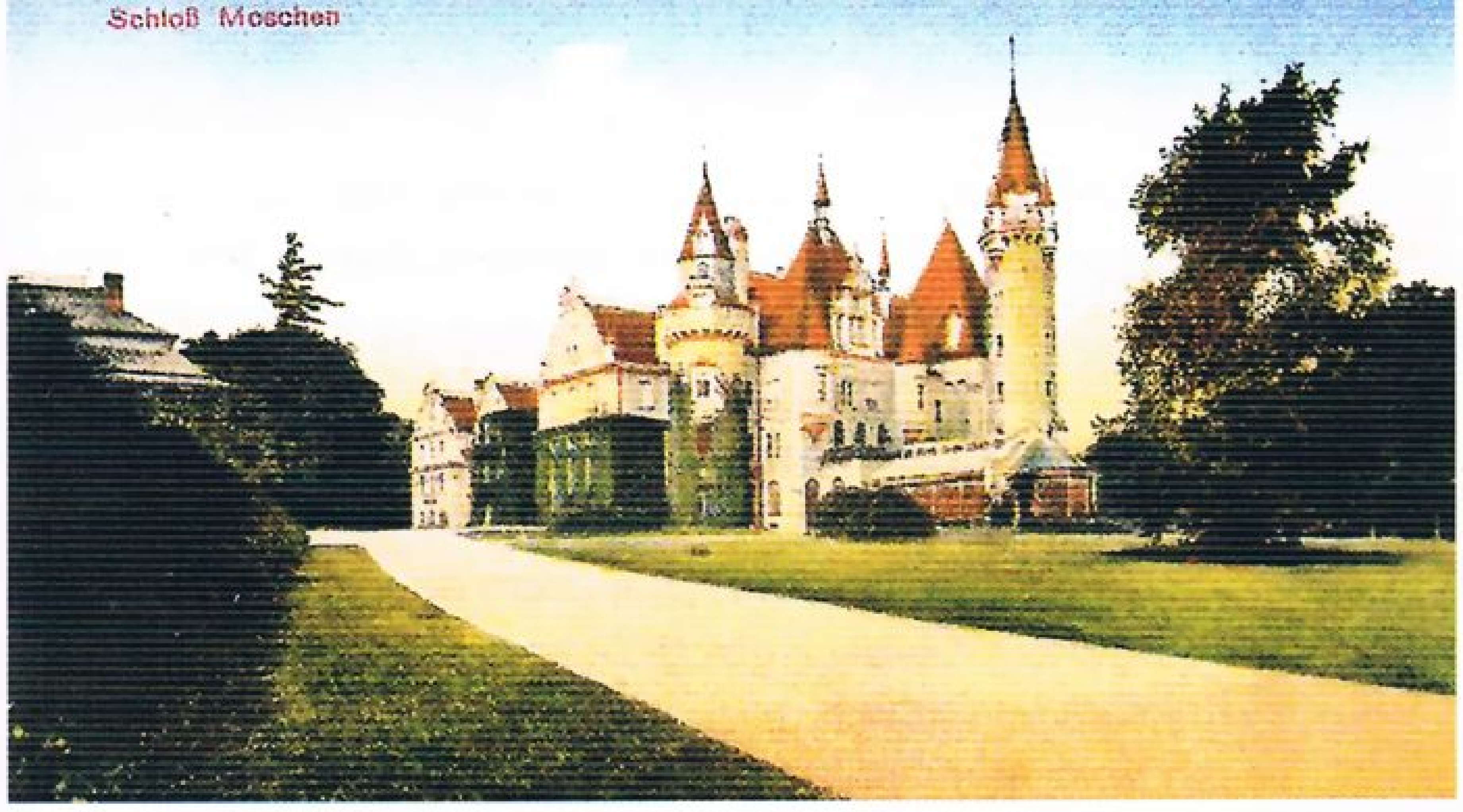

Pałac w Mosznej od strony wschodniej na zdjęciu archiwalnym – źródło: www.strzeleczki.pl

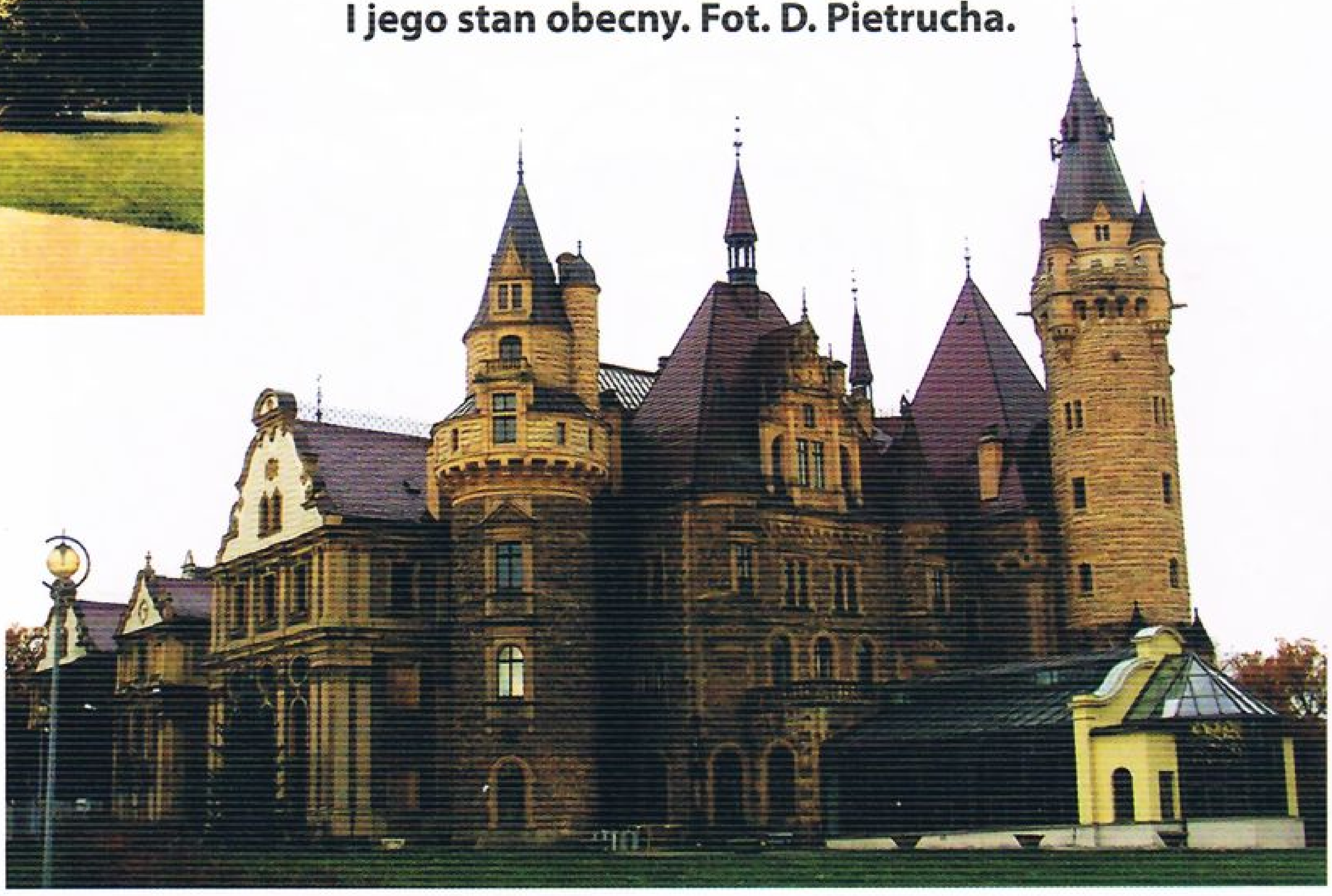

I jego stan obecny. Fot. D. Pietrucha.

podporucznik służył w pruskiej armii i stacjonował na Górnym Śląsku. Przełomem w jego życiu było zawarcie związku małżeńskiego (1854 r.) z Valeską von Winckler, jedyną córką i spadkobierczynią ogromnego majątku Franza von Wincklera.

Miesiąc po ślubie Hubert uzyskał prawo do noszenia nazwiska i legitymowania się herbem rodu swojej żony. Połączenie nazwisk i herbów von Tiele-Winckler nastąpiło wg nadania księcia von Mecklemburg-Schwerin z dnia 6.12.1854 r. Tym samym Hubert stał się szlachcicem z imponującym majątkiem, którym umiejętnie gospodarował. W latach 50. XIX w. wybudował neogotycki pałac w Miechowicach (niem. Miechowitz, obecnie dzielnica Bytomia), będący wówczas reprezentacyjną siedzibą tego rodu. W 1863 r. został właścicielem miejscowości Kujawy (niem. Kujau) koło Krapkowic – do dzisiaj stoi tam „jego" pałac. W 1866 r. zakupił Moszną. W 1889 r. założył Katowicką Spółkę Akcyjną dla Górnictwa i Hutnictwa, która przejęła wszystkie zakłady przemysłowe należące do Tiele-Wincklerów. W 1892 r. przekształcił swoje 33 dobra ziemskie w jeden wielki majorat.

Strona północna pałacu w Mosznej dawniej… – źródło: www.strzeleczki.pl

Valeska zmarła 18.03.1880 roku.[5] Trzy lata później Hubert ożenił się po raz drugi. Jego żoną została, słynąca z urody, hrabina Rose von der Schulenburg. Kolejny związek i kolejny awans społeczny, gdyż Rose pochodziła z rodziny arystokratycznej z Brandenburgii, sięgającej swoimi korzeniami XIII wieku. Hubert zmarł 2.09.1893 r. w Partenkirchen i został pochowany w Miechowicach. W 1907 r. jego szczątki przeniesiono do Mosznej (wraz ze szczątkami jego pierwszej żony Valeski). Oboje spoczęli obok grobu Rose (zmarła w 1930 r.).[6] Był pierwszym właścicielem tej miejscowości z rodu von Tiele-Winckler.

Franz Hubert von Tiele-Winckler – filantrop

Syn Huberta i Valeski. Urodzony 10.03.1857 r. w Miechowicach. Jego małżonką została Marka Jelka, z d. von Lepel (1857-1942). W latach 1886-1892 Franz Hubert piastował urząd starosty prudnickiego. W 1895 r. uzyskał drugi tytuł hrabiowski z rąk cesarza niemieckiego Wilhelma II i herb rodowy. Chcąc w pełni dorównać pruskiej arystokracji, postanowił wybudować nowy pałac w Mosznej (pierwotny spłonął w 1896 r.), przeznaczając na to ogromne sumy. To właśnie Franz Hubert przebudował Moszną w bajkowy pałac, który budzi moje skojarzenia z pałacem z czołówki disneyowskich filmów. Dlaczego? Wystarczy stanąć w pewnej odległości od pałacu, i z daleka podziwiać jego bryłę. Urokliwe wieżyczki wznoszące się ku niebu, przypominają bajkowe wieże z królewnami w środku. Niespotykana, asymetryczna bryła pałacu daleka jest od symetrii dorosłego świata. Rozległy park pełen tajemniczych miejsc i wysepek pobudza wyobraźnię, zwłaszcza dziecięcą, a kanały wodne przecinające parkowe oazy zieleni są dopełnieniem tego bajkowego świata. I znowu wzrok na pałac. Bajka, prawdziwa bajka, choć niektórzy nazywają ją kiczem. Disneyowskim bajkom też można

…i dzisiaj. Fot. D. Pietrucha.

Główny hol z dwoma tunelami schodów prowadzącymi na górną kondygnację. Fot. D. Pietrucha.

to zarzucić. No i historia pałacu. Stworzona przez ludzi, którzy, jak w bajce, z ubogich stali się bogatymi. Teraz rozumiecie?

Franz Hubert uchodził za wielkiego przemysłowca i filantropa. Dbał o byt materialny swoich zasłużonych pracowników; w tym celu stworzył fundusz pomocowy, na który przekazał 100 tys. marek, a ponadto 3 tys. przeznaczył dla weteranów wojennych. Doprowadził do Mosznej linię kolei żelaznej (maleńka stacyjka kolejowa stoi do dzisiaj) i sfinansował budowę: poczty, szpitala, szkoły i biur, a także spichlerzy i zabudowań mieszkalnych oraz gospodarczych w Mosznej i Zielinie. Dbał także o edukację pracowników, fundując im bibliotekę liczącą kilkaset tomów. W tych działaniach wspierała go hrabina Jelka, sprowadzając w 1908 r. do pobliskiej Zieliny (niem. Zellin) Siostry Elżbietanki, które podjęły się prowadzenia szkółki dla dzieci pracowników hrabiego i opiekowały się chorymi. Franz Hubert von Tiele-Winckler zmarł 14.12.1922 r. w Lucernie, gdzie przebywał na leczeniu. Jego zwłoki zostały przewiezione na cmentarz do Mosznej. Hrabina Jelka została pochowana poza Moszną.

Ostatnim właścicielem pałacu w Mosznej i spadkobiercą wielkiej fortuny był Claus Hubert (Peter), najstarszy syn Franza Huberta i Jelki, urodzony 27.01.1892 roku. Nie był zainteresowany pomnażaniem majątku, a raczej jego trwonieniem. Zmarł bezpotomnie w 1938 r., choć był trzykrotnie żonaty. Pochowano go w Mosznej. Przed śmiercią Claus Hubert usynowił swojego kuzyna, którego syn odziedziczył majątek i tytuł hrabiowski. Günter von Tiele-Winckler (najstarszy przedstawiciel rodziny z linii Vollratsruhe) opuścił pałac w Mosznej wiosną 1945 r., uciekając przed Armią Czerwoną.

Pierwotny pałac

Był to piętrowy pałacyk wybudowany na planie prostokąta, posiadający wysunięte ryzality, w których umieszczono reprezentacyjne wejścia od strony głównego podjazdu oraz od ogrodu. Nie posiadał bocznych skrzydeł. Zapewne powstał w miejscu jakiegoś wcześniejszego założenia, o którym nic nie wiadomo. Oś środkowa pałacu została zaakcentowana wznoszącą się nad frontonem ryzalitu gloriettą, przykrytą barokowym hełmem. Prawdopodobnie taki kształt nadali mu poprzedni właściciele, czyli rodzina von Reisewitz, a później von Seherr-Toss. Była to duża budowla o wyraźnych cechach barokowych. Podjazd do drzwi ryzalitu ogrodowego łączył się poprzez ogrodowy salon z aleją lipową (lipy mają ponad 200 lat, a dęby ponad 300). Podobno od 1867 r. użytkowały go siostry zakonne, które w swojej kronice wykonały kilka jego rysunków. Inni piszą, że mieszkał w nim Franz, który dokonał jego przebudowy. Jest kilka zdjęć tego pałacu. To wszystko.

Królestwo marzeń

W nocy z 2 na 3 VI 1896 r.[7] wielki pożar strawił pałac. To stało się impulsem do jego całkowitej przebudowy. Inicjatorem prac był Franz Hubert, który zamierzał przenieść główną siedzibę swojego rodu z pałacu w Miechowicach do Mosznej. Możliwe, że projektodawcą nowego pałacu w Mosznej był niemiecki architekt Franz Schwechten.[8] Odbudowano stary korpus zamku, który teraz znalazł się w środkowej części nowej budowli. Następnie powstało nowe skrzydło wschodnie (założone na planie litery „F"), i na tym zakończono pierwszy etap

Tak dawniej prezentował się pokój pana domu – źródło: www.slaskiekolekcje.eu

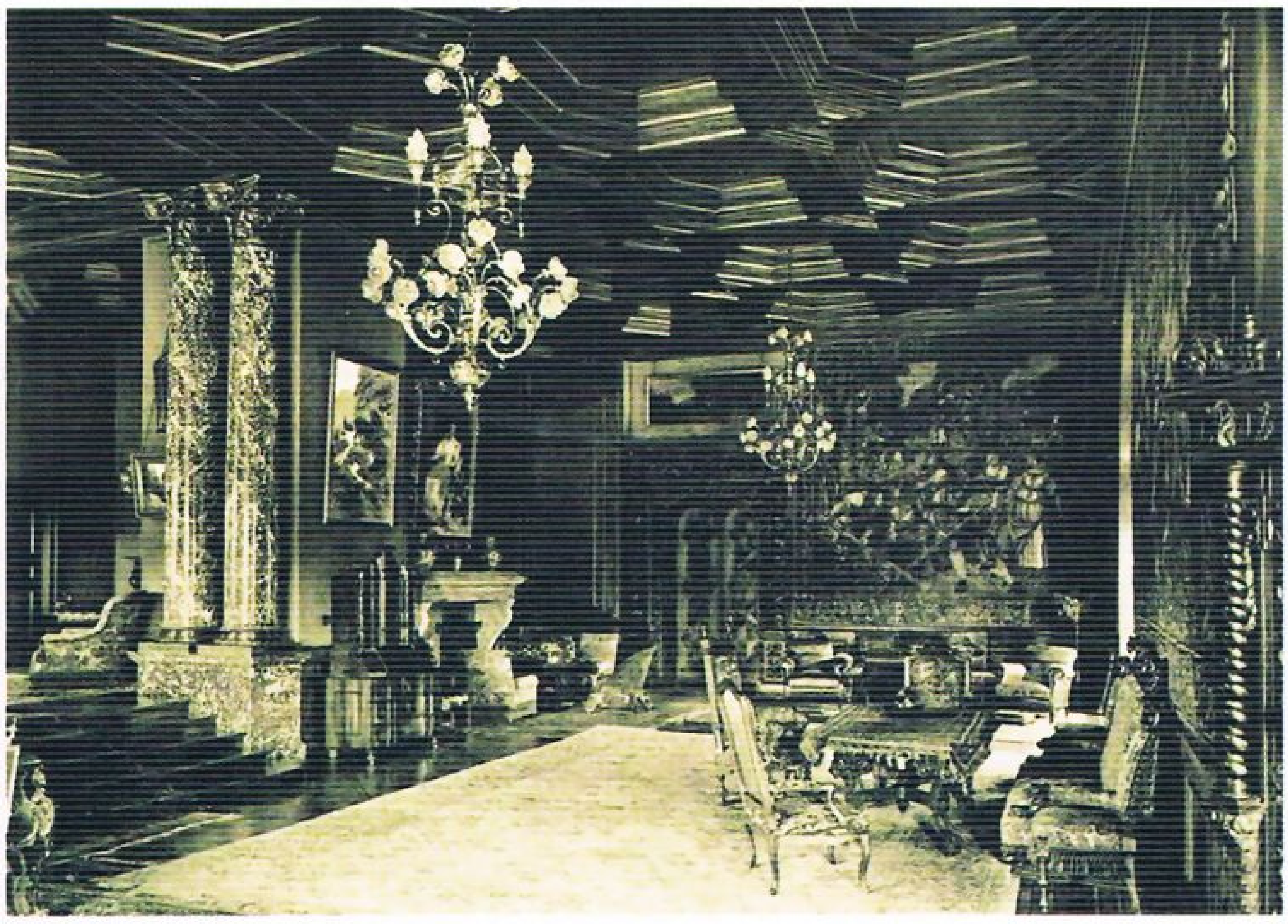

Bogaty wystrój biblioteki na zdjęciu archiwalnym – źródło: www.odkrywajacslask.wordpress.com

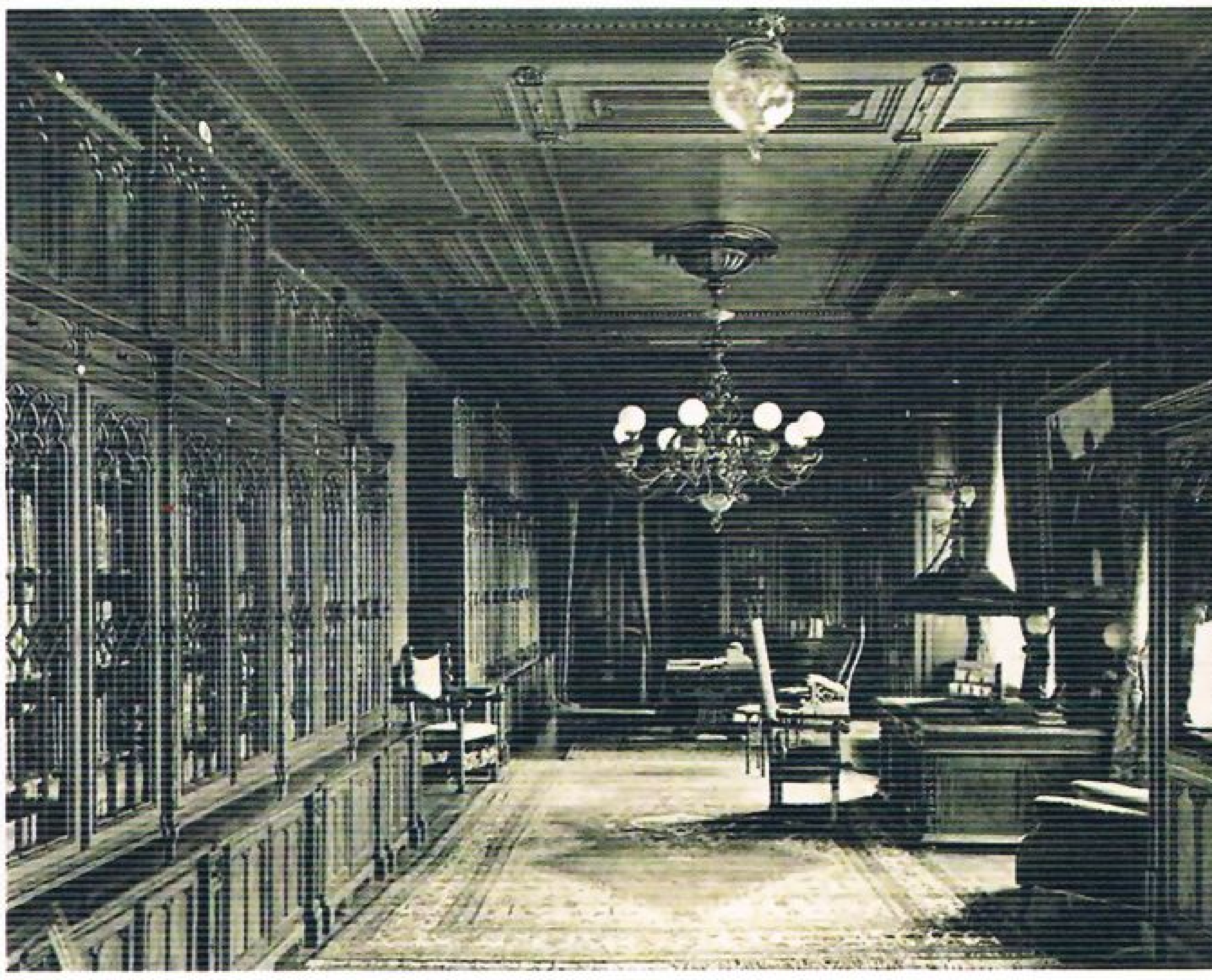

budowy (ok. 1900 r.). Później do nowego skrzydła dobudowano szklaną palmiarnię (od strony północnej) oraz urozmaicono je szeregiem asymetrycznych, kontrastujących ze sobą brył, na które składają się dwie walcowate wieże. Jedna ozdobiona głową niedźwiedzia, a druga – łbem dzika. Pomiędzy wieżami wybudowano ryzalit z dwoma okrągłymi wykuszami, który łączy się również z palmiarnią. Wzniesiono także ryzalit północny z neogotycką kaplicą, która ma odrębne wyjście do parku oraz przylegającą do jego narożnika czworoboczną wieżą. Jednonawowa kaplica z miejscem na chór muzyczny i „pańską" emporą, wywarła na mnie niesamowite wrażenie. Od strony północnej nowe skrzydło wyposażono w przepiękny, arkadowy krużganek oraz mnóstwo ryzalitów i wieżyczek. W ten sposób bryła pałacu nabrała kształtu litery „U". Dach ozdobiły kolejne wieżyczki i lukarny. Od południowej strony wybudowano duży szczyt schodkowy z podziałem kolumnowym. Ogromnie zróżnicowano kształty okien i drzwi. Nie wiem, czy można znaleźć kilka takich samych. Elewacja pałacu jest pełna elementów zdobniczych, pochodzących z różnych epok. Jest również wyłożona nieobrobioną, kamienną okładziną, która upodabnia pałac do starszej, wręcz średniowiecznej budowli. Nowe skrzydło nadało pałacowi zupełnie odmienny, bajkowy charakter.

Kolejny etap prac, przypadający na lata 1911-1913, to budowa nowego, zachodniego skrzydła. Ma ono formę podłużnego korpusu, opiętego wieżami i ryzalitami o różnym kształcie, zwieńczonego szczytami schodkowymi. Jego elewacje są otynkowane na gładko (oprócz ośmiobocznej wieży w narożniku, która ma rustykalny cokół i dekorację reliefową). Niewykluczone, że również miały być obłożone kamienną okładziną. Pałac, moim zdaniem, stanowi wielką wartość artystyczną, choć część określa budowlę jako... kiczowatą. Trudno mi się zgodzić z tą surową oceną. Owszem, pałac w Mosznej łączy w sobie różne odmienne style i koncepcje, przez co określenie jego stylu nie jest łatwą sprawą. Ale w tym właśnie tkwi jego urok. Podobno, zgodnie z fantazją Franza Huberta, budowla ma 365 pomieszczeń (od liczby dni w roku) i 99 wież (od liczby majątków Franza Huberta). Czy tak jest, nie wiem, nie liczyłem. Zostawiam to Wam. Pałac w Mosznej posiada 63 tys. m sześc. kubatury i ok. 7 tys. m kw. powierzchni. W 1908 r. Franz przebudował również zamek w Kujawach, gdzie ulokował swoje biura, przeniesione z Katowic. W 1912 r. uroczyście obchodził w Mosznej swoje srebrne wesele.

Przepiękna, wielka sala na archiwalnym zdjęciu – źródło: www.breakforcake.blogspot.com

Ciekawy jest również układ pałacowych wnętrz. Wchodząc do pałacu, znajdziemy się w obszernym holu. Wychodzą z niego dwa tunele schodów na górną kondygnację. Natomiast boczne drzwi w holu prowadzą do dwóch części pałacu, jak do dwóch różnych światów. Na górnej kondygnacji ulokowano gabinet pana domu oraz wielką bibliotekę. Elementy architektoniczne gabinetu wykonano z marmuru i stiuków. Wystrój pozostałych pomieszczeń ozdobiono drewnianymi elementami dekoracyjnymi. Za holem znajdziemy wejście do sali balowej i jadalnej, połączone z palmiarnią (ogrodem zimowym), także reprezentacyjne salony i pałacową kaplicę. Zastosowano dwie klatki schodowe – jedną w holu, a drugą w części prywatnej pałacu, prowadzącą do sypialni i salonów pani domu.

Wiele pomieszczeń zostało zaprojektowanych jako mieszanina stylów. Adaptacja wnętrz była prawdopodobnie dziełem berlińskiej spółki architektonicznej „Ebe i Benda", z którą rodzina Tiele-Wincklerów wcześniej już współpracowała. Ta sama bowiem spółka w latach 1873-1876 wybudowała w Berlinie pałac miejski von Tiele-Wincklerów przy Regenten-Strasse. Zresztą to, co powstało w Mosznej, przypomina niemiecki dom ze staroniemiecką sienią, charakterystyczny dla innych dzieł tej spółki. Wnętrza pałacu były ozdobione cyklem gobelinów z historią Jakuba, powstałych w oparciu o projekty niderlandzkiego artysty Bernarda van Orley (znanego także pod imieniem Barend), zakupionych przez rodzinę von Tiele-Winckler specjalnie do pałacu w Mosznej. Ich znaczne rozmiary nie pozwoliły jednak na ekspozycję w jednej sali. Kilka z nich dekorowało pałacowy hol oraz inne pomieszczenia, w tym gabinet pana domu. Obecnie stanowią one chlubę Muzeów Królewskich w Brukseli.[9] Ponadto

Tak niegdyś wyglądała jadalnia i sala balowa – źródło: www.strzeleczki.pl

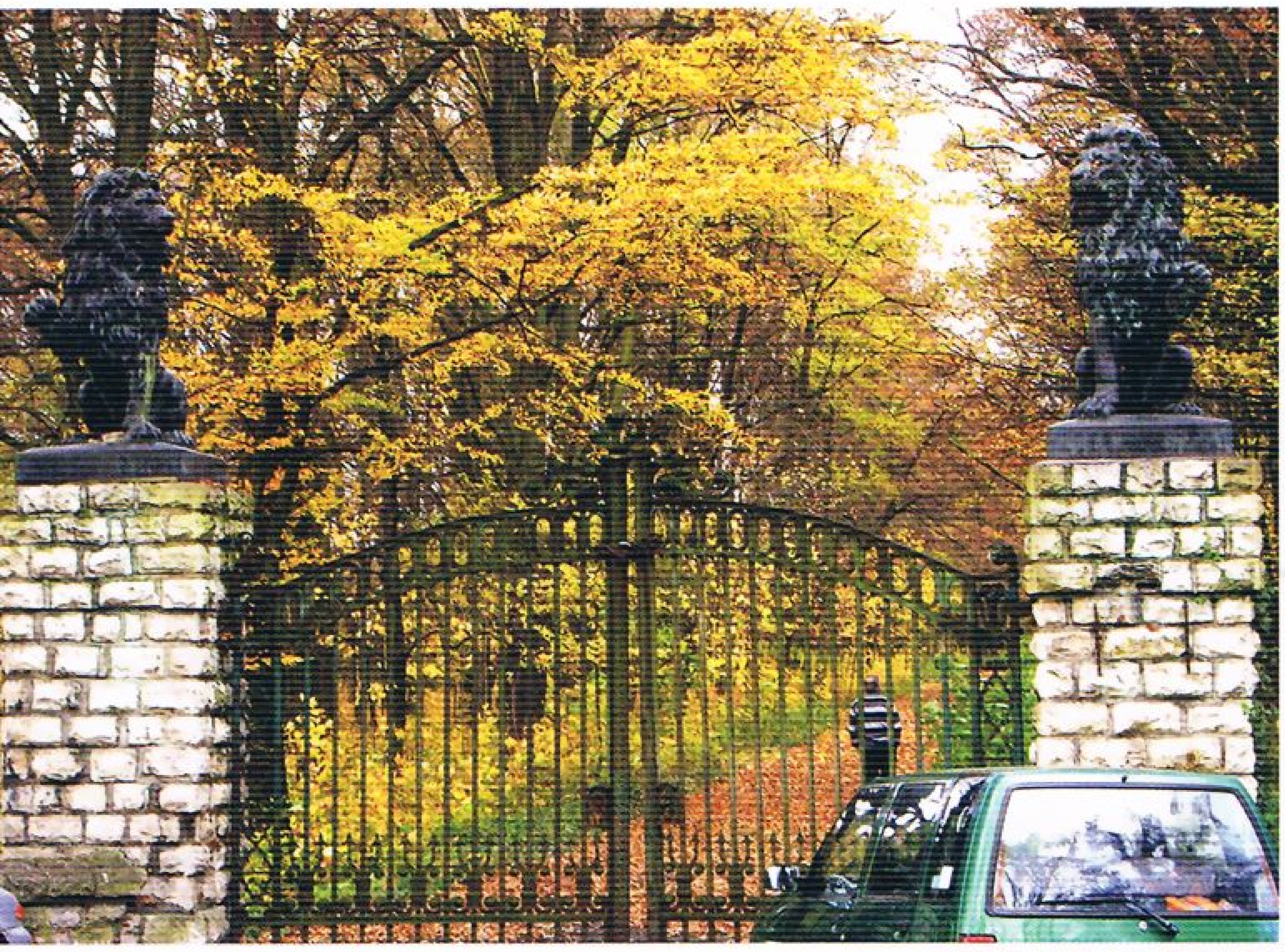

Brama Lwów…

… Brama Gladiatorów. Fot. D. Pietrucha.

Franz Hubert udekorował pałac dziełami sztuki nabywanymi m.in. we Włoszech (np. cykl malowideł Gaetano Zompiniego). Dużą salę z przeszklonym stropem i pozłacaną loggią przeznaczono na galerię malarstwa i gobelinów. Projekt przepięknego holu pałacu w Mosznej prawdopodobnie wykonał Wilhelm Kimbel, ten sam, który zaprojektował wystrój pałacu Paulinum w Jeleniej Górze. Wielka hala przykryta drewnianym stropem posiada elewacje ukształtowane u dołu jako duże arkady, nad którymi górują neoromańskie empory. Zdobi ją wielkie okno witrażowe. Obecnie działa w niej kawiarnia. Gdy się już tam usiądzie, człowiek nie ma ochoty wyjść. Szczególnie, gdy w wielkim, kamiennym kominku pali się ogień. Wystarczy spojrzeć w płomienie, by poczuć klimat pałacu, o którym niektórzy mówią, że jest „snem pijanego cukiernika". Jak w prawdziwej bajce.

Herb rodu von Tiele-Winckler na kamiennym moście w parku. Fot. D. Pietrucha.

Park bez granic

Ogromną ozdobą pałacu w Mosznej jest otaczający go park, który właściwie nie ma wytyczonych granic. Nagle przechodzi w łąki, pola i las. Jedyną jego geometrią jest główna aleja (obsadzona lipami), prowadząca od pałacu. Jej zakończeniem jest dawny pomnik Huberta Gustawa (ufundowany przez jego syna, Franza Huberta), po którym pozostał tylko cokół z pamiątkową tablicą (pomnik został usunięty w latach 50. XX w.). Jeszcze dalej znajduje się, ulokowana na niewielkim wzniesieniu, nekropolia von Tiele-Winklerów (założona przez Franza). Musiała powstać poza pałacem, bo podziemia kaplicy stale podchodziły wodą. W miejscu, gdzie znajduje się niewielki cmentarzyk, również odkryto ślady średniowiecznego grodziska. Niewielki pagórek porośnięty jest kwitnącymi krzewami azalii.

Wejście do parku stanowiły dwie bramy. Jedna z nich nazywana Bramą Lwów (kiedyś trzymających w łapach tarcze herbowe), druga, Bramą Gladiatorów. Ich nazwy wzięły się od rzeźb wieńczących pionowe słupy. Żelaznych bram już nie ma – pozostały same słupy. Wchodząc do parku od strony Bramy Gladiatorów idziemy wzdłuż szpaleru czerwonych dębów, które później przechodzą w kasztanowce (szpaler drzew jest podwójny, a nawet potrójny).[10] Park poprzecinany jest wodnymi kanałami, które niegdyś tworzyły jedną sieć, umożliwiającą pływanie łódką i podziwianie różnorodnej roślinności (przystań dla łódek była ulokowana przy śluzie obok zamku – istnieje do dzisiaj). Jest tam również staw ze sztuczną wysepką, którą von Tiele-Wincklerowie nazywali Wyspą Wielkanocną. Z nią związana jest legenda, a jakże… Tiele-Wincklerowie mieli guwernantkę, Brytyjkę, która bardzo tęskniła za swoją ojczyzną. Przed śmiercią poprosiła więc, aby pochować ją na wyspie, mając na myśli swoje rodzinne ziemie. Została pochowana na wyspie… ale Wyspie Wielkanocnej w parku w Mosznej. Od tego czasu duch brytyjskiej guwernantki nawiedza park i pałac w poszukiwaniu zemsty za niewypełnioną obietnicę…

Powierzchnia parku wynosiła ok. 100 ha (obecnie ok. 200 ha). Wszędzie wokół rosną azalie i różaneczniki. Co tu dużo mówić. Park po prostu jest piękny. Bajkowy. Zaraz obok pałacu znajdują się zabudowania gospodarcze, w których ulokowano stadninę koni. W ciepłe i słoneczne dni można po niej spokojnie spacerować, podziwiając piękno i zapachy natury.

Powojenna antybajka

Kiedy von Tiele-Wincklerowie w 1945 r. opuścili pałac w Mosznej, jego losy potoczyły się w zupełnie innym kierunku. Najpierw został rozszabrowany i zdewastowany, głównie za sprawą stacjonujących tam sowieckich żołnierzy. Wywieziono obrazy, zawartość biblioteki, a archiwum rodowe spalono. Stąd nasze domysły co do projektantów przebudowy pałacu, gdyż dokumenty nie ocalały. Tylko część mebli wywieziono do muzeum w Pszczynie. Następnie pałac miał różnych użytkowników państwowych, którzy nie dbali o jego wygląd i nie przeprowadzali żadnych renowacji. Podobno odbywały się tutaj szkolenia funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa. Pod koniec lat 40. w części zabudowań gospodarczych urządzono stadni-

nę dla koni, która istnieje do dzisiaj. W 1972 r. w pałacu ulokowano sanatorium dla nerwowo chorych (oddział Państwowego Sanatorium Psychiatrycznego w Branicach), jednocześnie rozpoczynając jego renowację. W 1996 r. stał się siedzibą Publicznego Zakładu Opieki Zdrowotnej zajmującego się terapią nerwic. Nie tak dawno PZOZ przeniósł się do nowej siedziby. Gmina stara się wyremontować opuszczony pałac, zdając sobie sprawę z jego ogromnego potencjału turystycznego. Nie jest to proste, bo pałac posiada ogółem 8 tys. m kw. powierzchni. Ale bądźmy cierpliwi.

Powrót do bajkowego pejzażu

W 2006 r. Górny Śląsk odwiedził baron Claus Peter von Tiele-Winckler z małżonką Fryderyką. Przyjechali na zaproszenie ks. Tadeusza Szurmana, biskupa diecezji katowickiej kościoła ewangelicko-augsburskiego, w związku ze 150. rocznicą położenia kamienia węgielnego pod budowę katedry ewangelickiej. W tym samym czasie w Katowicach zjawił się hrabia Hubert von Tiele-Winckler, brat Clausa Petera. Hubert był przedstawicielem starszej linii rodu (tzw. katowickiej, nazywanej też górnośląsko-meklemburską), a także dziedzicem tytułu „pan na Katowicach, Miechowicach i Mosznej" i najważniejszą osobą w rodzie. Goście odwiedzili również pałac w Mosznej. Po 61 latach wrócili do swojej bajki z dzieciństwa. Byli nią zachwyceni. Hubert urodził się w Mosznej, a Claus Peter już poza Śląskiem. Przed wyjazdem odwiedzili ruiny pałacu w Miechowicach oraz drewniany domek „Matki Ewy". Na koniec baron Claus-Peter wpisał do księgi pamiątkowej tylko jedno słowo: *„Dziękujemy"*. Hubert zmarł w 2008 r. a Claus Peter w 2011 r. w Kolonii. Tytuły hrabiego i pana na Mosznej odziedziczył jego 41-letni syn Lothar. Tak kończą się disnejowskie bajki, które pamięta się całe życie.

Filmowa kariera bajkowego pałacu

Iza jest wampirzycą. Zabija swoich kolejnych partnerów, aż, szukając pomocy, trafia do Roberta Junga, znanego psychiatry. Lekarz nie wierzy w wampiryzm, ale zrobione przez niego zdjęcie rentgenowskie pokazuje, że Iza jest jedynie widmem. Co więcej, psychiatra zakochuje się w Izie, ale nie potrafi jej pomóc. Zwraca się do swojego przyjaciela, aby ten znalazł jakieś sensowne rozwiązanie. To treść filmu „Lubię nietoperze" z 1985 r., którego sceny były kręcone w pałacu w Mosznej. Zagrali w nim Katarzyna Walter, Marek Barbasiewicz i Grzegorz Warchoł, który był jednocześnie reżyserem. W pałacu zagościła bajka o wampirach. Jak w wytwórni Walta Disneya. Ale to nie wszystko. W Mosznej kręcono sceny do filmu pt. „Test pilota Pirxa" wg S. Lema. Uwielbiam Lema. Pałac w Mosznej też. Nie czekajcie zbyt długo, aby tu przyjechać. Żadna bajka nie jest wieczna. Co mogę Wam powiedzieć? Po prostu, nie przyjechać do Mosznej, to grzech. Zresztą, kto nie lubi bajek?

PS. Pierwowzór bajkowego zamku, znanego głównie z czołówek kreskówek Walta Disneya, istnieje naprawdę. Znają go setki milionów ludzi na całym świecie. Można go odnaleźć i zwiedzić w niemieckiej miejscowości Neuschwanstein, półtorej godziny jazdy samochodem na południe od Monachium.

Przypisy:

[1] Jedna wersja mówi, że nazwa pochodzi od wilgotnego terenu, bogatego w mchy. Inna, że od wyrazu moszna (czyli worek lub torba), co ma związek z topograficznym położeniem miejscowości w dolinie.

[2] Ursula Maria von Skall w 1695 r. zapisała w testamencie Moszną swojemu synowi, Wilhelmowi Leopoldowi, który prawdopodobnie zmarł przed śmiercią swojej matki.

[3] Podobno w latach 1500-1512 na Ziemi Kłodzkiej grasował Christoph von Reisewitz, bezlitosny, śląski raubritter zwany „Czarnym Krzysztofem". Gdy napadał na karawany kupieckie, zawsze oszczędzał ludzi mądrych (musieli udowodnić, że umieją czytać i pisać). Cieszył się poparciem księcia legnickiego Fryderyka II. Jednakże mieszkańcy Złotoryi otoczyli i zdobyli jego dwór w Olszanicy, a jego powiesili na jednej z legnickich bram. W 2005 r. archeolodzy z Muzeum Ceramiki w Bolesławcu odnaleźli resztki jego dworu.

[4] R. Weber w „Schlesische Schlösser" (1909) podaje, że w XVII w. właścicielem Mosznej był ród Pruszkowskich, a przez małżeństwo w jej posiadanie weszła rodzina von Dietrichstein. Od nich w 1764 Moszną odkupił król pruski Fryderyk II Wielki, który z okolicznych dóbr uczynił dominium i przekazał je architektowi i malarzowi, Georgowi von Knobelsdorff, twórcy pałacu Sanssouci w Poczdamie. Nie wiadomo, skąd Weber zaczerpnął owe informacje, tym bardziej, że w 1764 r. Knobelsdorff już nie żył.

[5] Urodziła Hubertowi ośmioro dzieci. Zm. w wieku 50 lat; została pochowana w Miechowicach, a później w Mosznej.

[6] Dwóch członków rodziny von Schulenburg: Fritz-Dietlof i Friedrich-Werner byli uczestnikami antyhitlerowskiego spisku 20.07.1944 r.; zostali aresztowani i skazani na śmierć.

[7] Podawana jest również data 2 na 3.07.1896 r.

[8] Do jego najbardziej znanych dzieł należą: Kościół Pamięci w Berlinie, wieża Quistorpa w Szczecinie, Zamek Cesarski i budynek Ziemstwa Kredytowego w Poznaniu.

[9] W 1917 r. gobeliny zostały przeniesione do szwajcarskiej rezydencji rodziny Tiele-Winckler w Meggen, skąd w 1950 zostały zakupione przez rząd belgijski.

[10] Przedłużenie tej alei prowadzi w stronę lasu, przecina linię kolejową i dochodzi do leśnej polany, gdzie znajdował się pień dębu ze ściętą koroną. Franz polecił wybudować tam pawilon rozrywkowy.

Literatura:

1. M. Cichoń-Bitka, „Zamek w Mosznej", Opole 1987
2. M. Gaworski, „Śląskie zamki i pałace", Strzelce Opolskie 2010
3. R. Hlawacz, „Moszna. Zamek i park", 1999
4. I. Kozina, „Pałace i zamki na pruskim Górnym Śląsku w latach 1850-1914", Katowice 2001
5. M. Perzyński, „Zamki, twierdze i pałace Dolnego Śląska i Opolszczyzny", Wrocław 2006
6. E. Chojecka (red.), „Sztuka Górnego Śląska od średniowiecza do końca XX wieku", pr. zbiorowa, Katowice 2004

Dariusz Pietrucha
Prezes Stowarzyszenia na Rzecz Zabytków Fortyfikacji „Pro Fortalicium".

REKLAMA

www.wykrywacze24.pl

POLECAMY SZEROKI WYBÓR DETEKTORÓW DLA KAŻDEGO POSZUKIWACZA

JESTEŚMY DYSTRYBUTORAMI MAREK

DORADZAMY...SPRZEDAJEMY...SERWISUJEMY...
tel. 660 797 830, e-mail: El-car@tlen.pl
72-200 Nowogard, ul. 3 Maja 44

Ozdoby munsztuka

PIOTR ADAMCZYK

Pierwsze uprzęże, zbliżone konstrukcją do współczesnych munsztuków, pojawiły się jeszcze w czasach rzymskich. Dokładna data ich powstania nie jest znana. Rozwój i upowszechnienie munsztuka nastąpiło w XIV wieku. Dzięki przedstawieniom ilustrującym turnieje rycerskie i zachowanym uprzężom turniejowym, wiemy, że były bogato zdobione. Najczęściej wczesne ozdoby munsztuków miały formę guzów lub rozet. Bogaty zbiór zbroi i uprzęży znajduje się w kolekcji wystawianej w Dreźnie w salach pięknie odrestaurowanej rezydencji Wettynów zw. Residenzschloss. Wcześniej ta kolekcja prezentowana była w pałacu Zwinger.

Ozdoby munsztuków zarówno dawniej, jak i obecnie umieszczane są w tym samym miejscu, czyli na skrzyżowaniu kabłąka znajdującego się pysku konia, i tzw. czanki, do której mocowane są wodze. Ozdoby zawsze występują w parach. Ich wielkość waha się od 5 do 7 cm wysokości. Początkowo ten element munsztuka miał wyłącznie funkcję dekoracyjną. Pierwotna, symetryczna rozeta przekształciła się na przełomie XVII i XVIII wieku w barokowy, asymetryczny ozdobnik, odpowiadający gustowi epoki. Od początku XVIII wieku ozdobnik munsztuka stał się również wyróżnikiem przynależności uprzęży do konkretnej armii lub formacji wojskowej, albo nawet pułku. Pojawienie się tego typu identyfikacji związane było z unifikacją umundurowania i uzbrojenia różnych formacji wojskowych. Przez cały XVII wiek mundury wszystkich europejskich armii przeszły ogromną metamorfozę. Rozkazy mundurowe dotyczyły każdego elementu wyposażenia żołnierza, począwszy od guzików, wyłogów a skończywszy na butach, onucach i plecakach. Równie ważne były konstrukcje muszkietów, kształty szabli, ale także ilość i wielkość guzików. Nic zatem dziwnego, że w kręgu zainteresowań tworzących rozkazy mundurowe, znalazły się także munsztuki.

Residenzschloss Drezno. Ozdobna uprząż turniejowa. Hieronymus Ringler, Augsburg, 1622 r.

Niestety, brak jest jakichkolwiek opracowań tego tematu z marginesu tematyki militarnej. Nieliczne informacje można znaleźć np. w książce Louis'a Fallou o wojskowych guzikach francuskich („Le Bouton uniforme français"). Kolejnym, stosunkowo bogatym źródłem, są polskie i zagraniczne fora miłośników militariów i poszukiwań detektorami. Kopalnią przypadkowych znalezisk zdjęć, najczęściej bez opisów, jest oczywiście internet, oferty aukcji internetowych, a także oferty antykwariuszy i domów aukcyjnych.

Nie wiadomo, w którym kraju pojawiły się pierwsze ozdoby, przypisane do konkretnej armii lub jednostki wojskowej. Jedno jest pewne, że ozdoby munsztuków wojskowych, którym poświęcona jest większość zamieszczonego w artykule materiału ikonograficznego, pochodzą z XVIII i XIX wieku oraz początków wieku XX. Jedynie zasygnalizowane ozdoby uprzęży królowej Elżbiety II, sięgają przełomu XX i XXI wieku. Można powiedzieć, że w pewnym okresie pojawiła się moda, która na początku XX wieku ostatecznie się zakończyła, wraz z końcem niezwykle istotnej roli koni w strategii wojennej. Blisko dwa tysiące lat udziału koni w rozlicznych wojnach, zakończyła mechanizacja transportu.

Konstrukcyjnie ozdoba munsztuka ma dwie podstawowe odmiany. Pierwsza, pierwotna, mocowana centralnie jednopunktowo na osi kabłąka, i druga, mocowana dwupunktowo do tzw. czanki. Do przytwierdzania tej drugiej odmiany używano żelaznych nitów lub, rzadziej, mosiężnych, mniej trwałych, a w XIX wieku także śrub. Od XVIII wieku ozdoba przybrała formę nakładki, mocowanej żelaznymi lub mosiężnymi nitami, a od połowy XIX wieku wkrętami.

Polska. Ozdoba z wyobrażeniem lwa, XVI-XVII wiek, Kaczkowo-Pole (okolice Gniewkowa).

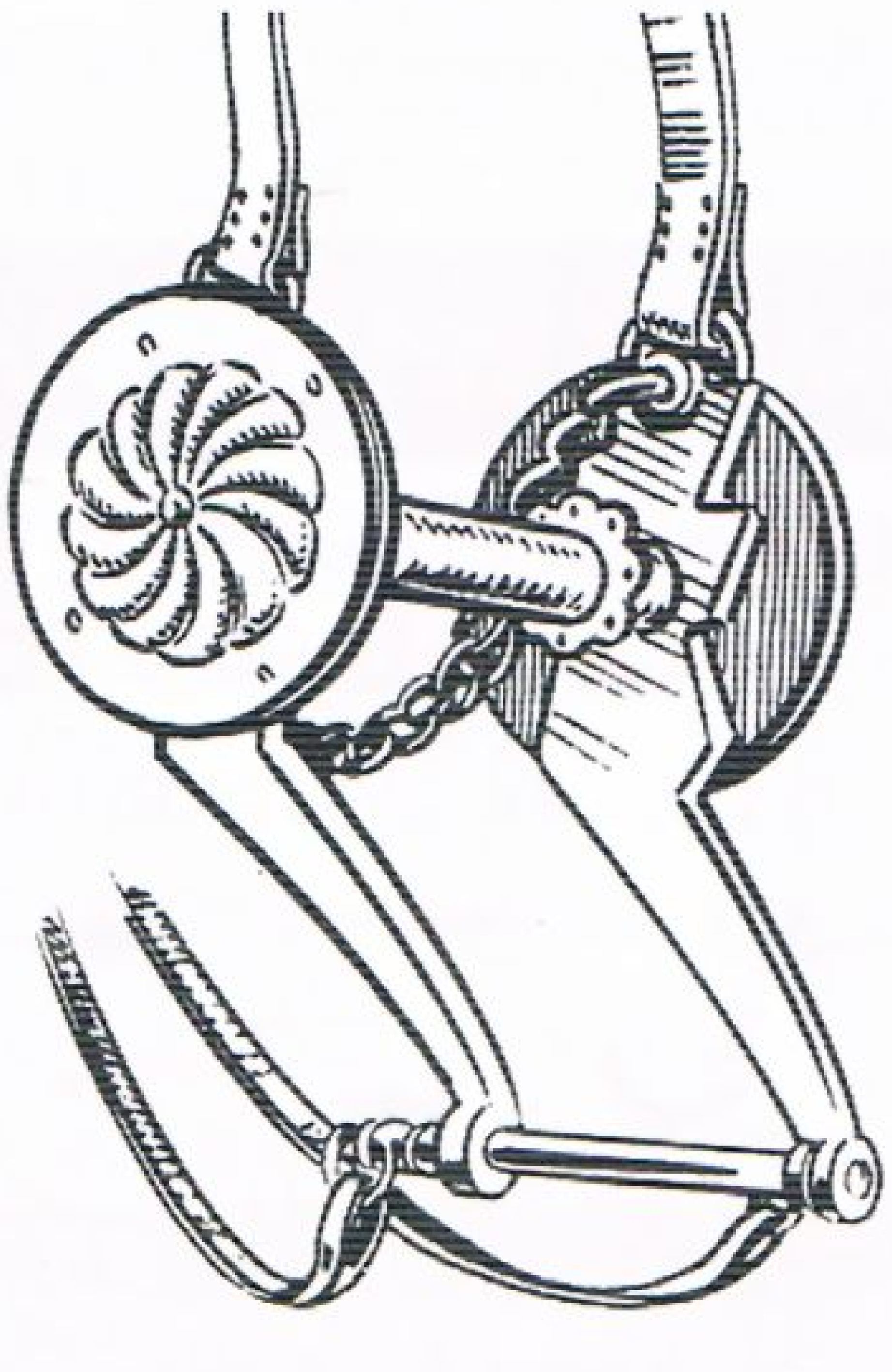

Munsztuk XVI-XVII wiek.

Szwecja

Najstarszą ozdobą, której zdjęcie udało mi się odnaleźć, i można ją przypisać do konkretnej armii, jest ozdoba z monogramem Karola XII Wittelsbacha, znaleziona na terenie Rosji. Związana jest zapewne z wojną szwedzko-rosyjską z lat 1708-09. Ozdoba ma typowy kształt, który w zasadzie bez zmian dotrwał do współczesności, bez względu na kraj pochodzenia, z wyjątkiem Rosji, o czym piszę poniżej. Jest to okrąg z dwoma półkolistymi zaczepami.

Szwecja. Ozdoba munsztuka z monogramem Karola XII, pocz. XVIII wieku.

Prusy

W połowie XVIII wieku pojawiają się w Prusach ozdoby munsztuka z monogramem „FR". Był to czas panowania cesarza Fryderyka II Wielkiego (lata 1740-1786). Jego armia była, jak na owe czasy, bardzo nowoczesna. Dowodem może być muszkiet zwany Kuhfuss, który znalazł się na wyposażeniu armii pruskiej w połowie XVIII wieku w trakcie wojen śląskich, a także 60. lat później w czasie wojen napoleońskich. Jak widać na ilustracjach, ozdoba z monogramem „FR" ma typowy kształt owalu z nitowanymi zaczepami. Armia następcy Fryderyka Wielkiego miała ozdoby z monogramem „FWR" – Fryderyka Wilhelma II (1786-1797).

Owalna ozdoba uprzęży z monogramem Katarzyny II Wielkiej, XVIII wiek.

Wielokątna ozdoba uprzęży z imperialnym orłem, XVIII-XIX wiek.

Ozdoba z monogramem „FR" Fryderyka II Wielkiego, XVIII wiek.

Ozdoba z monogramem „FWR" Fryderyka Wilhelma II, XIX wiek.

Ozdoba uprzęży z monogramem Mikołaja I, XIX wiek.

Ozdoba uprzęży z rokokowym zdobieniem i z monogramem Katarzyny II Wielkiej, XVIII wiek.

Romboidalna ozdoba uprzęży z monogramem z imperialnym orłem, XVIII-XIX wiek.

Rosja

Wydaje się, że najstarsze są ozdoby munsztuków wojskowych z orłem imperialnym i monogramem Katarzyny II Wielkiej (panująca w latach 1762-1796). Rosjanie od czasów rządów Piotra I Wielkiego (1689-1721) wzorowali się na armii pruskiej, uważając ją za wzór do naśladowania; stąd zapewne przejęto oznaczanie munsztuków z monogramem władcy. Ciekawostką jest to, że rosyjskie ozdoby munsztuka mają zupełnie inny kształt. Jest to wielokątna plakietka lub romb z dwugłowym orłem z monogramem carycy. Na piersi orła umieszczony jest monogram „E II" lub „EJ II". Występowały także ozdoby wyłącznie z orłem imperialnym. Nie udało mi się ich dokładnie datować. Paweł I Romanow rządził dość krótko, bo zaledwie pięć lat (1796-1801). W wyposażeniu wojskowym pozostało niewiele śladów związanych z jego rządami. Rzadko też można spotkać blaszki kciukowe z jego monogramem. Po śmierci Pawła I (został otruty prawdopodobnie w wyniku spisku jego żony i kilku oficerów) miejsce na carskim tronie zajął jego najstarszy syn, Aleksander I Romanow (1801-1825). Być może za jego panowania, pod koniec XVIII wieku i w czasie wojen napoleońskich, pojawiły się ozdoby podobne w kształcie do wielokątnych ozdób z dwugłowym orłem, ale bez monogramu na piersiach (jednak to jest wyłącznie teoria). Ciekawostką jest pojawienie się ozdoby w „klasycznym", owalnym kształcie z monogramem Mikołaja I Romanowa (następca Aleksandra I, panował w latach 1825-1855), czyli z rosyjską literą „M". Ozdoby z czasów panowania Katarzyny II są stosunkowo popularne, natomiast ozdoba z monogramem Mikołaja I jest rzadkością. Jedynie raz udało mi się na nią natrafić, w trakcie kilku lat interesowania się tym zagadnieniem.

Francja

Zdecydowanie najwięcej przykładów ozdób munsztuka można znaleźć we Francji, w Wielkiej Armii Napoleona I Bonapartego i w późniejszych armiach okresu Restauracji Burbonów (1814-1830) oraz Drugiego Cesarstwa Francuskiego (początek datuje się na koronację Napoleona III na Cesarza Francuzów 2 XII 1852, koniec zaś na IX 1870, proklamacja III Republiki Francuskiej). Praktycznie przez cały XIX wiek wszystkie jednostki wojskowe, żandarmeria i wojska kolonialne miały sobie tylko przypisane oznaczenia, które występowały również na munsztukach. Francuzi od dawna lubowali się w oznaczeniach, występujących na: guzikach, ładownicach, czakach i kaskach, broni palnej, a także na uprzężach. Dzięki oznaczeniom dość dokładnie można przypisać ozdoby munsztuka do konkretnej formacji wojskowej. Skrzyżowane armaty – to zawsze artyleria, krzyż – muszkieterzy, lance – lansjerzy, kirys – saperzy i wojska inżynieryjne, a panoplia z hełmem typu rzymskiego – to szkoły wojskowe lub oficerowie sztabu. Wyobrażenie gorejącego granatu – to grenadierzy lub gwardia itp. We francuskich ozdobach i identyfikatorach wyraźnie widać nawiązanie do stylistyki cesarstwa rzymskiego. Taka była moda i potrzeba nobilitacji nowej klasy rządzącej, nie mającej za sobą wielu pokoleń szacownych przodków. Ozdoby francuskie mają najczęściej kształt koła lub, rzadziej, elipsy.

Cywilna ozdoba munsztuka.

Ozdoba uprzęży muszkieterów, po 1814 roku.

Ozdoba wyobrażeniem głowy Meduzy, oficerska, I Cesarstwo.

Ozdoba uprzęży artylerii, 1880 rok.

Żandarmeria gwardii, II poł. XIX wieku.

Żandarmeria cesarska 17. Legion 33. Eskadron, lata 1804-1813.

Ozdoba uprzęży 8. Pułku Dragonów, I Cesarstwo. Znaleziona w Gołyminie na pobojowisku 26 XII 1806 roku.

Ozdoba żuawów gwardii imperium, wzór 1855 rok.

Ozdoba uprzęży oficera sztabu lub szkoły wojskowej, I Cesarstwo. Znaleziona w okolicach Warszawy.

Stany Zjednoczone Ameryki

Moda na ozdabianie munsztuków dotarła także za Wielką Wodę. W czasie Wojny Secesyjnej (1861-1865) wojska Armii Północy wprowadziły ujednolicone oznaczenia broni, guzików i klamerek pasów. Najczęściej używano prostego oznaczenia „US" (United States). Wydaje się, że jest to jedyny przykład takiego oznaczania munsztuków w armii Stanów Zjednoczonych.

Munsztuk z okresu Wojny Secesyjnej z ozdobą z oznaczeniem „US".

Wielka Brytania

Armia brytyjska także nie oparła się modzie, i w drugiej połowie XIX wieku zaczęła zdobić swoje munsztuki. Przypomnijmy, że pojawienie się ozdób przypada na okres wiktoriański (1837-1901), który był czasem niebywałego bogactwa i prosperity w historii Wielkiej Brytanii. Zaczęto oznaczać munsztuki monogramem królowej Wiktorii. Rządy jej następców także znalazły swoje odbicie w zdobieniu munsztuków monogramami kolejnych królów. Współcześnie ozdoby można spotkać w nielicznych przykładach. Nadal występują np. na ozdobnych uprzężach koni zaprzęganych do karety królowej Elżbiety II.

Gwardia i kawaleria królewska, koniec XIX wieku…

Kawaleria Jerzego V, początek XX wieku.

Ozdobna uprząż koni z zaprzęgu karocy królowej Elżbiety II.

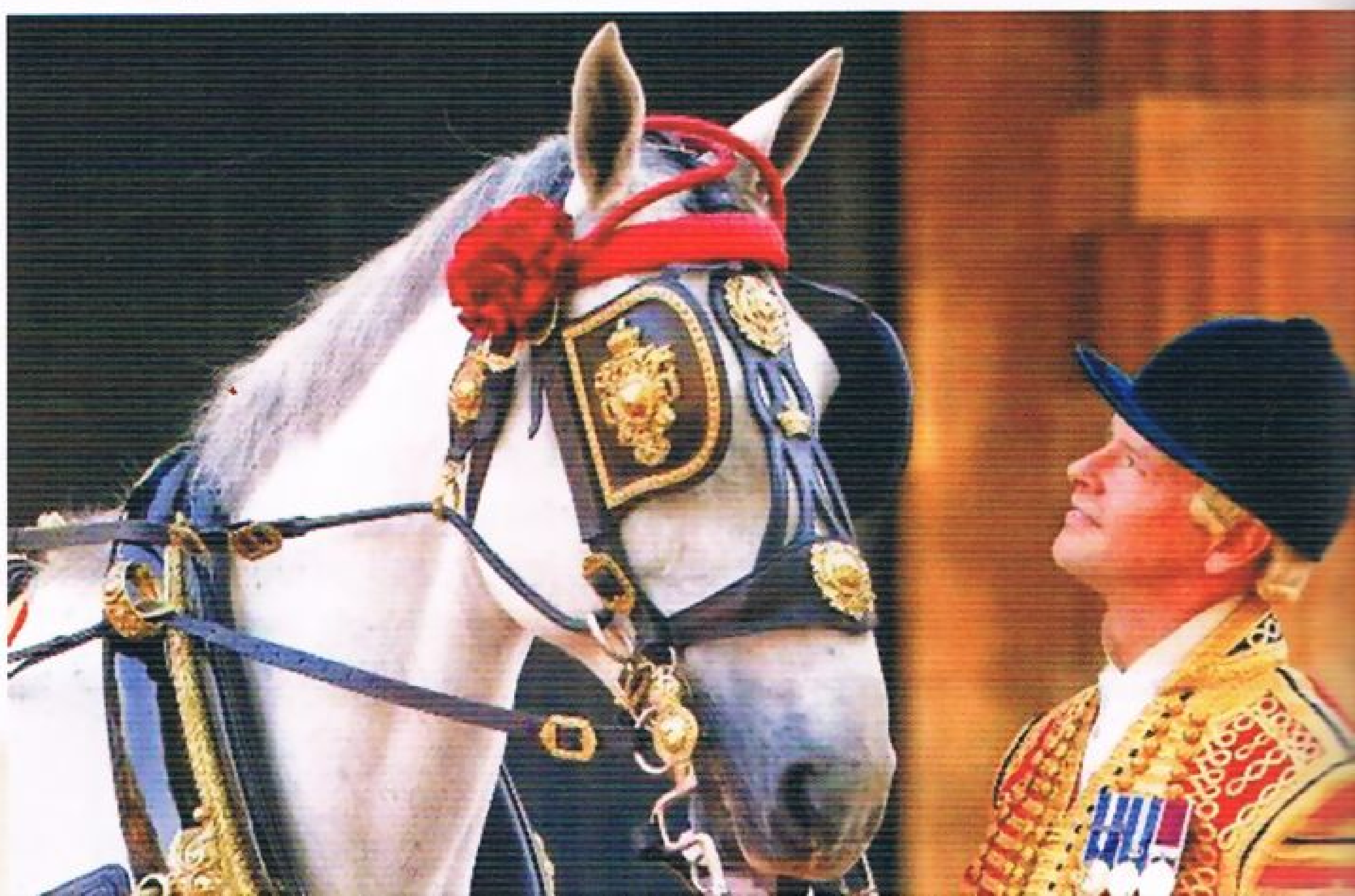

Bawaria

Mniejsze, bogate niemieckie państwa-księstwa również wykorzystywały ozdoby munsztuków do ukazania rangi swoich dworów i ich bogactwa. Widniejąca na zdjęciu ozdoba munsztuka uprzęży dworskiego konia pociągowego z książęcą koroną, jest w typowym owalu, mocowanym w dwóch punktach. Warto dodać, że Ludwik II Wittelsbach (zwany Ludwikiem Szalonym lub Bajkowym Królem) panujący w Bawarii w II połowie XIX wieku (1864-1886), będąc przekonanym o swoim nieograniczonym bogactwie, doprowadził królestwo na skraj bankructwa. Tym samym ozdabianie munsztuków, w tak wyjątkowej sytuacji, miało raczej charakter wyłącznie propagandowy, żeby nie powiedzieć – było czystą megalomanią. Jeszcze za życia tego władcy Bawaria została włączona do Cesarstwa Niemieckiego.

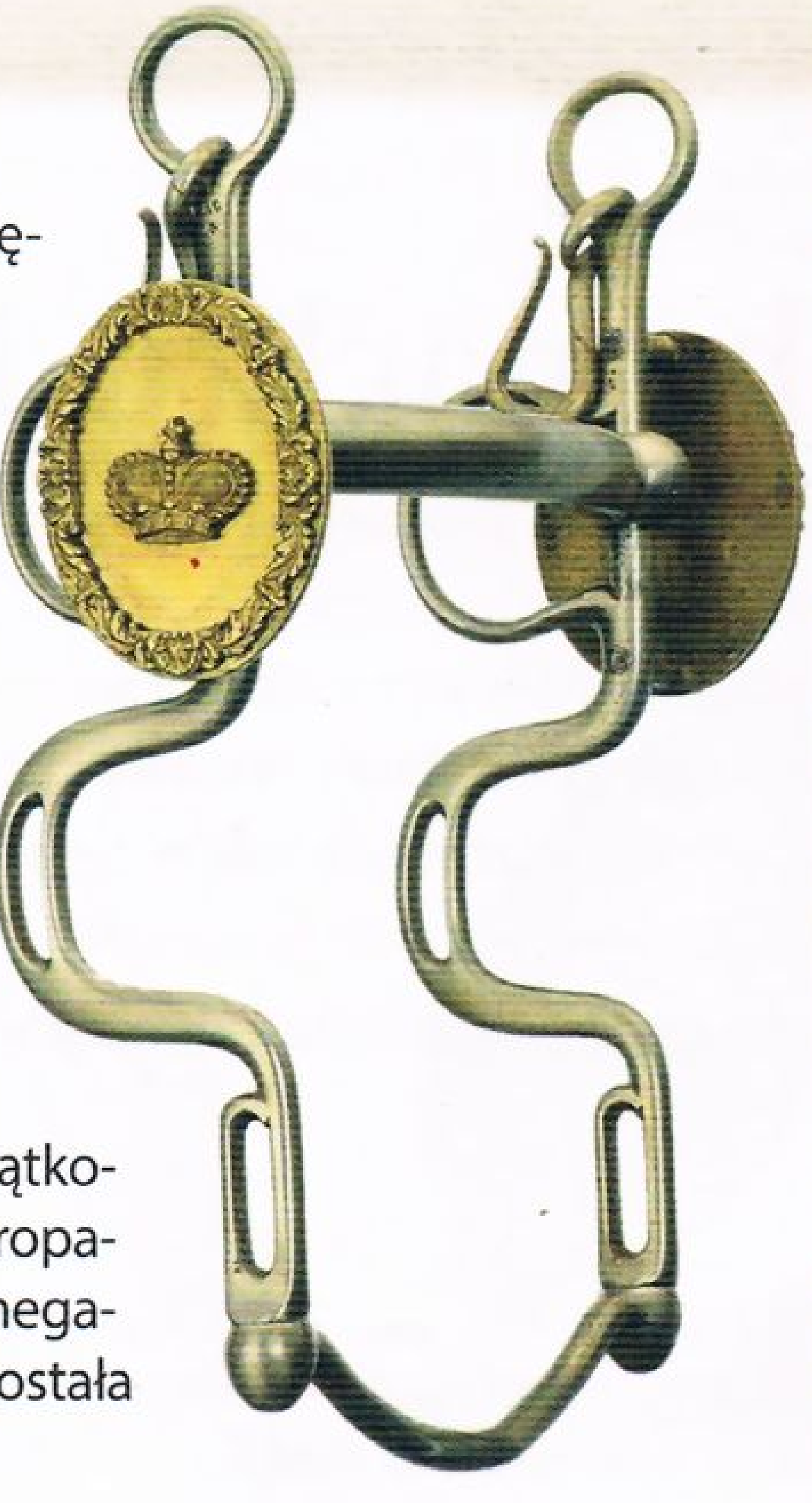

Munsztuk ze złoconą ozdobą z koroną książęcą, Bawaria II połowa XIX w.

zdarzyło się...

5 VI 1443 r.

572 lata temu doszło do historycznie najsilniejszego trzęsienia ziemi na obszarze Polski. Epicentrum miało miejsce w okolicach dzisiejszego Strzelina na Dolnym Śląsku, a największe straty wywołało w pobliskim Wrocławiu i Brzegu. Lecz nie tylko, bowiem skutki kataklizmu odczuwalne były również w odległym Krakowie, gdzie zawaliły się sklepienia kościołów św. Katarzyny Aleksandryjskiej i św. Małgorzaty. Obecnie naukowcy przyjmują, że miało ono siłę ok. 6° w skali Richtera. Świadczy to o tym, że Polska, mimo iż nie leży w szczególnie aktywnej strefie sejsmicznej, nie do końca jest wolna od tego typu zjawisk. Na szczęście ich intensywność nigdy nie była zbyt duża.

Podsumowanie

Ciekawostką jest, że Wojsko Polskie nie używało ozdób-identyfikatorów uprzęży. Za panowania Stanisława Augusta Poniatowskiego (1764-1795) zaczęto przeprowadzać reformę mundurową. Między innymi wprowadzono oznaczenia numeryczne regimentów na guzikach, ale nie na uprzężach. Powodem było to, że w czasach kiedy takie ozdoby były modne w Europie, nasze polskie wojsko albo nie istniało, albo w krótkich czasach powstań nie pozwalały na to ograniczone środki finansowe i zdecydowanie inne ważniejsze potrzeby.

Ten krótki tekst i ilustracje nie wyczerpują tematu ozdób. Jedynie sygnalizują ciekawy, lecz najczęściej nieznany u nas wycinek historii wojska a także stylistyki ozdób uprzęży cywilnych. Artykuł ma także uczulić ewentualnych znalazców takich ozdób i ustrzec ich przed błędną identyfikacją, np. jako numerków na drzwi (np. 8. Pułk Dragonów Wielkiej Armii Napoleona) lub jako ozdób mebli.

Będę wdzięczny za dodatkowe informacje i ilustracje, które mogą się znajdować w archiwach czytelników. Kontakt: adamczyk-piotr@wp.pl

ZDJĘCIA: ARCH. PIOTRA ADAMCZYKA

Piotr Adamczyk

Grafik, malarz, ilustrator. Poszukiwacz historii i anegdot historycznych. Autor dwu książek o staropolskiej kuchni i staropolskich nalewkach.

REKLAMA

Wojna od kuchni (cz. 4)

Niezbędniki Wehrmachtu 1939-1945 (cz. 2)

TOMASZ PIOTR BIENEK

Wojskowy niezbędnik to jeden z podstawowych przedmiotów wyposażenia polowego. Zróżnicowane pod względem funkcjonalności i zasady działania zestawy sztućców, otrzymywali żołnierze wszystkich armii obu wojen światowych, ale w żadnym chyba kraju żołnierski niezbędnik nie zrobił takiej kariery, jak w III Rzeszy. Niemcy żyli przekonaniem, iż od kształtu i stopnia zaawansowania konstrukcji żołnierskich niezbędników zależą losy wojny.

Fot. 5

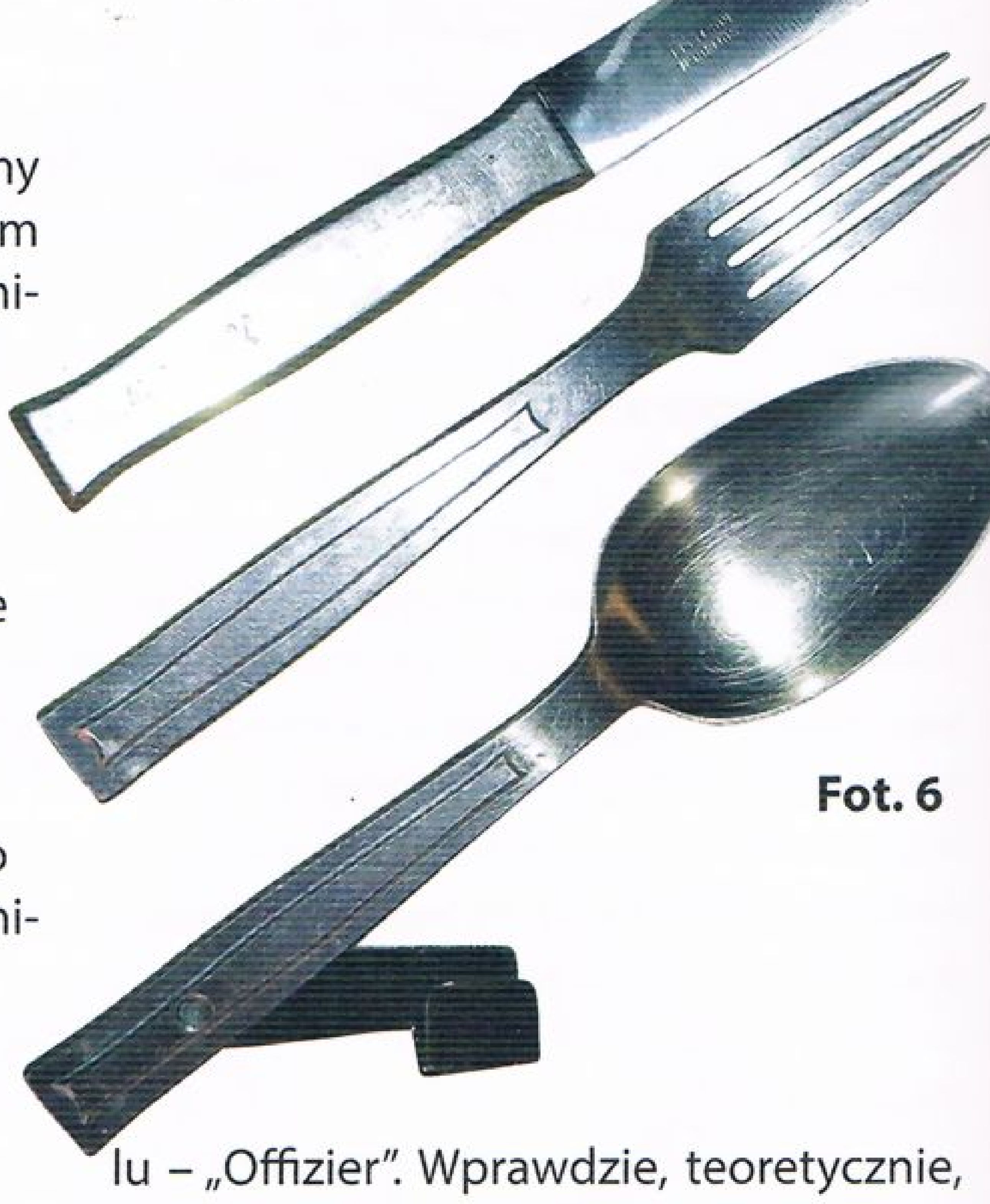

Fot. 6

Oprócz regulaminowych niezbędników, zatwierdzanych do użytku w wojsku odpowiednimi rozkazami, do rąk żołnierzy niemieckich trafiały także niezbędniki turystyczne. W Niemczech turystyka, zwłaszcza górska, miała długie i bogate tradycje, sięgające jeszcze XIX wieku. Rosnące stale zainteresowanie aktywnym wypoczynkiem, skutkowało powstawaniem wielu firm, produkujących wszelki sprzęt biwakowy, w tym i różnego typu turystyczne zestawy do jedzenia. Po dojściu Hitlera do władzy i postępującej militaryzacji Niemiec, produkcja ta była kontynuowana, lecz odbiorcami byli już żołnierze lub członkowie paramilitarnych struktur. Po wybuchu II wojny światowej, z powodu niedoborów regulaminowych wzorów niezbędników, bardzo często wydawano żołnierzom, zamiennie, niezbędniki turystyczne. Bywało też, że żołnierze kupowali je prywatnie, bądź po prostu zabierali z domu. Turystyczne niezbędniki z okresu III Rzeszy są bardzo podobne do wojskowych. Na zdjęciu nr 1 prezentowany jest turystyczny niezbędnik, wzorowany na wojskowym modelu, opatrzony sygnaturą „Aluminium DRGM". Zdjęcie nr 2 przedstawia komercyjny model producenta podpisującego swoje wyroby kodem „WSuCL". Producent ten dostarczał też nieco bardziej finezyjne niezbędniki z perforacjami ułatwiającymi trzymanie oraz strzałką, pokazującą, jak zablokować rozłożony niezbędnik (fot. 3). W kolejnym tego typu niezbędniku, sygnowanym „Aluminium Germany", widelec można było odczepić od łyżki (fot. 4).

Ciekawy model turystycznego niezbędnika pokazany jest na zdjęciach: 5, 6. Zestaw z łyżki, noża i widelca w zwartą całość łączy blaszana obejma. Aby nie było wątpliwości, niezbędnik ten sygnowany jest „DRGM Tourista Solingen Rostfrei". Finezja projektantów objawia się też w produkowanym komercyjnie niezbędniku prezentowanym na zdjęciach: 7, 8. Zestaw ten opatrzony jest także skrótem „DRGM" lecz nieco inną, niż poprzednik, nazwą modelu – „Offizier". Wprawdzie, teoretycznie, model ten nie ma nic wspólnego z korpusem oficerskim, wydawać się może, iż niezbędnik mógł być, ze względu na nazwę, chętnie kupowany przez oficerów, tradycyjnie chcących odróżniać się od „zwykłych" żołnierzy niestandardowym ekwipunkiem.

W znacznie ograniczonym zakresie do niemieckiego wojska trafiały też niezbędniki, przeznaczone na eksport do zaprzyjaźnionych krajów. W latach 30. Niemcy prowadziły bardzo ożywiony handel z krajami Ameryki Łacińskiej, gdzie silne sympatie proniemieckie panowały już przed Wielką Wojną. Na potrzeby armii argentyńskiej koncern Solingen dostarczał np. broń białą. Poboczną sferą wymiany handlowej

Fot. 1

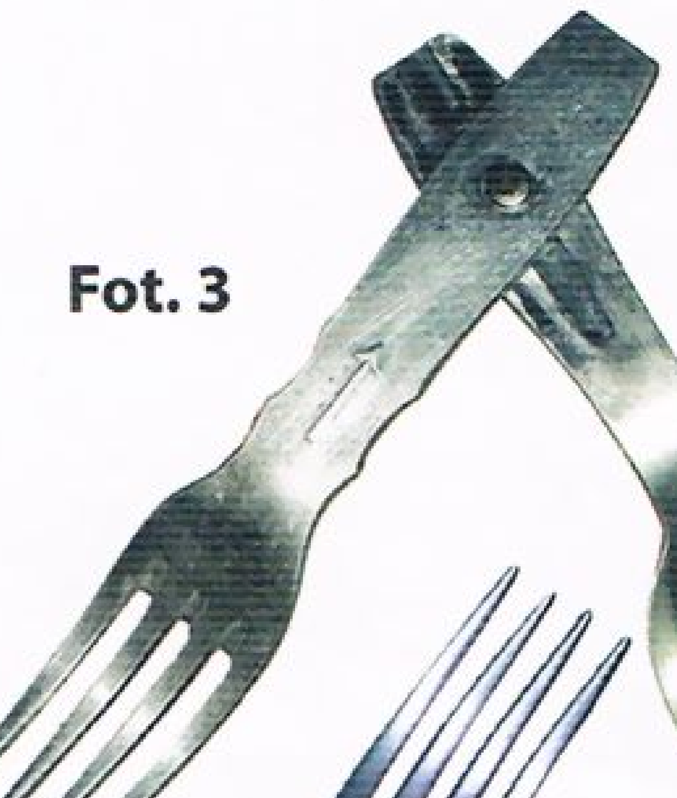

Fot. 3

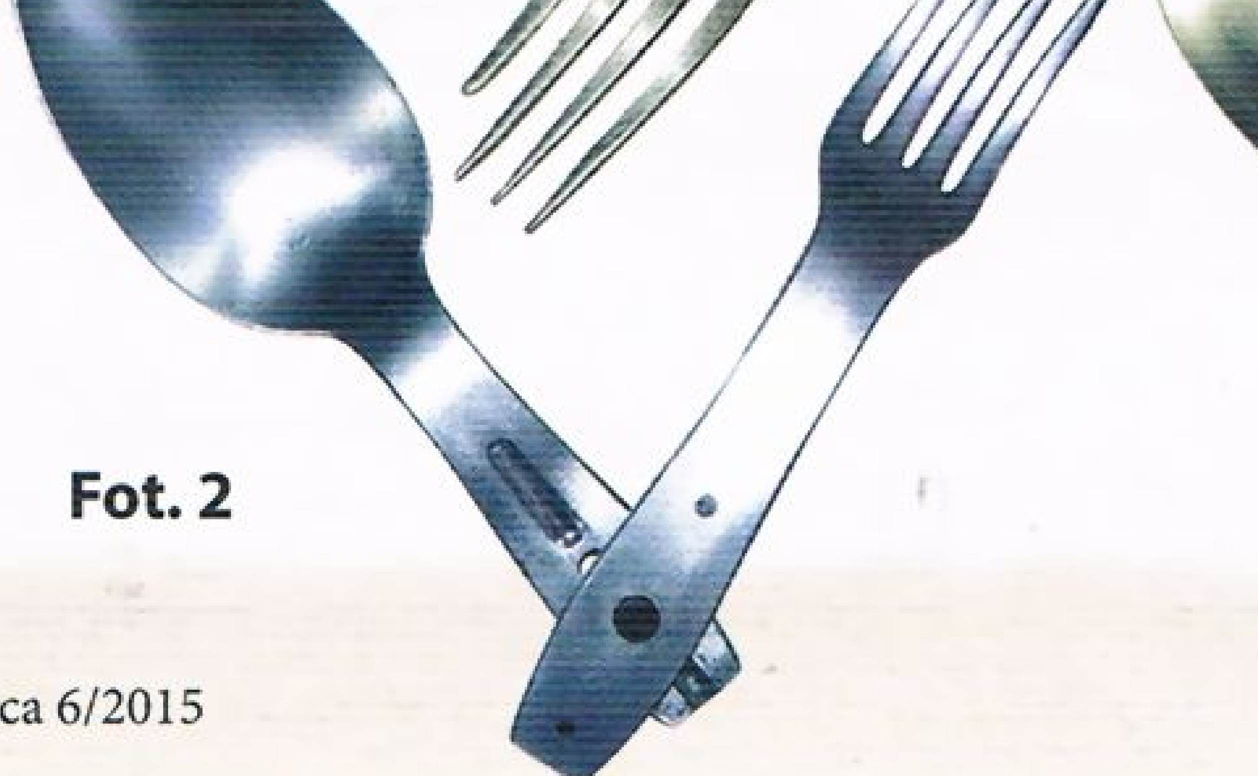

Fot. 2

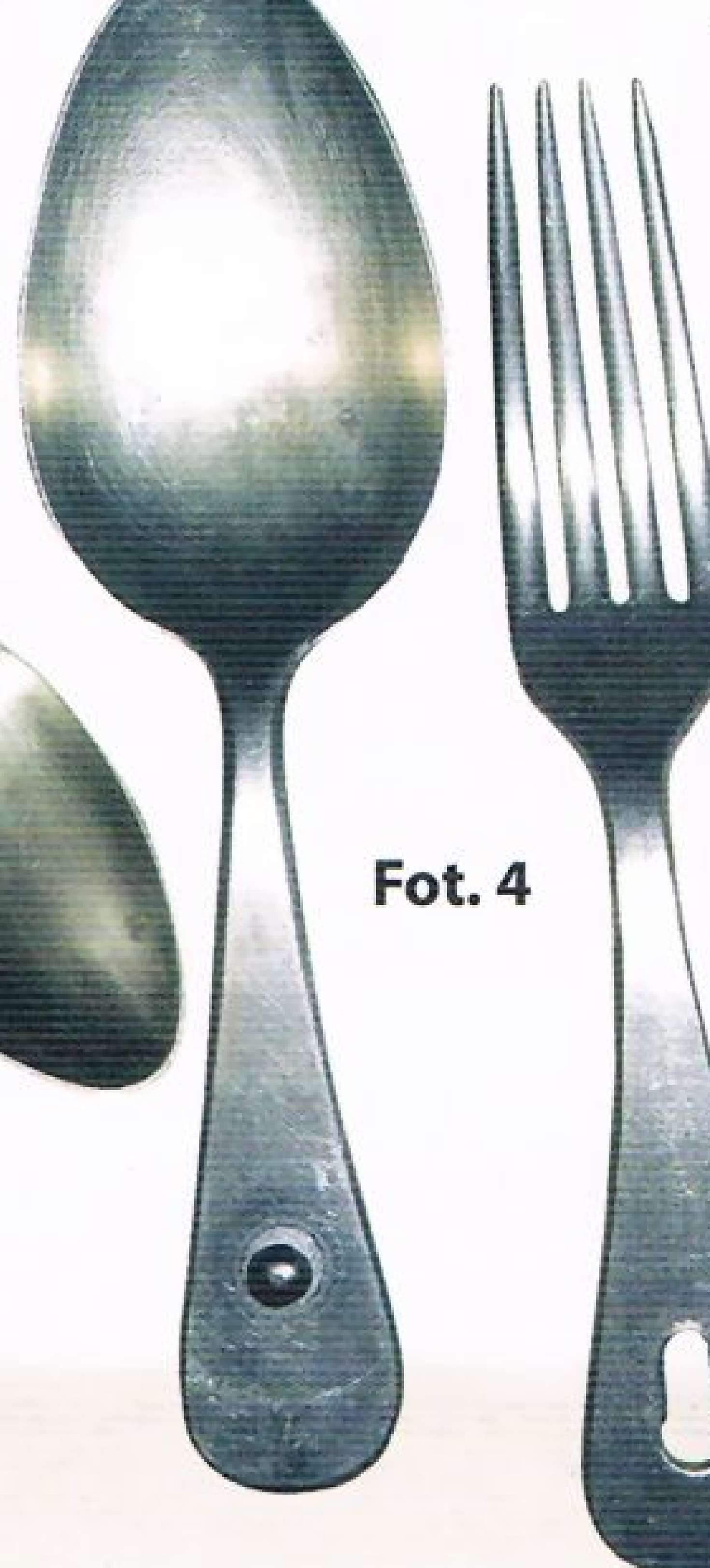

Fot. 4

Fot. 7

Fot. 8

były niezbędniki dla wojska, jak widoczny na zdjęciu trójelementowy niezbędnik sygnowany „Guardia Nacional Solingen Germany" (fot. 9, 10). Został on wyprodukowany na zamówienie hiszpańskie, argentyńskie lub innego kraju Ameryki Południowej. Po wybuchu II wojny światowej zamówienia takie często nie mogły być zrealizowane, i wyprodukowane niezbędniki, które pozostały

Fot. 9

w Europie, znalazły nowych użytkowników w III Rzeszy.

Kolejną grupą niezbędników używanych w niemieckiej armii, są modele wojsk sojuszniczych. Żołnierze niemieccy mogli wymieniać się z kolegami z Włoch, Rumunii, Słowacji, Finlandii, czy Węgier, lub pozyskiwać obce niezbędniki w inny sposób. Pod koniec wojny, gdy linii frontu broniły oddziały z przemieszanych i rozbitych oddziałów państw Osi, w panującym zewsząd chaosie, cyrkulacja ekwipunku musiała być na porządku dziennym. Taką drogą w niemieckie ręce mógł trafić regulaminowy niezbędnik fiński z 1942 roku (fot. 11, 12). Wykonany jest z wysokiej jakości stali nierdzewnej i nosi sygnatury odbioru „Int/42" oraz kod wytwórcy – „Kellokoski".

Kolejny niezbędnik stanowi zagadkę (fot. 13, 14). Być może jest to niezbędnik rumuński, być może węgierski. Wykonany jest ze stali i nosi sygnatury „OSN 1936". Jeśli ktoś z Czytelników dysponuje informacjami na ten temat, bardzo proszę o kontakt za pośrednictwem redakcji. Biorąc pod uwagę, iż wiele wskazuje na jego węgierskie pochodzenie, jako uzupełnienie informacji, a zarazem ciekawostkę, podam, iż w języku węgierskim wojskowy niezbędnik to – kanálgép.

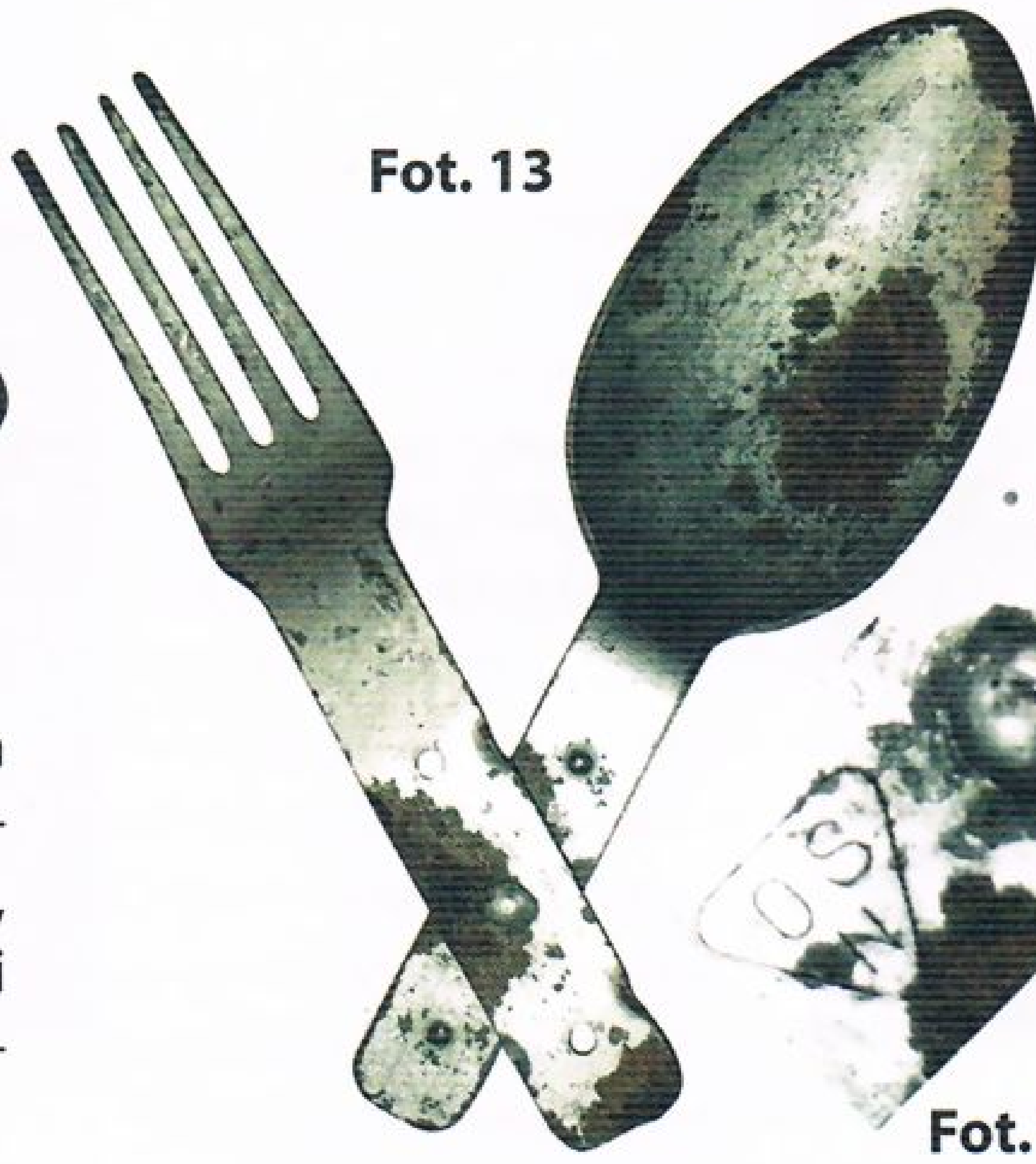

Fot. 13

Fot. 14

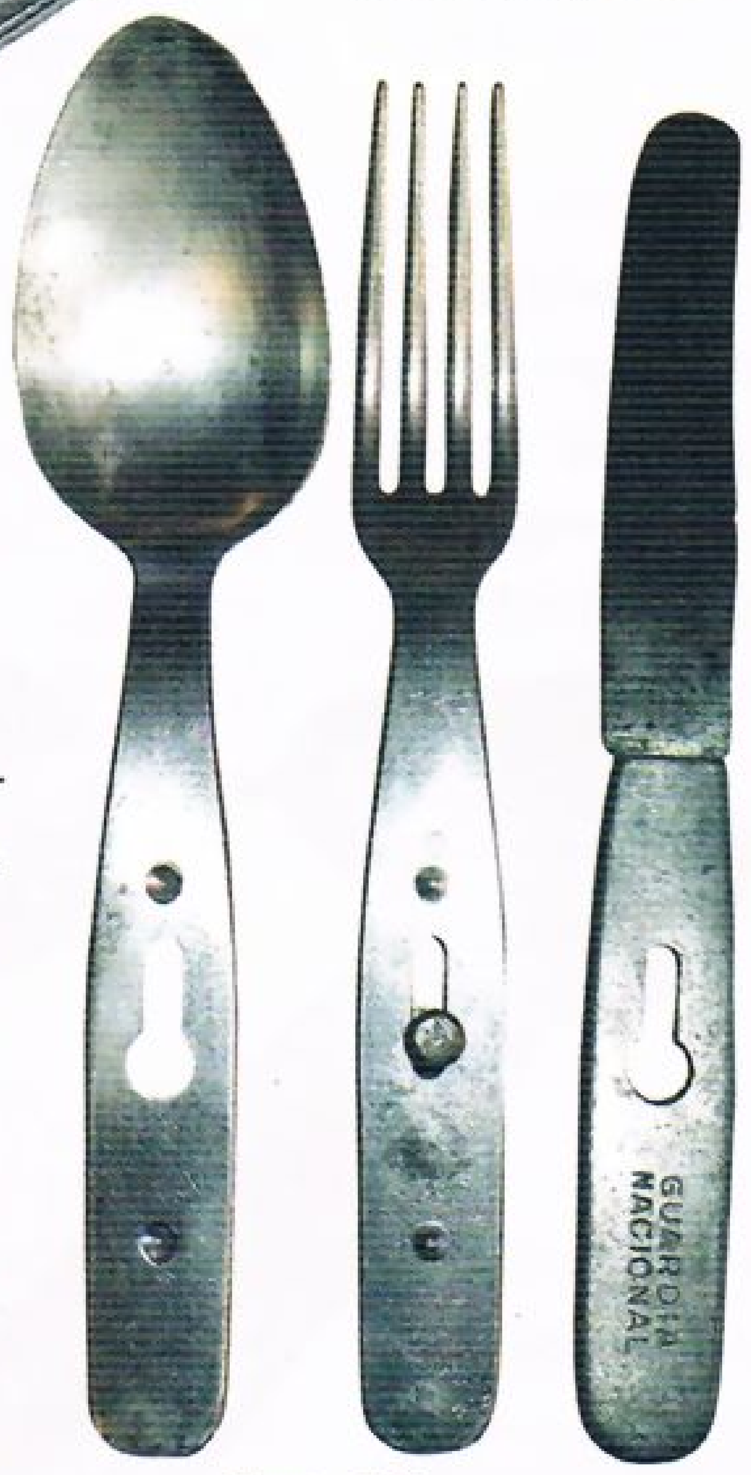

Fot. 10

Spośród niezbędników armii sprzymierzonych z Niemcami w rękach żołnierzy Wehrmachtu najwięcej było sztućców włoskich. Przyczyny są dwie. Po pierwsze, to właśnie ramię w ramię z sojuszniczymi Włochami Niemcy walczyli najdłużej, po drugie, po kapitulacji armii włoskiej we wrześniu 1943 roku ogromne ilości włoskiego sprzętu zostały przejęte przez Niemców i trafiły do oddziałów Wehrmachtu, SS oraz wszelkich organizacji i służb pomocniczych. Standardowy włoski zestaw do jedzenia składał się z aluminiowego widelca i łyżki.

Fot. 11

Fot. 12

Fot. 15

Fot. 16

Prezentowany na zdjęciach 15, 16 niezbędnik, sygnowany jest symbolami włoskiej armii królewskiej oraz literami „RE", co oznacza Regio Esercito, czyli Armia Królewska. Dość rzadki, włoski niezbędnik widać na zdjęciach 17, 18. Składana łyżka opatrzona jest skrótem „AM", co z kolei oznacza Amministrazione Militare – intendentura wojskowa. To właśnie ten skrót przeszedł w wojskach Osi do legendy, stając się obiektem drwin żołnierzy, narzekają-

Fot. 17

Fot. 18

Fot. 19

Garantie Solingen". Widoczny na zdjęciu scyzoryk z drewnianymi okładzinami, opatrzony również patentem III Rzeszy, mógł stanowić bardzo praktyczne uzupełnienie niezbędnika. Ciekawy model otwieracza do konserw i butelek widać na zdjęciach: 20 i 21. Podpisany „Monopol Automatic DRGM DRP", bez trudu mieści się w kieszeni. Na froncie równie przydatne były korkociągi (fot. 22). Oba pokazane na zdjęciu modele, sygnowane są „DRGM".

Fot. 22

cych na złą aprowizację i braki w zaopatrzeniu, zwłaszcza w Afryce Północnej. Skrót ten odczytywano m.in. jako Arabo Morte, czyli „martwy Arab", co było makabrycznym nawiązaniem do kiepskiego smaku i zawartości włoskich, wojskowych konserw, na których widniały te litery.

Uzupełnieniem przyborów do jedzenia były, zawsze przydatne w polu, otwieracze do konserw. Dotyczyło to zwłaszcza żołnierzy, którym wydano jedynie kombinację widelca i łyżki. Im do otwierania konserw służyły rozmaite otwieracze, z komercyjnej produkcji, lub scyzoryki (fot. 19). Widoczne na zdjęciu otwieracze noszą patenty i normy III Rzeszy, i sygnowane są od góry: „Goef D.R.G.M.", „Pathos Record D.R.P.a.", „Rival Extra DRGM", „Früher D.R.P. 61206

Regulaminowe otwieracze do konserw wydawane były żołnierzom w bardzo niewielkim zakresie. Znajdowały się one głównie na wyposażeniu kuchni polowych, rzadko kiedy posiadali je pojedynczy żołnierze. Na zdjęciu nr 23 prezentowane są wojskowe otwieracze, oparte zasadą działania na cywilnych modelach, jednak o znacznie mocniejszej konstrukcji. Pierwszy z lewej datowany jest na 1939 rok, drugi, oprócz sygnatury wytwórcy, nosi mały znak odbioru – Waffenamt.

Na zakończenie warto jeszcze dodać, iż oprócz niezbędników niemieccy żołnierze posługiwali się w polu zwykłymi sztućcami, tzw. „kantynowymi", które z wyglądu do złudzenia przypominają cywilne zestawy, noszą jednak wojskowe sygnatury. Zdarzały się powszechnie niezbędniki i sztućce zdobyczne. Temat ten wykracza jednak daleko poza ramy niniejszego artykułu.

Literatura:
1. G. Rottman, R. Volstad, „Niemiecki ekwipunek bojowy 1939-1945", Osprey Publishing Ltd. 1991
2. R. Fisch, „Field equipment of the Infantry 1914-1945", A Greenberg Publication 1989
3. R. Trye, „Żołnierze Mussoliniego", Dom Wydawniczy Bellona 2000

Fot. 23

Fot. 20

Fot. 21

· ZDJĘCIA: PREZENTOWANE EKSPONATY POCHODZĄ Z KOLEKCJI AUTORA.

Tomasz Piotr Bienek
Entuzjasta historii obu wojen światowych, kolekcjoner żołnierskiego ekwipunku z lat 1914-1945, miłośnik fantastyki i fan rockowej muzy, polskich gór i polskiego morza. Z wykształcenia humanista, z doświadczenia zawodowego – reporter w prasie codziennej. Autor rubryki „Wojna od kuchni" w „Odkrywcy". Wyznawca maksymy stworzonej i wyśpiewanej przez Marka Grechutę: „ważne są dni, których jeszcze nie znamy".

„Ta ziemia do Polski należy, choć Polska daleko jest stąd”...

MACZKÓW nad Ems 1945-1948,
czyli enklawa wolnej Polski w okupowanych Niemczech

PIOTR GALIK

Zakończenie działań zbrojnych II wojny światowej w Europie, nie okazało się dla Polski triumfalnym dniem zwycięstwa. Kraj, zniszczony ludobójczą okupacją niemiecką i wyniszczony „sojuszniczym” najazdem sowieckim, oddany został przez mocarstwa zachodnie Moskwie, która zainstalowała na zajętych obszarach Polski rząd podporządkowany Stalinowi. Narzucone „wyzwolonej” Polsce przemiany ustrojowe i społeczne negowały tradycje i dorobek II Rzeczypospolitej. Zabór połowy terytorium państwa, jedynie symbolicznie zrekompensowany zdewastowanymi i wyludnionymi obszarami poniemieckimi, sprawił, że dziesiątki tysięcy Polaków rzuconych przez losy wojny na Zachód, nie miało już dokąd powracać, utraciwszy swoje „małe ojczyzny” na Kresach. W tym słodko-gorzkim czasie, gdy radość z przetrwania wojny łączyła się z brakiem nadziei na powrót do normalnego życia, daleko od Polski, w miasteczku Haren nad Ems, spontanicznie powstała namiastka wolnej Ojczyzny – osada Maczków, będąca głównym ośrodkiem nieoficjalnej polskiej strefy okupacyjnej w Niemczech.

„Czarne Diabły” na ziemi wroga

W kwietniu 1945 roku polska 1. Dywizja Pancerna, która pod komendą generała Stanisława Maczka od sierpnia 1944 roku walczyła o wyzwolenie Francji, Belgii i Holandii, wkroczyła na terytorium Niemiec. Różnica pomiędzy ziemiami wyzwolonych krajów a obszarami wroga, była jaskrawa. Jak zapisał w swoich wspomnieniach dowódca dywizji:

„Bił w oczy kontrast dekorowanych chorągiewkami o barwach narodowych i masą kwiatów miasteczek holenderskich, stosunkowo oszczędzonych przez bombardowania, od ponurych, szarych zgliszczy domostw, z jedyną gdzieniegdzie dekoracją na ocalonym zabudowaniu – białą chorągwią. Bił w oczy widok radości i wesela wylegającej na ulice ludności holenderskiej wobec pustki zamkniętych okien-nic i przywartych wrót, przemykających się Niemców z bladymi twarzami”. Dlatego też powszechnie ustawiane przez oddziały brytyjskie i amerykańskie tablice ostrzegawcze o treści: *„Wkraczacie na teren nieprzyjacielski. Nie fraternizować się z ludnością”,* okazały się zbędne.

Trzecia Rzesza dogorywała wówczas pod ciosami armii sprzymierzonych, lecz wiele oddziałów niemieckich stawiało zdumiewająco zacięty opór „wyzwolicielom”. Także na odcinku frontu atakowanym przez polskich pancerniaków, hitlerowscy „obrońcy cywilizacji europejskiej” nie zamierzali pogodzić się z nieuniknioną klęską. Wbrew zdrowemu rozsądkowi starali się jak najdłużej powstrzymywać armie państw zachodnich od zajęcia Niemiec, nie potrafiąc jednocześnie zastopować sowieckiego walca parowego na wschodzie. *„Bijcie się twardo, ale po rycersku”* – pouczał po wkroczeniu do Niemiec wiosną 1945 roku generał Maczek swoich żołnierzy, zwanych „Czarnymi Diabłami”. W przeciwieństwie do Armii Czerwonej, której żołnierze wręcz zachęcani byli przez dowództwo do brania odwetu na bezbronnej ludności cywilnej za wojenne okrucieństwa Niemców, Polacy – jak i inni Alianci – zachowywali się na ziemi wroga w sposób cywilizowany, choć oczywiście nie żywili zbytniej sympatii dla jej mieszkańców.

Dywizja polska stanowiła część kanadyjskiego II Korpusu Armijnego, walcząc u boku 3. Dywizji Piechoty oraz 4. Dywizji Pancernej spod znaku klonowego liścia oraz batalionu belgijskich komandosów Special Air Service. Dowódca korpusu, generał Guy Granville Simonds, powierzył polskim sprzymierzeńcom atak w kierunku portu i ważnej bazy wojennej Wilhelmshaven. Operacja wymagała przełamania nieprzyjacielskich linii obrony, opartych o naturalne i sztuczne przeszkody wodne, w jakie obfitował teren działań. Doświadczenie nabyte podczas walk w Holandii, bardzo pomogło Polakom w sprawnym forsowaniu rzek, ka-

Generał Stanisław Maczek (1892-1994), bohater czterech wojen, twórca i dowódca 1. Dywizji Pancernej, patron Maczkowa, spoczął po śmierci wśród swoich żołnierzy – na cmentarzu wojennym w Bredzie.

W roku 1945 miasto Haren zniknęło z map...

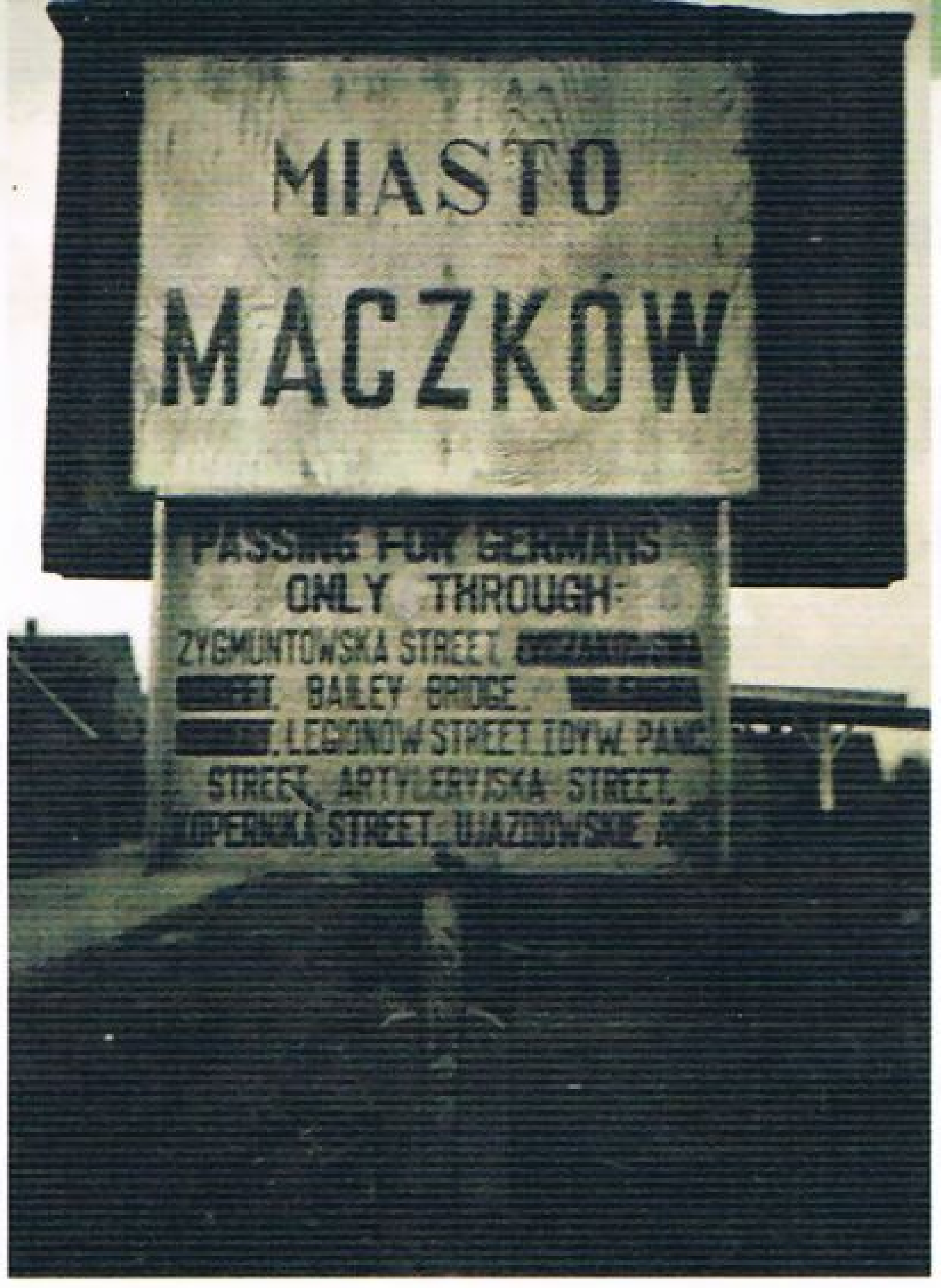

... by na kilka lat pojawić się jako Maczków, stolica polskiej części brytyjskiej strefy okupacyjnej w Niemczech.

Jednymi z pierwszych mieszkańców Maczkowa stały się harcerki i żołnierki AK, uwolnione przez rodaków z obozu jenieckiego w Oberlangen.

nałów, rozlewisk i celowo zatopionych przez nieprzyjaciela obszarów depresji. Podczas walk, zakończonych przekroczeniem Kanału Przybrzeżnego i rzeki Ems, Polacy wyzwolili obóz jeniecki Stalag VI C, zbudowany w pobliżu wioski Oberlangen. Uwolnionymi jeńcami wojennymi okazały się polskie harcerki i żołnierki Armii Krajowej, uczestniczki Powstania Warszawskiego. Służby logistyczne 1. Dywizji Pancernej niezwłocznie przyjęły ponad 1700 kombatantek na stan żywieniowy formacji, zapewniając im nie tylko posiłki, ale także opiekę medyczną i zaopatrzenie w najniezbędniejsze przedmioty codziennego użytku.

Radosne wydarzenie w Oberlangen, będące spełnieniem tradycyjnego etosu rycerza – obrońcy uciśnionych, pozostało jedynie krótkim epizodem ostatniej fazy walk w Europie. „Czarne Diabły" miały przed sobą kolejne punkty fanatycznego oporu, a u kresu drogi – umocnienia Wilhelmshaven. W ostatnich dniach kwietnia polska dywizja wyszła na „ostatnią prostą". Według dowódcy 10. Brygady Pancernej, pułkownika Franciszka Skibińskiego, *„to nie był marsz, ale męczarnia. Co chwila grzęzły samochody, tarasując drogę kolumny i trzeba je było wyciągać czołgami. Wlekliśmy się z zaciętymi zębami, bez żadnej perspektywy przyśpieszenia ruchu, zwariantowania marszruty, rozwinięcia się między tymi bagnami, groblami i kanałami. (...) Usłyszeliśmy przez radio wiadomość o zdobyciu Berlina, śmierci Hitlera i Goebbelsa, ale »nasi« Niemcy nie robili żadnego użytku z tej sytuacji, bronili każdego metra terenu".* Postawa przeciwnika budziła szacunek: *„mimo całej nienawiści do hitlerowców muszę tu przyznać jedno: ci żołnierze w momencie klęski zachowywali się po żołniersku. Ani wtedy, ani później, nie dojrzałem żadnego śladu rozprężenia, upadku dyscypliny, mało tego, zachowywali się z godnością graniczącą z butą".*

Spontanicznie postanowiono nadać miastu nazwę Lwów, lecz wkrótce, pod wpływem nerwowych protestów stalinowskiej dyplomacji, Anglicy zabronili używania tej „niepolitycznej" nazwy. 4 czerwca 1945 roku generał Tadeusz Bór-Komorowski nadał miastu nową, niekontrowersyjną nazwę. Pozostały jednak „niepolityczne" nazwy ulic, zaczerpnięte z topografii Lwowa: Łyczakowska, Akademicka, Zygmuntowska, Legionów...

Wreszcie w nocy z 3 na 4 maja wojska niemieckie na północnym odcinku frontu złożyły broń. Decyzją dowódcy II Korpusu Kanadyjskiego kapitulację portu i garnizonu Wilhelmshaven miała przyjąć dywizja polska. Była to chwila ogromnego, symbolicznego triumfu, która szczególnie poruszyła najstarszych weteranów dywizji, tych, którzy wraz z pułkownikiem Maczkiem rozpoczęli wojnę we wrześniu 1939 roku i szli pod jego komendą poprzez: Węgry, Francję, Wielką Brytanię, Belgię i Holandię, aż do kraju wroga.

Uroczyste przejęcie władzy nad wielką bazą Kriegsmarine miało miejsce 5 maja. W ręce Polaków wpadły: 3 krążowniki, 18 okrętów podwodnych, 205 mniejszych jednostek pływających, 94 działa forteczne, 159 dział polowych, 930 karabinów maszynowych, 40 tys. karabinów oraz ponad 280 tys. pocisków artyleryjskich, 64 miliony nabojów strzeleckich, 23 tys. granatów ręcznych oraz ogromne zapasy żywności. Wśród ponad 30 tys. jeńców wojennych znalazło się 2 admirałów, 1 generał i 1900 oficerów niemieckich.

Po kilku dniach nastąpiła ostateczna kapitulacja III Rzeszy, a 1. Dywizja Pancerna, już pod komendą nowego dowódcy (został nim generał Klemens Rudnicki), rozpoczęła służbę pokojową jako część alianckich sił okupacyjnych w Niemczech.

Polskie ochotniczki pełniły często służbę wartowniczą, pilnując ładu i porządku w powojennym chaosie okupacyjnym.

Maczków – tak, Lwów – nie, czyli polityka sojuszników

Przejście ze stopy wojennej na pokojową – zwłaszcza na płaszczyźnie mentalności – nie było jed-

Ostatnia defilada „Czarnych Diabłów". Demobilizacja polskich oddziałów przyczyniła się do schyłku Maczkowa.

Polska drużyna harcerska maszeruje ulicami Maczkowa. W ciągu kilku lat istnienia osady starano się w jak największym stopniu zastąpić „dipisom" utraconą Ojczyznę…

nak łatwe. Pułkownik Skibiński, który po zakończeniu walk musiał zorganizować formy współdziałania z cywilnymi strukturami niemieckimi, wspominał: *„Na hotelu w Jever, gdzie miała być kwatera brygady, powiewała już ogromna flaga polska. Przed wejściem do hotelu stali w szeregu trzej brzuchaci panowie z kapeluszami w ręku. Nogi pod nimi dygotały. Wysiadłem z czołgu z trzcinką w ręku i tłumaczem u boku i podszedłem do trójki, która zgięła się w ukłonie w pas. Raczyłem przemówić: »Zapowiadam, że jeżeliby ktokolwiek w mieście ośmielił się rzucić patykiem w żołnierza polskiego albo kamieniem w szybę kwatery zajmowanej przez Polaków, to wy wszyscy trzej zostaniecie powieszeni, a miasto pójdzie z dymem«".* Tak surowe środki represyjne okazały się jednak zbędne, gdyż niemiecka ludność miała zdecydowanie dość walki i starannie unikała otwartych konfliktów z okupantami. A nastawienie polskich żołnierzy wobec Niemców trafnie opisywał cytowany wcześniej płk. Skibiński: *„Weszliśmy na terytorium niemieckie i doznaliśmy pomieszania uczuć. Z jednej strony świadomość, że jesteśmy w kraju śmiertelnego wroga. Z drugiej, był to po Francji, Hiszpanii, Portugalii, Anglii, Belgii i Holandii kraj wreszcie podobny do Polski. Te same pola. Czterokołowe dawno nie widziane wozy. Ludzie podobnie ubrani. Budynki jak w Poznańskiem albo na Pomorzu. Robiłem wszystko, co mogłem, żeby nasi żołnierze nie wyszli z dotychczasowej formy i żeby zachowywali się tak, aby Niemcy bali się ich, ale szanowali. Żadnych gwałtów i żadnych rabunków. Wachmistrz szwadronu ma prawo wezwać sołtysa i rozkazać, aby dostarczył do kuchni pięćdziesiąt białych kogutów w czarne cętki, ale nie wolno urządzać dzikich indywidualnych pogoni ze stenem za kurami".*

Tymczasem na najwyższych szczeblach decyzyjnych Londynu rozstrzygały się kwestie, związane z polską obecnością wojskową w Niemczech. Rząd RP w Londynie starał się już od 1942 r. o uzyskanie odrębnej strefy okupacyjnej po zwycięstwie nad III Rzeszą. Zachodni alianci liczyli się jednak bardziej z wolą Stalina, który nie chciał oczywiście słyszeć o jakimkolwiek, symbolicznym choćby, uznaniu partnerstwa „pańskiej Polszy". Brytyjczycy postanowili zatem kierować się pragmatyką, wybierając rozwiązanie najkorzystniejsze i z ich punktu widzenia. Wykorzystanie polskich oddziałów wojskowych w roli sił okupacyjnych pozwoliłoby szybciej zdemobilizować angielskich żołnierzy, co przyniosłoby nie tylko efekty propagandowe, lecz także zasilenie gospodarki licznymi pracownikami, których zza warsztatów i maszyn wyrwała mobilizacja. Ponadto, na wypadek ewentualnej „Operacji Unthinkable" (wojny mocarstw demokratycznych ze Związkiem Sowieckim) antykomunistyczne, sprawdzone w bojach i zmotywowane chęcią wyzwolenia Kraju oddziały polskie, byłyby cennym wzmocnieniem armii alianckich. Doszło więc do rozwiązania kompromisowego. Zamiast polskiej strefy okupacyjnej, utworzono strefę francuską (jako premię za masową kolaborację z Niemcami i udział Francuzów w Holokauście, ledwie przesłonięty „listkiem figowym" garstki bojowników generała de Gaulle'a?). Polskie Siły Zbrojne – nie bez poparcia sztabu Armii Kanadyjskiej, której podlegała organizacyjnie polska dywizja pancerna – uczyniono natomiast częścią sił podległych Dowództwu Brytyjskiej Strefy Okupacyjnej w Niemczech.

Dodatkowym czynnikiem, który wpłynął na decyzje Londynu, było spontaniczne gromadzenie się Polaków, zwolnionych z niemieckich obozów pracy przymusowej, więzień i obozów jenieckich na terenach kontrolowanych przez nasze oddziały. Tysiące „dipisów" (DP – displaced person, osoba wysiedlona) szukały opieki i pomocy rodaków, którzy uczestniczyli w ostatecznym rozgromieniu hitlerowskich Niemiec. Nieformalna polska stref(k)a okupacyjna ograniczała się do niewielkiego obszaru ok. 6 500 kilometrów kwadratowych, na terenie sąsiadujących z Holandią powiatów prowincji Emsland: Aschendorf, Meppen i Lingen z miastami Papenburg, Meppen, Lingen i Cloppenburg. Wkrótce do pancerniaków dołączyli spadochroniarze z brygady gen. Sosabowskiego.

Oprócz polskich żołnierzy w miejscowościach tego rejonu rozpoczęli osiedlać się cywile. Nieformalną stolicą nieformalnej polskiej strefy okupacyjnej stało się miasteczko Haren. Wysiedlono z niego niemiecką ludność, pozostawiając jedynie burmistrza z rodziną i siostry zakonne w tamtejszym klasztorze. Wysiedlani mieszkańcy mogli zabrać rzeczy osobiste, odzież, żywność i zwierzęta gospodarskie. Sprzęty domowe, narzędzia rolnicze i wszelkie urządzenia techniczne miały pozostać. Miejsce Niemców zajmowali Polacy.

Ponieważ wielu żołnierzy i „dipisów" wywodziło się z Kresów, spontanicznie postanowiono nadać miastu nazwę Lwów, lecz wkrótce, pod wpływem nerwowych protestów stalinowskiej dyplomacji, Anglicy zabronili używania tej „niepolitycznej" nazwy. W czasie swojego pobytu w dniu 4 czerwca 1945 roku generał Tadeusz Bór-Komorowski nadał miastu nową, niekontrowersyjną nazwę. Tak więc nademski Lwów stał się Maczkowem – ku czci twórcy i dowódcy naszej 1. Dywizji Pancernej. Pozostały jednak „niepolityczne" nazwy ulic, zaczerpnięte z topografii Lwowa: Łycza-

kowska, Akademicka, Zygmuntowska, Legionów…

W Maczkowie i okolicach – „mała Polska"

Zapoczątkowana 19 maja 1945 roku polska obecność w prowincji Emsland, miała pierwotnie charakter zdecydowanie militarny. Polacy zyskali prawo do zabezpieczenia ładu i porządku publicznego. W tym celu tworzyli uzbrojone straże, pełniące funkcje policyjne. Tropili także i zatrzymywali Niemców, którzy podczas wojny czynnie uczestniczyli w hitlerowskim aparacie politycznym i policyjnym. Nie było takich zbyt wielu – region Emslandu był jednym z najmniej pronazistowskich obszarów Niemiec, a blisko 80 proc. głosów w ostatnich przed wojną demokratycznych wyborach oddano tam na chrześcijańską prawicę… Całokształt kwestii związanych z życiem gospodarczym, migracjami ludności itp. podlegał decyzjom władz brytyjskich, które prowadziły własną politykę, zapobiegając zbyt głębokiemu „wrastaniu" polskich „dipisów" w lokalną ekonomikę.

Polscy mieszkańcy Maczkowa, a także innych tymczasowych osad w strefie, korzystali z przywilejów samorządowych – wybierali cywilne władze, odpowiadające za sprawne działanie lokalnej administracji.

Pierwszym burmistrzem Maczkowa został Zygmunt Gałecki, a po nim ten urząd objął Mieczysław Futa. Powstała też Rada Miejska oraz zarząd cywilny miasta. Normalizacja powojennego życia wymagała uruchomienia szeregu instytucji i służb, umożliwiających codzienne funkcjonowanie miasta. W pierwszym rzędzie powołano zatem do życia polską szkołę podstawową, gimnazjum, liceum oraz Polskie Gimnazjum Mechaniczne i straż pożarną. Organizowano liczne kursy zawodowe, kwitło też życie towarzyskie, niemal co tydzień odbywały się masowe zabawy taneczne. Ocaleni z piekła wojny pragnęli jak najszybciej zapomnieć o jej okrucieństwach…

Parafia rzymsko-katolicka, która zapewniała mieszkańcom Maczkowa posługę duszpasterską, zarejestrowała do 1948 roku 289 ślubów, 490 chrztów i 101 pogrzebów. Uroczyste obchody świąt, celebrowane przez polskich księży, były ważnym czynnikiem integrującym maczkowską wspólnotę wygnańców. Z czasem w Maczkowie powstawały i inne ośrodki życia polskiego, jak Uniwersytet Ludowy czy Teatr im. Wojciecha Bogusławskiego. Wydawano polskie czasopisma, a gazety „Defilada" i „Dziennik" osiągały nakład do 90 tysięcy egzemplarzy. Wydarzeniem artystycznym wielkiej rangi stał się koncert światowej sławy skrzypka Yehudi Menuhina, który wraz z akompaniującym mu Beniaminem Brittenem odwiedził Maczków w lipcu 1945 roku.

„… idą tułać się po świecie"

Jesienią roku 1946 rozpoczęła się demobilizacja oddziałów PSZ, które stopniowo przenoszono z Europy na Wyspy Brytyjskie, gdzie pułki i bataliony ulegały przeformowaniu na anonimowe „oddziały PKPR" (Polski Korpus Przysposobienia i Rozmieszczenia – tymczasowa formacja, ułatwiająca żołnierzom przejście do życia cywilnego, emigrację lub repatriację do Kraju). Odejście żołnierzy w roku 1947 sprawiło, że i cywilni mieszkańcy polskiej strefy zaczęli godzić się z koniecznością jakiejś stabilizacji. Jedni wybierali powrót do Polski, inni – emigrację.

Stopniowo opuszczano więc Maczków i inne osady, a likwidacja „małej Polski" trwała do roku 1948. Ogółem, z brytyjskiej strefy okupacyjnej około połowa polskich „dipisów" wybrała repatriację, los ten stał się udziałem głównie mieszkańców ziem zachodnich oraz osób, które nie chciały przebywać z dala od rodzin, pozostających w Polsce. Inni, w tym głownie Kresowiacy i byli więźniowie stalinowskich łagrów, wybrali raczej gorzki chleb tułacza, niż perspektywy kontaktu z „ludowym aparatem bezpieczeństwa"…

Jedynie nieliczni Polacy pozostali w Haren (nazwę przywrócono 10 września 1948 r. wraz z ponownym zasiedleniem opuszczonego przez „dipisów" miasta) i okolicy, stając się częścią polskiej diaspory w Niemczech. Mieszkańcy Maczkowa pozostawili po sobie mieszane uczucia – byli przecież obcymi okupantami, a żądza odwetu za doznane krzywdy doprowadzała niekiedy do – odosobnionych i karanych – ekscesów wobec Niemców, lecz w porównaniu z np. Marokańczykami i Algierczykami, stacjonującymi we francuskiej strefie okupacyjnej, Polacy wydawać się mogli niemal nieuciążliwymi „gośćmi". Z całą pewnością nie odwzajemniali niemieckiego sposobu traktowania krajów okupowanych, dając jaskrawy dowód wyższości cywilizacyjnej „słowiańskich podludzi" nad „aryjskim Herrenvolkiem"… ◗

Literatura:

1. A. Lembeck, „Wyzwoleni, ale nie wolni. Polskie miasto w okupowanych Niemczech", Warszawa 2007
2. S. Maczek, „Od podwody do czołga. Wspomnienia wojenne", Wrocław 1990
3. J. Rydel, „Polska okupacja w północno-zachodnich Niemczech 1945-1948. Nieznany rozdział stosunków polsko-niemieckich", Księgarnia Akademicka 2000
4. F. Skibiński, „Pierwsza Pancerna", Warszawa 1970

Piotr Galik

Historyk, pisarz, erudyta. Długoletni współpracownik i przyjaciel „Odkrywcy" i konsultant z dziedziny wojskowości, chociaż jego ogromna wiedza obejmuje wiele innych dziedzin z zakresu historii. Kolekcjoner-falerysta.

zdarzyło się…

7 VI 1942 r.

73 lata temu zakończyła się Bitwa o Midway, jedna z najważniejszych batalii II wojny światowej. Był to z pewnością jeden z punktów przełomowych tego konfliktu, który pozwolił Ameryce otrząsnąć się po wcześniejszej klęsce w Pearl Harbor, oraz zahamować dotąd niepowstrzymany pochód Japończyków na Pacyfiku. Siły Stanów Zjednoczonych pokonały ich wówczas w trakcie powietrzno-morskiego starcia u wybrzeży najbardziej wysuniętego na zachód atolu Łańcucha Hawajskiego, zadając pierwszą od 350 lat klęskę. Flota dowodzona przez admirała Yamamoto straciła trzon swych sił uderzeniowych w postaci 4 lotniskowców, krążownika i aż 253 samolotów wraz z doświadczonymi w boju załogami. Wraz z tą porażką Japończycy utracili inicjatywę strategiczną, zaś Amerykanie przeszli do ofensywy, wypierając ich przez kolejne 3 lata z zajmowanych dotąd obszarów. Koszt tego był jednak ogromny…

Tradytor „Dąbrówka Wielka"

JERZY SADOWSKI

Fortyfikacje nazywane dziś Obszarem Warownym „Śląsk", są pierwszymi umocnieniami wzniesionymi w czasach II Rzeczypospolitej na granicy zachodniej. Ich pierwotną rolą była osłona polskiej części górnośląskiego obszaru przemysłowego przed niemieckim „puczem", jak ówczesne zagrożenie określał gen. Jan Sadowski.

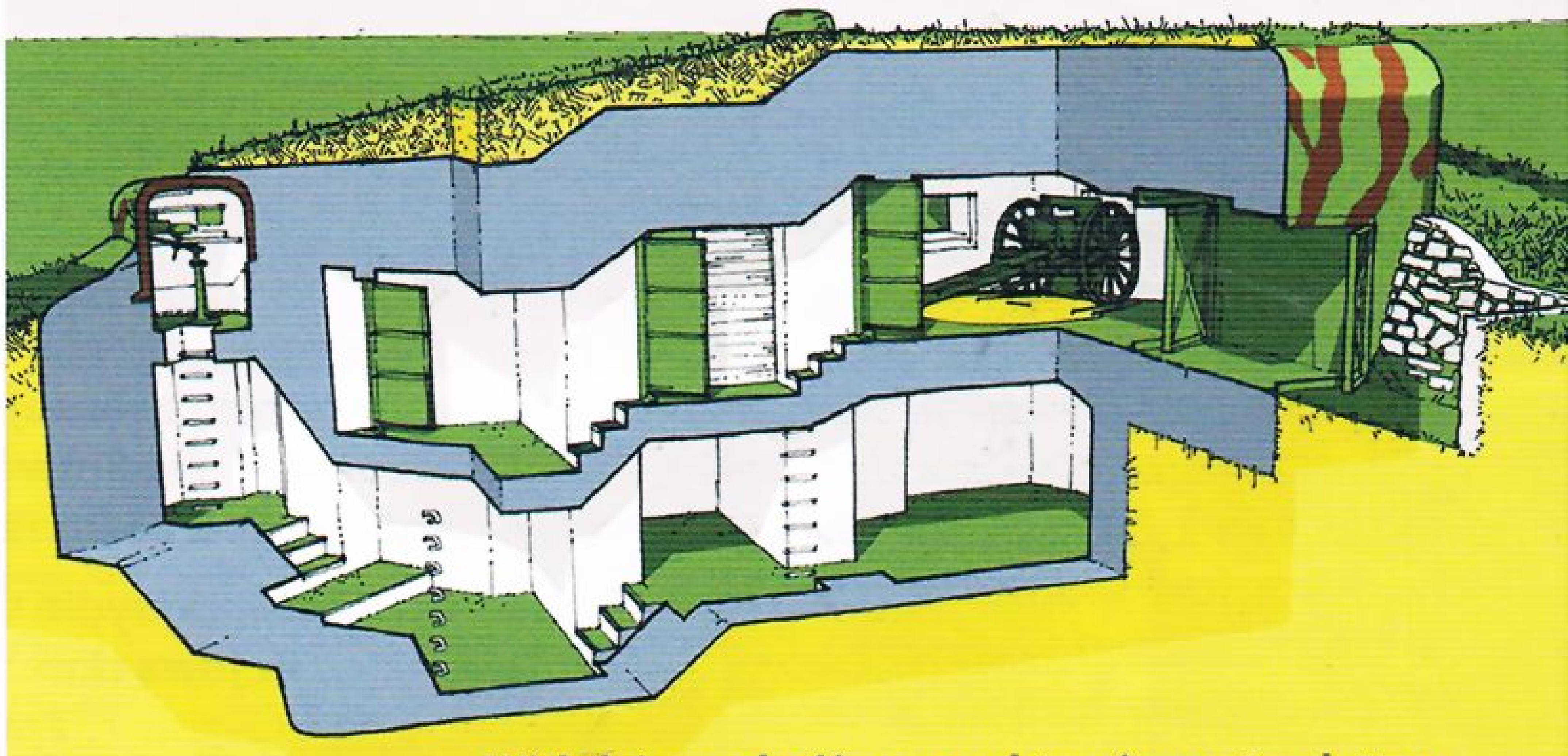

Widok i przekrój perspektywiczny tradytora punktu oporu „Dąbrówka Wielka". Rys. Filip Suchoń.

W początkowym okresie budowy prace skoncentrowano w wybranych punktach, i w latach 1933-1935 zbudowano dwie samodzielne grupy umocnień. Jako pierwszy powstał punkt oporu „Dąbrówka Wielka", ulokowany na wzgórzu 304,7, który pełnił rolę północnego filaru obrony. Obok kilku małych schronów bojowych zbudowano tu duży, dwukondygnacyjny tradytor dla lekkiej armaty polowej, obserwatora artylerii i broni maszynowej – pierwsze dzieło przeznaczone dla artylerii fortecznej zaprojektowane przez saperów II Rzeczypospolitej.

Podstawowym obiektem ogniowym pierwszych śląskich fortyfikacji były małe, o standaryzowanym planie, schrony bojowe z trójstrzelnicowymi kopułami pancernymi, bez izb wypoczynkowych dla załogi i zaplecza technicznego. Ich jedynym uzbrojeniem był ciężki karabin maszynowy, umieszczony pod solidną osłoną pancerną. Z uwagi na funkcję, małe wymiary i prostotę konstrukcji, można je scharakteryzować jako pancerne stanowiska ckm, wzorowane na francuskich kazamatach Pamard, znanych z pól bitewnych I wojny światowej, jak również na schronie bojowym broni maszynowej z fortu Bielany twierdzy Kraków (opis w „Odkrywca" nr 5/215). Te stanowiska ogniowe uzupełniały fortyfikacje polowe, złożone z sieci rowów strzeleckich i łącznikowych oraz przeszkody. W celu wzmocnienia siły ognia obrony oraz dla wsparcia wojsk zajmujących pozycje na nieufortyfikowanych wówczas międzypolach punktów oporu, uzbrojenie uzupełniała artyleria lekka. Pojedyncze armaty kalibru 75 mm (lub 76,2 mm) na zasadniczych kierunkach miały prowadzić ogień ze schronów-tradytorów, uzbrojonych także w broń maszynową. Wytoczenie armaty z tradytora na przygotowane obok stanowisko polowe, umożliwiało prowadzenie ognia także w innych kierunkach. W głębi pozycji obronnej znajdował się schron-magazyn amunicji oraz budynek ufortyfikowanych koszar, zaopatrzonych w stanowiska bojowe dla ciężkich karabinów maszynowych i broni ręcznej. Ich ogień uzupełniał obronę punktu oporu i skierowany był na skrzydła pozycji oraz pozwalał na walkę w okrążeniu, gdyż część strzelnic skierowana była na zapole.

Śląskie schrony bojowe wzniesione w poszczególnych fazach budowy OWŚ, wykazują wiele cech wspólnych, które można opisać jako typowe dla danego okresu. Dlatego też te najstarsze można określić jako model 1933*, nazywając je tak od roku, w którym powstały projekty i rozpoczęto ich realizację. Największymi z wówczas zbudowanych schronów są ww. dzieła artylerii lekkiej. Zestawiając cechy wyróżniające tradytory model 1933, można zauważyć, iż posiadają dwie kondygnacje, nieregularny kształt, stropy żelbetowe bez oparcia na belkach stalowych (nad większymi pomieszczeniami lekko wysklepione), dwa osobne kierunki ognia armaty, prosty system wentylacji. Natomiast, mimo sporych rozmiarów, brakuje im dobrej obrony wejść oraz ochrony przeciwgazowej i latryny. Cechy widoczne na zewnątrz to: łuki ścian i stropu o małym promieniu (50 cm), otynkowanie wszystkich powierzchni oraz zastosowanie blaszanych rynien, odprowadzających wodę znad otworów strzelnic i wejść.

Pierwszy tradytor model 1933 wzniesiono w latach 1933-1934 w punkcie oporu „Dąbrówka Wielka", zajmującym wzgórze oznaczone na wojskowych mapach punktem wysokościowym 304,7 (obecnie jest to 298,9). Jest to duża, dwukondygnacyjna budowla rozplanowana w sposób nadający jej kształt wyjątkowo skomplikowany i nieregu-

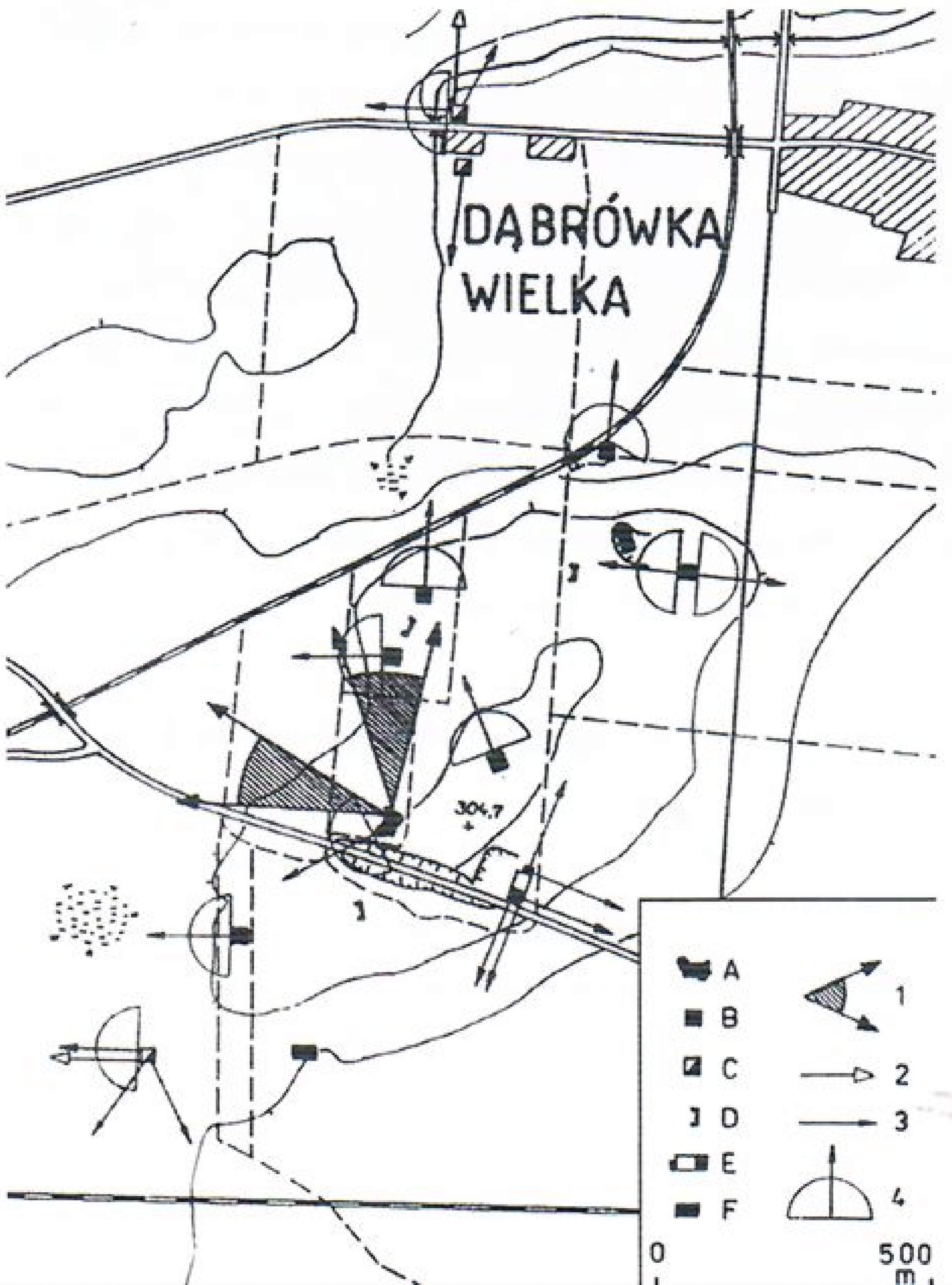

Fortyfikacje w rejonie dawnej wsi Dąbrówka Wielka. Legenda: A – tradytor artylerii, B – schron bojowy z lat 1933-1935, C – schron bojowy z lat 1936-1938, D – obiekt pozorny, E – koszary, F – magazyn amunicji, 1 – sektor ognia armaty 75 mm, 2 – kierunek ognia armaty ppanc., 3 – kierunek ognia ckm, 4 – sektor ostrzału ckm z kopuły pancernej. Rys. J. Sadowski

larny. Ta niebywale finezyjna forma budowli wynika zapewne z zamierzeń projektantów, dążących do jak najlepszego wkomponowania schronu w teren, i zapewnienia jak najlepszej widoczności obserwatorowi mającemu kierować ogniem artylerii, którego stanowisko umieszczono w niewielkiej kopule pancernej. Tak skomplikowana i wielopoziomowa forma budowli obronnej najczęściej spotykana jest w fortyfikacjach górskich. W ten sposób tradytor pod Dąbrówką Wielką, wzniesiony na niezbyt pofałdowanym terenie Obszaru Warownego „Śląsk", jest prawdziwym rarytasem. Co więcej, tak bogaty „architektonicznie" schron bojowy nie został więcej zbudowany w fortyfikacjach II Rzeczypospolitej.

Tradytor punktu oporu „Dąbrówka Wielka" jest dużą budowlą o wymiarach 17,8×12,9 m. Żelbetowe ściany mają grubość: czołowa 175 cm, boczna 125 cm, tylna i wewnętrzne 100 cm. Strop, wzmocniony od spodu jedynie przeciwodpryskowo siatką wykonaną z blachy cięto-ciągnionej (siatka Ledóchowskiego), ma grubość 150 cm. W pomieszczeniach o największej rozpiętości, czyli w izbie bojowej armaty oraz w znajdującej się poniżej izbie załogi, ukształtowano go w formie płytkiego sklepienia. Strop międzykondygnacyjny ma 50 cm grubości, przy czym pod izbą bojową armaty jego grubość osiąga 90 cm – z uwagi na zagłębienia w podłodze i duże obciążenia przenoszone podczas strzelania z działa. Dla zapewnienia odpowiedniej powierzchni dla obsługi armaty i lepszego zabezpieczenia wnętrza, do gotowego tradytora dobudowano przedsionek przy wjedzie dla działa, z drugą parą stalowych wrót i pozbawioną zamknięcia strzelnicą broni ręcznej obrony wejścia. Strop tego przedsionka ma 150 cm grubości, a ściany 100 cm grubości. Otwory wejściowe i strzelnice zabezpieczono przed zalewaniem wodą deszczową blaszanymi rynienkami, które zamocowano na uchwytach

Strzelnica dział w ścianie czołowej z pozostałościami elementów maskowania. Nad otworem strzelnicy widać plamy kamuflażu. Fot. za Denkschrift...

Lewe skrzydło tradytora z kopułą bojową ckm. Stan w roku 1939. Fot. za Denkschrift...

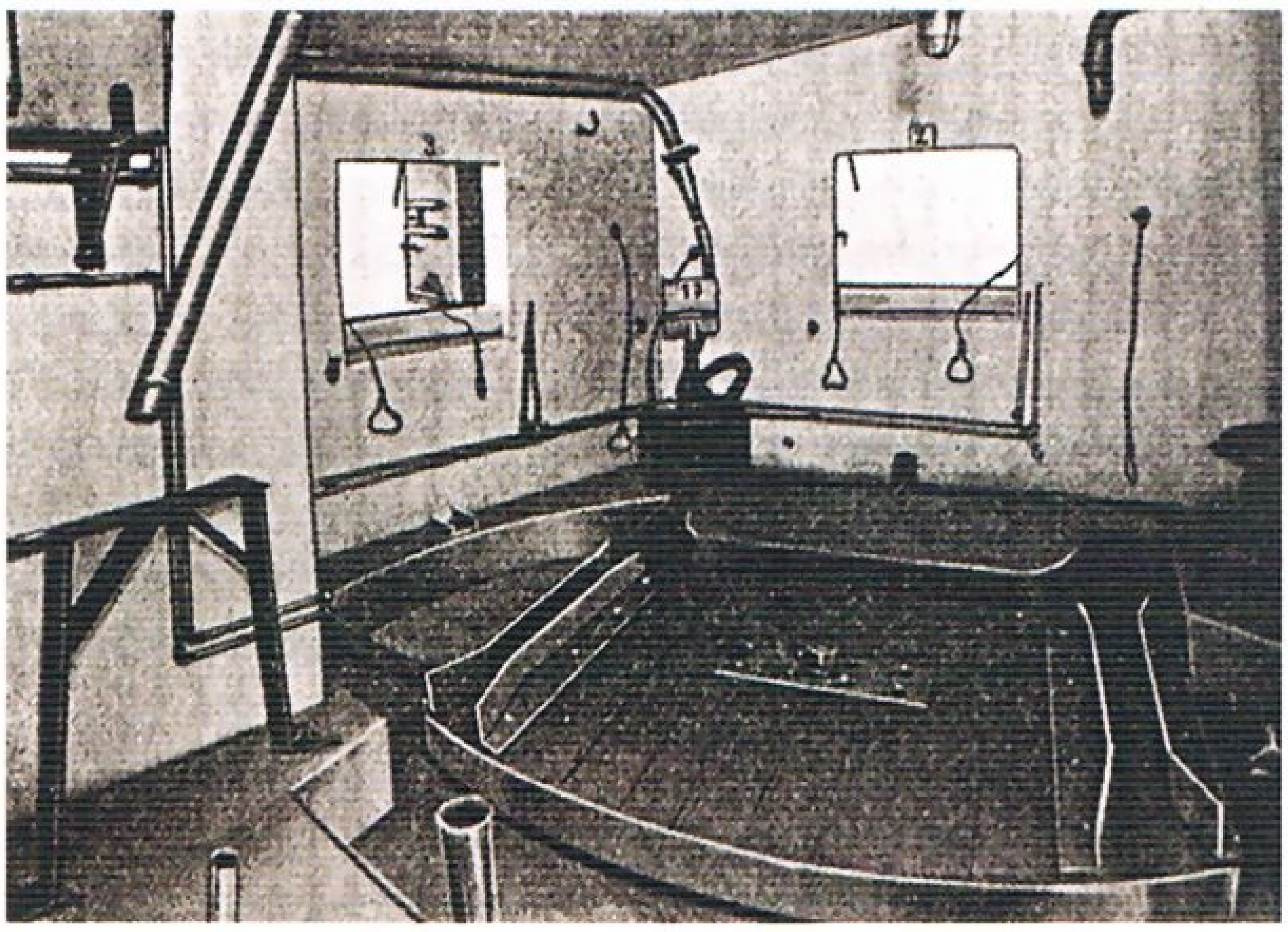

Wnętrze izby bojowej działa po zdobyciu fortyfikacji śląskich przez wojska niemieckie w roku 1939. Dobrze widać obie strzelnice z wyposażeniem, instalację odsysania gazów prochowych oraz rury instalacji wodnej. W podłogowej wnęce znajduje się drewniana podstawa działa ustawiona w pozycji do strzelania na lewą flankę. Z lewej strony widać stojak, z którego zdemontowano wentylator, ponad nim zbiornik wody instalacji chodzenia ckm, do którego prowadzą rury widoczne przy strzelnicach.

z płaskownika i jednym bokiem wpuszczono w warstwę tynku.

Zasadnicze uzbrojenie tradytora stanowiła lekka armata polowa, ustawiona w izbie bojowej opatrzonej dwiema strzelnicami, pozwalającymi prowadzić ogień na przedpole i na prawą flankę, wzdłuż pozycji obronnej. Wymiary stanowiska pozwalają przypuszczać, że zastosowano tu francuską armatę wz. 1897 kalibru 75 mm, najpopularniejszą lekką armatę polową w ówczesnym Wojsku Polskim. Jej zasięg strzału granatem wynosił 6900 m i była zdolna od przebicia płyty pancernej grubości 61 mm z odległości 500 m. Poziomy kąt ostrzału tego działa był konstrukcyjnie ograniczony do 6°, więc przy większej zmianie kierunku ognia należało przestawić (obrócić) całą armatę. Natomiast kąt ostrzału poziomego strzelnicy czołowej wynosił 30°, a bocznej 25°. Dlatego, aby ułatwić manewrowanie działem, przy większej zmianie kierunku ognia w strzelnicy, oraz umożliwić szybkie wykonanie manewru zmiany strzelnicy, skonstruowano forteczną podstawę-platformę, przypominającą kolejową obrotnicę. Platforma była wykonana z belek drewnianych i zaopatrzona w stalowe koła. Poruszała się w zagłębieniu w podłodze o specjalnie zaprojektowanym kształcie i głębokości 30 cm, dzięki czemu jej górna powierzchnia znajdowała się na poziomie podłogi. Łuki w tylnej części betonowego zagłębienia służyły do oparcia lemiesza armaty podczas strzelania. Dla zgrania położenia armaty z osią strzelnicy, na podstawie umieszczono okrągłe podwyższenie, wokół którego toczyły się koła lawety, a cała platforma-podstawa w obu skrajnych położeniach, była unieruchamiana ryglem, wchodzącym do specjalnego gniazda pod strzelnicą. Przy większej zmianie kierunku ognia w strzelnicy przestawiano ogon armaty, przesuwając go w bok wzdłuż łuku w betonie podłogi. Przy zmianie strzelnicy trzeba było podnieść ogon i przetoczyć armatę w tył, aż do wycofania lufy ze strzelnicy – jednocześnie koła wtaczały się pomiędzy prowadnice wykonane ze stalowych kątowników. Następnie obracano podstawę w drugie skrajne

położenie i przetaczano armatę ku strzelnicy, aż lemiesz opadł do wnęki w podłodze. Otwory strzelnic zamykano dwuskrzydłowym pancerzem, osadzonym w stalowej ramie. Skrzydła były niesymetryczne, w prawym, dłuższym, znajdował się otwór obserwacyjny zamykany zasuwą. Do operowania tymi pancernymi osłonami wyposażono je w łańcuchy, zakończone uchwytami; jeden służył do zamykania skrzydła, a drugi do otwierania, i był wyprowadzony na zewnątrz rurą stalową. Pancerze strzelnicy czołowej miały grubość 40 mm, a bocznej 15 mm. W pozycji zamkniętej były unieruchomione ryglami – po dwa na każde skrzydło. Pomiędzy strzelnicami znajdował się giętki przewód z montowaną nad zamkiem armaty końcówką, służącą do odsysania gazów prochowych, powstających w czasie strzelania. Przewód giętki łączył się ze stałymi rurami prowadzącymi do ręcznego wentylatora, umieszczonego na metalowym stojaku, na lewo od działa. Następnie gazy były wydmuchiwane na zewnątrz przez kolejne rury. Na ścianie obok strzelnicy bocznej znajdowały się składane ławki i półka. Ponadto na archiwalnej fotografii widać zbiornik wody oraz rury instalacji wodnej, kończące się na prawo od strzelnic dział. Sugeruje to, że planowano użycie ciężkich karabinów maszynowych w tych strzelnicach, może w sytuacji braku lub uszkodzenia działa, lub po prostu zamiennie – czyli wykorzystując otwory dostępne w żelbetowej strukturze.

Widok tradytora od czoła, staranie ukrytego w nasypach ziemnych i zamaskowanego zielenią.

Wejście i ściana tylna tradytora dziś ukryte są w dzikiej zieleni.

Do czyszczenia przewodu lufy oraz konserwacji działa, armatę można było przetoczyć do przedsionka. Zyskiwano w ten sposób miejsce do przeprowadzenia tych czynności od wylotu lufy. W sąsiednim pomieszczeniu mieścił się magazyn amunicji, odgrodzony cienką ścianką z drzwiami przesuwnymi od sieni. Tu znajdowały się dwuczęściowe pancerne drzwi wejściowe, zejście na dolną kondygnację i ławka. Wyjście prowadziło na betonowy podest ze schodami, osłonięty ścianką oporową. Ścianka umocniona była kamienną obmurówką i betonowym murkiem, osłaniającym częściowo wejście. Wjazd dla działa prowadził do wykopu o ściankach umocnionych kamienną obmurówką. Z sieni w lewo wchodziło się do izby pogotowia obsługi armaty, wyposażonego w ławki i półki. Tu również znajduje się zejście na dolną kondygnację oraz wejście do małego pomieszczenia, które mogło służyć jako magazynek.

Wjazd dla działa, nad otworem widać żelbet odsłonięty przez odpadający tynk.

Największe pomieszczenie nad kondygnacją mieściło izbę załogi. Do ścian przymocowane były składane ławki, półki i stolik, a nie jest wykluczone, że mimo bliskości koszar znajdowały się tu także wolno stojące, piętrowe prycze. W narożu tego pomieszczenia znajduje się wysoki, ponad dwukondygnacyjny szyb, prowadzący do pancernej kopuły obserwacyjnej model 1934*, wyprodukowanej w Zakładach Ostrowieckich i sygnowanej „ZO 1934 N. 11.". Kopuła ma wysokość wnętrza wynoszącą zaledwie 70 cm, średnicę wewnętrzną 60 cm, 4 szczeliny obserwacyjne i pancerz grubości 100-105 mm. Ten bardzo ważny element wyposażenia schronu miał zapewnić odpowiednie warunku pracy dla obserwatora kierującego ogniem artylerii. Nie był to jednak pancerz zbyt udany – osłona pancerna jest płytko osadzona w żelbecie, obserwator siedział na metalowo-drewnianym siodełku, zbliżonym kształtem do rowerowego, pole obserwacji było ograniczone, niewielkie szczeliny nie pozwalały na użycie przyrządów optycznych, a brak miejsca oraz oświetlenia ograniczał korzystanie z mapy i notatek. Sąsiednie pomieszczenie to izba dowodzenia, która była wyposażona w ławki i półki oraz pulpit, obok którego znajdują się końcówki rur głosowych. Obok znajduje się izba pogotowia obsługi półkopuły pancernej, gdzie mieścił się też zapas amunicji strzeleckiej oraz szyb z włazem do kopuły pancernej ze stanowiskiem ciężkiego karabinu maszynowego. Jest to trójstrzelnicowa kopuła bojowa najstarszego

Kopuła obserwatora artylerii jest najwyższym punktem na stropie tradytora.

typu i jedna z pierwszych zamontowanych w obiektach Obszaru Warownego „Śląsk". Podobnie jak kopuła obserwacyjna, została odlana w Zakładach Ostrowieckich w Ostrowcu Świętokrzyskim i jest sygnowana „ZO 1934 N. 10.". Kopuła ma wysokość wnętrza 140 cm, średnicę wewnętrzną 172 cm i pancerz o grubości osiągającej 170 mm. Warto zwrócić uwagę, że kopuła ta nie jest bryłą obrotową, lecz została specjalnie wymodelowana. Z uwagi na zaprojektowanie tego pancerza, do osadzenia w żelbecie, jako częściowo pogrążonej „półkopuły", kopuła nie ma równej podstawy – w tylnej części jest uniesiona, a boki są ukośnie ścięte. Ponadto pancerny strop od czoła jest spłaszczony i opada ku strzelnicy czołowej. Zamontowane tu uzbrojenie stanowił ciężki karabin maszynowy, prawdopodobnie Browning wz. 30, ustawiony na nieistniejącej już podstawie, pozwalającej na zmianę strzelnic oraz wymagany kąt ostrzału poziomego, który wynosił prawdopodobnie 61,5° dla każdej ze strzelnic.

Rajd Szlakiem Fortyfikacji MRU Lubrza 2015
27-28 czerwca 2015

Gmina Lubrza zaprasza miłośników fortyfikacji na „Rajd Szlakiem Fortyfikacji MRU Lubrza 2015". Trasa rajdu wiedzie podziemiami i na powierzchni ziemi wokół Podziemnej Trasy Turystycznej MRU „Pętla Boryszyńska" oraz przez lasy w okolicy Lubrzy.

Impreza ma charakter otwartego zlotu.

Zakwaterowanie przygotowane jest na hali sportowej Zespołu Szkół Samorządowych w Lubrzy (odpłatność 15 zł za nocleg), tu także jest możliwość skorzystania ze stołówki.

Za transport, obuwie turystyczne, oświetlenie, śpiwory, materace, wyżywienie i ubezpieczenie każdy z uczestników odpowiada we własnym zakresie.

Komandorem rajdu będzie Jerzy Sadowski (kom. 509 938 389), a wicekomadorzy to: Marcin Dudek i Krzysztof Mrówka.

Organizatorem rajdu jest Gmina Lubrza, którą reprezentuje p. Krzysztof Rosiński, tel. 68 38 13 021 w. 226.

Z uwagi na konieczność organizację noclegów oraz wejścia zorganizowanej grupy do podziemi na trasę niestandardową, organizator prosi o przesyłanie zgłoszeń i podanie ilości uczestników (z noclegiem, bez noclegu) na e--mail: promocja@lubrza.pl

Patronat medialny: „Odkrywca".

Opieka merytoryczna: Wydawnictwo INFORT

PATRONAT MEDIALNY

ODKRYWCA

PROGRAM

Piątek wieczór:

– zakwaterowanie (od 18:00) i dysputy fortyfikacyjne.

Sobota

10:00 – spotkanie na parkingu przy „Pętli Boryszyńskiej", następnie zwiedzanie podziemi na trasie niestandardowej, obejmującej południową część Hohlgangsystem „Hochwalde" (trasa piesza).

około 13:30-14:30 – przerwa i odpoczynek przy ognisku.

15:00-18:00 – zwiedzanie obiektów naziemnych „Pętli Boryszyńskiej" oraz przyległych dzieł bojowych (trasa piesza).

18:00-20:00 – przerwa na posiłek i zakwaterowanie.

20:00- ... prezentacje multimedialne i dysputy fortyfikacyjne (szkoła w Lubrzy) oraz niespodzianka...

Niedzielne przedpołudnie:

10:00 – spotkanie przy placu sportowym we wsi Starpole (za kościołem), zwiedzanie dzieł bojowych Werkgruppe „Koerner" i okolicy (trasa mieszana, piesza i samochodowa).

W tradytorze brak jest wydzielonego pomieszczenia maszynowni, choć obiekt tej wielkości, z tak silnym uzbrojeniem, powinien być wyposażony w agregat prądotwórczy i urządzenia filtrowentylacyjne. Szczegóły, z uwagi na niski stopień zachowania instalacji, zalanie dolnej kondygnacji wodą i zniszczenia spowodowane detonowaniem w tradytorze niewybuchów (co spowodowało przesunięcie ściany w magazynie amunicji), trudno dokładniej ustalić. Do obecnego stanu budowli przyczynił się także fakt, wykorzystania jej jako obiektu mieszkalnego w latach powojennych. Ówczesny użytkownik dokonał różnych zmian w schronie, w tym, wypełnił zagłębienie na podstawę działa znajdujące się w największym pomieszczeniu kondygnacji górnej.

Opisany tradytor to niejako jeden z „prototypów" polskich schronów bojowych. Odporność jego konstrukcji wystarczała do wytrzymania pojedynczego trafienia pocisku haubicznego kalibru 220 mm lub kilku kalibru150 mm, co stanowiło wystarczające zabezpieczenie przed spodziewanym wówczas działaniem oddziałów niemieckich. Uzbrojenie jest silne i mogące prowadzić ogień w szerokim sektorze, a wyspecjalizowany obserwator znacznie ułatwiał dowodzenie oraz kierowanie ogniem. Wadą jest, wymuszone skąpymi środkami finansowymi, bardzo oszczędne rozplanowanie, a umieszczenie magazynu amunicji na osi słabo osłoniętego wejścia, stanowi ewidentny błąd w sztuce, gdyż wystarczyłoby tu dobudować przelotnię. Pamiętajmy jednak, że projektantom, których skrępowano licznymi ograniczeniami, brakowało jeszcze doświadczenia. Lecz budowa tego i sąsiednich schronów, jakkolwiek dalekich od doskonałości, pozwoliła na zdobycie pierwszych doświadczeń i rozpoczęła trwający aż do wybuchu wojny okres bujnego rozwoju polskiej sztuki fortyfikacyjnej. Ewolucja wznoszonych w tym czasie dzieł doprowadziła do powstania nowoczesnych, mieszczących się w światowej czołówce dzieł obronnych, które spotkać możemy nie tylko na Śląsku.

Wyruszając na zwiedzanie tego fragmentu fortyfikacji śląskich warto wiedzieć, iż w odległości 100-500 m znajdziemy szereg innych, aczkolwiek zdecydowanie mniejszych, schronów. Natomiast duży, okrągły fundament na zapolu schronu, to pozostałość dawnej wieży ciśnień, zaopatrującej niegdyś w wodę pobliski Bytom. Po ustanowieniu granicy oraz wzniesieniu instalacji wojskowych na wzg. 304,7, przestała być potrzebna, a wręcz stała się szkodliwa jako punkt orientacyjny i została rozebrana.

* – określenie odautorskie.

Literatura:
1. „Denkschrift über die polnische Landesbefestigung", Berlin 1941
2. K. Kleczke, W. Wyszyński, „Fortyfikacja stała", Warszawa 1937
3. J. Sadowski, „Przygotowania Centralnego Okręgu Przemysłowego Śląska do obrony w okresie międzywojennym", [w:] „Wojskowy Przegląd Historyczny", nr 4/1959
4. K. Szczegłow, „75 mm armata wz. 1897, seria Typy broni i uzbrojenia", zeszyt nr 123.

Jerzy Sadowski

Redaktor prowadzący w „Odkrywcy" dział Fortyfikacje. Specjalista z dziedziny fortyfikacji i techniki wojskowej, kustosz Skansenu Fortyfikacji w Jastarni. Założyciel wielu stowarzyszeń, działacz Stowarzyszenia „Fortiso".

Odkryj z nami historię na nowo

odk księgarnia odkrywcy

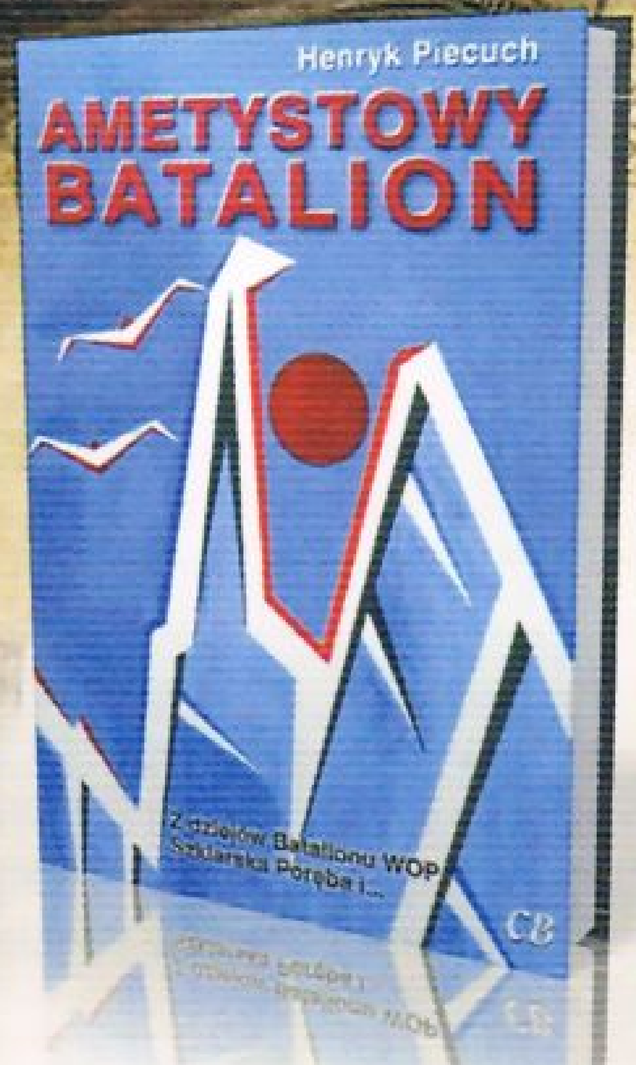

Henryk Piecuch „Ametystowy batalion", opr. miękka, str. 262, Agencja Wydawnicza CB. Cena: 29,40 zł
Niniejsza publikacja to już 70. książka Henryka Piecucha. Poświęcił ją 70. rocznicy Górskiego Batalionu WOP w Szklarskiej Porębie, ale nie tylko. Opisuje tu także walki z sojusznikami i bandami. Wspomina o grach wywiadów, werbowaniu szpiegów i podchodach oficerów WSW oraz KGB/GRU. Piecuch mieszkając w Sudetach Zachodnich, nie mógł pominąć zamachu na przywódców Partii Komunistycznych i robotniczych w 1947 r. oraz gen. Wojciecha Jaruzelskiego. Pisze również o poszukiwaniu skarbów i zwalczaniu epidemii szabru, a także o interwencji wojsk Układu Warszawskiego w Czechosłowacji w sierpniu 1968 r. Przypomina niektórych żołnierzy, swoich podwładnych, ale też przełożonych, z którymi pełnił służbę w Karkonoszach i w Górach Izerskich.

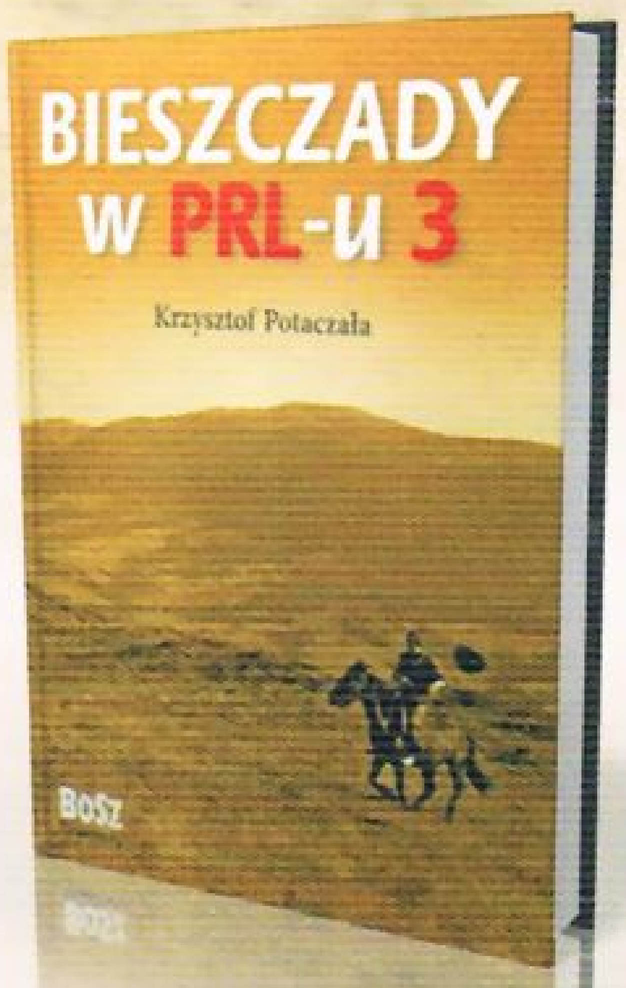

Krzysztof Potaczała „Bieszczady w PRL-u 3", opr. twarda, str. 128, wyd. Bosz. Cena: 25,99 zł
Trzecia, najnowsza i zarazem ostatnia część niezwykle popularnych reportaży o Bieszczadach autorstwa Krzysztofa Potaczały. Zbiór ilustrowanych opowieści spiętych klamrą czasu lat 70., 80., a nawet sięgającą niekiedy nieco poza peerelowską rzeczywistość. Historie, których próżno szukać w powszechnie znanej literaturze, pokazujące ludzi i wydarzenia, bez których Bieszczady byłyby uboższe. Przywołane z zakamarków ludzkiej pamięci i pożółkłych już nieco kart historii opowieści o kwaterze Klanu Kowbojów i Trampów spod Baligrodu, o „kolczastej" granicy strzeżonej sierpem i młotem, o skazanych z więziennych Oddziałów Zewnętrznych, o żołnierskim trudzie budowania wąskotorowej kolejki, o samotnych wędrówkach żubra Pulpita czy o przystanku Rainbow Family w Tworylnem pozwolą zobaczyć Bieszczady, jakich już nie ma – pachnące dzikością i wolnością.

Rober Primke, Maciej Szczerepa, Wojciech Szczerepa „Góry i Pogórze Kaczawskie", opr. miękka, str. 152, wyd. Archiwum-System. Cena: 25 zł

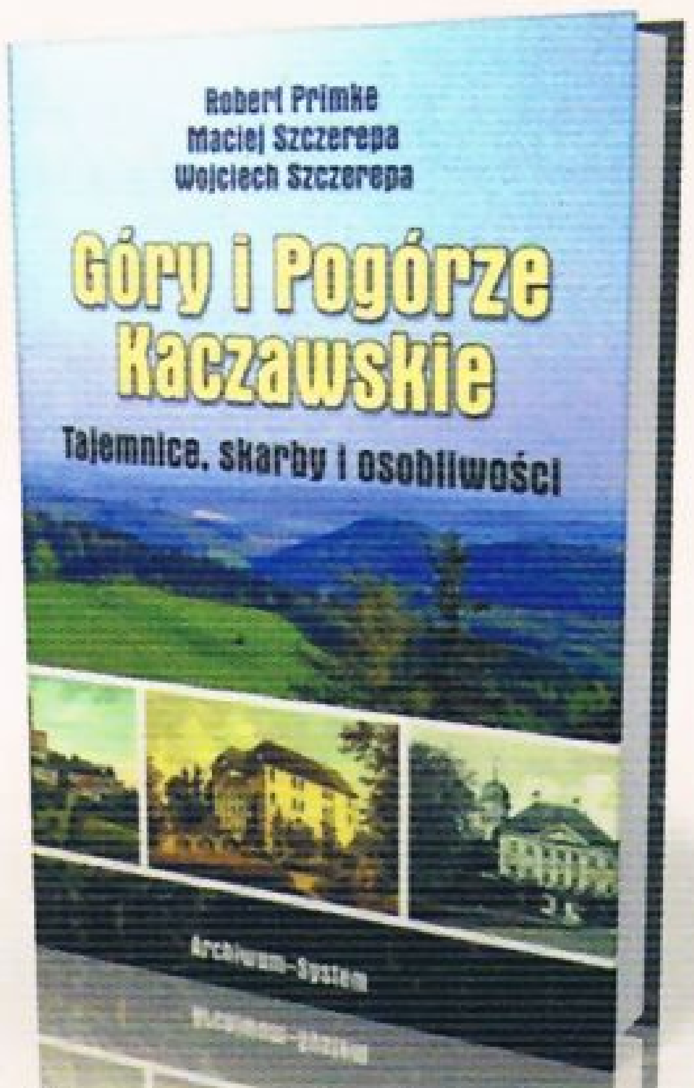

Góry i Pogórze Kaczawskie to tereny, które kryją wiele fascynujących tajemnic. Dla poszukiwaczy przygód i skarbów wizyta w takich miejscowościach, jak Bystrzyca, Czernica, Rząśnik czy Sokołowiec może stać się inspirującym doświadczeniem. W książce zaprezentowano najciekawsze dla miłośników tajemnic, skarbów i osobliwości miejsca tego regionu. Opisano m.in. dzieje pałaców w Brunowie, Grodźcu, Nielestnie i Przeździedzy, historie skarbów z Wojcieszowa i Zagrodna czy też sekrety Wielisławki i Złotoryjskiego Lasu. Czytelnicy z kart tej książki dowiedzą się również o Schwenckfeldystach na Pogórzu Kaczawskim, skarbie Wehrmachtu i tajemniczym tunelu w Bolkowie, czy też o zagadkowych ruinach w Rząśniku.

Krzysztof Mroczkowski „Płynny ołów. Izraelska operacja wojskowa w Strefie Gazy 2008-2009", opr. miękka, str. 275, wyd. Inforteditions. Cena: 38,20 zł

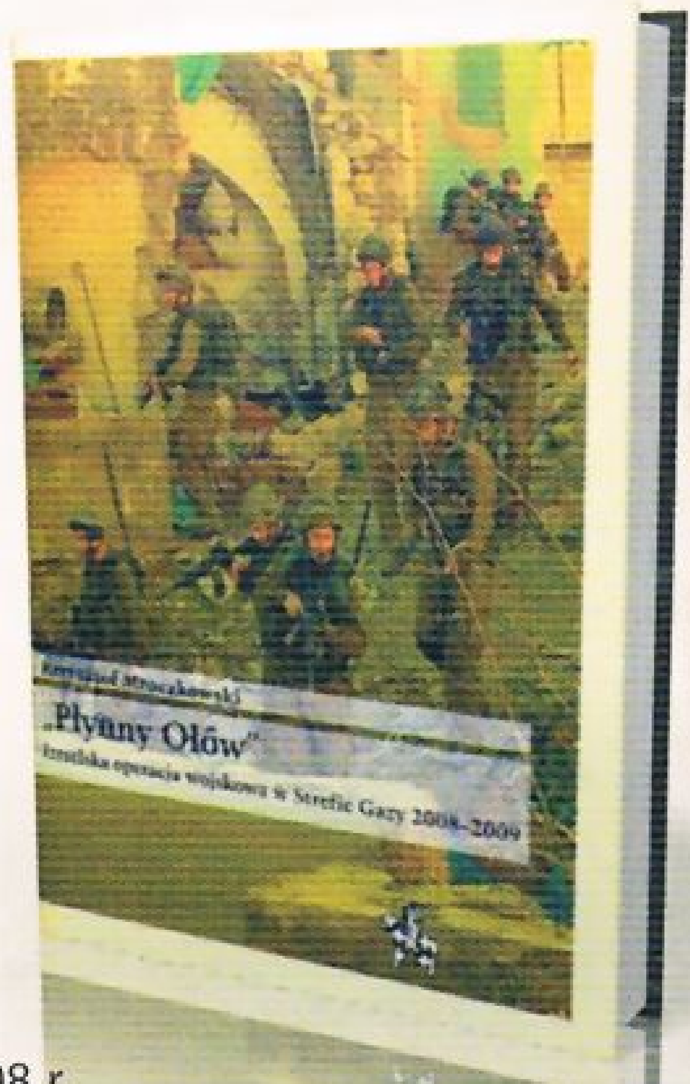

Niniejsza książka poświęcona została operacji militarnej „Płynny Ołów" – rozpoczętej przez Siły Obrony Izraela 27 XII 2008 r. Jej celem była likwidacja członków i zniszczenie infrastruktury Hamasu w Strefie Gazy. W wielu krajach arabskich wydarzenie to określane jest jako Masakra Gazy. Konflikt ten to kolejna odsłona potyczek i wojen izraelsko-arabskich. Bezpośrednią przyczyną rozpoczęcia działań zbrojnych było wznowienie ostrzału terytorium Izraela przez palestyńskie ugrupowanie Hamas po zakończeniu rozejmu z 19 VI 2008 r. Organizacja ta oskarżyła Izrael o nie zniesienie blokady Strefy Gazy i powtarzające się rajdy wojsk izraelskich. Izrael obciążył natomiast Hamas za ataki rakietowe i moździerzowe na południe kraju.

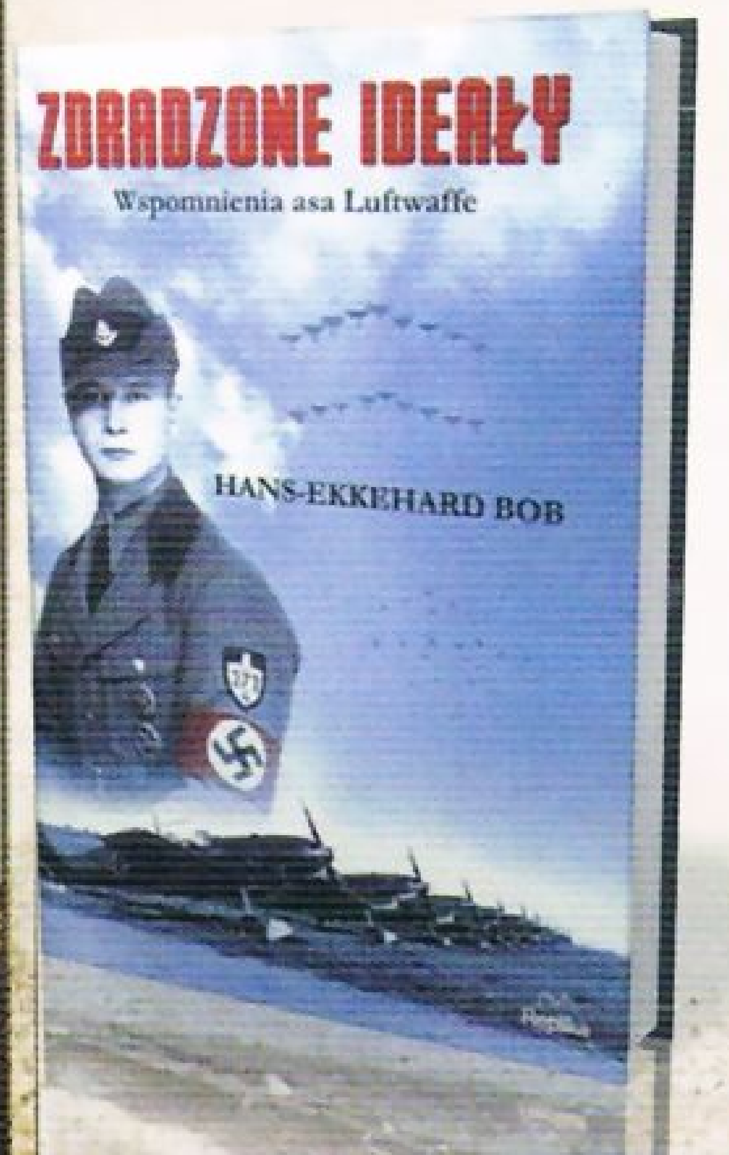

Hans-Ekkehard Bob „Zdradzone ideały", opr. twarda, str. 272, wyd. Replika. Cena: 36,30 zł
Książka ta to zapis wspomnień asa Luftwaffe – Hansa-Ekkeharda Boba. Do końca wojny wiernie służył on nazistowskim Niemcom i Führerowi zarówno w walkach nad Polską, jak i na Froncie Zachodnim i Wschodnim. Odbył blisko 700 lotów bojowych na różnych typach Messerschmittów. Zanotował 60 zestrzeleń. Ze względu na to, że jego wyczyny, podobnie jak innych niemieckich pilotów były szczególnie uwypuklane w hitlerowskiej propagandzie, musiał on być człowiekiem „pewnym ideowo". Dlatego też podlegał nieustannej indoktrynacji. Jego książka to swego rodzaju studium skuteczności propagandy nazistowskiej wobec ludzi młodych oraz skutków, do jakich doprowadziło polityczne zwycięstwo NSDAP.

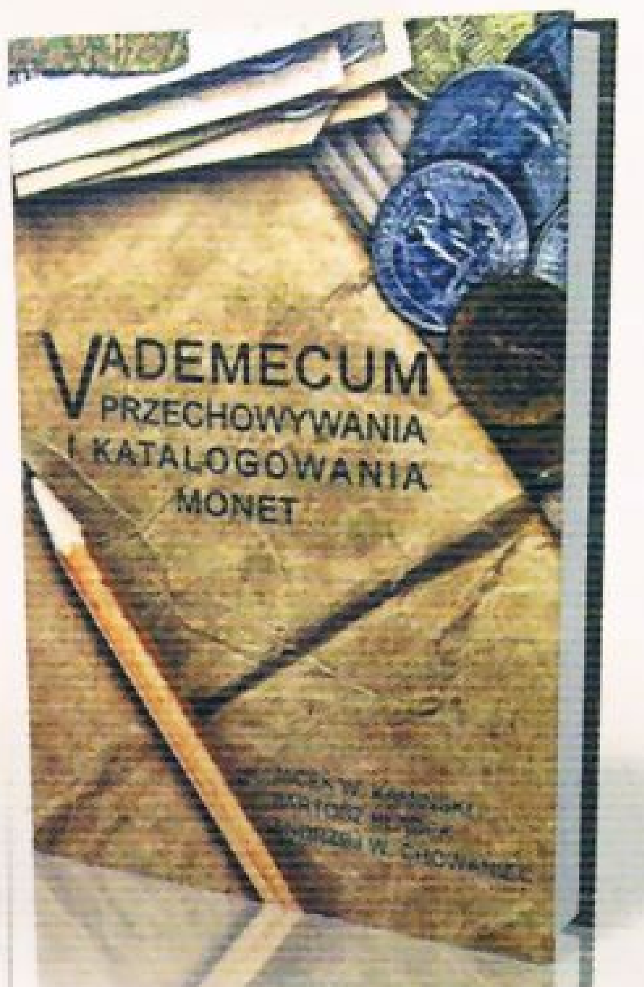

Jacek W. Kamiński, Bartosz Błądek, Andrzej Chowaniec „Vademecum przechowywania i katalogowania monet", opr. miękka, str. 126, wyd. Bestbit. Cena: 39 zł
Po sukcesie książki „Vademecum czyszczenia i konserwacji monet", autorzy postanowili wydać nową publikację, tym razem dotyczącą przechowywania i katalogowania monet. Książka, oprócz przedmowy, wstępu i zakończenia, zawiera dwa rozdziały. Pierwszy „Katalogowania numizmatów" zawiera następujące podrozdziały: Katalog – co to jest i dlaczego jest tak ważny; Katalogi książkowe; Katalogi monet współczesnych, inwestycyjne; Katalogi aukcyjne; Indywidualne programy do katalogowania monet; Dedykowane programy do katalogowania monet; Strony internetowe do katalogowania monet; Tabela porównawcza katalogów monet. Drugi rozdział „Przechowywanie numizmatów" natomiast składa się z następujących podrozdziałów: Kilka uwag do przechowywania monet; Klasery i zestawy rocznikowe; Albumy; Woreczki strunowe; Holdery; Kapsle; Kasety i palety na monety; Pudełka gradingowe; Kopertki.

Znajdź nas na
www.odk.pl

Przyjdź
na ul. Narutowicza 46 w Łodzi

odk księgarnia odkrywcy

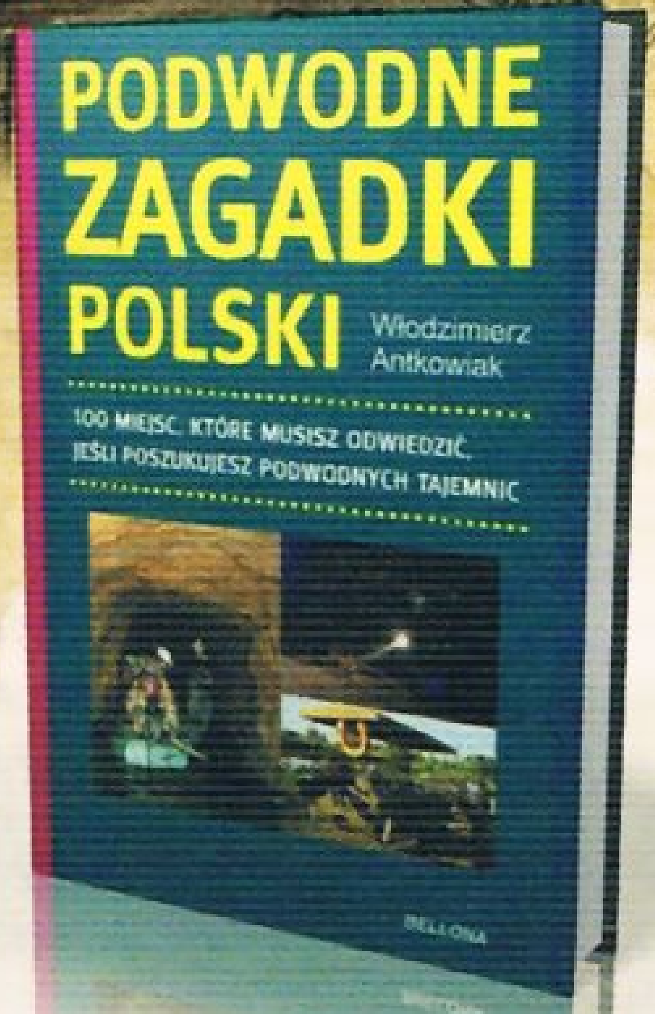

Włodzimierz Antkowiak „Podwodne zagadki Polski", opr. miękka, str. 270, wyd. Bellona. Cena: 33,60 zł
„Podwodne zagadki Polski" to szósta książka polskiego poszukiwacza, szefa Międzynarodowej Agencji Poszukiwawczej, poświęcona tematyce eksploracji, zaginionych i ukrytych skarbów i różnego rodzaju zagadkom historii. Jest to jednocześnie pierwsza książka polskiego autora dotycząca wyłącznie eksploracji podwodnej i tajemnicom, jakie kryją polskie wody. Autor przedstawił 100 miejsc, wśród których jest kilkadziesiąt całkowicie nowych, nigdy wcześniej nie opisywanych. Niniejsza praca stanowi rodzaj kompendium wiedzy dotyczącej podwodnych skarbów Polski oraz podsumowaniem wszystkiego, czego w ciągu ćwierćwiecza autor dowiedział się o nich i czego sam doświadczył.

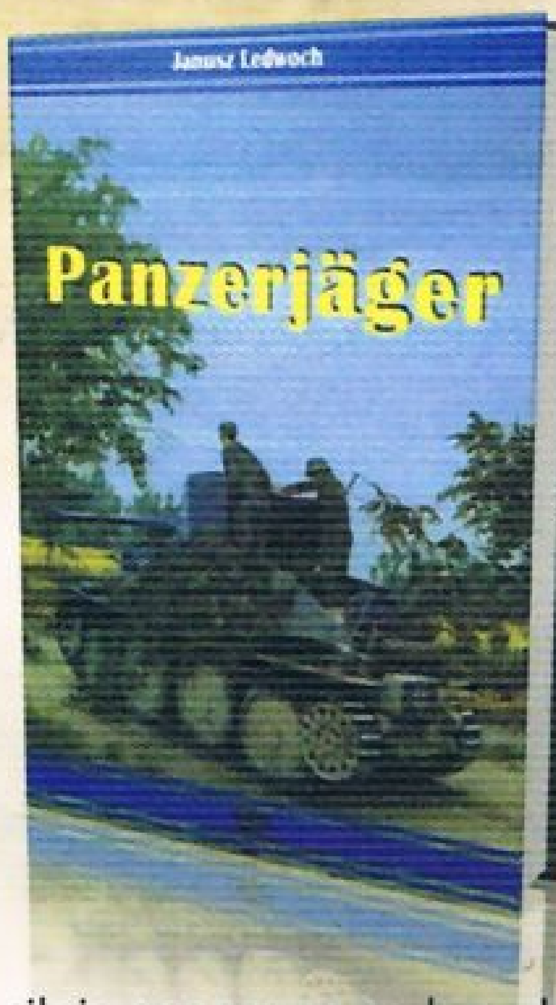

Janusz Ledwoch „Panzerjäger", opr. miękka, str. 176, wyd. Militaria. Cena: 26,60 zł
W okresie II wojny światowej w jednostkach niemieckich były używane różne typy dział samobieżnych – Panzerjäger. Przemysł niemiecki w trakcie wojny wyprodukował blisko 20 tys. dział samobieżnych przeznaczonych do zwalczania wozów bojowych przeciwnika, do których produkcji wykorzystywano zarówno typowe podwozie gąsienicowe, jak i półgąsienicowe. Główny przeciwnik Wehrmachtu na Zachodzie, armia francuska dysponowała dużą ilością silnie opancerzonych czołgów. W tym czasie z jednostek pancernych rozpoczęto wycofywanie przestarzałych czołgów Pz.Kpfw I (MG) Ausf. B. Ponieważ większość z nich była w dobrym stanie technicznym, ich podwozia postanowiono wykorzystać do budowy wyspecjalizowanych pojazdów przeciwpancernych. Janusz Ledwoch poświęcił niniejszą pracę tym pierwszym niemieckim niszczycielom czołgów.

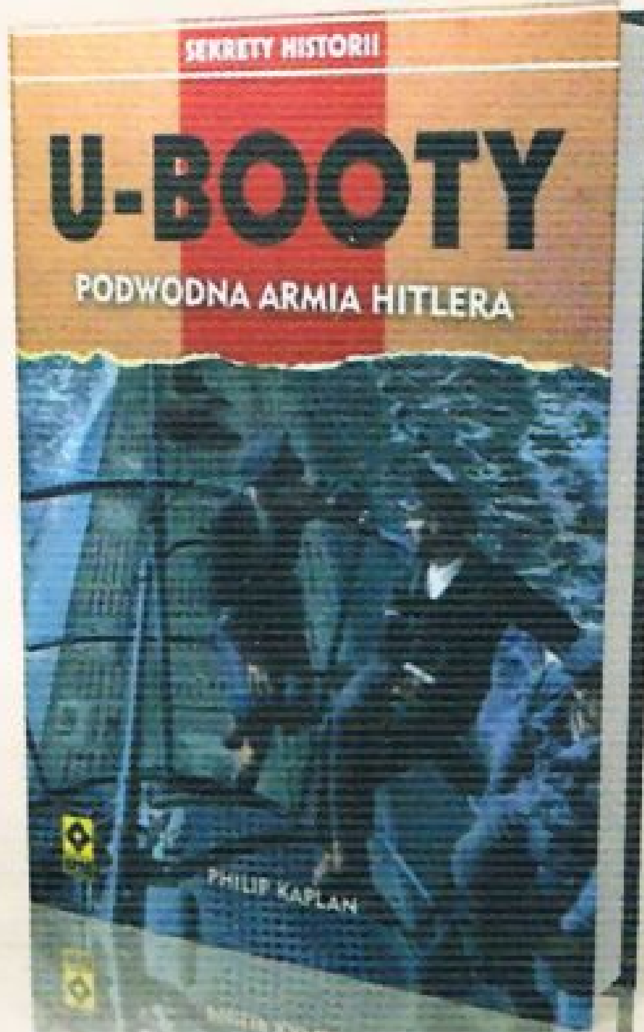

Philip Kaplan „U-booty. Podwodna armia Hitlera", opr. miękka, str. 258, Wydawnictwo RM. Cena: 34,80 zł
Niniejsza książka opisuje życie na pokładzie U-Bootów, odtworzone na podstawie różnych opublikowanych tekstów, listów, dzienników i wspomnień, prozy i poezji. Przedstawia obraz codziennej egzystencji załóg niemieckich okrętów podwodnych, a także dramatyczne wydarzenia, które były ich udziałem. Znajdziemy tu barwne opisy emocji, jakich doznawali marynarze z U-Bootów, począwszy od kapitana, a na mechaniku skończywszy. Powszechnie uważano, że załogi U-Bootów składały się z samych ochotników; w istocie było inaczej. Mimo pewnego poczucia dumy z przynależności do Ubootwaffe, każdy marynarz wiedział, że czekały go rejsy bojowe w iście piekielnych, klaustrofobicznych, niehigienicznych warunkach, w cuchnącym wnętrzu U-Boota; rejsy, będące ekstremalną próbą psychicznej i fizycznej wytrzymałości, a szansa ich przeżycia była mizerna.

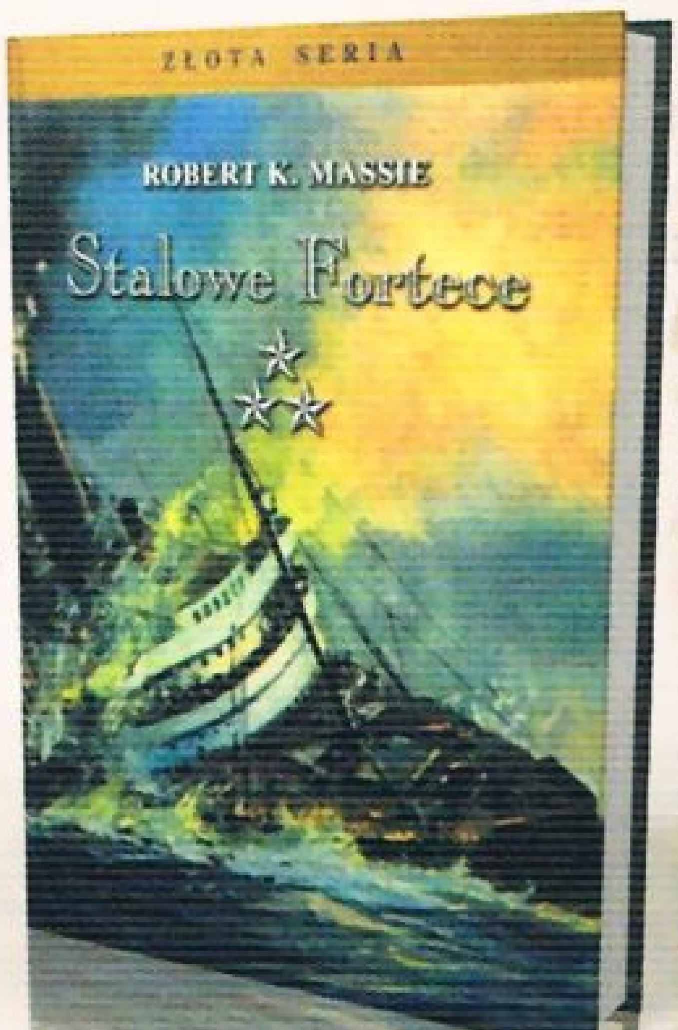

Robert K. Massie „Stalowe fortece", t. III, opr. twarda, str. 212, wyd. Finna. Cena: 38,80 zł
Trzecia część opowieści o I wojnie światowej w narracji Roberta Massiego, laureata Nagrody Pulitzera. Autor błyskotliwie rysuje główne postacie wydarzeń – od dworów królewskich poprzez członków rządów do dowódców flot i poszczególnych okrętów biorących udział w najważniejszych wydarzeniach I wojny światowej. Podobnie jak w „Dreadnought" wydanym przed kilku laty, nie szczędzi czytelnikowi wielu anegdotycznych historii i uwag, imponując literackim rzemiośle.

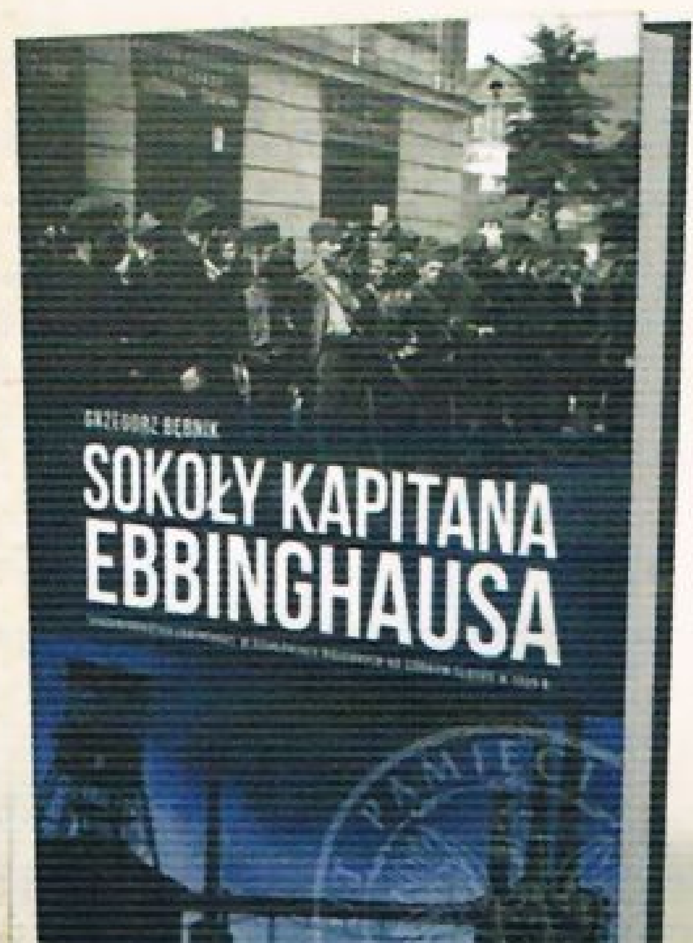

Grzegorz Bębnik „Sokoły kapitana Ebbinghausa", opr. twarda, str. 568, wyd. IPN i Libron. Cena: 51,50 zł
Publikacja poświęcona jest stworzonej spośród zatrudnionych w III Rzeszy polskich obywateli oraz uciekinierów z woj. śląskiego paramilitarnej formacji, mającej z chwilą wybuchu wojny przekroczyć granicę i zająć ważniejsze zakłady przemysłowe. Od nazwiska swego dowódcy, kpt. Ebbinghausa, nazywana była Sonderformation Ebbinghaus lub Freikorps Ebbinghaus. Jeszcze przed rozpoczęciem właściwych działań wojennych 1 IX 1939 r. około godziny 3.00 formacja ta przekroczyła granicę, atakując wybrane obiekty po polskiej stronie. W następnych dniach bojownicy Ebbinghausa zaznaczyli swą obecność w walkach o Chorzów i Katowice, a także w działaniach pacyfikacyjnych, wymierzonych przeciwko Polakom. Ostatnim akordem ich działalności było tworzenie pomocniczych formacji policyjnych, które krwawo zapisały się w pamięci miejscowych ludzi.

Gerd-Ulrich Herrmann „Twierdza Kostrzyn 1945. Oczekiwania a rzeczywistość", opr. miękka, str. 184, wyd. Muzeum Twierdzy Kostrzyn. Cena: 35 zł
Z okazji 70. rocznicy zakończenia walk o Kostrzyn nad Odrą do rąk polskich czytelników trafia przekład opracowanej przez Gerda-Ulricha Herrmanna monografii kostrzyńskiej bitwy z 1945 roku. Książka niezwykle dokładnie odtwarza przebieg ówczesnych walk. W publikacji znalazły się następujące rozdziały: Twierdze w XX w.; Kostrzyn ogłoszony twierdzą; Kostrzyn – filar obrony nad Odrą?; Długo oczekiwane natarcie; Zachodnie przedpole twierdzy; Ostatnie dni Kostrzyna; Küstrin staje się Kostrzynem. Dodatkowo w pracy zamieszczono kilka załączników: Zbrodniarz wojenny Gruppenführer SS Heinz Reinefarth; Struktura i skład XXXII Korpusu Strzeleckiego (marzec 1945 r); Raport Gruppenführera Reinefartha; Lista charakterystycznych obiektów; Lista skrótów użytych na szkicach sytuacyjnych.

Książki można zamawiać na stronie Księgarni www.odk.pl, telefonicznie 42 631 10 97, 42 630 71 41 (pon.-pt. godz. 10-18) lub 42 634 89 93 (24 h – automat) lub e-mailem na adres: zamowienia@odk.pl

ODK

kolekcja ODKRYWCY

WOJCIECH STOJAK „OSTATNI »KLUB POSZUKIWACZY SKARBÓW« I INNE OPOWIEŚCI". To lektura obowiązkowa dla każdego miłośnika historii. Nie wystarczy jej polecić – bo rekomendować można dobry artykuł lub film. Ją należy przeczytać. Do książki dołączona jest płyta z nagraniem jednego z odcinków „Klubu Poszukiwaczy Skarbów".

26,-

„VADEMECUM CZYSZCZENIA I KONSERWACJI MONET" Pierwsza tak wyczerpująca temat pozycja na rynku polskim. Bogato ilustrowana ukazuje wiele praktycznych metod – krok po kroku. Do wykorzystania nawet dla mało doświadczonych kolekcjonerów. Metody prezentowane w książce można także zastosować do wielu innych, delikatnych, starych i zniszczonych wyrobów metalowych w tym, wydobytych z ziemi.

35,50

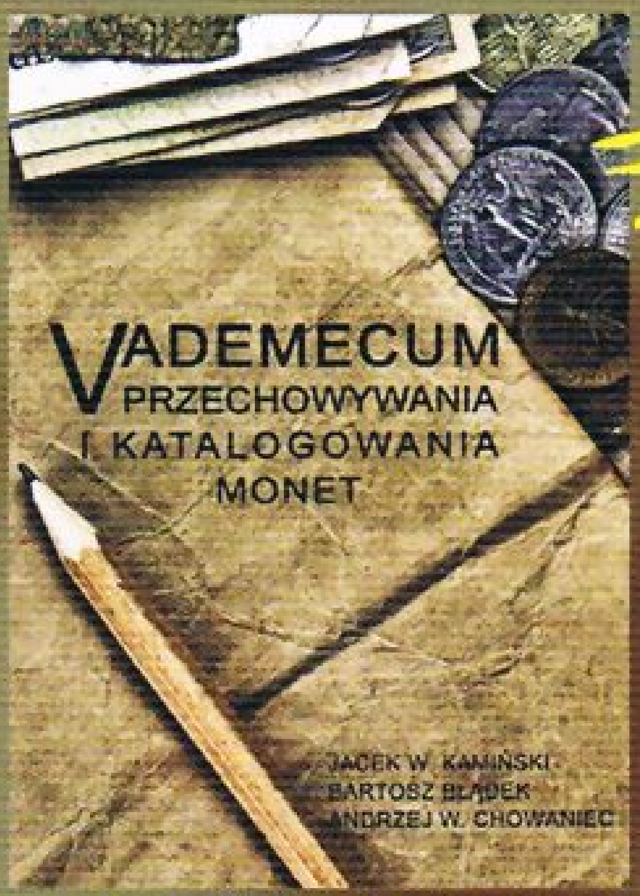

39,50

„VADEMECUM PRZECHOWYWANIA I KATALOGOWANIA MONET" Kolejna pozycja dla kolekcjonerów monet. W przejrzysty sposób przedstawia wszelkie zalety i wady prezentowanych metod zabezpieczania i katalogowania zbiorów numizmatycznych. Zawiera także porównania dostępnych na rynku katalogów internetowych. Książka jest bogato ilustrowana.

36,-

Niezwykle elegancki pendrive USB o pojemności 4 GB. Czarny, skórzany zatrzask ochrania łącze. Duży, chromowany uchwyt ułatwia przypięcie pendriva do kluczy lub innego przedmiotu. Smycz w komplecie.

6,-

ORYGINALNA SMYCZ „ODKRYWCY" Długość 47 cm; mocowanie do telefonu komórkowego plus karabińczyk.

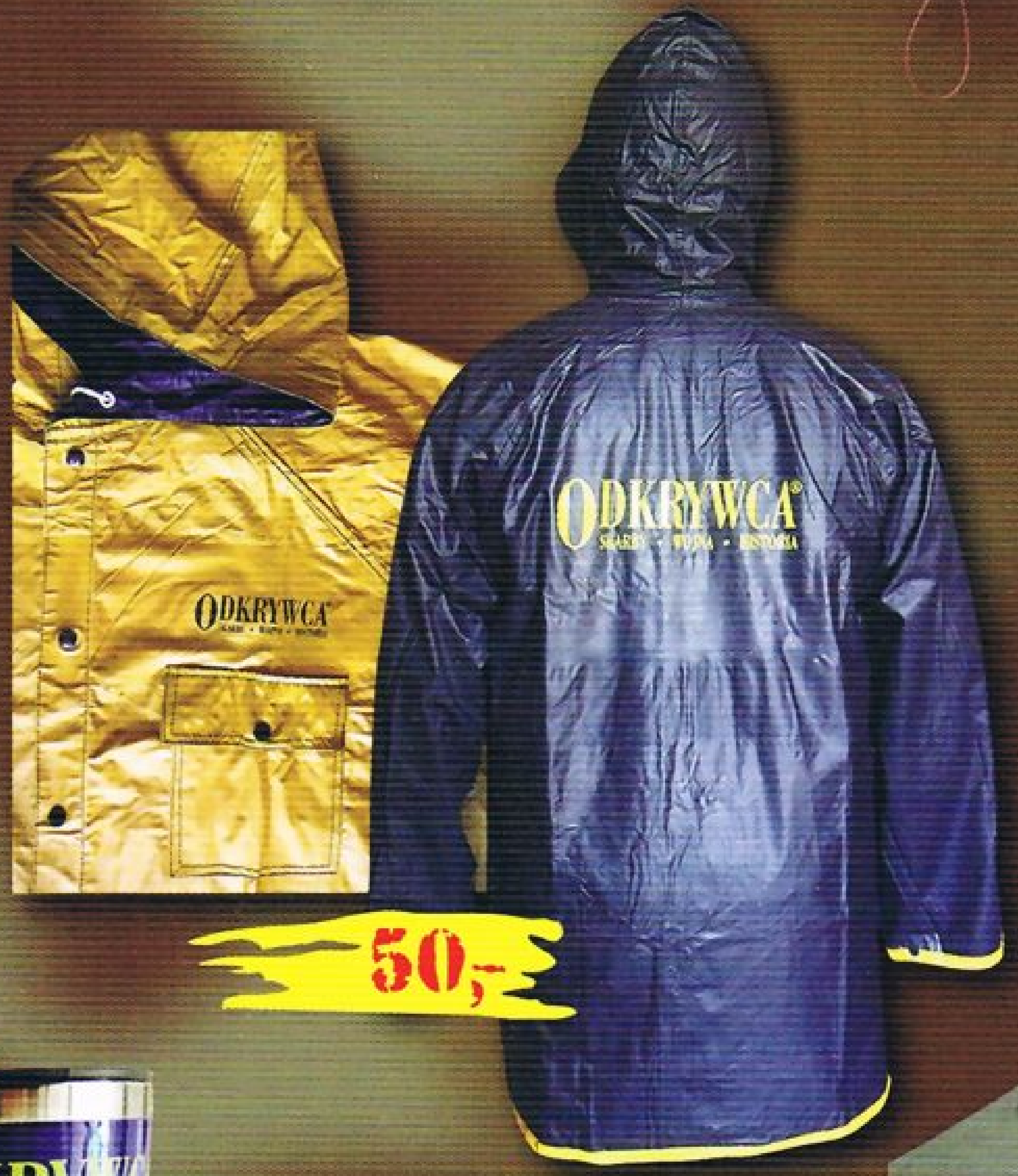

50,-

PŁASZCZ PRZECIWDZESZCZOWY Z zatrzaskami i kapturem. Dwustronny (możliwość wywrócenia na drugą stronę) żółto/granatowy. Z miękkiej nieprzemakalnej tkaniny gumowej; klejone, płaskie szwy. Napisy w kolorach żółtym i granatowym. Rozmiar XL, XXL

20,-

METALOWY KUBEK termiczny z uchem. Przykrywka z otworem do picia, środek metalowy. Pojemność 400 ml. Kolory: niebieski i czerwony.

Koszulki „Odkrywcy" z miękkiej 100% bawełny. Kolor czarny i oliwkowy w rozmiarach: S, L, XL, XXL. Koszulki idealne do wszystkich kamuflaży. Napis „Odkrywca" z przodu i z tyłu.

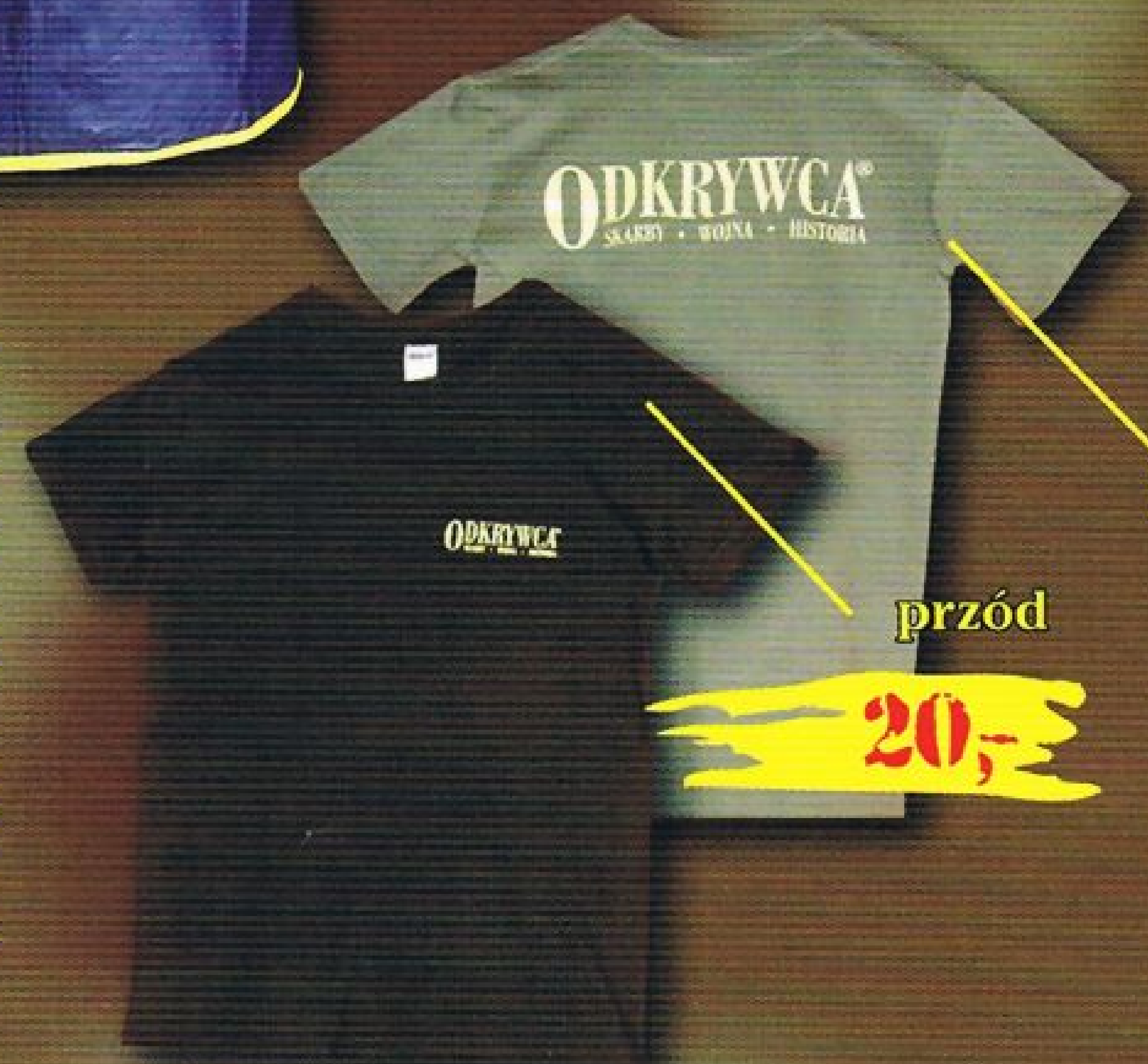

20,-

Oferta dostępna, aż do wyczerpania zapasów. Czas realizacji zamówienia do 4 tygodni. Zwrotów nie przyjmujemy.

ZAMÓWIENIE 6/197

Wypełnione zamówienie prosimy przesyłać na adres: „ODKRYWCA", ul. Kaszubska 4, 50-214 Wrocław

nazwa artykułu	rozmiar	kolor	cena	ilość	wartość
				razem:	

Płatne przy odbiorze. Koszt przesyłki ponosi zamawiający.

imię i nazwisko

kod pocztowy miejscowość

ulica nr domu

telefon

Wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych do celów sprzedaży wysyłkowej w Kolekcji „Odkrywcy" zgodnie z Ustawą o ochronie danych osobowych z 29.08.

podpis zamawiającego

Wyrażam zgodę na wystawie faktury VAT bez mojego po

Uzupełnij swoje archiwum zanim wyczerpie się nakład! Dział prenumeraty: 71 329 71 71

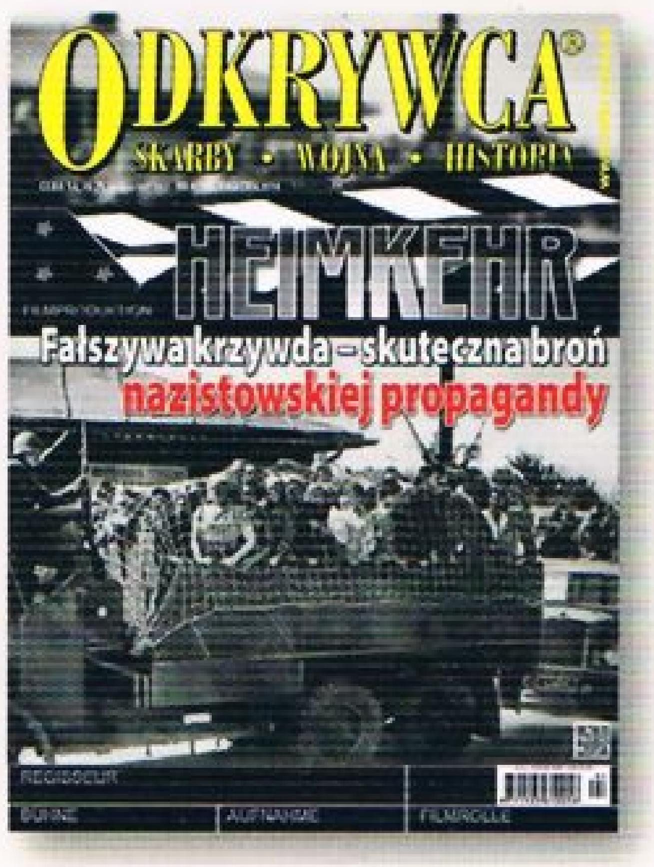

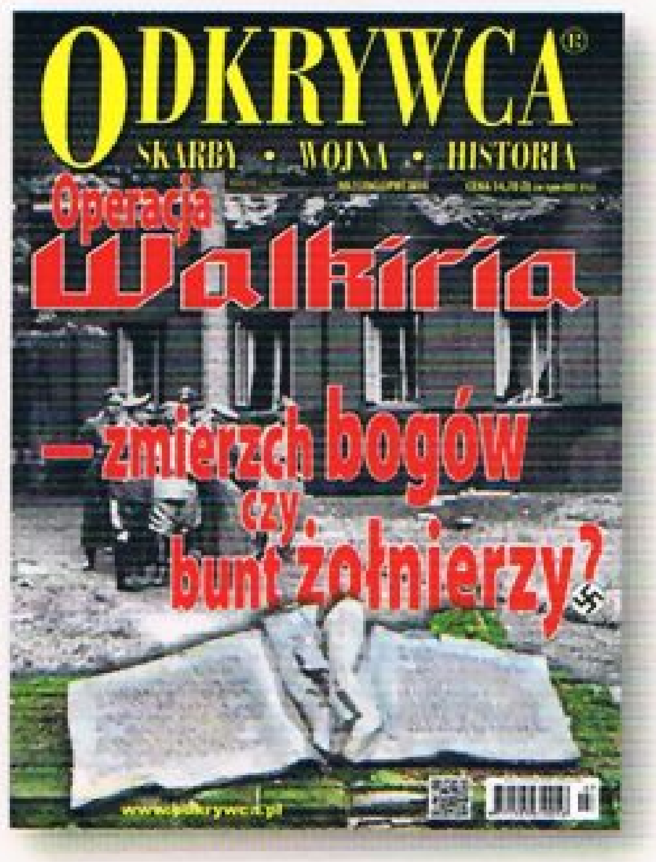

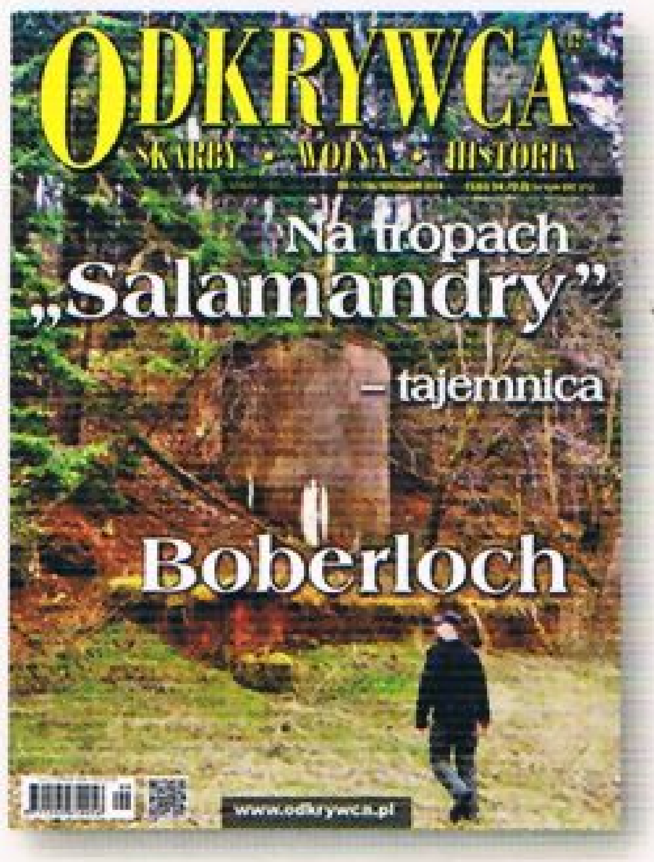

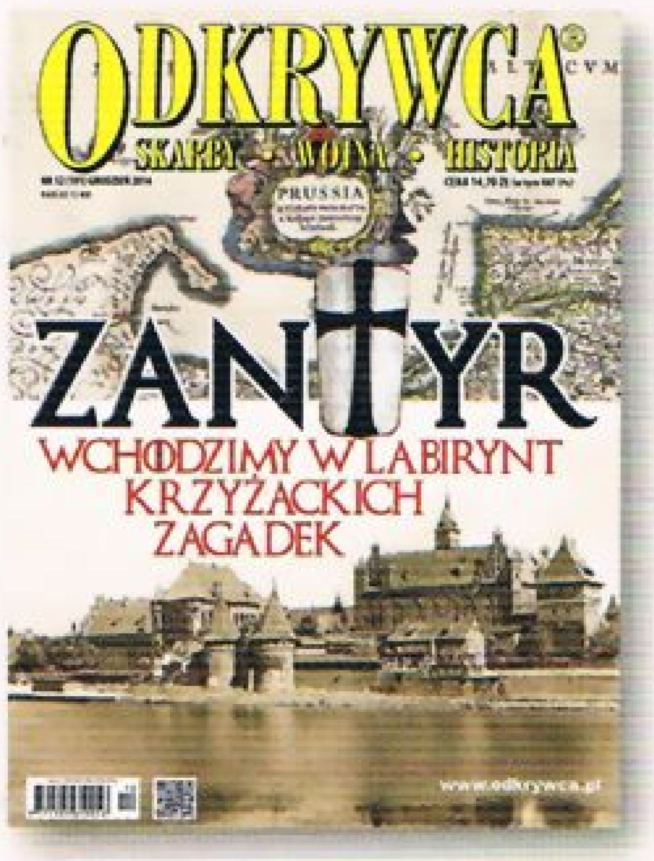

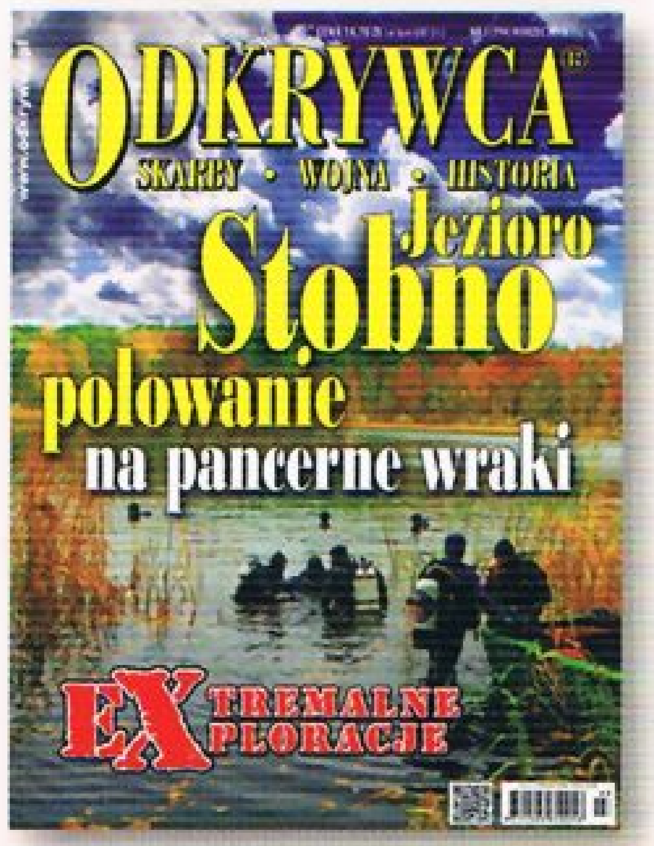

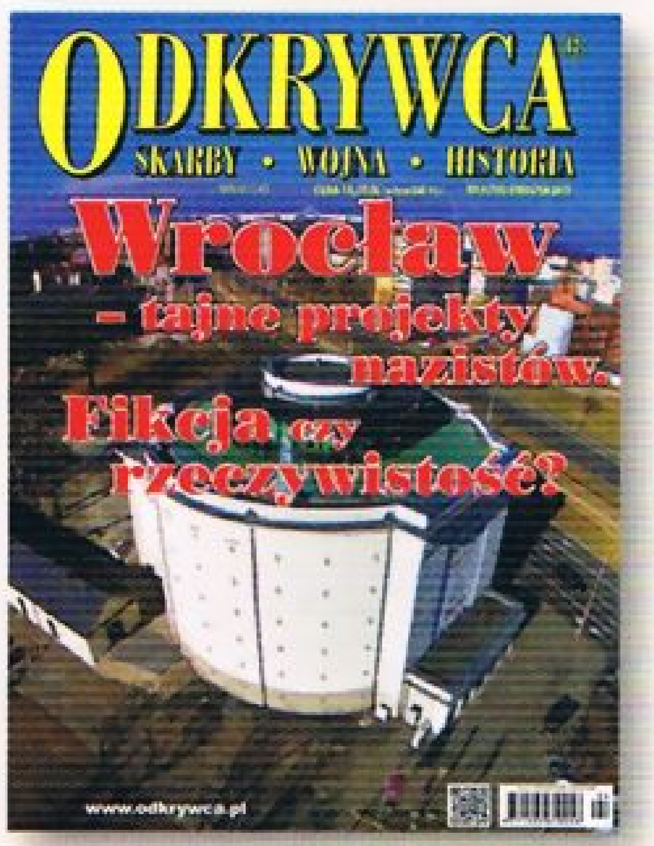

UWAGA PRENUMERATORZY!

Zachęcamy Państwa do wykupienia prenumeraty miesięcznika „Odkrywca". Jest to gwarancją:

- ► stałej, niższej ceny,
- ► szybkiej dostawy pod wskazany adres,
- ► otrzymania upominków i dodatków – jedynie dla prenumeratorów.

Możecie zamówić i opłacić prenumeratę bezpośrednio online pod adresem http://instytut.odkrywca.pl

- ► bezpośrednio online pod adresem: http://instytut.odkrywca.pl
- ► lub dokonać wpłaty bezpośrednio na nasze konto:

Instytut Badań Historycznych i Krajoznawczych (IBHiK) sp. z o.o.
ul. Wojska Polskiego 15c, 62-500 Konin
Numer konta: **98 2490 0005 0000 4520 6153 2533**

Dla wpłacających z zagranicy:
BIC / SWIFT – ALBPPLPW
PL98249000050000452061532533

Przy zamówieniu i opłaceniu prenumeraty należy podać: dokładne dane imienne i adresowe oraz informację, od którego numeru ma się rozpocząć prenumerata.. Koszty manipulacyjne związane z zamówieniem i opłatą ponosi zamawiający.

Cena prenumeraty:

- ► krajowa roczna – **147** zł; półroczna – **73,50** zł
- ► zagraniczna półroczna: **123,90** zł (list zwykły); **141,90** zł (list priorytetowy).
- ► Roczna – dwa razy droższa.

Pytania prosimy kierować do Działu Prenumeraty wydawnictwa IBHiK:
listownie na adres: Redakcja „Odkrywca", ul. Kaszubska 4, 50-214 Wrocław z dopiskiem Dział Prenumeraty,
telefonicznie 71 329 71 71,
e-mail: prenumerata@odkrywca.pl

Uwaga do nabycia numery archiwalne
– rok 2000 nr 4/21 – cena 5,00zł za 1 egz.
– rok 2001 nr od 3/27 do 12/36 – cena 5 zł za 1 egz.
– roczniki 2002 do 2005 – cena 60 zł za jeden rocznik
– roczniki 2006 do 2009 – cena 84 zł za jeden rocznik
– roczniki 2010 i 2011 – cena 96 zł za jeden rocznik
– rocznik 2012 – cena 108 zł
– rocznik 2013 – cena 118 zł
– rocznik 2014 – cena 120 zł
Cena razem z kosztami wysyłki w Polsce

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych po cenie innej niż detaliczna, ustalona przez Wydawcę, jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

Uzupełnij swoje archiwum zanim wyczerpie się nakład! Dział prenumeraty: 71 329 71 71